ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVIII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXIX.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA.

1893.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt niniejszy zawiera 15 i pół arkusza druku.

Druk ukończono d. 20 Stycznia 1893 r.



SZWINDEL I KRACH.

Krach i szwindel na przemiany wypełniają teraz kolumny dziennikarskie całego świata cywilizowanego; należy się spodziéwać, że jak tylko Europejczycy ucywilizują czarną Afrykę, Dahomej i państwo Konga nauczą tamtych naszych braci wykwitu swojéj cywilizacyi, t. j. robienia szwindlów i krachów. Ponieważ zaś są to wyrazy niemieckie, więc jaki krajowy socyolog gotów zawnioskować, że to Niemcy wraz z Semitami wynaleźli te piękne operacye przemysłowo-finansowe. Tymczasem na uciechę Niemców w końcu roku pańskiego 1892, największy ze znanych szwindlów usłał sobie gniazdo w Paryżu, pośród ministrów i deputowanych, prawodawców narodu francuskiego. Nazwa téj operacyi: kanał Panamski. Operacya w istocie świetna, chociaż nie nowa na świecie. Przedsiębiorcze konsorcyum wykopało kanał, którym miliony franków przepłynęły z kieszeni drobnego mieszczucha, sklepikarza, do kieszeni baronów, inżynierów, doktorów, redaktorów, posłów sejmowych i nareszcie ministrów. Ci, co nic nie dostali, lub którym szwindle lepiéj się powiodły, podnieśli wielkie *larum* i huk w imię moralności publicznéj, jak gdyby ekonomika nie uczyła, że w cyrkulacyi bogactw cały właśnie ruch gospodarczy redukuje się do przenoszenia bogactw z jednéj kieszeni do drugiéj, zwykle od Piotra do Szmula, a czasami od Szmula do Piotra.

Jakim sposobem bogactwa przechodzą z kieszeni jednego posiadacza do drugiego, o tém w wielu razach i ekonomika nie wié,

bo przecież pieniądz, jako wyobraziciel bogactw, nie ma na czole wypisanego, za co go otrzymano, a złoto nigdy „nie śmierdzi" [1]). Więc też i my nie podejmujemy się dochodzić, jakiemi drogami oszczędności episierów francuskich dostały się do kieszeni baronów, inżynierów i t. d., lecz z okazyi tego faktu chcemy podać krótkie rozmyślanie na temat ogólniejszy.

Krachy i szwindle dzieją się na świecie prawie od kolébki rodu ludzkiego, jedno, że ich tak nie nazywano, bo też po niemiecku w raju nie mówiono. Krachy i szwindle, to tylko skutki całego łańcucha przyczyn, skupiających się w rozroście indywidualizmu i teraźniejszym systemacie produkcyi ekonomicznéj. Chodzą one za nią, jak cień za ciałem, nie są czémś przypadkowém, ani patologiczném, lecz naturalnym i koniecznym objawem. Usunąwszy przyczyny, skutki same przez się ustaną. Ale tu właśnie sęk, który rozbić trudno, a może niepodobna, chyba żebyśmy chcieli wypruć z dzisiejszych ludzi indywidualizm i nałamać ich do liczenia się nietylko ze sobą, lecz i z bliźnimi. Krachy i szwindle działy się już od bardzo dawna i dzisiaj się dzieją na rozmaitą skalę; wszakże budzą one popłoch i spędzają sen z oczu porządnych obywateli dopiéro wtenczas, gdy ich pozbawiają procentu i dywidendy. Wtenczas dopiéro zaczynają wołać na upadek moralności, zanikanie charakterów, prywatę, brak ducha obywatelskiego. Póki procent regularnie bywa płacony, póty świat nasz jest najlepszym ze światów. Więc też zamiast biadać nad upadkiem moralności i myć Francuzów z panamskiego szlamu lepiéj pono rozważyć, skąd szwindle i krachy, skąd śmieci we własnym domu.

Powiedziano, że teraźniejszy system produkcyi materyalnéj jest jedną z naczelnych przyczyn krachów i szwindlów. Jakoż, przyglądając się produkcyi przemysłowéj, wytwarzającéj dobra materyalne na chybi trafi, nie mającéj żadnego regulatora, pobudzanéj zaciekłą konkurencyą i biorąc w rachubę przypadek, jak np. wojny, lub wyższe tak zwane siły elementarne,—można z góry być pewnym, że w wielkich przedsiębiorstwach nastąpią niepowodzenia, przesilenia nawet przy najsumienniejszém ich prowadzeniu.

---

[1]) Opowiada Swetoniusz w życiu Wespazyana, że gdy tenże nałożył podatek od latryn, syn Tytus z przekąsem się o tém odzywał. Skoro zaś złożono pierwszą ratę, Wespazyan podsunął pieniądze pod nos Tytusowi i zapytał go, czy śmierdzą? Ten odrzekł, że wcale nie śmierdzą.

Wszakże niektórzy ekonomiści chcieli już upatrywać peryodyczność przesileń giełdowych, przemysłowych i handlowych, jak gdyby jakieś nieuchronne prawo przyrodzone niemi rządziło. Nad tą stroną krachów i szwindlów nie potrzebujemy się dłużéj rozwodzić: przyczyny ich leżą jak na dłoni.

Ale czynności ludzkie biorą początek nie w zewnętrznym świecie, lecz w potrzebach, uczuciach i namiętnościach ludzi. Nikt nie produkuje dóbr materyalnych dla nich samych, lecz dla siebie i swoich bliźnich. Otóż te potrzeby, uczucia, namiętności mimo podobieństwa są jednak bardzo różne w indywiduach i epokach. Żyjemy właśnie w epoce największego rozwoju bogactw materyalnych, a razem największego natężenia w chęci ich posiadania, ażeby za ich pomocą zadość uczynić potrzebom, uczuciom i namiętnościom. Wszystko, co nie dąży i nie pomaga do zwiększenia sumy dóbr materyalnych, a pośrednio rozkoszy zmysłowych, cnota, prawda, piękno, ideał, honor — wszystko to uchodzi za donkiszoteryę. Wszystko to wymaga rachowania się z czémś inném, niż z samym tylko zyskiem, profitem; wszystko to wymaga poświęcenia czegoś z naszéj strony, np. przyjemności, majątku, — a tego właśnie wiek nasz się lęka. Rozumuje on logicznie, że o ile podzielisz się z innym, o tyle sam mniéj użyjesz. I tu leży ów indywidualizm bezbrzeżny, zwany w życiu praktyczném egoizmem lub sobkostwem. Interes ogółu, którego ani posmakować, ani powąchać nie można, stał się zupełnie pustym dźwiękiem. Nie chcemy twierdzić, że cały ród ludzki stał się takim sobkiem, ale w dzisiejszych społeczeństwach cywilizowanych nadzwyczaj drobna cząstka myśli o kimś więcéj — jedno o sobie, o użyciu i wyczerpaniu życia aż do fusów.

Zanik uczuć moralnych jest, naszém zdaniem, walniejszą przyczyną rozmaitych przesileń ekonomicznych, aniżeli pomyłki w rachunku, przypadek lub siły natury krzyżujące najlepiéj obmyślane przedsiębiorstwa. Człowiek dzisiejszy, a szczególniéj spekulant aferzysta, giełdziarz o tyle tylko rachuje się z honorem, obyczajem, o ile boi się kodeksu karnego — innéj moralności nie zna. Celem jedynym wszystkich jego zabiegów i marzeń jest zdobycie *per fas et nefas* milionowéj fortuny, która znów pozwoli mu trzymać konie, służbę, budować pałace po wielkich stolicach, dobrze jeść i pić, słowem, używać życia. Nikt nie pyta skąd, jakiemi drogami przyszła fortuna, dość, że go wszyscy chwalą, kłaniają się, nazywają genialnym: złoto nie śmierdzi. Starsi mieszkańcy pamię-

tają w Warszawie niejakiego Salwiana Jakubowskiego, może nawet słyszeli o tém, jak smaczne dawał obiady, jak pysznemi częstował cygarami. Teraz donosiły dzienniki, że dopiéro obecnie jakaś wdowa odebrała z pożyczonych temu bankierowi jedynych pary tysięcy coś około 13 rubli. Ale bankier procenta płacił wysokie, jeść dawał wyśmienicie, więc posiadacze drobnych kapitalików chętnie je lokowali w kieszeniach popularnego p. Salwiana. Oczywiście, w porównaniu ze szwindlem panamskim, to kropla wobec oceanu; tylko, że gruntu do takich operacyi nigdzie po wielkich zbiorowiskach ludzkich nie braknie. Tym gruntem jest nienasycony głód złota, a następnie użycia z jednéj strony, z drugiéj zaś brak hamulca w podnioślejszych uczuciach i dążeniach.

Obcy i nasi publicyści, nawiązując swoje inwektywy do szwindlu panamskiego, przypisują go niemal jednomyślnie obniżeniu się poziomu etycznego w cywilizowanych społeczeństwach. Na pogląd taki zgodzić się można, nie spuszczając z uwagi tego, cośmy wyżéj powiedzieli, mianowicie, że krachy i szwindle są koniecznym wynikiem teraźniejszego systemu produkcyi. Ale zachodzi pytanie, skąd znowu owo obniżenie się poziomu etycznego? Przecież i to zjawisko społeczne musi miéć swoje przyczyny.

Może winien temu brak książek wykładających moralność? Jako żywo. Książek i to grubych wykładających moralność jest poddostatkiem. Jedne uczą moralności chrześciańskiéj, zależnéj od Boga, drugie niezależnéj, tak zwanéj autonomicznéj, według któréj każdy człowiek tylko swoje ja, swoje pojęcia bierze za kryteryum własnych czynów. Jest moralność utylitarna i jest moralność altruistyczna. Mamy w czém wybierać. Żadna z nich nie uczy robienia szwindlów. Po szkółkach znów i szkołach, po kościołach wszystkich wyznań chrześciańskich i żydowskich wołają: nie kradnij. Słowem, obroku duchownego, jak mawiał Skarga, pełne żłoby i dostępne prawie darmo. Więc oczywiście nie brak etyki teoretycznéj jest przyczyną obniżenia się poziomu moralnego. A może właśnie sama ta etyka przyczynia się do wyuzdania obyczajowego, na które patrzymy? W odpowiedzi na to pytanie możnaby dość zasadnie utrzymywać, że jeżeli nie wszystkie nowsze teorye etyczne, to jednak etyka tak zwana niezależna ma dużo na sumieniu. Jeżeli bowiem czyny ludzkie o tyle będą uważane za etyczne, o ile zostały dokonane według indywidualnych wyobrażeń, pojęć działacza; można z pewnością przewidywać, iż każdy potrafi

swoje postępki usprawiedliwić. Gdyby jeszcze prawo karzące z całym aparatem kar nie przychodziło społeczeństwu w pomoc, to ono, kierując moralnością indywidualistyczną, musiałoby się zamienić w jaskinię zbójców: każdy rządziłby się autonomicznie, jak wilk, albo lis w kniei.

Wszakże, zdaniem naszém, nietyle etyka niezależna poderwała grunt moralny, ile nowy pogląd na świat. Zarzucano wiekom średnim i wogóle chrześciaństwu, że po orgiach starorzymskich zaprowadziły post i ascetyzmem kurowały ludzkość, że sponiewierały ciało i żądze ludzkie, a przecież i ciało i żądze są równie, jak dusza, dziełem Stworzyciela, że zatém należy im się równouprawnienie z duchem. Odezwały się w pierwszéj połowie naszego wieku głosy za rehabilitacyą ciała. Co znaczyła ta rehabilitacya, uczą romanse, powieści, teatr szczególniéj we Francyi owego czasu. Jeszcze wówczas literatura francuska, tak jak i moda tamtejsza znajdowały wielbicieli wszędzie: u Francuzów północnych, nad Wisłą, pokup na te wyroby stanowił ważną rubrykę w dochodach księgarzy i modniarek francuskich. Nie chcemy twierdzić, że dziś jest inaczéj i lepiéj, ale byłoby téż niesprawiedliwością za wszystko złe moralne winić literaturę i modę francuską. My téż sami nie ułomki i potrafimy, jeżeli nie szwindel, to mały szwindelek urządzić. Tam się dobra pustoszą, czyli eufonicznie dewastują, a wierzyciel z kwitkiem wychodzi, tam starego proboszcza z gotówki obiorą, indziéj żona sfałszuje 300 weksli do spółki z bankierami chałatowymi i t. d. Jeżeli to są tylko szwindelki, to należy pamiętać, że my—to nie Francya, a zawsze według stawu grobla.

Nowy pogląd na świat składają nietylko zmienione teorye etyczne, ale przyczyniają się doń nowe pojęcia, zdobywane przez wszystkie umiejętności, a jak w sprawie, która nas w téj chwili zajmuje, nowe hypotezy biologiczne. Od lat trzydziestu do słownika naturalistów wprowadzono walkę o byt, jako jeden z czynników, mających objaśniać wielką rozmaitość tysiącznych form, istniejących w świecię organicznym. Termin urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Nietylko bowiem znalazł uznanie wśród uczonych naturalistów, w zakresie botaniki i zoologii; lecz przeszedł do słownika publicystów i polityków, aż nareszcie dostał się na ulice, do warsztatów, wśród rzeszy najmniéj sposobnéj do rozumienia jego treści. Dziś każdy żak szkolny, stróż, parobek, kantorzysta rozprawia o walce o byt. Na rozumienie walki o życie,

o lepszy kąsek, o zyskowniejszą posadę, choćby z pogwałceniem najelementarniejszych wymagań etycznych, każdemu z nich rozumu starczy. Wyścigi te, czyli konkurencya o utrzymanie bytu i zdobycie lepszego miejsca na bankiecie życia, zajęły naczelne stanowisko w głowach i sercach. Bywało to i dawniéj, zanim się jeszcze rozpowszechnił sam termin walki o byt; ale teraz dzięki powadze ludzi, którzy go do nauki wprowadzili, zyskano niejako umiejętną aprobatę dla tych szalonych wyścigów, jakoby w świecie ludzkim, społecznym nie mogło się dziać inaczéj, jedno tak samo, jak pośród roślin i zwierząt, jakoby to była pewna konieczność, pewne prawo fatalne, któremu winny ustąpić wszelkie względy etyczne. Ludzie czują się rozgrzeszeni, gdy dzięki twardszym łokciom, silniejszym pięściom, nabiją swoim bliźnim siniaków, lub ich w błocie stratują. Taka jest spółczesna atmosfera obyczajowa. Nikt się nie dziwi, że wilk zjadł barana; w przeciwnym razie musiałby głodną śmiercią kończyć: a przecież zachowanie własnego bytu czyimkolwiek kosztem, to najpierwsze prawo każdéj żyjącéj istoty, *mors tua vita mea*.

Powiadają nam: i cóż na to poradzą wzdychania filantropów i moralistów, jeżeli takie jest prawo natury? Otóż właśnie pytanie, czy jest-to prawo natury podobne np. do prawa ciężkości? Przeciw prawom natury oczywiście nic nie poradzą jęki ludzkie. Ale téż konkurencya, wyścigi do kości między psami, nie mogą służyć za wzór dla świata ludzkiego. Świat społeczny ludzki bardzo się różni w naszych czasach od stad wilczych; weszły doń w ciągu długich wieków pewne pierwiastki odmienne, pewne pojęcia o słuszności, prawie, dozwoloném i niedozwoloném, które, o ile można przewidywać, nigdy nie wejdą do mózgów wilczych. Co więc w pewnéj mierze prawdą jest o świecie roślinnym, a jeszcze bardziéj o zwierzęcym, mianowicie, że regulatorem ich życia są mocniejsze kły i pazury, to nie koniecznie powinno być normą stosunków ludzkich, ani może uchodzić za prawo natury. Identyfikowanie świata ludzkiego ze zwierzęcym, zapominanie o wielkich różnicach, jakie dzielą je od siebie, stało się w naszych czasach modą, osobliwie wśród poczynających sylabizować naturalistów i pomagających im moralistów. Niegdyś stawiano człowieka na wierzchołku drabiny istot organicznych — dzisiaj stał się jedném z ogniw łańcucha zwierzęcego, a stąd téż nie mamy prawa wymagać odeń więcéj, niż od reszty jego braci czworonożnych. Zamiast go ciągnąć z błota ku górze, ze stada, czy

hordy ku podnioślejszym uczuciom i pragnieniom, powtarzają mu: zwierzem jesteś i zwierzem zostaniesz.

Zmieniony pogląd na świat musiał pociągnąć za sobą zmianę w skali życia. Skoro człowiek jest tylko jednem z doskonalszych zwierząt, to i potrzeby i pragnienia jego mogą się ograniczać tak, jak w świecie zwierzęcym, do rozmnażania się i odżywiania organizmu. Obojgu zadość czyni pieniądz, albowiem pozwala na wygody, komfort i wykwint. O pieniądz tedy musiały nastąpić wyścigi, nastał straszny głód złota, *auri sacra fames*, głód taki, że ani honor, ani stanowisko społeczne lub urzędowe, ani klasa, do któréj człowiek należy, nie powstrzymują go od najbrudniejszych interesów. W téj atmosferze wzrastają młode pokolenia, przenika ona z pałaców, kontuarów do najniższych warstw i zatruwa duszę ludzką. Pawlaki mordują kasyerów nie pod wpływem teoryi ewolucyjnéj i walki o byt, lecz pod wpływem otoczenia starszéj braci. Wśród rzeszy robotniczéj i rzemieślniczéj nóż wszedł w tak częste użycie, iż nie masz prawie dnia, żeby dzienniki nie donosiły w tak zwanéj „krwawéj kronice" o kaleczeniu i śmierci za lada okazyą. Słowem, nie są to już zwykłe zrzędzenia moralistów na upadek obyczajów, lecz rzetelna prawda.

Wskazywanie przyczyn mniéj lub więcéj trafnych i istotnych pewnego zjawiska społecznego nie należy do rzeczy zbyt trudnych. Każdy ile tyle oswojony z bieżącemi wypadkami zgodziłby się może na wymienione przyczyny obniżonego zmysłu moralnego w cywilizowanych warstwach dzisiejszego społeczeństwa. Ale jak powiedziano na początku, daleko trudniéj podać rady, wskazać drogi do wyjścia z tego topieliska. Jednym zdaje się, jak energicznym chirurgom, że czego nie leczy ogień, to uleczy żelazo. Drudzy mówią, że obniżenie się poziomu obyczajowego jest koniecznem, fatalnem w tem znaczeniu, iż stanowi ono drugą stronę medalu, to jest szychowéj cywilizacyi. Jako zjawisku naturalnemu nic nie można przeciwstawić, musi się ono samo wyczerpać i po zniknięciu przyczyn ustanie. Bo i jakim sposobem wypruć z dzisiejszego człowieka wiekami rozrosły indywidualizm, samolubstwo, i płynącą z nich chęć używania, rozkoszy zmysłowéj, komfortu? Jakim sposobem zmienić dzisiejszy system produkcyi materyalnéj i czem go zastąpić? Są to zagadnienia, które podaje dzień dniowi, a wiek wiekowi. Pobudzenie ludzi do wejrzenia

w siebie i w ten labirynt dziejów ludzkich, wskazywanie podnioślejszych celów życia, budzenie zmysłu moralnego i radą i przykładem, oto co pozostaje wszystkim, którzy gdziekolwiek głos zabrać mogą. Należy wierzyć i według téj wiary działać, że ile tyle możemy się opiérać przypuszczalnemu fatalizmowi, albowiem świat ludzki jest nietylko produktem ślepych sił przyrody, ale także i woli i rozumu ludzkiego.

K.





DZIWAK

(urywek z pamiętnika).



I.

Dnia tego ranna herbata wydała mi się stęchłą, a pieczywo stanowczo czuć było naftą. Trochę rozdraźniony, prosiłem mego służącego, aby to wszystko prawie nietknięte sprzątnął co prędzéj. A on w gruncie bardzo przywiązany do mnie, lecz bierze do serca każdą moją uwagę (bardzo rzadko służbę wogóle strofuję i nadzwyczaj lakonicznie wszystkie rozkazy wydaję). I słyszałem, jak pocieszał się przed stróżem:

— Et! Pan poprostu wstał dziś z łóżka lewą nogą.

Mówiąc innemi słowy, zdawało mu się, że grymaszę i jestem w złym humorze bez powodu.

Otóż nigdy nie czuję się nieszczęśliwym bez powodu. Powód może być mały, dla kogo innego zupełnie nieznaczny. Ale wszak nieszczęścia należy mierzyć nie ogromem, lecz stopniem ich odczuwania.

Wczorajszy dzień rzeczywiście był dla mnie bardzo ciężkim i całą noc wskutek tego nie zmrużyłem oka. Nikomu naturalnie nie powiem tego, bo przedewszystkiém nikogo to nie obchodzi, a następnie ludzie, którzy smacznie śpią, nie wierzą zwykle, że można calutką, długą noc przebyć bezsennie. Zresztą wogóle nigdy przed nikim się nie żalę, ani utyskuję, bo ludzie nie są w stanie odczuć niczyich trosk prócz swoich własnych, a jeżeli je odczuwają — to o tyle wydają się

one im mniejsze — o ile oni sami przesadzają własne. Czyli, że wszystkie inne są lilipucie, tylko ich własne — olbrzymie. Taki pan, chorujący wiecznie na monomanię prześladowczą — to największa piła na świecie, lub poprostu pośmiewisko. A ze wszystkich ról na kuli ziemskiéj najmniéj uśmiécha mi się rola człowieka śmiesznego.

Strzegę się bacznie wyjawiania moich myśli i idei — aby nie uchodzić za oryginała, co się stało prawie synonimem idyoty.

Bo wcale nie pogardzam filistrami — przeciwnie — imponują mi oni. I ze wszystkich sił ukrywam w sobie to, co czuję, iż jest we mnie innem, niż u nich, i staram się, jak mogę — być głupim i banalnym, jak oni.

Ubiéram się modnie, chodzę od czasu do czasu na rauty, otaczam się figurami wcale nie interesującemi, bo gdzież tych lepszych szukać? Flirtuję nawet z takiemi kobiétami, które mi są najobojętniejsze pod słońcem.

Dałbym wiele, gdybym był w stanie nauczyć się winta, lub zapalać się do pokera. Dochodzę do tego, że chwalę Ptasznika z Tyrolu; i kiedy mi ktoś z n i c h oświadczył, że Wesele Figara jest nudne — odrzekłem — że jestem tego samego zdania. Duch Mozarta przebaczy mi to kłamstwo, on wié, jak go szczerze uwielbiam, słyszę i widzę — ile wieczorów spędzam wśród czterech ścian moich na *tête à tête* z jego płodami, na wertowaniu jego arcydzieł. Nie robię tego dla nikogo, lecz dla siebie — ja oryginał, ja dziwak, ja — starzejący się romantyk...

Pomimo tych wszystkich ustępstw czuję cię obcym pośród tych ludzi, ulepionych z innéj niż ja gliny; i zawsze mi się zdaje, iż ci ludzie domyślają się, że nie jestem z nimi szczery, że gram komedyę dla asymilowania się z nimi, lecz, że w gruncie jestem inny, niż oni.

A jednak ci głupi, banalni filistrzy są najzacniejszymi ojcami rodzin, mężami, najzdolniejszymi adwokatami, lekarzami, urzędnikami i kupcami, najużyteczniejszymi członkami społeczeństwa.

Lecz co najważniejsze: po za przejściowemi troskami — oni czują się szczęśliwi. A ja?

Lecz cóż to za wielkie kłopoty miałem na głowie téj nocy, śród któréj oka zmrużyć nie mogłem?

Właściciel domu, na którego hypotece mam umieszczoną sumę— odniósł mi pieniądze. Płaci mi siedem procent na rok; zgodziłem się ustąpić mu jeszcze jeden procent — odmówił, tłómacząc się, że pieniądze mu są niepotrzebne. To samo mi uczynił inny przed pół rokiem, u którego na hypotece miałem ulokowaną pozostałą część mego, niewielkiego majątku.

Co teraz robić? Papiéry publiczne przynoszą jeszcze o jeden procent mniéj i stoją teraz bardzo wysoko. O pierwszy numer hypoteki bardzo trudno; w spekulacye żadne przecież bawić się nie będę, bo się na nich nie znam i wstręt do nich czuję. Ładnie bym wyglądał, gdybym te resztki grosza, z których żyję — utracił! Szukać u ludzi protekcyi, prosić o łaskę — Brr?..

Mówię: trzeba umiéć sobie samemu radzić — aforyzm ten wydaje mi się frazesem, lub chińszczyzną. Skończyłem z medalem gimnazyum, następnie prawo. Otworzyłem kancelaryę: przez dziesięć lat pies do niéj nie zajrzał. Cóż miałem robić, jak na to zaradzić? Miałem wybijać szyby sklepowe w oknach i bronić przed sądem samego siebie? Gdyby mi ta reszta grosza po rodzicach nie została, zdechłbym z głodu pod płotem.

Co do ulokowania mojéj sumy — coś się w końcu zrobić musi, ale okazuje się, że żyć z kapitału nie jest także takim ideałem szczęścia, jak się niektórym wydaje.

W każdym razie niewielkie dochody moje się zmniejszą i prawdopodobnie dla oszczędności trzeba będzie teraz lato spędzać w mieście. Nie rozpaczam. Podróże mi się już także sprzykszyły, tylko wstydzę się do tego przyznać. Trzeba coś przynajmniéj lubić — inaczéj uchodzi się za pesymistę, za mizantropa, za dziwaka.

— I to nie i tamto — nie.

Więc co ty lubisz? pytają nieraz zniecierpliwieni?

— Lubię podróże — odpowiadam przyparty do muru, aby zakończyć rozmowę.

W ten sposób zakończyłem téż rozmowę w tych dniach z moim bratem stryjecznym, który bawił w Warszawie.

Choć spólna krew w nas płynie — jest on także z téj innéj gliny ulepiony i różnimy się jak gdybyśmy na dwu różnych planetach się rodzili.

Jest to rosły chłop, blondyn z tą cerą, jaką posiadają tylko wieśniacy, rozkoszujący się widocznie swoją osobą, swoją czapeczką, włożoną z fantazyą i swoją żółtą kurtką z popielatemi oposami, która uwydatnia jego pyszne kształty. Jest to dobry w gruncie chłopiec, frymarczący końmi, jeździ na jarmarki, dobrze jé i pije i w którym kochają się wszystkie kobiéty, począwszy od folwarcznych dziewczyn i małomiasteczkowych bufetowych — skończywszy na żonach dzierżawców i zawiadowców stacyi.

Całuje przytém z dubeltówki; jest pewny siebie, przytém szczery i mówi dużo, głośno i głupio. No, jednem słowem — jest to człowiek,

któremu życzę naturalnie jaknajlepiéj w świecie, ale który jest dla mnie poprostu nieznośny.

Proponuje mi on tedy jakąś bibę z jego przyjaciołmi i przyjaciółkami, od któréj naturalnie wymówiłem się bez długich ceremonii.

— Jak Boga kocham, zobaczysz — nalegał — ubawisz się. To są nadzwyczajne niewiasty. A ty lubisz jeszcze kobiéty, co? — cmoknął, mrużąc — niby filuternie — jedno oko.

Choć młodszy znacznie odemnie i prochu co prawda wcale a wcale nie wynalazł, bo téż i nie uczą wynajdywania go w trzech pierwszych klasach — ma on czasami, kiedy ze mną mówi — jakiś sarkastyczny uśmiéch na ustach, pewien rodzaj traktowania mię z góry, który jest mi nieprzyjemny. Choć często znowuż czuję, iż ma pewien respekt przed moją „inną gliną“ i traktuje mię, o ile potrafi, jeszcze inaczéj, niż innych.

— O kobiéty mniejsza, jakie one są. Jestem wybredny tylko co do towarzystwa mężczyzn — odrzekłem, mszcząc się za jego uśmiech i protekcyonalne klepanie mię po plecach.

— Dziękuję — odrzekł z tym samym uśmiechem. — Takiemu dziwakowi jak ty, wszystko wolno.

— Szałaputom, jak ty, więcéj się jeszcze wybacza.

I rzeczywiście nie pojmowałem jego ochoty do bibek: poprostu wisi w swoim majątku na włosku. Komornicy mu ciągle meble zajmują. A kiedy raz pojechał swoją pyszną czwórką do sąsiedniego miasteczka — żydzi mu ją zabrali i powrócił do domu na chłopskim wozie. Dziś wyciągnął prawdopodobnie od jakiegoś lichwiarza jakie dwieście rubli, za które wystawił weksel na tysiąc. Za rok najdaléj, będzie bez złamanego grosza na bruku.

— Gdybym ja był w twojéj skórze — ciągnął daléj tym samym, lekkim tonem — inną miałbym minę. Ale ty towarzystw nie lubisz, pić nie lubisz, grać w karty nie lubisz, a kobiéty — chciałbyś, aby były jakieś ni z pierza ni z mięsa, jeno z mgieł i obłoków, aby piły nektar i nuciły pieśni. No, bo powiédz sam, co ty lubisz?

Zaczerwieniłem się trochę. Wstydzę się zawsze tego, iż nie lubię winta, że mnie nie bawią towarzystwa mego brata stryjecznego. I wstydzę się mego Mozarta, pietyzmu dla Rafaela i innych dziwactw.

I tym razem broniąc się, rzucam swoje sakramentalne: „Ja lubię podróże.“

I Boże drogi, jakie to kłamstwo! Jak mi te podróże już kością w gardle stanęły. Jak ja nie lubię podróży! Znam już i Paryż i Londyn i Berlin i Wiedeń. Nie mogę już tam zwiedzać ani Luwru ani

Wersalu, ani wieży Eiffel, ani Westminsteru, ani British muzeum. Znam już te wszystkie galerye, skarbce, kościoły, grobowce na pamięć. Cóż więc tam robić? Te wszystkie stolice spekulują tylko na gusty — zapełniających świat cały — filistrów, bardzo mało różniących się od rodzaju mego brata stryjecznego.

Gdybym przyjechał tam, nic mi innego nie pozostaje, jak zapisać się do klubu, czyli grać w winta, jak tu u nas w resursie, jeździć na wyścigi i siedzić w Lindenach, Ringach lub Bulwarach — tak jak tu siedzi się na „Patelni.“ Lub wychylać Rederera z damami, które spijają się, jak szewcy a są cyniczniejsze od żołdaków, i wogóle stokroć gorsze od swoich małomiasteczkowych koleżanek. Dziękuję.

Daleko przyjemniéj czuć się nieszczęśliwym w swojéj norze, niż tułać się po hotelach na obczyźnie. Ach! ta twoja własna nora! Jak przytulnie w niéj, jak lubo, jak ciepło. Jakże często człowiek tęskni do niéj i jakże często, jak zwierzę zranione, ukrywa się tu pośród czterech ścian swoich od złości ludzkiéj.

Powiécie mi: co tam stolice! Natura, ze swemi cudami, przepychem, południe ze swoją roślinnością, niebem — ot co!

Znam to wszystko. Znam Włochy, spędziłem wiosnę całą w Neapolu, znam Sycylię, Grecyę i Ateny, znam Szwajcaryę, Alpy, Tyrol.

I wolę bez żadnéj blagi piękność naszego, spokojnego stawu, zarosłego tatarakiem i nenufarami, szerokie pole z szarém niebem i srebrnawém światłem od wszystkich szwajcarskich kaskad i wodospadów, jakoteż od wszystkich cyprysów, palm i granatów, skąpanych w złocie i objętych w szafiry morza i turkusy nieba. Za dużo biżuteryi. Zbyt strojne to wszystko, zbyt bogate, zbyt teatralne.

Powracam do przyczyn, z jakich téj nocy oka zmrużyć nie mogłem. Czyż jedynym powodem były te odniesione mi pieniądze? Nie, kłopoty pieniężnie zawsze najmniéj mię dotykały; więc dlaczego nie spałem?

Zapytywałem się przez całą noc, nie pamiętając sam przyczyny, lecz czując, że te wszystkie małe nieprzyjemności ciążą mi w mózgu, dolegają i dopiéro przypomniawszy sobie, szeptałem:

— Ach! to to! Ach! wiem, to tamto...

W restauracyi jeden z moich zwykłych towarzyszy obiadowych pochylił się nad moją głową i delikatnie wyrwał mi siwy włos.

— Więc są już tak widoczne — pomyślałem i sprawiło mi to przykrość.

Spostrzegłem już od roku, że zaczynam siwiéć, i martwi mię to — nie przez próżność, bo mi jest zupełnie wszystko jedno, czy się komu podobam, czy nie — ale przyznaję otwarcie, że obawiam się starości.

Nie może mi być z nią lepiéj, tylko gorzéj. A jeżeli młodość wielkich uciech nie przynosi, cóż dopiéro zgrzybiałość, choroba; nogi słabną, zęby wylatują, żołądek coraz gorzéj trawi, przestajesz być zabawnym.

Wkoło ciebie pustka, płatny lokaj, choroba i powolne oczekiwanie śmierci, któréj jeszcze człowiek nie chce podobno z wiekiem, aby przyszła.

I jeszcze jedna przykrość chodziła mi téj nocy po głowie: także w gruncie pono większe głupstwo, niż pierwsza.

Licho mię skusiło złożyć wizytę pani Leonowéj, a w zetknięciu się z ludźmi ma się zawsze przykrości; jedno usłyszane, lub jedno wyrzeczone zanadto słówko—może zatruć całodzienny spokój.

Otóż zastałem u niéj małego Józia Łomickiego. Głupia baba flirtowała w najlepsze z tym małym Józiem, a na mnie nie zwracała prawie uwagi. Uśmiechałem się umyślnie przez krótki czas mojéj wizyty (która wydawała mi się i tak wiekiem), aby téj klempie nie wpadło przypadkiem do głowy, że jestem o nią zazdrosnym.

— Ładnie! — szczebiotała, dąsając się i pokazując w naiwnym uśmiechu swoje wprawione zęby — spotkałam wczoraj na ulicy pana (ja niedawno mówiłem mu: kawalerze), nie ukłonił mi się pan.

— Kiedy? — zapytał ten dzieciuch z wielką pewnością siebie i z miną skończonego donżuana.

— Och! Pan dobrze wié; niech pan nie udaje.

— Upewniam panią, żem pani nie widział.

— Kiedy się chce, to się widzi.

I trzeba było widziéć jéj miny, uśmiechy i podkreślania przy tém idyotyczném przeléwaniu z próżnego w puste.

Nie mogłem dłużéj słuchać tych bredni. Wstałem z krzesła wziąłem za kapelusz.

— Nie będzie pan dziś na herbacie u Tadziów?

— Nie pani — odrzekłem lakonicznie, aby módz jaknajprędzéj jéj nie widziéć.

— Ma pan słuszność; będzie tam ścisk ogromny; rozesłali przeszło sto zaproszeń.

Wyszedłem z téj wizyty gorzéj, niż zły. Wstyd mi przyznać: poprostu czułem się nieszczęśliwy.

Dom państwa Tadziów jest najnudniejszy pod słońcem i na ten

raut byłbym święcie nie poszedł, jak nie chodziłem już na wiele innych, wydawanych u nich zabaw, a raczéj mąk piekielnych z herbatą i tartinkami.

Lecz faktem było, iż karty mi już tym razem nie przysłali.

To głupstwo, wiem o tém; jak głupstwem byłoby być zazdrosnym o tego małego Józia. No, co prawda, ten mały Józio jest dwa razy większym odemnie. Przypominam sobie, że po zdaniu matury bawiłem u jego rodziców na wakacyach, jego noszono wtedy na ręku. Lata biegną tak prędko! Obliczyłem łatwo, że jednak ten mały Józio ma już lat 25.

Ho, ho! Baba ma wcale nie zły gust. Z tego małego Józia zrobił się wcale przystojny mężczyzna.

Nie jestem znowuż takim idyotą, aby gryźć się podobnemi bredniami. Wiedziałem doskonale, że baba ma najmniéj lat 44, a jest mi tak wstrętną, że gdyby raczyła dać mi kiedy odrobinkę nadziei, uciekłbym na drugą półkulę, aby nie korzystać z tych łask królewskich.

Swoją drogą, przez cały dzień gryzłem się — nie bezpośrednio z powodu owéj niefortunnéj wizyty u pani Leonowéj, lub z powodu braku zaproszenia od Tadziów. Lecz z tego głupstwa wysnuwałem, jak zwykle w podobnych przypadkach, setki innych wniosków, całą skomplikowaną sieć pajęczą, która mi opętała całą mózgownicę, despotycznie zabrała całe moje jestestwo.

Innym razem bywało: to lub owo. Tego dnia z powodu zetknięcia się z ludźmi, z powodu téj jednéj małéj uwagi o siwym włosku — wyrosła jedna duża męka, która, jak zmora, szeptała mi ciągle: starość i starość.

— To tak?—mówiłem sobie — więc już nawet takiéj pani Leonowéj podobać się nie mogę, nawet takim państwu Tadziom nie zależy na tém, aby mię mieć u siebie na herbacie. I coraz rzadziéj będą mię teraz zapraszali, coraz więcéj będą traktowali z góry.

A licho wié, ile lat życia mię jeszcze czeka? I kto mię będzie podczas choroby doglądał i kto oczy do trumny zamknie?

Ha! Należało się za młodu żenić. Lecz czas tak szybko bieży; przytém małe miłostki trochę mi lat zajęły. Prawdziwie kochałem w życiu tylko jedną kobiétę. Była mężatką. O małżeństwie między nami nigdy mowy nie było. Oddzielał nas wiek, sfera, majątek, narodowość—wszystko. I miłość nasza wreszcie przeszła, zgasła, znikła... Poznaliśmy się tam gdzieś, hen daleko... Straciło się wiele pozostało: plika listów, fotografie, kawałek rękawiczki, zwiędły bu-

kiet kwiatów i wspomnienie to żywsze, to bledsze, jak gwiazdy gasnące.

Teraz nie wiem już nawet, czy żyje... A jednak wtedy! Wielki Boże! Ten cały szał, upojenie nienormalne i tak dziwne; i to bujanie ponad ziemią, te słowa niby nic nie znaczące, a w owéj chwili tak ważne i te uśmiechy i te błądzenia po całych nocach pod jéj oknami i wsuwania sobie ukradkiem bilecików z nonsensami — ten cały wreszcie arsenał miłosny—to wszystko, jak sen znika.

A więc wszystko się na świecie kończy i człowiek nie może odpowiadać na swoje przysięgi, które daje w jaknajlepszéj wierze, a które byłyby już następnie kłamstwem, gdyby je spełniał.

I jeszcze kiedyś zdawało mi się, żem kochał na seryo. Ale ona—zdaje mi się—byłaby za mnie nie poszła. A możeby poszła — czy ja wiem? Nie śmiałem nigdy powiedziéć, że ją kocham. Mój majątek wydawał mi się dla niéj zamałym; stanowiska w świecie żadnego nie zajmuję. Nie czułem się godnym wiązać jéj przyszłości z mojemi marnemi losami. Wyszła w końcu za innego. Dowiedziałem się, że mię kochała. Czyż moja wina, żem odtrącił szczęście, że byłem szalony? Smutno!

I jeszcze kilka panien podobało mi się w życiu. Ale już nigdy do tego stopnia, aby połączyć z niemi życie na wieki.

I tak lata biegły... Czasami mówiłem sobie: żona od Boga przeznaczona. Tak, jak gdyby Pan Bóg nie miał nic lepszego do roboty nad zajmowanie się sprawami niedołęgów i mazgai!

A jednak tylu głupców wynajduje sobie żony, nastręczane przez ciotki, wujenki, kumoszki, a oni, nie zastanawiając się, nie filozofując, żenią się, przywiązują się do swoich żon, mają dom, dzieci i są szczęśliwi. A ja?

Po wyjściu od pani Leonowéj spotkałem jednego z moich znajomych. Powiedział mi o śmierci pewnego adwokata. Znajomy mój był tym zgonem ogromnie przejęty. Był przyjacielem ich domu, teraz zajmował się pogrzebem. Opowiadał mi o całym tym niespodziéwanym i nagłym wypadku ze wszelkiemi szczegółami. Ludzie ci prowadzili dom bardzo otwarty. Nie bywałem u nich, znałem ich zaledwie z widzenia. Żona i córki zostały teraz nagle w nędzy. Niewiadomo, co poczną.

Zmartwiony już memi głupiemi całodziennemi troskami — rozpłakałem się teraz, jak baba. Aż znajomy mój się zadziwił.

I jeszcze inne smutne nowiny większéj doniosłości doszły do moich uszu. To było już nad moje siły. Uciekłem do domu, jak zranione zwierzę zmyka do swojéj nory.

Takie to smutki dręczyły mię przez cały dzień. Wiem, że te troski, które bezpośrednio mojéj osoby się tyczyły, były w gruncie drobiazgami, o których mówić nie warto. Gdybym zaś chciał opłakiwać wszystkich nieznajomych, których mnóstwo codziennie umiéra, przemieniłbym się w wieczną fontannę łez, przydatną do wystawy magazynu pogrzebowego.

Wiem, że po tygodniu sam będę wyśmiewał te moje troski, aby co prawda módz truć się innemi, również bezmyślnemi.

Ale jeżeli one mię bolą, bolą tak, że tracę humor, apetyt, spokój, sen i zdrowie — toż wszystko jedno, czy one są istotnie wielkie, czy małe; urojone, czy rzeczywiste.

A czyż radości, które nam życie daje jako rekompensatę tych zmartwień—są w gruncie większe?

Owszem, dajcie mi wielkie zmartwienia, wielkie cele, wielkie walki, dajcie mi krucyaty, oswobodzenie grobu Zbawiciela, a potém — szczęście tak wielkie, dla któregobym chętnie dał sobie uciąć obie nogi. Dajcie mi kobiétę, za któréj pocałunek warto byłoby palnąć sobie z rewolweru w łeb, lub wyskoczyć na bruk z trzeciego piętra.

Ale te wszystkie małe podłości, ploteczki, intryżki, ta cała nędza codziennego życia — to ćmi, jak ból zęba spróchniałego, którego wyrwać nie można, a dla którego cierpiéć nie warto.

I znosić musisz ten głupi ból, a zarazem szalejesz z niecierpliwości, że cierpisz licho wié dlaczego?

Mówiono mi zawsze, że na chorobę życia najlepszém lekarstwem jest praca. Nie prawda!

Byłem kiedyś bardzo czynnym członkiem w jednéj z instytucyi filantropijnych. Pośród największych zajęć znajdowałem zawsze dość czasu, aby stać się nieszczęśliwym. Jedna chwila, jedno wspomnienie... i już mię miała i w posiadanie obejmowała — ta wieczna troska, ten wieczny ból życia.

Lekarze załatwiają się z tą kwestyą bardzo krótko i wygodnie: nazywają to poprostu chorobą nerwów—tak, jak służący mój nazywa to wstaniem na lewą nogę.

Nieprawda! to nie kaprysy, to nie choroba! Nie! Zdarzają się w życiu chwile, lub dni tak smutne, tak smutne, że choć fizycznie czujesz się najzdroszym — miałbyś ochotę roztrzaskać o mur głowę.

Niekiedy przychodzi to prawie bez powodu: ot, patrzysz na pożółkłe liście, spadające z drzew, i chce ci się płakać; patrzysz na obo-

jętność twarzy i nagle czujesz się tak samotnym, tak samiuteńkim pośród tego całego olbrzymiego globu, jak na pustyni, i takim małym, marnym pyłkiem we wszechświecie... I na sercu staje ci się naraz tak ciężko, że z wielkim trudem powstrzymujesz się od łez, które już już miały ci wypłynąć z oczu.

To nie są nerwy. To tkwiąca w nas samych jakaś wielka troska, niedostępna dla oczu anatoma, ani fizyologa, lecz istniejąca bez zaprzeczenia w głębi nas, jakiś nieustanny wieczny ból, choroba życia, którą można zagłuszyć, lecz nie zdusić.

II.

Ludzie mię zranili—mówiłem sobie—razi mnie to wszystko, co na kuli ziemskiéj jest marne, złe i brzydkie — ocali mię i balsamem wyleczy to, co na świecie jest wszechpotężne, piękne, hojne i wielkie—natura.

Nie wahałem się ani chwili; wiedziałem, iż mi będzie tam dobrze. Wziąłem paltot, kapelusz i laskę, poszedłem w aleje.

Nie omyliłem się. Wszystkie ciężary, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiéj—spadły mi z serca. Odetchnąłem całą piersią i uśmiechnąłem się do siebie. Było mi dobrze.

Dzień był październikowy i taki dziwny... Pogoda i ciepło trwały tego roku niezwykle długo. Niektóre drzewa pokryły się drugi raz liśćmi, kasztany zakwitły... I nagle śnieg upadł, wziął przymrozek...

I tak dziwnie wyglądają w alejach dachy, baryery i rynny zasypane leciutką koronką śniegu; chodniki osuszył wiatr; trawka, zmyta śniegiem, lśni cała, a młodzieńcze listki kasztanów pokryte białém kwieciem, którego nie można odróżnić od grudek śniegu bielejących na innych drzewach.

A przytém niebo czyściutkie bez chmurki, turkusowe. Ludzi przesuwa się bardzo niewiele, pojazdów jeszcze mniéj.

I widzisz w perspektywie przed sobą całą prawie długość alei, skąpaną w promieniach słońca z pysznemi barwami błękitu nieba, zielonych liści w leciutkiéj bieli śniegu, utkanéj błyszczącemi brylantami.

I tak cicho, tak lubo, tak dobrze... A ja olśniony, zachwycony, szczęśliwy, mówię sam do siebie:

— Mierzcie się teraz ze mną, wy filistry! Kto z was potrafi odczuć to piękno, kto z was, błądząc tu sam jeden, potrafiłby czuć się tak szczęśliwym, jak ja!

Tutaj-to dla mnie świeci słońce, roztacza się niebo, zielenieją drzewa; tu dla mnie buja orzeźwiający wietrzyk, a ziemia wydaje zapachy dla mnie! Tutaj jam królem świata, wy się na tém nie znacie; siedzicie teraz w biurach, bankach, a wasze żony się nudzą, lub was zdradzają.

A jeżeli mówię: jestem szczęśliwy—to znaczy, iż odczuwam taki bezmiar szczęścia, iż bez skrzydeł potrafiłbym bujać w przestworzu. Wy to nazywacie przesadą; ale mnie człowiekowi „z innéj gliny“ ulepionemu — liście drzew wydają się milion razy zieleńszemi, słońce milion razy więcéj złotém, a niebo milion razy więcéj błękitném, niż wam.

Jeżeli mówię, że czuję się nieszczęśliwym — to bardzo nie wiele brakuje do tego, abym z rozpaczy roztrzaskał skołataną głowę. Jeżeli mówię, że jest mi dobrze—to jak gdybym widział aniołów, uśmiechających się z nieba.

Naraz słońce się skryło i wnet całe aleje przybrały inne tony, jak gdyby ktoś wyjął je nagle z rozpuszczonego złota i zanurzył w płynie z ołowiu.

Jaskrawość barw gdzieś zanikła. Liście wydawały się już teraz mniéj zielonemi, lazur nieba pokrył się stalowemi chmurami. Koronka ze śniegu przemieniła się w błoto.

Tylko zimnemu wiatrowi zawdzięczały swoją suchość chodniki. W alejach, prócz mnie, nie było już nikogo.

Dzwonek przybliżającego się tramwaju zbudził mię z chwilowéj zadumy. Był to sobie żółty tramwaj, jak inne, z białym, kształtnym konikiem. Był pusty; tylko z przodu woźnica jedną ręką manewrował korbą, a drugą, jak pocztylion na trąbce, dzwonił sobie dla rozrywki; z tyłu konduktor, o bardzo przyjemnéj twarzy, notował w książeczce przejechane kursa.

Tramwaj wyminął mnie i mknąc ku rogatkom, wciąż oddalał się ze swoim dzwonkiem i głuchym stukiem kół o szyny, malał mi w oczach. Jeszcze ostatnie słabe: din, din i znikł na zakręcie alei.

I znowuż mię cóś ukłuło w piersi:

— Taki konduktor—wszak to także człowiek, a gorzéj żyje na świecie, niż ostatni pies. No, ten nie ma za co być wdzięcznym swoim rodzicom, że mu dali życie.

I po głowie zaczęły mi się wić nieszczęścia najnieszczęśliwszego konduktora na najnieszczęśliwszym ze światów. Było to coś trochę podobnego do owych tragedyi w dziesięciu odsłonach, pisanych w ósméj klasie, w których połowa bohatérów umiéra, druga połowa

wzajemnie się zabija, truje, lub wiesza, a tylko jednemu suflerowi życie do końca sztuki jest darowane.

I ani spostrzegłem, jak ten sam żółty tramwaj z rączym białym konikiem zapowiadał swojém: din, din — powrót ku miastu. W tyle ten sam konduktor o sympatycznéj twarzy, — czytał teraz jakiegoś starego kuryerka.

Byłem już trochę zmęczony spacerem. Wskoczyłem do tramwaju, zresztą musiałem przecież poznać mego bohatéra.

Był rzeczywiście bardzo sympatyczny. Mógł mieć lat trzydzieści i kilka. Blondyn, średniego wzrostu, szczupły, delikatny, lecz kształtny. Zmęczony widocznie ciężkiemi w życiu przejściami, miał jednak rysy twarzy bardzo regularne, uśmiéch przyjemny i głos nader dźwięczny. Ubrany był bardzo schludnie; na palcu nosił błyszczącą nowiutką złotą obrączkę.

— Człowiek nigdy nie powinien rozpaczać—mówił swoim dźwięcznym głosem, kiedyśmy się już na dobre zaznajomili i kiedy jazda moja miała się już prawie ku końcowi — nigdy nie powinien tracić nadziei. Pan Bóg prędzéj czy późniéj zawsze zlituje się nad człowiekiem. Po zlicytowaniu rodzicom ostatniéj piędzi ziemi, a następnie w kilkanaście lat po utracie posady na kolei—nie z mojéj winy—myślałem, że jedyne dla mnie miejsce dno Wisły. Bo przecież do żebrackiéj nawet torby nie rzuciłby młodemu nikt złamanego grosza. Przeżyło się dni ciężkie, oj! ciężkie. Szerokoby o tém gadać! Przez ile to dni człowiek łyżki gorącéj strawy do ust nie wziął. A spało się nie o wiele lepiéj, niż u téj, co aniołki fabrykowała. A jeszcze i tego rubla na miesiąc za kąt, w którym barłog stał i kilka groszy na ćwierć funta chleba,—trudno było wypożyczyć, a o zarobku i marzyć nie można było. A teraz praca, oj, jest—i to dyablo ciężka, ale bywało gorzéj, oj! gorzéj. Szerokoby o tém gadać... No, ale co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Teraz długi już spłacone, buty i ubranie całe, mieszkanie, choć na przedpieklu, aż za rogatkami — zapłacone. A jeszcze taka głupia się znalazła — kończył swoim dźwięcznym głosem i z przyjemnym uśmiechem — co chce dzielić dolę biédaka. Zapracowywa się nieboga, choć pensyę kończyła i z familii pochodzi. Ha, ha! i mówi jeszcze, że jest szczęśliwa. Dobra, co? No, ale téż i znaleźć taką kobiétę... Szeroko by o tém gadać.

Minęliśmy już dom mój. Pośpiesznie rzuciłem mu: dowidzenia, i wyskoczyłem z tramwaju.

Spacer mię trochę zmęczył. Wszak całą noc oka nie zmruży-

łem. Powietrze mię odurzyło. I rzuciłem się na bujak przed kominkiem, na którym służący mój, chcąc mię udobruchać za źle przyrządzoną herbatę — rozpalił ogień, rozweselający swojém rubinowém światłem mroczny wskutek stor i szyb kolorowych gabinet.

Po zmęczonéj mojéj głowie wiły się opowiadania konduktora o 30-tu rublach miesięcznéj pensyi, o komornem, wynoszącém rocznie 50 rubli, o jednym dniu wolnym w tygodniu. O tém, że woli mieć niedzielę zajętą, bo podczas święta wszędzie pełno i drogo, a dzień powszedni — wolny — i przyjemniejszy do spędzenia, spokojniejszy do odpoczynku i tańszy; o tém, jak długi ratami spłacał i t. d.

I widziałem uśmiéch na jego przyjemnéj twarzy i słyszałem dźwięczny jego głos. I zadowolony tém, że jest szczęśliwszym od bohatérów owego dramatu, w którym się wszyscy, prócz suflera, mordują z rozpaczy, trują i wieszają — marzyłem, marzyłem, marzyłem...

III.

Z moim konduktorem zaprzyjaźniliśmy się na dobre. Polubiłem go za jego rysy sympatyczne, szczery uśmiéch i głos miły, za owe ulubione jego „szeroko o tém gadać“, którego używał — ilekroć naiwnie coś ukrywał, co tak łatwo jednak można było u poczciwca odgadnąć.

I kiedy zaprosił mię raz do siebie na dzień, w którym nie jeździł, nie wahałem się ani chwili i zaproszenie przyjąłem.

Wizytą tą byłem poprostu oczarowany. Nie! jedyném szczęściem na świecie jest—być konduktorem tramwajowym.

Obcując z tymi ludźmi, czuję, iż stanę się lepszym. I jak mi dobrze u nich, jak dobrze! Jak to przyjemnie czuć koło siebie ludzi zacnych i szczęśliwych.

Mieszkają tuż za rogatkami Mokotowskiemi, na dole, w podwórzu.

Powietrze lepsze, niż na pensyonach w Szwajcaryi. Z jednéj strony, jak okiem daleko zasięgnąć, rozkładają się pola, na których latem jaśnieją białe kwiatki kartofli, jaskrawo-zielone liście buraków i seledynowe główki kapusty. Z drugiéj strony, błyszczy woda z jakimś starym, omszałym mostkiem i szumią liście drzew w gęstym sąsiednim gaju.

I czy potrzeba lepszéj willi? lub pojazdów? Kiedy tuż masz tramwaj, a w wielkim, białym domu za tanie pieniądze dostaniesz

w jatce mięsa, a w szynku u Aronka pieczywa, masła, séra i czego dusza zapragnie!

Mieszkanie ich składa się z kuchenki, oddzielonéj przepierzeniem od przedpokoju i z pięknego, jasnego pokoju, oddzielonego perkalową w kwiatki firanką od alkowy z łóżkami i obrazami świętych.

W pokoju stoi piękna nowa kanapa, nad nią wisi lustro. Z innych mebli zauważyłem ładną szafę, komodę między oknami—pokrytą serwetą szydełkową robotą, — a na niéj z pięknego szkła wazoniki i figurki z gipsu i porcelany. Nad komodą wiszą w ramkach fotografie, niedaleko stoi maszyna do szycia.

W oknach śród bieli firanek zielenieje istna oranżerya, cały las oleandrów, kamelii, kaktusów i kalii, całe bukiety kwitnących astrów, żółtych storczyków i pięknie woniejących zimowych fiołków. A pośród nich wyśpiewują trele kanarki w zawieszonych klatkach.

Pośrodku stoi stół, otoczony krzesłami, nad nim lampa wisząca; wreszcie w rogu wisi półeczka z pięknie oprawnemi książkami i zégar na ścianie, rywalizujący swojém tik-tak z trelami kanarków.

Ściany jasne, podłoga błyszczy od czystości. Słońce całemi snopami spływa przez okna. I jak tu jasno, jak lubo, jak przyjemnie!

Dowiedziałem się całéj ich historyi. Poznali się — przed dziesięciu laty. On był wtedy urzędnikiem stacyi, niedaleko położonéj od dzierżawy jéj ojca.

Przez szereg lat nie widzieli się. Rodzice jéj zmarli, on miejsce stracił i śród biédy przestał myśléć o pannie, do któréj kiedyś tam trochę się umizgał.

Lecz ona kochała go od pierwszéj chwili poznania. Wreszcie przed rokiem spotkali się przypadkowo w Warszawie. Przebywała tu od pewnego czasu u swojéj wujenki i choć zajmowała się gospodarstwem i dziećmi, uchodziła zawsze za zawalidrogę.

On wyspowiadał się przed nią ze swojéj biédy, ze swoich długów, z całego marnego życia i samotności. Wreszcie wspomnieli o dawnych lepszych czasach.

Wydał jéj się jeszcze więcéj, niż dawniéj, ponętnym z tą troską na czole i z bladą twarzą.

I ona nie była już tą młodą, świéżą dzieweczką, jak dawniéj. Miała twarz przywiędłą, nos trochę się wyciągnął, piersi płaskie — tylko piękne piwne oczy jeszcze większemi się teraz wydawały, jeszcze poczciwiéj na świat patrzały.

I powoli przyszła im myśl połączać „nędzę z biédą“.

Miała po rodzicach tysiąc rubli; z tych pięćset w papiérach, które starczyły na spłatę jego długów, na oporządzenie garderoby i na mebelki; drugie pięćset rubli, pozostałe na hypotece, przynosiły 50 rubli rocznie, czyli opłatę komornego.

Lecz nigdy im się nie śniło, aby mogli być tak szczęśliwi. Ona patrzała mu w oczy, całowała go po rękach, a on miał ciągle minę zdziwionego, za co go takie szczęście spotkało. Z trzydziestu rublami pensyi miesięcznéj dawali sobie doskonale rady.

— Proszę pana — mówiła mi, kiedyśmy zasiedli do prawdziwie wiejskiéj kawy, którą sama przyniosła na czyściutkiéj tacy, wraz z wyśmienitą bułką domowego pieczywa (nauczyła się tego jeszcze u rodziców w domu), — proszę pana, nawet nie wiem, cobyśmy robili, gdybyśmy mieli więcéj pieniędzy? Przyjęlibyśmy sługę; a cóżbym wtedy ja robiła? Bez zajęcia zatęskniłabym się za Jankiem. A tak zrywam się rano z łóżka, sprzątam pokój, szykuję kawę i zawijam w papiér drugie śniadanie, które sama wsuwam mu do kieszeni jego szynela. Następnie Janek wychodzi z domu, a ja zadecydowawszy, z czego on będzie przy obiedzie najwięcéj zadowolony i obliczywszy dobrze grosze, wybiegam z koszyczkiem po prowiant. Wróciwszy do domu, rozpalam ogień i przemieniam się w kucharkę — z tą różnicą, że kucharce wydaje się to robotą, a mnie największą radością, kiedy pomyślę, jak to Jankowi będzie smakowało. Późniéj trzeba się zabiérać do prasowania, lub gorzéj — do prania. Ta chlapanina nie jest przyjemną, tém bardziéj, że kuchenka ciasna, a podłogi nie chcę zbytnio walać baliami i konewkami, a i nogi przytém trochę bolą i ręce twardnieją.

— To także praca konduktorska! — przerwał z uśmiechem mąż, wsłuchany w jéj słowa — pani konduktorowa musi tak pracować, jak pan konduktor, prawda Maniuś?

Miałem ochotę ucałować ich oboje.

Ona ciągnęła daléj z owém zadowoleniem żony, którą łączy z mężem nie przywiązanie, przyzwyczajenie, lecz miłość, co w małżeństwie nadaje zupełnie inną postać całemu pożyciu, całemu domowi.

Mieszkanie w takich domach jest słoneczniejszém, pani zawsze wesoła, a wspólne troski lżejsze.

— Ale poczciwy zégar przypomina mi, że godzina powrotu Janka się zbliża: chowam prędko balię, bo on nieporządku w domu nie lubi, stroję się jak wielka dama, jak pan widzi (miała na sobie ciemną wełnianą sukienkę i ładny czyściutki fartuszek) i nakrywam do stołu.

— A jakie moja żona przyrządza flaki we czwartek! Palce lizać! Musimy pana kiedy zaprosić, prawda Maniuś?

— Naturalnie. Mówi pan, że panu u nas tak dobrze; to się pokaże! — zapraszała mię z tą prawdziwie szczerą gościnnością, właściwą naszéj małéj burżuazyi i drobnéj szlachcie, gdzie prawdziwie radują się każdym bez wyjątku gościem i gdzie bez przesady oddaje się gościowi z największą radością własną poduszkę z pod głowy i ostatni kawałek od ust.

— I długo mąż pani pozostaje na obiedzie w domu?—podsunąłem umyślnie, zachęcając do dalszych zwierzeń.

— Ma dwie godziny wolne — odrzekła. — To są jedyne chwile naszego próżniactwa. Mijają tak prędko. Jabym zawsze chciała, aby on sypiał po obiedzie, ale Janek w dzień spać nie może i zaledwie położy się tu na kanapie — woła mię do siebie, i zaczyna się pogawędka: obliczanie naszych wielkich kapitałów, umowy, jak spędzimy najbliższy jego dzień wolny, debatujemy o czekających nas wydatkach. Kłócimy się nie bardzo często, co? Janek?

On uśmiechnął się tylko. Ona ciągnęła daléj.

— No, tylko on by chciał, abym ja sprowadzała sobie suknie z Paryża. I jeszcze jest tu jeden amator naszych poobiednich pogawędek. Oh! widzi pan, domyślił się, że o nim mowa. Karuś, pódź tu. Jesteś dobrym pieskiem. Widzi pan, jak on się cieszy, pieszczoch. A Janka to on jeszcze bardziéj kocha, niż ja — słowo daję. A jak domu pilnuje doskonale, jak gości melduje, choć nie wszystkich jednakowo lubi.

— To jest kamerdyner mojéj żony, a mój przyjaciel — rekomendował konduktor z miną dobrego chłopca, który czując w atmosferze swojego domu uwielbienie, jakiém go żona otacza, był tu naturalnie innym, niż na służbie w zimnym tramwaju; był pewnym siebie, stroił żarciki i przybiérał trochę minę pana domu, z czem mu było bardzo do twarzy.

— No no, tylko nie spazmuj z radości — strofował Karusia.

Przedstawiony mi Karuś — był to sobie mały psiak bez rasy, biały z czarną mordką i takiemi uszami — dziwnie śmieszny i jak fryga zwinny. Przybiegł na dwóch tylnych łapkach (choć mu nikt tych sztuk nie nakazywał), wywijał ogonkiem i wogóle wydawał się uszczęśliwionym, jak gdyby go kto na sto koni wsadził. Lizał po twarzy i po rękach swoją panię i mnie, a nie mogąc uraczyć takiemi pieszczotami swego pana, który powstał z siedzenia — wykonywał sztuki nadzwyczajne.

— I te trzydzieści rubli miesięcznéj pensyi wystarczają państwu na wszystko? — zapytałem z wielkiém zainteresowaniem — kiedy nakarmiwszy Karusia bułką, kazano mu zapanować trochę nad radością i leżéć cicho.

— Ho, ho! Jeszcze do kasy oszczędności składamy co miesiąc po kilka rubli na nadzwyczajne wypadki.

— Widzi pan, jest tak — tłómaczył mi pan domu. — Na mieszkanie, jak panu mówiliśmy, mamy ten procent z kapitaliku. Z mojéj pensyi oddaję żonie pierwszego całe 30 rubli. Ona musi już za to myśléć o wszystkiém, nawet o moich butach. Nawet wódkę, któréj porządny kieliszek wléwam do gardła codziennie przed obiadem, przyrządza na śliwkach tak, że niech się panie Stępkowski schowa. Mnie zaś oddaje z tego tylko 3 ruble na kieszonkowe wydatki i na papiérosy.

— A on mi ze swoich oszczędności przynosi jeszcze przed pierwszym — przerwała żona — wodę kolońską, ciastka lub karmelki, za co dostaje odemnie straszną burę.

— Moja żona — ciągnął daléj — wydaje na dom pół rubla dziennie. Z tych — 20 kop. na obiad i trzydzieści przecięciowo na cukier, słoninę, naftę, kawę i na inne gospodarskie wydatki. Pięć rubli odkłada co miesiąc na ubranie i pięć rubli idzie do kasy. Żona moja ma w komodzie różne pudełka z napisami: nafta, wodziarz, Aronek, węgle i t. d. W pudełkach leżą rozdzielone na cały miesiąc złotówki i grosze. Moja żona ma też drobny budżet na zbytki.

— Widzi pan, jest tak — przerwała mu żona — po obiedzie, kiedy Janek odchodzi i kiedy sprzątnę już ze stołu, nie mam żadnego zajęcia. Pobraliśmy się niedawno i wszystko nowe sprawiliśmy. Nie potrzebuję więc ani bielizny cerować, ani ubrania naprawiać. Szalików i włóczkowych rękawiczek narobiłam już Jankowi tyle, że mu na całe lata wystarczą. A maszyna do szycia stała przez ten czas jak zawalidroga. Wpadło mi więc na myśl — ot tak dla zabawki — szyć na obstalunek. Przyjmuję do roboty suknie i bieliznę. Zajmuję się tém tylko kilka godzin dziennie i Janek nie widzi nawet żadnych strzępów i rupieci w pokoju, a przynosi mi to od pięciu do dziesięciu rubli miesięcznie. Te pieniądze przeznaczone są na hulanki. Raz na tydzień, kiedy Janek ma dzień wolny — kładę chustkę na głowę, Janek swoje wielkie buty, bierzemy ze sobą Karusia i błądzimy, błądzimy po polach, het po łąkach i lasach. Janek dokazuje wtedy, jak dzieciak. Dowodzi, że jesteśmy udzielnymi książętami

i że te wszystkie pola, łąki, lasy — to nasze. Czasami śpiéwa, a pieśni jego giną daleko, daleko... Gdyby pan wiedział, jaki on ma śliczny głos; gdyby się uczył, mógłby śpiéwać na scenie.

— Tylko Karuś nie lubi, jak ja śpiéwam prawda?

— Ale czasami chce nam się zakosztować większego świata. Wtedy ja ubiéram się, jak dama. Janek zrzuca szynel i czapkę i nakłada swój nowy paltot i kapelusz, w którym — mówiąc nawiasem — jest mu bardzo do twarzy i w którym Karusiowi nawet bardzo się podoba, chociaż Karuś pozostaje już wtedy w domu.

— Co mu się już mniéj podoba, prawda ty głupia małpo — przerwał konduktor, zwracając się do psa, który usadowił się na jego kolanach i lizał mu twarz i ręce.

— Przedewszystkiém — ciągnęła daléj żona — idziemy do kościoła, następnie spacerkiem do ogrodu botanicznego, lub do Frascati. Dnia tego nie gotuję obiadu, lecz idziemy do znanéj nam restauracyi, gdzie za dwadzieścia kopiejek dostajemy zupę, pieczeń i jarzynę. Następnie idziemy do cukierni na kawę, a wieczorem, jeśli coś dobrego dają — kupujemy galeryę do teatru. Ale czasami czujemy się tak zmęczeni całotygodniową pracą, że niechce nam się tych birbantek. Zapalamy lampę i przez cały wieczór siedziemy w domu, Abonujemy książki i trzymamy kuryera.

— Za pieniądze Maniusi — tłómaczył mąż.

— Pan nie uwierzy, jak Janek ładnie na głos czyta. Wieczór przechodzi nam wspaniale i o rubla więcéj składa się do kasy oszczędności.

— Wogóle nie mamy powodu utyskiwać, prawda Janku? i życzymy tylko, aby każdemu było tak dobrze na świecie, jak nam.

Ach, ci ludzie! Ach, ci ludzie! Miałem ochotę przed nią uklęknąć. Poprostu była zachwycająca z tém swojém szczęściem. I tak jéj wdzięczny byłem za to opowiadanie.

Analizując i krytykując wiecznie wszystko i samego siebie, posądzałem się nieraz o szczyptę egoizmu. I teraz przyjemnym mi był ten mój altruizm, ta radość z tego, że inni wokoło mnie czują się szczęśliwi. Łzy cisnęły mi się do oczu i miałem ochotę wyciągnąć ręce i jak ojciec ich błogosławić.

— No, a jeżeli rodzina wam się powiększy — zapytałem, kiedy ona wyszła na chwilę zająć się obiadem, na który mię gwałtem zatrzymali.

— Kukułka już to wykukała — rzekł, spoglądając z miłością na żonę, nakrywającą teraz do stołu, aż się zaczerwieniła. — Już to

wszystko obmyślane co do grosza i przygotowane. Ten zuch zastąpi nam restauracyę, teatr i inne zabawy. Będziemy w święta siedzieli w domu i bawili się dzieckiem. A da Bóg doczekać kilka lat — mam przy protekcyi obiecaną posadę kontrolera, 500 rubli rocznie — to nie żarty. Donajmiemy wtedy sąsiedni, mały pokoik i weźmiemy do usługi małą dziewuszkę. Maniusia będzie miała zajęcie z dzieckiem. Przecież ona i po francusku i po niemiecku potrafi, pensyę kończyła. Późniéj będzie też dawała chłopcu lekcye.

— A jeśli to nie będzie chłopiec? — zapytałem.

— Kto to wié? Może jedno i drugie — rzekł, śmiejąc się dobrodusznie.

— Janek! — strofowała go żona.

Nie! byli wspaniali oboje. Postanowiłem stanowczo zapisać im cały swój majątek i trzymać do chrztu dziecko. Tém silniéj trwałem w tym zamiarze, iż przypatrując się jéj uważniéj, odnajdywałem w niéj coraz więcéj podobieństwa z rysami zmarłéj mojéj siostry, którą kochałem nad życie. Ta sama twarz blada i szczupła i też same wielkie, poczciwe, piwne oczy.

W końcu już mi się zdawało, że to ona, że ją odnalazłem, że powróciła do życia. I czułem się taki szczęśliwy...

Zasiedliśmy do stołu. Zaciérki na wodzie były wyśmienite. Następnie podano bardzo apetyczną kiełbasę z kapustą. Biorę duży kawał do ust, kosztuję, mlaskam i mlaskam językiem — i nie czuję żadnego smaku. Co to znaczy?

Otwiéram oczy... i znajduję się w swoim pokoju na bujaku, ogień na kominku zagasł, w pokoju chłodno, szaro, ponuro.

A Maniuś, a Janek, Karuś, 300 rubli pensyi, listy zastawne, wodziarz, Aronek, Mokotów — więc to wszystko było snem? Jaka szkoda!

Sen! naturalnie! Gdzież znajduje się na świecie konduktor, nie przeklinający swojéj psiéj służby?

Ten mój dzisiejszy, wiem, że się istotnie ożenił; lecz żona nie wniosła mu tysiąca rubli, ani go tak kocha, ani jest tak gospodarną.

Tylko jedna kukułka zawodu nie robi. Będą mieli więcéj kłopotów, niż ja z panią Leonową, z Tadziami i hypoteką. Będą mieli huk dzieci. Będzie nędza, kłótnie, długi. I zaduch w ciasném mieszkaniu, wyziewy z pralni, swąd z kuchni. I ta psia służba! Brr!..

Szkoda! Tak przyjemnie widziéć koło siebie uśmiechnięte twa-

rze — kiedy samemu szczęścia się nie odczuwa. Więc tego szczęścia nie ma wcale na świecie?

Et! brednie! Trzeba iść na obiad. Owa kawa, zaciérki i herbata u moich kumów — nie bardzo mnie nasyciły.

Moim towarzyszom obiadu, starym cynikom — nie powiem naturalnie nic o owych szczęśliwych konduktorach tramwajowych, których spotykam... we śnie. Wyśmieliby starego — powtarzam już śmiało — starego, siwiejącego dziwaka.

Alfred Konar.





DYABEŁ W POEZYI.

Studyum literacko-historyczne.

WSTĘP.

Świat fantazyi, zarówno jak i świat rzeczywisty, podlega pewnym prawom, powstaje on, rozwija się i przeobraża według stałych zasad, a należące do niego istoty, podobnie jak ludzie i narody ziemskie, posiadają swoją, albo raczéj swoje historye. Dzieje tego fantastycznego świata, zamknięte w różnych mitologiach, podaniach, pieśniach, poematach i t. p., są bardzo bogate i tworzą jeden z ważniejszych rozdziałów w olbrzymiéj księdze umysłowości ludzkiéj, do któréj pokolenie po pokoleniu składało przez ciąg wieków:

„swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty...“

Z rozdziału tego sprobujemy odczytać tylko kilka kartek, dotyczących życia i rozwoju jednego z najciekawszych i najpotężniejszych tworów nadzmysłowéj krainy, a mianowicie: szatana.

Szatan — nazwy téj używamy tu w znaczeniu najogólniejszém, jako synonymu wszelkiéj personifikacyi zła — szatan odegrał niepoślednią rolę w dziejach cywilizacyi ludzkiéj; historya jego jest więc tak obszerna, że wyczerpujące jéj przedstawienie zajęłoby kilka tomów; w obecném studyum zajmiemy się jedynie historyą szatana w poezyi, dotykając innych dziedzin o tyle tylko, o ile to będzie niezbędném dla jasności wykładu.

Ktoby więc pragnął się zaznajomić bliżéj z dogmatyczno-religijną stroną kwestyi, zechce udać się do dzieł teologów i historyków religii, my bowiem nie będziemy rozbiérać tutaj wewnętrznéj istoty

złego, lecz sprobujemy przedstawić w jakie kształty konkretne wyobraźnia poetów i narodów ubiérała to pojęcie w różnych epokach i na różnych punktach globu ziemskiego.

Właściwą ojczyzną szatana jest dziedzina wierzeń religijnych; tam to pojawił się on przed wiekami, jako antyteza stwórcy i zbawiciela, jako burzliwy ferment, nie dający ludzkości drzémać spokojnie. Z tych poważnych regionów atoli ruchliwa i zuchwała fantazya artystów przeciągnęła go rychło w tęczową krainę poezyi, gdzie téż uzyskał zupełne prawo obywatelstwa. Początkowo, jak w poematach staroindyjskich, lub misteryach średniowiecznych, działo się to z wiedzą i zezwoleniem stróżów wiary; późniéj, jak u Dantego i Miltona, obywając się bez téj kontroli, dbano jednakże o zgodność z dogmatami panującego kościoła; w końcu wreszcie, jak u poetów XVIII-go i XIX-go wieku, uosobienie zła przerodziło się w jeden z tysiąca wieloznacznych symbolów, któremi posługiwano się dla celów najrozmaitszych. Każdy więc poeta, odbiegając mniéj, lub więcéj daleko od granic, zakreślonych przez tradycyę, inaczéj sobie postać szatana wyobrażał, oraz inaczéj ją uplastyczniał. Przedstawić w krótkości dzieje i fazy téj filozoficzno-estetycznéj ewolucyi — oto cel i zadanie niniejszego zarysu.

---

1. Uosobienie zła w poezyi ludów niechrześciańskich.

I.

Przegląd figur demonicznych w piśmiennictwach ludów wyznających politeizm: Dualizm religijny u dzikich. — Fragmenty literatury akkadyjskiéj i asyryjsko-babilońskiéj.—Myty egipskie.—Hymny, legendy, epopee i dramaty indyjskie. — Od Zoroastra i Zend-Avesty do „Księgi królów“ Firdusiego. — Demonizm w poezyi Grecyi i Rzymu [1]).

Kiedy człowiek pierwotny zaczął się zastanawiać nad zagadką stworzenia, musiało go przedewszystkiém uderzyć, najpierw w świe-

---

[1]) Literatura: Dr. F. Spiegel, „Die arische Periode und ihre Zustände“; Pompeyo Gener, „La mort et le Diable“; Ignacy Radliński, „Literatura babilońsko-asyryjska“, „Król Asur-Bani Pal i biblioteka jego“, „Literatura egipska“; Rosenkrantz, „Handbuch einer allgemeinen Geschichte der Poesie“; Nork, „Götterlehre aller Völker“; Vollmer, „Vollständiges Wörterbuch der Mythologie“; Moritz und Oberbreyer, „Götterlehre“; Schlegel, „Ueber die sprache und philo. der Inder“; Jean Lahor, „Histoire de la Litterature Hindoue“; Sylvain Levi, „Le Théatre Indien“; Valmiky, „Le Ramayana“ traduit par H. Fauche; „Sakuntala“, „Urvasi“, „Tchanda Kaucika“, „Malathi i Madhawa“, oraz inne dramaty sanskryckie

cie fizycznym, a następnie i w moralnym przeciwieństwo dwóch wrogich sobie żywiołów: ciemności i światła, zła i dobra, prawdy i kłamstwa. Ponieważ tak zasadniczo różne rzeczy, nie mogły na pozór z jednego wypływać źródła, ludzie więc przypisywali ich początek istotom wyższym, stworzonym najczęściéj na obraz i podobieństwo swoje, zowiąc jedną z nich bogiem dobra, drugą—bogiem zła.

Dualizm ten zarysowuje się mniéj, lub więcéj jaskrawo we wszystkich prawie religiach. Nie trudno go się doszukać i u dzikich współczesnych, którzy, jak twierdzi Lubbock, czczą nawet niekiedy złego ducha więcéj, aniżeli dobrego, a to w myśl dowcipnéj zasady, że dobry i bez modłów nikomu krzywdy nie czyni. W słynnym poetyczno-etnograficznym zbiorze Herdera p. t. „Głosy ludów w pieśniach“ znajdujemy następujący charakterystyczny hymn madagaskarczyków: „Zanhar i Niang stworzyli świat. Zanharze, do ciebie modłów swoich zwracać nie będziemy; o cóż mamy dobrego boga prosić? Gniéw Nianga uspokoić należy.

„Niangu, zły i potężny duchu, nie daj grzmotowi nad naszemi głowami huczéć; zabroń morzu przerywać brzegi nasze; oszczędzaj rosnące owoce; nie wypalaj kwitnącego ryżu; nie otwiéraj łona niewiast naszych w dni nieszczęśliwe i nie zmuszaj matki, by nadzieję swojéj starości w nurtach morza topiła!

„Niangu! nie niszcz dobrodziejstw Zanhara! Ty panujesz nad złymi: ich liczba dość już jest wielką; nie męcz więc dobrych!“ [1]).

W religiach ludów starożytnych dualizm przejawia się w sposób najrozmaitszy: już to w kilku wyodrębnionych jednostkach mytycznych, już téż zróżniczkowany w całe szeregi łaskawych geniuszów z jednéj, a złośliwych larw i straszydeł z drugiéj strony. Odpowiednio do tego kształtuje się i literatura demonologiczna każdego narodu.

---

w przekładzie niemieckim Ludwika Fritze'go, Nal i Damajanti (prz. Boppa i Leciejewskiego); Ig. Radliński, „Literatura perska“; Święcicki, „Literatura nowoperska“; Schack, „Heldensagen des Firdusi in deutscher Nachbildung, nebst Einleitung“; K. Kaszewski, „Lit. grecka“; Węclewski, „Hist. lit. greckiéj.“ „Iliada“ (przekład Popiela), „Odysseja“ (przekład Siemieńskiego); Minkckwitz, „Vorschule zum Homer.“ Hezyod (prz. Eytha), Eschylos, Sofokles, Eurypides (prz. Węclewskiego), Owidyusz (prz. Kicińskiego), Wirgiliusz (prz. Dmochowskiego), Plato, Lukian (wyd. Langenscheidta), Lubbock, „Początki cyw.“; Max Müller, „Religia“. Taylor, „Antropologia“ i inne.

[1]) Porów. tę samą pieśń u Talvi: „Versuch einer geschichtl. Charakter; des Volksliedes“.

U pierwotnych mieszkańców Mezopotamii np., znanych w nauce dzisiejszéj pod mianem Akkadów, większa część odcyfrowanych dotąd ułamków piśmiennictwa, poświęcona jest opisom działania złych duchów (wampirów, inkubów, sukkubów i t. p.), albo magicznym formułom zaklęć, przypominającym bardzo dokładnie nasze ludowe zamawiania uroków. Cóż robią te demony akkadyjskie?

Z kraju do kraju przebiegają,
Niewolnicy odejmują możność zostania matką,
Kobiétę wolną z domu, gdzie dzieci porodziła, wydalają,
Dziecię z domu ojca wypędzają...
Gołębiom trafić do gniazda przeszkadzają.
Ptakom w locie skrzydła plączą,
Jaskółki zewnątrz gniazda w przepaści topią,
Wołu biją, jagnię biją...

Naturę tych złośliwych istot określa inny tekst w sposób następujący:

Nie są to mężczyźni, nie są to kobiéty...
Żon nie znają, dzieci nie mają,
Nie wiedzą, co jest porządek dobry, co jest miłosierdzie·
Ni próśb, ni modłów nie słuchają;
Są jakoby robactwo, mnożące się po górach.
Z siodeł strącają podróżnych, drogę obsiadają...

Dlaczego są takimi i do jakich celów zmierza ich działanie? o tém z ułamków literatury akkadyjskiéj czegoś dokładnego dowiedziéć się trudno.

Napływowy żywioł semicki, który zawładnął powoli ziemią Akkadów, przejął od nich nietylko pismo klinowe, lecz i wiarę w złe i dobre duchy, oraz w magiczną potęgę zaklęć. To jednak, co u Akkadów było prawdziwym kultem, stało się u Babilończyków i Asyryjczyków rodzajem pod-religii, rytuałem czarodziejsko-teurgicznym, czyli magią. Jestto pierwszy wyraźny przejaw nierzadkiego w dziejach ludzkości procesu asymilacyi pojęć religijnych jednego narodu przez naród drugi, przy współczesném obniżeniu etyczno-filozoficznego i hierarchicznego poziomu przyswojonych tworów mytycznych. Po kilkudziesięciu wiekach spotkamy się z podobnym faktem w Europie, gdzie spaczone wierzenia pogańskie pokutują dotąd w legendach, klechdach i przesądach ludowych.

Ponad przejętą od turańskich Akkadów demonomanią, posiada-

---

[1]) Przekłady te wzięte są z pięknego studyum p. Ignacego Radlińskiego o „Literaturze babilońsko-asyryjskiéj“, stanowiącego część „Dziejów lit. powsz.“ (Warszawa, Lewental).

jącą jeszcze silne zabarwienie a n i m i s t y c z n e, istniała w Babilonie i Assyryi inna, wyższa znacznie religia, oparta na uwielbieniu sił przyrody, a zwłaszcza światła i ciepła, oraz ich głównych źródeł: słońca i innych błyszczących ciał niebieskich.

Religia ta, spokrewniona blisko z wiarą Fenicyan, oraz wielu drobniejszych plemion semickich, widziała w naturze przedewszystkiém stronę czynną i bierną, zapładniającą i rodzącą, męzką i żeńską, dlatego téż dualizm fizyologiczny, płciowy, przeważał tam nad dualizmem etycznym, nie zaciérając go jednak w zupełności. Każdemu bogu odpowiadała tam prawie zawsze jakaś bogini, a niezależnie od tego, wszelkie z tych bóstw występowało w podwójnym charakterze: raz jako siła dobroczynna (np. ciepło słoneczne na wiosnę), drugi raz znowu, jako siła szkodliwa (niszczące upały letnie).

Brak dokumentów literackich nie pozwolił dotąd wyrobić sobie jasno określonego pojęcia o psychologiczno-poetycznym charakterze téj rodziny bogów. Odczytane dotąd teksty klinowe zawierają kilka ułamków treści epicznéj, z których dowiadujemy się, że bogowie i bohatérowie zwalczali tam jakieś potwory, a między innemi Tiamat'a, oraz Bula, czyli „pożeracza", karmiącego się ciałem pięknych dziewcząt dopóty, póki go Said, syn Izdubara nie zabił (Perseusz i Andromeda!). Najciekawszym dla nas fragmentem jest zstąpienie bogini Istary (Wenus babilońska, czczona także przez Fenicyan pod imieniem Astarty) do piekieł, by stamtąd wydostać zmarłego kochanka, Tuziego (Adonis!). Uderzającą jest tutaj pewna, naturalnie bardzo powierzchowna analogia, nietylko treści, ale i formy, pomiędzy tą pra-historyczną legendą, a „Komedyą boską" Dantego.

Do ziemi, s k ą d s i ę n i e w r a c a, odległéj, do kraju zniszczenia,
Istar, córka bogini Sin, chęci swoje zwróciła...
D o p r z y b y t k u, d o k t ó r e g o s i ę w c h o d z i, l e c z z k t ó r e g o s i ę
[j u ż n i e w y c h o d z i,
Na ścieżkę, która prowadzi wprzód, lecz którą się n i e w r a c a,
Do gmachu, który światła jest pozbawiony,
Do miejsca, gdzie kurz jest pokarmem, a błoto pożywieniem,
Gdzie nigdzie światło nie zabłyśnie, gdzie się wśród ciemności pozostaje,
A cienie, jakby ptaki, cisną się pod sklepieniem...

Komuż po przeczytaniu tego wymownego określenia przybytku śmierci nie przyjdzie na myśl słynny napis, wyryty ręką śpiéwaka Beatryczy nad bramą piekielną i zakończony ponurém:

Lasciate ogni speranza, *voi ch'entrate!*...

Nie wiele więcéj materyału dostarcza nam i ciemna jeszcze dotąd mitologia, oraz niezbadana dokładnie literatura egipska. Zło

posiadało w krainie nadnilowéj wybitnego przedstawiciela w osobie Tyfona-Seta. Set należał właściwie do najstarszych bogów Egiptu, zlawszy się atoli w epoce najazdu Hyksosów z ich bogiem narodowym Sutechem w jedną osobę, został, po wypędzeniu ciemiężycieli, strącony z wyżyn egipskiego Olimpu i reprezentował odtąd nietylko szkodliwe siły natury, lecz zarazem i wszystko, co było obcém, cudzoziemskiém, nie-egipskiém. Był to więc nietylko bóg zły, ale i anti-narodowy. Wszystko, co pochodziło z za słonego morza, lub téż z palących piasków pustyni, było dziełem Tyfona-Seta.

Mamy tu znowu wypadek poniżenia, satanizacyi dobrego pierwotnie bóstwa, dlatego, że je czcił naród wrogi.

Wogóle, w większości religii zło zdaje się nie posiadać własnego, rodzimego początku, lecz jest jakby zepsuciem, upadkiem tego, co było pierwiastkowo dobrém. Tyfon, podły morderca Ozyrysa, był przecie jego rodzonym bratem (Diodor Sycylijski, I, 21)!

Piśmiennictwo i mitologia egipska nie zawierają, co do kwestyi pochodzenia i natury zła, dostatecznych danych, o wiele bogatszą i wdzięczniejszą pod tym względem jest literatura indyjska, nad którą zatrzymamy się cokolwiek dłużéj.

Indusi, jak się słusznie któryś z uczonych wyraził, więcéj dbali o historyę i genealogię bogów, aniżeli o swoje własne kroniki, dlatego téż żywioł religijny przygniata w ich literaturze wszelkie inne pierwiastki. Chcąc więc zrozumiéć arcydzieła i typy piśmiennictwa Indusów, należy poznać koniecznie mitologię tego narodu.

Mitologia ta nie zawsze była tak zawikłana i dziwaczna, jak obecnie. Kiedyś — świadczą o tém najstarsze księgi religijne Indusów, Wedy — prawdopodobnie przed opuszczeniem pierwotnych siedzib aryjskiego plemienia w Azyi środkowéj, olimp indyjski nie bardzo się różnił od olimpu greckiego. Na czele bogów stał Indra, Zeus induski, pan niebios, powietrza i piorunów; obok niego widzimy Agniego (ogień), oraz całe grono bogów niższych, reprezentujących pewne dobroczynne siły przyrody, albo téż będących poprostu uosobieniem epitetów głównego bóstwa. Bogowie ci (Suras) walczą w powietrzu pod wodzą Indry z demonami (Asuras, szkodliwe potęgi natury), którym przewodzą Ahi i Vritra (smok, wąż), trzymający na uwięzi krowy niebieskie (obłoki), brzemienne życiodajnym deszczem. Walki te, będące prostém odzwierciedleniem ważnych dla rolnika i pasterza procesów meteorologicznych, nie wyczerpują działalności Indry, który nietylko, jak Herkules, Apollon, Sygfryd, Feridun i Krak, zabija szkodliwe potwory i smoki powietrzne, lecz „razi swym gromem ze Wschodu, Zachodu, Południa i Północy niegodziwe duchy

nocne (Rakszasas), co w kształcie puszczyków, psów, wilków, sępów, ponurych ptaków wieczoru i bestyi bezbożnych przestraszają duszę w ciemności, lub też starają się przerywać i kalać ofiary święte." (Hymny Wed).

Nietrudno dopatrzéć się tu obrazu światła, rozpraszającego ponure mroki nocy, którym animistyczna fantazya ludu nadała kształt widm i straszydeł. Skłonny do spekulacyi, umysł Indusów nie poprzestał na stworzeniu sobie bóstw opiekuńczych, lecz pragnął sięgnąć dalej, i dociec przyczyny przyczyn, której zarówno ludzie, jak i bogowie, oraz demony byt swój zawdzięczają. W komentarzach do Wed, t. zw. Upaniszadach spotykamy już ślady panteizmu, téj na wskroś aryjskiéj doktryny, nie rozdzielającéj stworzenia od stwórcy i utożsamiającéj subiekt z obiektem, jaźń z niejaźnią. *Tat swam asi*— tyś jest tém, czyli ty i świat stanowicie jedność — do téj prostéj formuły da się sprowadzić nietylko stara filozofia wedantyczna, ale i cały fantastyczny, dziki, wybujały, jak zwrotnikowa przyroda, politeizm późniejszego neobramanizmu.

Wszystko, co tylko istnieje, nie wyłączając demonów i bogów, to tylko forma przejściowa jednéj pierwotnéj substancyi. „Jest jeden wieczny myśliciel, lecz myśli, które on snuje, nie są wieczne: jest on jeden, a spełnia żądze wielu" — głosi Katha-Upaniszada. Tym myślicielem, który „myśli" świat — był dla jednych Indra, dla drugich Agni, których późniéj zdetronizował Brahma, będący w „Prawie Manu" tylko manifestacyą jakiegoś pierwiastku, pozbawionego form i atrybutów (Brahm, Parabrahm—w rodzaju nijakim). „Prawo Manu" atoli powstało już po opuszczeniu wspólnéj kolébki aryów i po zawojowaniu półwyspu indyjskiego, zamieszkałego przez ludy półdzikie, w części semickiego (kuszyci), w części zaś turańskiego pochodzenia [1]). Zetknięcie się z niższemi, pogardzanemi rasami wywołało z jednéj strony surowy podział na czyste i nieczyste kasty, z drugiéj zaś—wzbogaciło pierwotny panteon aryjski nowemi bóstwami, którym hołdowali tuziemcy, słabsi kulturą, ale za to potężni liczbą. Bóstwa te (Rama, Kryszna, Siwa) zlały się początkowo, jak to bywa zwykle, z podrzędnemi figurami bogów wedyckich [2]), a dopiéro znacznie późniéj zepchnęły dawną dynastyę władców nieba

---

[1]) Są to hypotezy Lassena, Eksteina i Lenormanta.

[2]) Siwa utożsamił się z Rudrą, ojcem wichrów; nazwa ta pozostała mu do dziś dnia, jako epitet. Wisznu — było to początkowo (w Wedach), tylko jedno z imion słońca; w „Prawie Manu" nie ma go jeszcze pomiędzy większymi bogami; dopiéro w wielkich epopeach występuje na pierwszy plan, jako Rama i Kryszna.

na stanowisko wasalów. Stało się to prawdopodobnie pod wpływem rozwoju buddyzmu, który, występując w imię sprawiedliwości i współczucia dla wszystkich istot żyjących, pragnął naprzód złamać teokratyczną potęgę braminów i skruszyć żelazne szranki kast. Podobne demokratyczne hasło musiało znaleść silny oddźwięk w masach, zagrożeni przedstawiciele teokracyi przeto zaczęli kokietować tłumy, wysuwając na pierwszy plan zmodyfikowane odpowiednio postaci starych, popularnych bogów ludowych. Krwawy Siwa, podobny do fenickiego Molocha, oraz łagodny i dobroczynny Wisznu, którego za pomocą doktryny „awatarów“, to jest wcieleń, uczłowieczono i połączono z bohatérskiemi figurami Kryszny, Ramy, a nawet samego Buddy — dwa te bóstwa zajęły w neobraminizmie dominujące stanowisko i utworzyły pospołu z dawnym Brahmą, słynną „Trimurti“, czyli trójcą indyjskę. Tym sposobem liczna rodzina bogów indyjskich utworzyła jakby piramidę, na której szczycie znajdował się nieokreślony absolut—Brahm; poniżéj stała „Trimurti“, wyobrażająca trzy fazy bytu: początek, trwanie i zanik, pod nią zaś 8 najwyższych bogów kosmicznych, walczących po dawnemu pod berłem Indry z wrogiemi światłu i życiu siłami przyrody. Każdy z tych bogów, ulegając wpływowi bujnéj zwrotnikowéj przyrody, wydzielił z siebie żeńską połowę (Sakti: energia płodna), przestrzeń zaś pomiędzy niebem a ziemią wypełniły miliony jestestw różnéj potęgi i wartości. Zło wśród nich było reprezentowane głównie przez wspomnianych wyżéj Asurów i Danawów wedyckich, których zwalczał Indra, a niekiedy i Wisznu [1]), oraz Rakszasów, czczących groźnego Siwę. Sam Siwa, aczkolwiek opiekuje się demonami i uosabia zniszczenie, śmierć, a niekiedy i karę, nie może być uważany za bóstwo bezwzględnie złe, przypominające szatana. Bóg ten bowiem oraz jedna z żon jego, ohydna Kali-Durga, patronka dusicieli (thugów) i czarowników, umié nietylko niszczyć, ale i tworzyć. W każdém życiu tkwi przecież zarodek śmierci, śmierć zaś jest podstawą nowego życia, dlatego téż jednėm z godeł Siwy jest Lingam (Phallus)! Panteistyczna fantazya braminów potrafiła przeobrazić krwawego i wstrętnego bożka dzikich autochtonów w głęboki symbol znikomości bytu realnego, za którego zmiennemi formami kryje się jednak jakaś, nieznikoma i twórcza siła. „Chroń mnie od złego — czytamy w jednym z hymnów siwaickich — ty, coś jest współcześnie płodnością i jałowością,

---

[1]) W „Dodatku do poematu“ Mahabharata, Harivansie, Wisznu, jako Kryszna, zabija 800,000 Danawów, Detyów i innych kosmicznych demonów, odpowiadających tytanom i gigantom mitologii greckiéj.

atomem niedostrzegalnym, co przebywa w łonie rozkładających się żywiołów, istoto jedyna ciał uorganizowanych." — Ponieważ każda sekta uważała swego boga za ową ukrytą siłę twórczą (Brahm), w słynnéj przeto pieśni „Mahimna Stawa", poeta odzywa się do Siwy: „Twoje ogrody, zabójco miłości [1]),—to cmentarze; Pisacze (upiory) stanowią twoją świtę, różaniec z czaszek trupich — oto twój wieniec; usposobienie twoje jest ponure, jak i imię twoje! Tyś jednak jest najwyższą rozkoszą tych, którzy cię wzywają, o, łask szafarzu! Tyś jest słońcem, tyś jest księżycem, wiatrem, ogniem, wodą; tyś jest niebem i ziemią, tyś jest duszą powszechną! Chwała ci, coś jest najmniejszym (atom), chwała ci, coś jest największym (nieskończoność)" i t. p. W słynnym metafizycznym epizodzie „Mahabharaty" p. t. „Bhagawad Gita" czytamy o Wisznu toż samo innemi wypowiedziane słowami. Drugi jednak epizod wspomnianéj epopei religijnéj, będącéj mesyadą indyjską, godzi te sprzeczności w sposób niezmiernie prosty i najzupełniéj zgodny z monistycznym charakterem braminizmu: Bóg „święty" (Bagawad), Wisznu walczy, pod postacią Kryszny, z bogiem wielkim (Mahadewa) Siwą; ziemia skarży się na to przed Brahmą, który godzi potężnych przeciwników.

„Jaki cel ma twoja walka z Kryszną — rzekł Brama do Rudry (epitet Siwy)? — Czyż nie wiész, że Kryszna jest drugim tobą? I wtedy Rudra uznał swą tożsamość z Kryszną i Brahmą; i praojciec światów, oraz dwa bóstwa, będące wrogami przez chwilę, zléwają się w jedno, Hari-Hara, formę odwieczną, nie mającą początku, środka, ani końca."

Rzecz prosta, że w takim systemacie nie ma i nie mogło być miejsca na zło bezwzględne i jego personifikacye. Istniało tylko zło, uważane jako stan przejściowy, i występowało w poezyi przeważnie w osobach wspomnianych wyżéj wasali Siwy, Rakszasów. Z niemi to walczy głównie bóg Wisznn, wcielając się po kolei (awatar) w różne zwierzęce i ludzkie postacie.

Najwspanialszy kwiat epiki staro-indyjskiéj, Ramayana, opiewa właśnie wojnę pomiędzy Bayardem indyjskim, królewiczem, Ramą (siódmy awatar Wisznu), a dziesięciogłowym i dwudziestorękim po-

---

[1]) Siwa, jako bóg zniszczenia, jest opiekunem ascetów, umartwiających ciało i sam gorliwie się oddaje pokutniczym praktykom; kiedy więc raz, figlarny bóg miłości, Kama, amor indyjski, ośmielił się mu w têm przeszkodzić, Siwa spalił go na popiół swym wzrokiem. Ta przejrzysta alegorya nie wymaga komentarza.

tworem, Rawaną, królem Rakszasów. Porwał on żonę Ramy, piękną i cnotliwą Sitę, i ukrył ją w głębi swego pałacu w Lanka, na wyspie Ceylon. Po wielu trudach i zachodach, Rama zniweczył wojsko króla demonów, a jego samego zabił, ku wielkiéj radości bogów, którym ten potężny olbrzym niemało wyrządził przykrości. Któż to jest jednak ów Rawana i jego poddani?

W Wedach były to, jakeśmy widzieli, uosobienia grozy mroku, zwalczane przez Indrę. W téj postaci występują one często w Mahabharacie (Drona Parva), oraz w dramatach indyjskich, błądząc, jak Gule z bajek „1001 nocy", po cmentarzach i pożerając trupy (por. Malati i Madawa, V; Czandakausika, IV). W Ramayanie głównie epitet „włóczęgów nocnych" przypomina ten upiorowaty charakter Rakszasów, po za tém bowiem są to istoty, nikczemne wprawdzie i potworne, „o długich kłach i brzuchach wydętych", ale uspołecznione już zupełnie. Mają one króla, ministrów, wojsko i t. p., kochają się i żenią pomiędzy sobą, zanoszą modły i składają ofiary bogom, zwłaszcza Siwie, a nawet oddają się praktykom ascetycznym z równie dobrym skutkiem, jak ludzie (np. Maricza, demon anachoreta — *diable l'hermite?*). Demoniczność ich maluje się głównie w zdolności przybierania ułudnych kształtów, oraz w przyjemności wyrządzania ludziom krzywd i udręczeń. Są to, jak mówi brat Rawany, Kara, „pyszni i srodzy bohatérowie, mistrze okrucieństwa, których najwyższą rozkoszą jest męczyć wszystkich". Drugą ich cechą charakterystyczną stanowi kanibalizm. Pożérają oni pokutników, mieszkających w głębi puszcz leśnych. Sam Rawana, pragnąc zmusić Sitę do oddania mu się, powiada: „jeżeli za dwa miesiące nie zostaniesz moją małżonką, kucharze moi pokrają cię w kawałki na śniadanie dla mnie." Mamy tu więc do czynienia raczéj z jakimś dzikim, okrutnym plemieniem antropofagów, z jakiemiś dahomejczykami przeszłości, aniżeli z duchami zła, kusicielami pobożnych. Cała Ramayana była kiedyś zwykłą epopeą wojenną (*itihasa*), opiewającą zwycięstwa aryów nad barbarzyńskimi mieszkańcami Cejlonu, którzy oddawali się prawdopodobnie ludożerstwu [1]). Redakcya braminów przechowała treść i bohatérów, ale pierwotnych rysów zupełnie nie zatarła. Podając jednak Ramę za awatar boga Wisznu, trzeba było odpowiednio podnieść i Rawanę.

---

[1]) W „Mahabharacie" wojna domowa aryów pomiędzy sobą zajmuje plan pierwszy: demony pojawiają się tam bardzo często i licznie, ale zawsze, jako postacie epizodyczne, gdy w Ramayanie cała akcya obraca się właściwie około walk z Rawaną i jego podwładnymi.

Otóż jedna z interpolacyi (I p.) opowiada nam, że Rawana, król duchów nocy, doszedł przez praktyki ascetyczne do wielkiéj potęgi i wyrobił sobie u Brahmy przywiléj, mocą którego żaden bóg, ani żadna wyższa istota, śmierci zadać mu nie mogła. Dumny olbrzym, zaślepiony pychą, nie bał się zwykłych ludzi, zginął więc z ręki Wisznu, który „dla obrony dobrych a zguby złych i odnowienia sprawiedliwości“ (B. G.) stał się człowiekiem — Ramą.

Inne legendy i poematy, stosując do Rawany doktrynę metempsychozy, idealizują go jeszcze bardziéj. Rawana był kiedyś jednym z odźwiernych na dworze Wisznu; za obrazę dwóch świętych pokutników, został on pospołu z towarzyszem, skazany na trzykrotne odrodzenie się w ciałach złych olbrzymów. Pierwszy raz przyszedł na świat jako syn bogini Dity (nocy), okrutny Hiranyaksza, nabroił wiele i poniósł w końcu śmierć, rażony kłami Wisznu, wcielonego w kształty olbrzymiego dzika.

Drugą inkarnacyą duszy grzesznika był właśnie Rawana; trzecie zaś i ostatnie wcielenie pokutującego niebianina spotykamy w „Mahabharacie“ pod postacią olbrzyma Suspali, z którego ciała, w chwili kiedy Wisznu-Kryszna śmierć mu zadawał, wyskakuje jasny płomyk i wpada do ust boga-zwycięzcy. Płomyk ten — to była dusza olbrzyma, która, ukończywszy cykl pokutniczych wcieleń, zlała się na nowo z bóstwem. Takim będzie, według braminów, ostateczny los wszystkiego złego na świecie. Zło bowiem to tylko czasowe oddalenie się od głównego i przeczystego źródła bytu. Upadek nie pociągał u Indusów wiecznego potępienia. Każdy duch, wędrując przez szeregi ciał, oczyszczał się wreszcie i powracal na łono boga. Dlatego téż piekło indyjskie, pomimo że fantazya wschodu wyposażyła je we wszelkie okropności, nie sprawia takiego wrażenia, jak „cierpiący gród“ Dantego, gdyż nie jest wiecznem, lecz tylko czasowém miejscem pobytu potępieńców. Piekło to zresztą jest pojęciem czysto-egzoterycznem, ludowém. Wedy np. o niém nie wspominają wcale. Dla inteligencyi indyjskiéj wiara z metempsychozę, poparta głęboką doktryną karmy, wystarczała najzupełniéj. Karma było to prawo przyczynowości, przeniesione ze świata zjawisk fizycznych w sferę moralno-religijną i kierujące przechodzeniem dusz. „Każdy akt myśli, słowa, lub ciała, względnie do tego, czy jest złym, czy dobrym, przynosi zły, lub dobry owoc“—w przyszłem wcieleniu.“ Karma tłómaczy dostatecznie istnienie zła, bólu i nędzy na świecie. Wszystko, co istnieje bowiem jest skutkiem przeszłości, a przyczyną przyszłości. Każdy więc sam siebie karze, lub nagradza, potępia, lub zbawia.

Prawu karmy podlegają nawet bogowie indyjscy, istoty w gruncie rzeczy równie znikome, jak ludzie. Kryszna np. ginie przypadkiem z ręki myśliwca Giary, w którego ciele zamknięta była dusza Angudy, syna Bali, króla małp, zabitego kiedyś przez Wisznu w awatarze Ramy. Wszystko, co ślepi ludzie nazywają „przypadkiem,“ jest urzeczywistnianiem się niezłomnych praw karmy.—Gdzie tak bezwzględnie rządzi surowa, ale sprawiedliwa konieczność, tam nie ma miejsca na eschylowskich Prometeuszów, miltonowskich szatanów i t. p. tragiczne postacie rokoszan przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy. W literaturze indyjskiéj nie ma wogóle tragedyi, istnieją tylko dramaty heroiczne (Nataka), w których cnota zawsze zostaje nagrodzona, występek ukarany. Wysiłek osobisty mógł przyspieszyć ewolucyę postępową i złączyć wcześniéj ducha indywidualnego z nieskończonym duchem świata; wszelkie zboczenia atoli z drogi nakreślonéj przez odwieczne prawa opóźniały osiągnięcie tego wzniosłego celu, były zatém zbyteczne i szkodliwe, zarówno dla jednostki, jak i dla ogółu. Wysiłek ów, natury czysto wewnętrznéj, polegał jedynie na rozwinięciu w człowieku wiedzy i woli, kosztem ciała i zmysłów [1]). Wiara w potęgę ascezy, w połączeniu z doktryną transmigracyi i karmy, uniemożliwiała także wszelkie pakty z istotami nadprzyrodzonemi; żaden demon indyjski nie kupiłby od człowieka duszy: niewolnik bowiem nie mógł sprzedawać swego pana.

W teraźniejszości kierowała duszą ludzką karma t. j. rezultaty działalności pokoleń wymarłych; przyszłość jéj zaś należała do generacyi, mających się dopiéro narodzić.

Kiedy bohater znanéj średniowiecznéj legendy Teofilus, chciał posiąść wysoki urząd kościelny, zawarł z dyabłem przymierze i zapłacił mu swoją duszą za pomoc i radę: kiedy król indyjski, Wiswamitra, zapragnął rzeczy niesłychanéj t. j. godności i władzy duchowéj bramina, nie prosił o pozwolenie nikogo i z nikim nie paktował, lecz począł się oddawać gorliwie praktykom pokutniczym przez

---

[1]) W przekonaniu indusów różne praktyki ascetyczne były nie tyle pokutą za grzechy, ile raczéj metodą trenowania, rodzajem edukacyi psychiczno-mistycznéj. Żyjąc w pewien specyalny sposób, człowiek rozbudzał w sobie drzemiące i ukryte siły duszy, a zwłaszcza wolę, zbliżał się przez to do przedwiecznéj, nieosobistéj duszy świata i mógł przez nią wywierać wpływ, i nie tylko na ludzi i materyę ale i na bogów. Teozofowie współcześni, podzielając wiarę indusów w tym względzie, propagują doktrynę mistycyzmu praktycznego, zawartą w staréj księdze Patanjalego p. t. „Yoga Sutra.“ Obecnie pojawiło się nowe wydanie téj księgi, opracowane *ad usum* europejczyków: „Yoga-Sutra at Patanjali. Translation with Introduction, Appendix and Note etc. Bombay, z funduszów Tow. Teozof.

lat tysiące. Rozwinąwszy w sobie przez to niesłychaną potęgę woli, zmuszał nią często bogów do spełniania najzuchwalszych swych życzeń, grożąc im, że w przeciwnym razie stworzy sobie własne niebo i własnych bogów!.. Przerażeni niebianie spełniali zawsze prośby Wiswamitry i mianowali go nawet braminem, co się zresztą, według pojęć indyjskich, wielkiemu pokutnikowi słusznie należało, jako nagroda za długie wieki szalonych umartwień i głębokich rozmyślań, które zeń zrobiły jakąś wyższą istotę.

W idealnéj i przeduchowionéj na wskroś atmosferze braminizmu nie mógł się zrodzić i rozwinąć taki Teofilus, Twardowski, lub Faust, ani wogóle żaden typ w rodzaju owych średniowiecznych epikurejczyków, co frymarczyli świadomie własnym duchem, oddając go na wieki w niewolę szatańską wzamian za nędzne widmo szczęśliwości ziemskiéj. Indus zbyt długo i usilnie wpatrywał się w bezmierną otchłań nieskończoności, a zarazem zbyt mało cenił dobra doczesne, by go podobne duchobójcze tranzakcye z potęgami złego nęcić miały. Zresztą, nietylko święty asceta, ale i nikczemny czarownik indyjski oddany krwawemu kultowi bogini, Kali, sam z siebie wydobywał i sam sobie tylko zawdzięczał moc czynienia rzekomych cudów, istoty nadzmysłowe bowiem muszą w Indyach słuchać ludzi silnéj woli, bez względu na ich wartość moralną. (Por. Malati i Madawa V, monolog czarownicy Kapalakundali).

Nic dziwnego więc, że najgłówniejszy i najjednolitszy przedstawiciel zła w poezyi indyjskiéj „Rawana,“ mogąc szkodzić ludziom tylko docześnie, nie wiecznie, na ciele tylko, nie na duchu, nie wzbudza w nas owéj demonicznéj grozy, jaka wieje od niektórych analogicznych postaci literatury europejskiéj. W „świętéj“ Ramayanie jeszcze, imponuje on jakąś żywiołową potwornością, jakąś tygrysią krwiożerczością i siłą; w późniejszych utworach atoli, a zwłaszcza dramatach, ucywilizowawszy się trochę, stracił Rawana nawet ową brutalną wielkość i, występując zawsze prawie jako pyszałkowaty, lecz nieszczęśliwy rywal pięknego i szlachetnego Ramy, zeszedł do śmiesznéj roli gburowatego i głupiego, a w dodatku pogardzonego zalotnika. (Por. dramaty: Bala-Ramayana, Anarga-Ragava, Janaki-Parinaja, Uttararamakarta).

Dla dokładności musimy tu wspomnieć o jednym jeszcze mniéj potężnym, ale ciekawszym dla nas może typie demona, który występuje w popularnym epizodzie Mahabharaty, opiewającym dzieje „Nala i Damajanti.“ Demon ów, imieniem Kali [1]), również wzgardzony

---

[1]) Nie należy go mieszać z boginią Kali, żoną Siwy.

rywal — demony indyjskie są wogóle, jak Asmodeusz biblijny, bardzo kochliwe [1]). — króla Nala, czatuje dwanaście lat na sposobność zemsty nad współzawodnikiem, aż wreszcie

Gdy Nala choć po moczu chodził, modły czynił,
Nie oczyściwszy się wprzód, wszedł weń Kali
(Przekł. Leciejewskiego).

i skłonił go do gry w kości, w którą Nala przegrał swoje królestwo i mienie. — Mamy tutaj ciekawy przykład kuszenia i opętania, chociaż celem jego jest tylko zemsta osobista, nie zaś chęć szerzenia zła dla zła samego, jak u dyabłów.

Drugą niemniéj ciekawą analogię, pomiędzy europejskim szatanem a Kalim dostrzegamy w chwili, kiedy ten wychodzi z ciała Nala i wstępuje w drzewo Wibhitaka [2]); przypomima to naszego ludowego Rokitę, mieszkającego w suchéj wierzbie. Na tem jednak kończy się te, zewnętrzne zresztą tylko, podobieństwo.

Poświęcając literaturze indyjskiéj tak dużo miejsca, uczyniliśmy to ze względu na jéj wybitne a zarazem wyjątkowe stanowisko w piśmiennictwie powszechném. Poezya indyjska jest jedyną estetyczną przedstawicielką niezmiernie głębokiego i oryginalnego poglądu na świat, poglądu w którym zasadnicza tożsamość zła i dobra przeprowadzone zostały z niesłychaną konswekwencyą i logiką; żadna z późniejszych doktryn panteistycznych nie zaszła tak daleko w szczegółach, oraz, co dla nas w téj chwili ważniejsze, nie wydała tak pięknéj i bogatéj literatury poetycznéj.

Absolutne przeciwieństwo doktryn i typów indyjskich spotykamy w religii i poezyi drugiego aryjskiego plemienia, a mianowicie: persów starożytnych. U Indusów zło było koniecznym wprawdzie, ale przejściowym objawem realizacyi bytu, objawem, który kiedyś, wraz z dobrém, musiał powrócić na łono wiecznego niebytu. U Persów zło nie jest identyczne z dobrém, ale stanowi żywioł zasadniczo od niego różny, zarówno naturą, jak i pochodzeniem. U Indusów Wisznu i Siwa, życie i śmierć — to dwa oblicza téj saméj potęgi twórczéj; u Persów zaś Ormuzd i Aryman [3]) — to dwaj zapaśnicy, walczący z sobą od wie-

---

[1]) Rakszasi (dyablica), Surpanaka, siostra Rawany, prześladuje swoją miłością Ramę.

[2]) Wibhîtaka — terminalia bellerica; epizod ten spotkaliśmy tylko w przekładzie Boppa; u p. Leciejewskiego wiersze odnośne są opuszczone.

[3]) O r m u z d i A r y m a n są to uproszczone formy imion, brzmiących w języku zwanym zend: *ahura-mazda* i *angra-mainju;* *ahura* vel *asura* było w pierwotnym języku aryjskim synonimem bóstw dobrych: po rozpadnięciu się Aryów na ró-

ków o władzę nad światem; kiedyś zwycięży podobno Ormuzd, ale do tego jeszcze bardzo daleko; tymczasem przeciwnicy mają siły prawie równe.

Światem, o który walczono, była przedewszystkiém ziemia i jéj mieszkańcy, człowiek więc stał się osiowym punktem mazdeizmu. Ponieważ choroby, głód, zimno, gady jadowite, drapieżne zwierzęta, owady dokuczliwe, bezużyteczne chwasty, słowem wszystko, co przynosiło szkodę zdrowiu, życiu i dobrobytowi człowieka, poczytywano za dzieło Arymana, gorliwemu czcicielowi Ormuzda przeto nie wystarczały, jak indusowi, same bierne cnoty: prócz modlitw, czystości i ofiar, jednym z najgłówniejszych obowiązków irańczyka była praca w najszerszém znaczeniu tego wyrazu. Pracując, wzmacniał on i rozszerzał władzę swego stwórcy i opiekuna, Ormuzda, zadając współcześnie ciosy potędze wspólnego wroga obydwóch, Arymana

·Kiedy ziarno zboża wschodzi, wówczas złe duchy syczą:
Kiedy kiełki wypuszcza, wówczas złe duchy kaszlą;
Kiedy szypułki rosną, wówczas złe duchy płaczą:
Kiedy grube kłosy wychodzą, wówczas złę duchy odlatują.

powiada jeden z ustępów Awesty, téj biblii energicznych i ruchliwych mieszkańców Iranu.

Oprócz maksym etycznych, hymnów religijnych i liturgicznych przepisów księgi Zend-Awesty, których przypuszczalnym autorem był Zoroaster (Zaratustra), zawierają mnóstwo legend i opowieści, stanowiących jak gdyby pojedyńcze rapsody olbrzymiego mityczno-dziejowego eposu irańczyków. Szczątki te, po wielu, wielu wiekach i po wielu nieudanych próbach [3]) zostały wreszcie zlane przez genial-

---

żne plemiona i sekty, wyraz ten zatrzymał w języku zend dawne znaczenie, kiedy u Indusów poczęto nim oznaczać potęgi złe, demoniczne; odwrotnie znowu ogólne miano bogów indyjskich D e w a s (promienni) służyło w Iranie, jako nazwa gatunkowa duchów złych, pomocników Arymana, z którymi walczyli sprzymierzeńcy Ormuzda, Amszaspanty. Ta oryginalna metateza terminów mitologicznych świadczy nietylko o rozdwojeniu, ale i o nienawiściach sekciarskich w łonie pra-aryjskiego plemienia,

[3]) Za prace poprzedzające, na których Firdusi oparł Szach-Name uważać należy: B a s t a n - N a m e — tradycye staroperskie zebrane z polecenia Chosroesa Nuszyrwana (531—578 po nar. Chr.), daléj Chodaj-Name. D a n i s z w e r a, (VII w.) ułożone w części wierszem przez Dakikiego (X w.). Większość tych dzieł pisana jest nowym językiem perskim zwanym P e h l e w i. Schach Name napisane zostało świeższą odmianą narzecza P a r s i, dyalektem D e r i. Ardaj Wiraf Name nie łączy się z tradycyą epiczną, lecz stanowi jakby dopełnienie Awesty, opisujące

nego wieszcza w jedną organiczną całość, znaną w dziejach literatury perskiéj pod tytułem „Księgi królów“ (Szach Nameh). Autor Abul Kasim Mansur (940—1020), obdarzony epitetem rajskiego (Firdusi), wyznawał wprawdzie wiarę Mahometa, żył jednak w epoce, kiedy dynastya Gasnawid'ów, dążąc do zupełnéj niezawisłości od Kalifatu, popiérała wszelkiemi siłami narodowościowe aspiracye Persów i starała się budzić zamiłowanie do legend i tradycyi starożytnych. Chociaż więc w opracowaniu tych podań wpływ islamizmu złagodził może cokolwiek jaskrawość dualizmu mazdejskiego, nie zdołał atoli zatrzéć go zupełnie i dla tego „Szach Nameh“ Firdusiego może być uważane za nieodrodny i prawowity, aczkolwiek spóźniony nieco wytwór kultury staro-irańskiéj. Głośny miłośnik i znawca literatury perskiéj, Fryderyk Schack, oświadcza wyraźnie we wstępie do swego przekładu „Księgi królów,“ że „nietylko jądro, ale i główne zarysy téj epopei są równie stare, jak i doktryny religijne księgi „Wendidad“ (I część Avesty)“ [1]).

Wiedząc już jaką wartość dla celu poszukiwań naszych ten poetyczny dokument posiada, możemy przystąpić do rozbioru odpowiednich części utworu Firdusiego.

Zaraz na wstępie spotykamy niezmiernie charakterystyczny epizod walki dwóch wrogich sobie pierwiastków etycznych, a mianowicie: dobrowolne przechylenie się człowieka na stronę żywiołu złego wzamian za korzyści materyalne. To, co nad Gangesem należało do niemożliwości, staje się w Iranie rzeczą zrozumiałą i prostą. Indus był filozofem i poetą, Pers zaś człowiekiem pracy i czynu; Indus gardził życiem, irańczyk je cenił. Ideał bohaterów indyjskich, Rama, pędzi życie ascetyczne, bohater Szach-Name, siłacz Rustem, słynie nie tylko z odwagi ale i z—apetytu. Poszanowanie życia i pracy musiało wyrodzić pewien materyalizm praktyczny, pewną cześć dla rzeczy i dóbr doczesnych; od tego zaś do chęci osiągnięcia ich łatwiejszym, choćby nieprawym sposobem — droga niedaleka. Rycerze irańscy, nawet najznakomitsi, nie gardzą w pojedynkach podstępami wojennemi: wielki Rustem np., nie mogąc po długim boju zwyciężyć królewicza, Isfendiara, zabija go wreszcie zaczarowaną strzałą i ocala tym sposobem pozory swojéj sławy rycerskiéj, narażając współcześnie na

---

w formie wizyi (znowu poprzednik Dantego!) podróż po świecie zagrobowym z wyszczególnieniem kar za różne grzechy i nagradza cnoty.

[1]) Kiedy Firdusi umarł, miejscowy duchowny mahometański odmówił posługi religijnéj „poecie, który wysławiał czyny czcicieli ognia“ t. j. mazdejczyków; anegdota powyższa maluje najlepiéj ducha i charakter „Księgi królów.“

szwank przyszłość pogrobową. Podobnych faktów, świadczących o pewnéj przewadze życia meteryalnego nad życiem duchowém, można odnaleźć w poemacie Firdusiego sporą garsteczkę. Dodajmy teraz do tych żywiołów wiarę w pozytywne, realne istnienie zła, które, uosobiwszy się w postać silnego władcy, dąży do zapanowania nad światem, a zrozumiemy, że myśl dobrowolnego sojuszu z Arymanem mogła się łatwo nasunąć wyobraźni irańczyka.

Już w Zend-Aweście spotykamy ciekawy epizod kuszenia Zoroastra: „Wyrzecz się — powiada do niego Aryman — zakonu świętego, zakonu mazdejskiego, a osiągniesz szczęście, jakie osiągnął już Wadhagna (?), władca krajów licznych“ (Wendidad, Farg. XIX). Prorok Zoroaster, jak wielu późniejszych świętych zesłańców bożych, oparł się naturalnie pokusom złego ducha. Inaczéj atoli postąpił sobie Zohak, książe arabski, dla którego władza i potęga ziemska posiadały urok niewysłowiony. Zły duch Iblis [1]) rzekł do niego: „podniosę głowę twoją ponad słońce, ale musisz zawrzéć ze mną przymierze.“

I Zohak zawarł przymierze z duchem złym, i, zamordowawszy przy jego pomocy własnego ojca, został królem. Wtedy Iblis, zmieniwszy się w pięknego młodzieńca, wstąpił do służby Zohaka, a chcąc swego sprzymierzeńca zrobić odważnym i silnym, karmił go krwią. Wreszcie, widząc, że posiada życzliwość władcy, zapragnął złożyć pocałunek na jego ramionach, a uzyskawszy na to pozwolenie, przycisnął dwa razy usta do ramion królewskich i — zniknął. Z miejsc, których dotknęły przeklęte usta, wyrosły raptem dwa olbrzymie, czarne węże. Zohak kazał je obciąć, ale wstrętne gady pojawiły się na nowo. Wtedy Iblis-Aryman, pragnąc zgładzić plemię człowiecze ze świata, przybiéra postać lekarza i radzi Zohakowi, żeby pokarmem ze świéżych mózgów ludzkich łagodził wściekłość potworów, wijących się u jego ramion. Zohak posłuchał téj rady i, zdobywszy władzę nad Iranem, którego króla, Dżemszyda, strącił poprzednio z tronu, gnębił i mordował przez lat tysiące wyznawców dobrego boga, dopóki młody, szlachetny Feridun, prawnuk zdetronizowanego

---

[1]) Téj arabskiéj nazwy złego ducha, równoznacznéj zresztą zupełnie z imieniem i pojęciem Arymana, użył tutaj Firdusi dla tego może, iż zgodnie z tradycyą zrobił Zohaka cudzoziemcem, Arabem, nie przypuszczając by bohater irański zdolny był do podobnych grzechów, nawet za cenę korony. Zohak vel Aszadak jest groźnym wężem trójgłowym, Ashi-Dahaka Zendawesty, zesłanym przez Arymana na zagładę światu. Zabójca jego Thraetona zamienił się powoli w Phreduna, z czego powstał Feridun „Księgi królów“ (por. Schack Heldensagen des Firdusi 17).

monarchy, nie położył końca zbrodniom tego krwiożerczego Fausta z czasów przedhistorycznych. Zwyciężywszy wężoramiennego potwora, przykuł go Feridun, z rozkazu anioła Serusza, do skały, w głębi jednéj z rozpadlin Demawendu („łysa góra“ Persów).

Tak brzmi prastara historya o pierwszém przymierzu człowieka z szatanem. Jest ona o wiele poetyczniejsza od wszystkich późniejszych legend analogicznéj treści. Tytaniczna postać Zohaka przewyższa nieskończenie marne figurki kleryków i doktorów średniowiecznych, zużywających drogo nabytą potęgę na bawienie gawiedzi jarmarcznéj sztukami kuglarskiemi [1]). Zohak króluje na tronie świata: Faust wyjeżdża na beczce wina z piwnicy Auerbacha; Zohak, skrępowany łańcuchami przez dzielnego bohatera, rzuca się w głębi pieczary skalistéj: Twardowskiego porywają dyabli kominem. W tych charakterystycznych szczegółach przebija się wyraźnie cała wyższość lotnéj fantazyi Wschodu nad grubą, ciężką wyobraźnią Północy. Pomysł przypieczętowania aktu przymierza złowrogim pocałunkiem szatańskim piękniejszy jest również od sławnych cyrografów na „byczéj skórze,“ malujących tak doskonale społeczeństwo, w którém zasuszony jurysta zaczynał już brać górę nad bohaterem, a „litera“ górowała nad „duchem!“ Jakże wspaniałą w swéj grozie jest straszliwa współka z wężami, czyniąca Zohaka jednocześnie ofiarą i katem! Albo owa ohydna „frenofagia,“ owo rzucanie w wiecznie otwarte, głodne, syczące paszczęki zła żywych mózgów ludzkich! Wszystkie te rysy, traktowane przez Firdusiego wyłącznie opisowo, tyle posiadają żywotności poetycznéj, że pod piórem jakiegoś poety-filozofa mogłyby się dziś jeszcze przerodzić w głębokie i wyraziste symbole różnych procesów psychiczno-społecznych.

Co do samego uosobienia zła w postaci Iblisa, to nie odbiega ono zbytecznie od późniejszych typów. Główna różnica pomiędzy nim, a szatanem polega na tém, że celem dążeń Iblisa jest, nie tyle owładnięcie duszą samego Zohaka, ile raczéj chęć zrobienia z niego narzędzia zagłady ludzkości, któréj, jako czcicielki Jasdana [2]) nienawidzi. Po zatém, Iblis zachowuje się tak samo, jak wszystkie demony: przybiera różne łudzące kształty, zmienia je w razie potrzeby, oszukuje, kłamie i t. p. Ponieważ jednak jest złym z natury, a nie został nim dopiéro przez upadek, nie ma w jego charakterze ani jednego

---

[1]) Mamy tu naturalnie na myśli legendy pierwotne, ludowe, nie zaś ich późniejsze, wyidealizowane opracowania.

[2]) Jasdan — nowoperski synonim Ormuzda, jak Iblis-Arymana.

z rysów, które u europejskich typów upadłego archanioła przypominają jego szlachetne pochodzenie.

Wróćmy jednak do poematu. Uwięzienie Zohaka nie zmieniło skutków grzesznego czynu. Zły duch, zyskawszy raz dostęp na ziemię, nie przestał na niéj gospodarzyć. Cała pierwsza, mityczna część epopei Firdusiego — to opis walki dobra, którego rycerzami są irańczycy, ze złém, reprezentowaném przez turańczyków. Walka ta odbywa się na ziemi, ziemskiemi więc toczy się przeważnie środkami. Wpływy nadzmysłowe mniejszą tu, niż w epopeach indyjskich, odgrywają rolę. Od czasu do czasu jednak istoty nadprzyrodzone biorą same bezpośredni udział w zapasach ludzkich. Najbogatszym w podobne epizody jest ustęp o wyprawie Kai Kawusa do Masenderanu, państwa czarowników i czarownic, zostającego pod specyalną opieką Diwów, czyli złych duchów. Kai Kawus, szach Iranu, dał się nakłonić pokusom Diwa, który, chcąc zgubić króla i państwo, przybrał postać pieśniarza i zaczął opiewać cuda zaczarowanéj krainy. Wyprawa naturalnie nie powiodła się wcale. Za sprawą złych duchów, wojsko zostało wzięte do niewoli, Kai Kawus zaś oślepł zupełnie. Wtedy przybywa irańczykom na pomoc bohater, Rustem, i idzie szukać głównego winowajcy, strasznego Diwa, Sefida, jednéj z najwybitniejszych, obok Iblisa, figur demonicznych w poemacie. Wszedłszy do jakiegoś ciemnego wąwozu Rustem rozgląda się dokoła

I widzi ciało podobne do góry,
O czarnéj twarzy i grzywiastym karku;
Powierzchnia ziemi zda się dlań zbyt małą —
To był Diw, Sefid, który, leżąc, drzémał [1]).

Obudzony krzykiem Rustema demon zrywa się

Hełmem i zbroją okryty miedzianą;
Głazem olbrzymim machając w powietrzu,
Ku Rustemowi podąża z wściekłością.

Na widok tego potwornego zjawiska, Rustem uczuł strach w sercu, po chwili jednak, odzyskawszy odwagę rzucił się z mieczem na Diwa i, po długiéj a ciężkiéj walce, zabił go, a wyjąwszy mu z piersi serce, zabrał je z sobą, by krwią Sefida przywrócić wzrok ociemniałemu królowi. — Chociaż ten groźny bojownik Arymana ginie z ręki ludzkiéj, nie przynosi to wielkiéj ujmy jego demonicznéj naturze. Rustem bowiem, to także nie zwyczajny człowiek, lecz bohater, obda-

---

[1]) Przy cytatach podajemy zawsze nazwisko tłómacza, brak téj wzmianki oznacza, że przekładu dokonaliśmy sami.

rzony nadprzyrodzoną prawie odwagą i siłą. Swoją drogą, zarówno postać Sefida, jak i wiele pokrewnych, traktowana jest przez Firdusiego dość antropomorficznie. Wobec tego jednak, że główną zaletą bohaterów była w Iranie siła fizyczna, poeta nie mógł zbytecznie idealizować demonów, to bowiem uniemożliwiłoby wszelkie bezpośrednie starcie się człowieka z nimi. W legendach europejskich biją ludzie dyabłów, nie siłą, lecz dowcipem, sprytem i wykrętami prawnemi; Persowie starożytni byli na to zbyt prości i naiwni. Tenże sam zuchwały Kai Kawus np., co otrzymał z łaski demonów straszne cięgi w Masenderanie, daje się mimo to znowu skusić Diwowi, przeobrażonemu w postaci pięknego młodzieńca, do wyprawy powietrznéj przeciwko niebiosom i, ku wielkiéj radości Arymana, spada wraz z zaprzężonym w orły wozem na ziemię i łamie sobie kilka żeber. O ile więc nie przychodzi do walki na pięści, złe duchy perskie zachowują się zupełnie tak samo, jak ich zachodni współbracia. Bo téż nie mało pierwiastków Parsizmu przeszło do Europy, już to przez pośrednictwo żydów, już téż z herezyą Maniego, który, pragnąc utworzyć jakąś powszechną religię, połączył mazdeizm z chrystyanizmem i, ku wielkiemu zmartwieniu Ś. Augustyna oraz innych Ojców kościoła zakaził swoją synkretyczną doktryną mnóstwo umysłów. Manicheizm przytłumiono wprawdzie, wpływ jego atoli czuć było długo w Europie; najsilniéj ujawnił on się pomiędzy XI—XIII wiekiem w doktrynach sekt Bogumiłów, Katarów i Albigensów, których Inkwizycya Ś-ta tępiła ogniem i mieczem.

Wierzenia religijne Persyi stanowią zupełny kontrast z poglądami jéj zwycięzkiéj przeciwniczki, Grecyi, która składała wprawdzie niekiedy ofiary bóstwom złośliwym, nie znała jednak żadnego nadludzkiego wcielenia „zła.“ Ten bezwzględny brak dualizmu zbliża cokolwiek zabarwiony panteistycznie politeizm Hellenów do religii ich aryjskich krewniaków z dolin Gangesu i Jamuny.

Mytologia indyjska jednak, stojąc o wiele niżéj od greckiéj pod względem estetycznym, przewyższa ją znacznie na punkcie filozoficznego symbolizmu. Dla Indusa istniała tylko nieskończoność, Grek obracał się najchętniéj w granicach skończonego, ziemskiego bytu. U Indusów wszystko, nie wyłączając zła, stanowiło emanacyę najwyższego, nietylko nadziemskiego, lecz i nadniebiańskiego jestestwa; u Greków zarówno ludzie, jak i bogowie, byli ostatecznie dziećmi, albo wnukami pramatki-ziemi (Gei), która wyłoniła się sama z odwiecznego chaosu. Teogonię i kosmogonię indyjską możnaby nazwać ze Słowackim „genezą z ducha“ — grecką zaś—„genezą z materyi.“ Oba te systematy atoli posiadają jednolitość wewnętrzną, w obu więc nie było miejsca na dualizm etyczny. Szczyt Olimpu jednak nie górował tak

wysoko nad światem, jak niebotyczne wierzchołki Himalajów! Bogowie helleńscy, reprezentujący głównie prawa i potęgi moralne, żyli w większéj zażyłości z człowiekiem, niżeli metafizyczno-kosmiczne abstrakcye indyjskie, które, chcąc obcować z ludźmi po ludzku, musiały się dopiéro materyalizować i odziewać w szaty cielesne (awatar). Ten poufały stosunek ze światem nadzmysłowym nadał helleńskiéj mitologii pewien charakter harmonii i pogody, którą przecudownie określił Musset w swoim ślicznym wstępie do „Rolli,“ zaczynającym się od słów:

Regrettez-vous le temps où le ciel sur la terre
Marchait et respirait dans un peuple de dieux...

a zakończonym minorową nutą żalu nad tém, że smutne „dziś“ tak niepodobne do wesołego „wczoraj,“ kiedy to „niebo chodziło po ziemi, wcielone w cały lud bogów...“

Où le monde adorait ce qu'il tue aujourd'hui,
Où quatre mille dieux n'avaient pas un athée,
Où tout était heureux, excepté Promethée,
Frère ainé de Satan, qui tomba comme lui —

Musset doskonale odczuł i oddał ogólny charakter jasnego światopoglądu helleńskiego, popełnił atoli w niektórych szczegółach błędy. Myli się poeta, twierdząc, że w Grecyi na cztery tysiące bogów nie było ani jednego ateisty, myli się również, nazywając Prometeusza „starszym bratem szatana.“ Że tkwi w tych postaciach jakiś pierwiastek wspólny — rzecz niewątpliwa; pokrewieństwo atoli nie jest jeszcze tożsamością, ani braterstwem. Musset, a przed nim i po nim wielu innych, patrzył na szatana przez pryzmat bajronizmu, który, jak to zobaczymy późniéj, dążył do deifikacyi upadłego archanioła i lubił go przeciwstawiać, niby chrześciańskiego Prometeusza, nieubłaganym potęgom niebieskim. W gruncie rzeczy jednak, po za samym faktem buntu i kary, nic w ortodoksyjnym szatanie nie przypomina helleńskiego męczennika. Szlachetny Tytan nie zgrzeszył i nie upadł, lecz tylko uległ przemocy równych sobie istot nieśmiertelnych, główną zaś pobudką jego czynów nie była, jak u szatana, nienawiść, lecz miłość ku ludziom. „Li na biednych śmiertelników — powiada on u Eschylosa —

Zeus nie ma względu. Owszem ludzki ród ze szczętem
Wytępić pragnął i odchować nowy;
Nikt, okrom mnie, zamiarom tym się nie przeciwił,
Jam jeden się odważył i śmiertelnych zbawił...
Dlatego mnie katusze takie udręczają!
Bolesno jest je znosić, przykro patrzéć na nie!

Za to, żem czuł nad ludźmi litość, sam się stałem
Niegodny jéj zupełnie...[1]).

Tak mógł przemawiać tylko geniusz opiekuńczy ludzkości, nie zaś książę ciemności i grzechu! Zresztą zarówno ten, jak i wiele innych dysonansów myśli i poezyi greckiéj, rozwiązuje się harmonijnie: Prometeusz, rozpętany przez Herkulesa, godzi się z Zeusem, któremu przecie sam dopomagał kiedyś do utrzymania władzy, walcząc po jego stronie z tytanami i gigantami.

W postaciach tych bogobórców, strąconych gromem do głębi Tartaru, dopatrywano się także podobieństwa z dyabłem, ale równie niesłusznie.

Tytani i Giganci, przodkowie i krewni Zeusa, wyobrażali owe pierwotne, niesforne wprawdzie i dzikie, nie złe jednak bynajmniéj, siły natury, które światły rozum ujął przemocą w karby. Cała ta wojna zresztą odbyła się raz tylko, przed wiekami, i już się prawdopodobnie nie wznowi, kiedy walka Ormuzda z Arymanem i potęg niebieskich z dyabłem trwać będzie do końca świata. — Więcéj analogii dopatrzéć można w Hadesie i podwładnych mu bogach piekielnych.

U Homera Hades występuje przedewszystkiém jako władca podziemnego państwa i przedstawiciel śmierci bezlitosnéj, która dla rozmiłowanego w życiu Greka, optymisty, była czémś najgorszém na świecie, kiedy pesymista, indus, uznający byt za złudzenie tylko, wzdychał do niéj, jak do kochanki.

.... Hades przebłagać się nie da,
To też go ludzie ze wszystkich bogów najwięcéj niecierpią.

powiada w IX pieśni śpiéwak Iliady. W Odysei zaś rozmowa Ulisesa z cieniem Pelida daje nam ciekawy komentarz do poglądu Greków na życie pozagrobowe. Jak bóg — powiada do Achillesa Odyssej —

czczony byłeś ty na ziemi
A dziś, będąc w Hadesie, trzęsiesz umarłymi,
Przeto nie masz ty czego na swój zgon narzekać
Rzekłem; on z odpowiedzią nie dał na się czekać.
Odyssie! ty chcesz w śmierci znaleźć mi pociechę?
Wolałbym do dzierżawcy iść pod biedną strzechę
Na parobka i w roli grzebać z ciężkim znojem,
Niż tu panować nad tym cieniów marnych rojem!
(prz. Siemieńskiego).

Prócz cieniów zmarłych, przebywały w królestwie Hadesa podwładne mu bogi chtoniczne, pośród których najwięcéj dla nas intere-

[1]) Tragików greckich cytujemy według przekładu Węclewskiego.

su przedstawiają groźne Erynny (Furye), boginie zemsty i kary. Według Hezyoda (Theodyc, 183) zrodziła je ziemia, zapłodniona krwią Uranosa, którego syn jego, Chronos, podstępnie okaleczył. Dla tego też prześladują one głównie ojco- i matkobójców. W takim charakterze występują te bóstwa we wspaniałéj trylogii Eschylosa „Orestesa." Na początku trzeciéj części (Eumenidy), widzimy je śpiące w świątyni Apollina delfickiego, pod którego opiekę udał się Orestea, zamordowawszy z rozkazu boga mężobójczą swą matkę, Klitemnestrę. Cień zabitéj budzi śpiące mścicielki, które skarżą się gorzko na Apollina za to, że chroni Orestesa przed ich sprawiedliwą karą:

Synu Zeusa, ach! biada, chytrych się chwytasz dróg,
Nas, sędziwe boginie, depczesz ty, młody bóg!
Zbieg, bezbożnik, przeklęty syn jest u ciebie w czci!
Tyś bogiem, a wykradłeś zabójcę matki mi! (142—145).

Dopominają się o zbrodniarza, jako o swoją własność, one bowiem, „sędziwe boginie," bronią dawnego, matryarchalnego porządku społecznego, który Orestes pogwałcił. Apollo zaś, „młody" namiestnik Zeusa, reprezentuje układ nowy, oparty na władzy patryarchalnéj, ojcowskiéj, i dlatego to rozkazał on synowi pomścić śmierć ojca na matce. Nie mamy tu więc sporu anioła z dyabłem o duszę grzesznika, tylko, jak w Antygonie Sofoklesa, konflikt dwóch praw, zakończony, nie walką orężną, lecz wyrokiem areopagu. Orestesa sąd uniewinnia połową głosów, groźne zaś boginie piekieł zostają ułagodzone obietnicą wiecznéj czci w grodzie ateńskim, któremu, już jako dobroczynne „Eumenidy," błogosławią. I znowu, helleńskim obyczajem, z rozdźwięku powstaje—harmonia!

Eumenidy ujawniają przedewszystkiém charakter nieubłaganych wykonawczyń sprawiedliwości.

Ha! radość sprawiają nam słuszne wyroki,
Bo z czystém kto sercem dłoń czystą wynurzy,
Nasz mściwy gniéw temu da pokój głęboki,
Ten życie przepędzi bez burzy.
Lecz jeśli kto zgrzeszy, jak człowiek ten oto,
I kryje dłoń zbójczą, my zgasłych świadkowie,
Jawimy się zaraz, mszcząc zbrodni z ochotą,
Aż zgonem swym za krew odpowié! (300—7).

Jak katów na ziemi atoli, pomimo, że są potrzebni, ściga pogarda ludzka, tak te „suki Hadesu, zaszczuwające na śmierć zbrodniarza," nie cieszyły się sympatyą bogów i skazane były na wieczne osamotnienie:

I ta nam od powicia dola przeznaczona,
Z nieśmiertelnymi nigdy społem nie przebywać.
Nikt także nie podziela uczt naszego grona
I białe szaty Moira wzbroniła nam wdziewać! (326—9)

W czasach późniejszych, kiedy wiara Greków osłabła, Eurypides sprowadza w swoim „Orestesie“ te „dzikie piekieł kapłanki, okropne straszydła“ do zwykłych widm wyobraźni, do halucynacyi, dręczących mózg zbrodniarza, zmęczony bezsennością (235 — 260). Tenże sam poeta jednak, nie odznaczający się, jak większość sceptyków, konsekwencyą, a lubiący przytém efekty sceniczne, wprowadza do swego „Heraklesa szalonego“ oryginalną postać piekielną, a mianowicie: jędzę szaleństwa, córkę Uranosa i Nocy, Lyssę, która, zmuszona przez Herę do obłąkania umysłu bohatérskiego syna Alkmeny, narzeka na los i krytykuje swoich rozkazodawców:

Urząd wśród bogów mam niezazdroszczony
I napadam niechętnie ludzi sobie miłych.
. . . .
Helios mi świadkiem, czyn ten przeciw woli spełniam,
Gdy Herze służyć muszę koniecznie...

Mówiąc o władcach piekielnych, niepodobna pominąć jedynego panującego bóstwa dawnéj dynastyi, królowéj nocy i kierowniczki czarodziejskich potęg przyrody, trójlicéj Hekaty, któréj słuchały wszystkie widma mroku (Empuzy u Greków, Larwy, Manie, Lemury u Rzymian), a którą czciły słynne i piękne czarownice starożytności: nieszczęśliwa Medea, przewrotna Cyrce, oraz ohydna nekromantka Erichto z „Farsalii“ Lukana. Do istot złośliwych trzeba zaliczyć także i podstępną, a niewyjaśnioną dotąd dokładnie Atę,

Córę Diosa najstarszą, co szkodzi ludziom wszelakim,
Zgubna; ona ma nogi leciuchne i wcale się ziemi
Nie dotyka, lecz owszem, nad ludzi głowami się wznosi,
Żeby im szkodzić; wplątała już niejednego do zguby.
(Ilias, XIX, 91—95, tłóm. Popiela).

Ona tumani i wadzi ludzi ze sobą; ona to, nietylko pogniewała Agamemnona z Achillesem, ale nawet podeszła samego Zeusa w kwestyi pierworodztwa Herkulesa. Za to téż gniewny król Olimpu

Zaraz Atę pochwycił za jasne sploty warkoczów,
W duszy zrażony do żywa i straszną wykonał przysięgę,
Że do Olimpu już nigdy i niebios o stropie gwiaździstym
Ate napowrót nie wejdzie, co wszystkim szkodę wyrządza.
Tak powiedziawszy, ją strącił z niebieskich wyżyn gwiaździstych,
Dłoni zamachem potężnym—ta spadła na dzieła ludzkości.
(Ilias, XIX, 126, 132).

W istocie téj, która szerzy zło bez żadnego innego celu nad samą przyjemność dokuczania ludziom i bogom, tkwi rzeczywiście coś szatańskiego, fakt zaś strącenia jéj z niebios na wieki przez najwyższego boga, analogię tę jeszcze powiększa. Ciekawa ta figura jednak tylko u Homera ma ten mefistofeliczny charakter. Późniejsi poeci nietylko go nie rozwinęli, ale nawet przytłumili, czyniąc z Aty jakąś boginię klątwy, podobną do Nemezydy, oraz do surowych, ale sprawiedliwych Eumenid.

Zeusie, który z pod ziemi zmroku,
Na przestępstwo ręki zuchwałéj
Zsyłasz z chłostą nierychłą Atę,
Daj za ojca równą zapłatę.

śpiéwa w eschylosowskich Choeforach osierocona Elektra (w. 391—4).

I nic dziwnego, postać, wyobrażająca jakieś zło absolutne, pozbawione dodatnich celów, nie mogła się utrzymać długo w harmonijnym świecie greckim, gdzie najstraszliwsze potwory i zbrodnie dawały nieraz początek najpiękniejszym, najszlachetniejszym istotom: z posoki ohydnéj Meduzy wyskoczył Pegaz skrzydlaty, który dopomógł Bellerofonowi do zgładzenia Chimery; krew zaś rannego Uranosa dała życie nietylko wężowłosym Furyom, ale i uroczéj Afrodycie...

Poezya rzymska, będąca głównie odbiciem greckiéj, nie zawiera nowych żywiołów demonicznych [1]).

Spotykamy tu też same figury, o grubszych tylko, surowszych i gminniejszych rysach. Ponure „suki sprawiedliwości“, Eumenidy, straciły u poetów rzymskich ów szlachetny charakter obronicielek „starego prawa“ przeciwko „młodym“ bogom, a zeszły do rzędu zwykłych, brutalnych oprawczyń, które dręczą grzeszników w piekle. Wirgiliusz w VI księdze „Eneidy“ opowiada, jak

Mścicielka Tyzyfone zaraz chłosta bicze.
I padalcami ciała udręcza zbrodnicze... (przekł. Dmochowskiego).

Owidyusz zaś kreśli w „Ibisie“ stokroć okropniejszy obraz czynności Furyi (181—185):

Jedna z nich biczem potężnym bok ci rozpłata, byś wyznał
Grzechy twe wszystkie, a druga, odda twe ciało przecięte
Na pastwę żmij i padalców, co żyją w głębi Tartaru;
Trzecia do żaru przyłoży twoje oblicze dymiące, etc.

---

[1]) Wyrazu „demoniczny“ używamy tu w znaczeniu współczesném, w starożytności bowiem „dajmon“ oznaczał każdą istotę nadzmysłową, pośrednią pomiędzy bogami a ludźmi, i to bez względu na jéj wartość etyczną. Były więc agato-dajmony i kako-dajmony.

Od tego już niezbyt daleko do katusz piekła Dantejskiego! W Hadesie Homera podobnych obrazów nie spotykamy. Wogóle, kary zdają się tam dotykać tylko wiekich bezbożników, jak Syzyf, co śmierć spętał, Tantal, co kusił potęgę i wiedzę bogów, Iksyon, który pożądał wdzięków Junony, Danaidy i t. p. I tych jednak nie torturują tam furye, lecz oni sami się dręczą wykonywaniem jakiéjś bezcelowéj roboty (toczenie kamieni na wierzch skały, napełnianie próżnych beczek), lub téż niemożnością zaspokojenia żądz i potrzeb cielesnych. Co prawda, pomiędzy Homerem a Wirgilim i Owidyuszem, leżą zabarwione oryentalnym mistycyzmem doktryny Platona o nieśmiertelności, transmigracyi, doskonaleniu się i upadku dusz ludzkich! Autor „Eneidy" wyraźnie przecie oświadcza się za doktryną metempsychozy, kładąc w usta Anchizesa opowiadanie o duchach, co piją Letejską wodę,

„aby straciwszy pamięć tego, co się stało,
Wyszły na widok światła przybrać nowe ciało!"

Prócz wymierzania kar grzesznikom, Furye rzymskie pełnią także czynność siepaczy w służbie mściwych bogów, a zwłaszcza bogiń. Jedną z tych jędz, Tyzyfonę, co

Na spiżowéj zaporze siedząc przed więzieniem,
Węże z włosów żelaznym czesała grzebieniem,
(Ow. IV, 456, prz. Kicińskiego).

wysyła Juno z głębi otchłani, by obłąkała umysł króla Teb, Atamasa, i żony jego, Inony, za szerzenie kultu Bachusa. Druga Alekto, któréj

serce okrutne
Same przemyśla zdrady, gniewy, wojny smutne (Enei, VII)

wychodzi z polecenia małżonki Jowisza na ziemię, by siać niezgodę pomiędzy ludźmi. Obie spełniają rozkazy chętnie, pędząc na świat „niby strzały zatrute, niosące cios nieuleczony" (Enei, VII). Żadna z nich nie skarży się, jak Eurypidesowa Lyssa, na swój przykry urząd— i to zbliża je niezmiernie do naszego szatana, chociaż uległość rozkazom bogów i podrzędność stanowisk analogię tę sprowadza do małych bardzo rozmiarów.

Streszczając teraz wszystko, cośmy powiedzieli o satanicznych pierwiastkach literatury klasycznéj, dochodzimy do wniosku, że wiele pojedyńczych stron charakteru dyabła miało tam luźne odpowiedniki, których suma jednak nie równoważy wcale ponuréj postaci chrześciańskiego szatana, jak zcałkowanie wszystkich władców Olimpu, podległych konieczności, oraz ograniczonych przestrzenią i czasem,

nie zdołałoby wytworzyć pojęcia przedwiecznego, swobodnego i nieskończonego Jehowy.

Swoją drogą jednak, z chwilą, kiedy zatryumfowała nowa wiara, a religia Rzymian i Greków uznaną została za dzieło piekielne, jéj bogowie zaś za dyabłów, wiele, bardzo wiele pojęć mytologicznych wsiąkło do wyobraźni poetów i ludu, by odżyć tam, jako atrybuty szatana. Połowa opisu piekła u Dantego i Tassa oparta jest na zmodyfikowanych reminiscencyach mitologii klasycznéj!

II.

Szatan w literaturze ludów monoteistycznych: Księgi starego i nowego Przymierza.—Apokryfy.—Talmud i kabała.—Koran.—Powieści arabskie. [1])

„Nie będziesz miał bogów innych przedemną“ — tak brzmiało najpierwsze i najważniejsze przykazanie religii starożytnych Hebreów. Mówimy umyślnie „starożytnych“, ponieważ późniéj, zwłaszcza po niewoli babilońskiéj, oraz rządach perskich i macedońskich, lud izraelski przyswoił sobie mnóstwo pierwiastków nowych, które, nie zmieniając do gruntu wiary przodków, zbrukały jednak jéj czystość pierwotną i dały początek rozlicznym spekulacyom uczonych i rabinów. Ze spekulacyi tych wyrosły powoli systematy Talmudu i Kabały, wywierające do dziś dnia przemożny wpływ na wiarę i charakter rozlicznych sekt żydowskich.

Dla szczerego wyznawcy Mojżesza i Proroków istniał tylko jeden Bóg, Jehowa, czy też, jak go czytają współcześni filologowie, Jahwe, który nietylko sam stworzył świat z niczego, lecz sam także nagradzał i karał swoich czcicieli, obdarzając ich, stosownie do zasług, dobrem, lub złem, rozkoszą, lub bólem. Tak bezwzględny i surowy monoteizm nie dopuszczał innych samodzielnych potęg, wrogich najwyższemu Bogu. To też w księgach starego zakonu szatan odgrywa rolę bardzo podrzędną. Jest tam dosyć wzmianek

---

[1]) Prócz wymienionych poprzednio, korzystaliśmy jeszcze z następujących książek: „Biblia“ (według edycyi Biblii gdańskiéj w r. 1632 wydanéj ułożona, Królewiec, 1823). „Die Bibel nach der deutschen Uebersetzung“ dr. Martin Luthers; Ignacy Radliński, „Epigrafika kanaańska i literatura hebrajska“, „Prorocy hebrajscy“, „Początki nowéj ery“; Dillmann, „Das Buch Henoch“, Gustaw Roskoff, „Geschichte des Teufels“; Georg Längin, „Die biblischen Vorstellungen vom Teufel und ihr religiöser Werth“; Ad. Franck, „La Kabbale ou la philosophie religieuse des Hebreux“; Mahomet, „Le Koran“, traduction par M. Kasimirski; „Tausend und eine Nacht“, arabische Erzählungen zum erstenmale aus dem Urtext vollständig und treu uebersetzt von Dr. Gustaw Weil. Stuttgart, 1889.

o duchach nieprawości, dyabeł jako indywiduum atoli występuje rzadko. Jeżeli więc krytyk-teolog znajdzie dla siebie w Biblii sporo materyału egzegetycznego, to krytyk-literat, pomijający religijną stronę zła, a badający tylko jego psychologiczno-estetyczne przejawy, nie obfite zbierze w tych księgach żniwo.

Pokazawszy się w trzecim rozdziale Genezy, jako słynny wąż-kusiciel, znika szatan na dłuższy czas z horyzontu biblijnego [1]). Zagadkowy Azazel (Lew. XVI, 7—11; 20—22), przebywający, jak Set egipski, na pustyni i otrzymujący rok rocznie żywego kozła, obciążonego grzechami ludu, nie został bliżéj tekstem określony. Jedni widzą w nim jakiegoś starego bożka ludowego, inni zaś demona pokrewnego tym, o których wspomina Izajasz (XIII, 21 i XXXIV, 14), malując obraz ruiny Babilonii i Edomu:

„Ale tam zwierz odpoczywać będzie, a domy ich bestyami napełnione będą i będą mieszkać tam sowy, a pokusy tam skakać będą.“ — „Tam się będą potykały dzikie zwierzęta z koczkodanami, a pokusa jedna drugiéj ozywać się będzie; tam leżéć będzie jędza (Lilith), a znajdzie sobie odpocznienie.“

Postaci te, których imiona Vulgata tłómaczy wyrazami Daemonia i Lamia, Luter zaś przez *Wald-* i *Feldteufel*, oraz *Kobold*, przypominają nasze boginki, wiedźmy i strzygi. Nie są to właściwie dyabły, lecz zwykłe widma i strachy, pląsające nocą wśród ruin i pustek. Podobne szczątki animistycznego poglądu kołaczą się zawsze i wszędzie wśród niższych warstw każdego narodu, choćby ten najwznioślejszą wyznawał religię. Dowodem bogate demonologie chłopów u nas, w Bretanii, Niemczech, etc. Izajasz, przemawiając do ludu prostego, czerpał porównania ze skarbca wyobrażeń i pojęć ludowych. Wogóle jednak zarówno on, jak i inni prorocy szerzyli tak

---

[1]) Ponieważ tekst nazywa kusiciela wprost wężem, „chytrzejszym nad wszystkie zwierzęta polne, które był uczynił Pan“, wielu sekciarzy i teologów twierdziło przeto, że pomiędzy nim a potęgami złego nie ma żadnego związku. Toż samo zdanie wygłosił Byron w przedmowie do „Kaina“ i Słowacki w „Liście do Rembowskiego“. Ze względu jednak na chytrość słów kusiciela i opłakane skutki jego złośliwych rad, należy przypuścić, że autor „Genezy“ uważa go za coś więcéj, niż zwykłego węża. W księdze „Mądrości“, napisanéj znacznie późniéj, bo na jaki wiek przed Nar. Chr. znajdujemy pierwszy ustęp, identyfikujący wyraźnie węża rajskiego z szatanem: „albowiem Bóg stworzył człowieka ku nieskazitelności — ale z nienawiści dyabelskiéj śmierć weszła na świat“ (II, 23—24). Wstrętną postać węża zresztą nadawano demonowi u wszystkich prawie ludów. (Vritra i Ahi—w Indyach, Aszi-dahaka—u Persów, Apep—u Egipcyan. Midgar—u Skandynawczyków. etc.).

czyste, wzniosłe i bezwzględne pojęcia o Jahwem—jedynowładcy, że szatan przybrał w ich księgach karłowate kształty. Wszystko, zarówno złe, jak i dobre, sprowadzało się w końcu do najwyższéj przyczyny przyczyn: jeden był tylko bóg—i on, Jahwe, sam, lub téż przez swoich aniołów, brał udział w życiu i rozwoju wybranego plemienia. On to spuścił dészcz siarczysty na Sodomę i Gomorę, a jego zesłańcy zabijają i karcą grzeszników.

W pierwszéj księdze „królewskiéj" czytamy (XXII, 19—24):

„Widziałem Pana, siedzącego na stolicy swojey i wszystko woysko niebieskie, stojące po prawicy jego i po lewicy iego. I rzekł Pan: Kto zwiedzie Achaba, aby szedł a upadł w Ramot Galaad? A gdy mówił jeden tak, a drugi inak: Tedy wystąpił duch, i stanął przed Panem, mówiąc: Ja go zwiodę. A Pan mu rzekł: Przez cóż? Odpowiedział: Wynidę, a będę duchem kłamliwym w uściech wszystkich Proroków jego. I rzekł mu Pan: Zwiedziesz, i pewnie przemożesz. Idźże, a uczyń tak."

Widzimy tutaj jednego z duchów niebieskich, jak, zgodnie z wolą i życzeniem Stwórcy, gubi grzesznego króla, Achaba, łudząc go przez usta fałszywych proroków nadzieją zwycięstwa nad Syryjczykami. W słynnéj i pięknéj „Księdze Joba", gdzie problemat istnienia zła na świecie stanowi niejako oś akcyi, za istotnego sprawcę wszystkiego uchodzi również „Ten, który jest wielki, a poznać go nie możemy", Jahwe, niezbadany w swoich wyrokach i niezgłębiony w mądrości. Szatan zaś gra tu tylko rolę urzędowego oskarżyciela, a współcześnie chętnego wykonawcy surowych poleceń bożych (I, 6—15):

„I stało się niektórego dnia, gdy przyszli synowie Boży, aby stanęli przed Panem, że téż przyszedł i szatan między nie. Tedy rzekł Pan do szatana: Skąd idziesz? I odpowiedział szatan Panu, i rzekł: Okrążałem ziemię i przechadzałem się po niéj. I rzekł Pan do szatana: Przypatrzyłżeś się słudze memu Jobowi, że mu nie masz równego na ziemi? Mąż to doskonały i szczery, bojący się Boga i odstępujący od złego. I odpowiedział szatan Panu i rzekł: Izaż się Boga Job darmo boi? Azażeś go ty nie ogrodził i domu jego, i wszystkiego, co ma, w około zewsząd? Błogosławiłeś sprawom rąk jego, i dobytek iego rozmnożył się na ziemi; Ale ściągnij tylko rękę twoię a dotkni wszystkiego, co ma: obaczysz, jeźlić w oczy złorzeczyć nie będzie. Tedy rzekł Pan do szatana: Oto wszystko, co ma, jest w ręce twojéj; tylko nań nie ściągaj ręki twéj! i odszedł szatan od oblicza Pańskiego." A kiedy Job zwycięzko wytrzymał próbę, i Jahwe wyrzucą szatanowi, że go „pobudził przeciw mężowi doskonałemu, aby go niszczył bez przyczy-

ny, zdradliwy duch odpowiada: „skórę za skórę i wszystko, co ma człowiek, da za duszę swoję: Ale ściągnij tylko rękę twoję, a dotknij kości jego, uyrzysz jeślić w oczy złorzeczyć nie będzie.“ I, z dopuszczenia Jahwego, „zaraził szatan Joba wrzodem złym od stopy jego, aż do wierzchu głowy jego.“

Szatan — wyraz ten oznacza „przeciwnika“ — występuje w podobnym charakterze i w III rozdziale proroka, Zacharyasza, gdzie oskarża, także niesłusznie, arcykapłana Jozuego przed Bogiem, za co otrzymuje surową naganę. Tá niesłuszność oskarżeń, ta przyjemność szkodzenia ludziom uczciwym i dobrym jest jedynym prawdziwie demonicznym rysem charakteru biblijnego szatana, zresztą bowiem postać ta nie posiada nic wybitnego i nie wznosi się ponad poziom rozmiłowanego w swojém rzemiośle siepacza, któremu zbywa na wszelkiéj samodzielności i potędze.

Oryginalniejszym typem jest Asmodeusz z ciekawéj, a znacznie późniejszéj opowieści o Tobiaszu. Szkoda tylko, że autor nie wprowadza tego demona do akcyi, jako figury działającéj, lecz daje nam poznać jego charakter przez usta osób trzecich. Dowiadujemy się więc, że Asmodeusz „miłuje Sarę, córkę Raguela i nie szkodzi nikomu tylko tym, którzy do niéj przystępują.“ Siedmiu mężów miała uż Sara, ale „zły dyabeł pobił je, niż się z nią zeszli, jako z żoną.“ Młody Tobiasz, za poradą anioła, Rafaela, „wziął węgla do kadzenia a włożył serce rybie i wątrobę i zakadził. A gdy uczuł dyabeł onę wonią, uciekł w górne strony egipskie—i związał go Anioł.“

Zsumowanie tych kilku wzmianek wystarczy do wykazania, że nkub, Asmodeusz, jest o wiele bliższy naszego średniowiecznego dyabła, który się na nim wzorował, niżeli wspominany wyżéj Szatan. Przedewszystkiém, zabijając mężów pięknéj Sary, działa on, nietylko z własnego popędu i dla własnéj korzyści, ale nie pyta nikogo o pozwolenie, bo nie jest sługą, dopuszczanym przed oblicze Pańskie, lecz wrogiem niebios, za co téż zostaje skrępowany rękami Rafaela, jednego z siedmiu aniołów „przywodzących modły świętych przed tron przedwiecznego“. Jest-to pierwszy wyraźny ślad względnego, ograniczonego dualizmu, który musiał, jako konieczność logiczna, ukoronować z czasem poglądy i wierzenia wynarodowionych Hebreów, a który zarysował się najwybitniéj w t. zw. księgach apokryficznych, wyrosłych na gruncie oryentalno-helleńskiego eklektyzmu i niewliczonych przez żaden kościół chrześciański, z wyjątkiem sekt podrzędnych, do kanonu Pisma Świętego. To, co w historyi o Tobiaszu rozgrywało się na tle życia prywatnego i rodzinnego, przybrało

w apokryficznéj apokalipsie Henocha [1]) kształty wspaniałéj epopei przedhistorycznéj, którą poetycznie obrobił Byron w „Niebie i ziemi“. Zaczepiając o słynny ustęp „Genezy“ (VI, 1—4), dotyczący miłości i małżeństwa synów bożych z córkami człowieczemi, nieznany autor opowiada, jak anioł Semjaza—według innego tekstu Azazel — namówiwszy 200 towarzyszów do buntu, opuszcza niebo:

„I zstąpili na ziemię, i połączyli się z pięknemi córami ziemi, i nauczyli ludzi czarów i zaklęć i obrabiania korzeni i drzewa; Azazel zaś nauczył ludzi robienia mieczów, noży i tarcz, i nauczył ich patrzéć na to, co było po za niemi; jakotéż wyrobu różnych sztuk, naramienników, ozdób i użycia bielidła i upiększania brwi, oraz użycia wyszukanych kamieni, barw i kruszców ziemi. A inni wodzowie aniołów objaśnili bieg gwiazd i księżyca. I nastała wielka bezbożność i rozpusta na ziemi i popsuły się drogi ludzkie.“

Autor nie posiada już głębokiéj wiary proroków i Joba, którym wystarczało przekonanie, że wyroki Jehowy muszą być dobre, choć są niezbadane, lecz pragnie rozwiązać zagadkę istnienia zła na świecie, godząc dualizm perski z monoteizmem hebrajskim.

Rzeczywiście tylko w panteizmie indyjskim, opartym na systemie emanacyi, gdzie bóstwo zostało utożsamione z naturą, można było uniknąć etycznego rozdwojenia. Stwórca atoli, stojący po za i po nad przyrodą, którą aktem woli wyprowadził z niczego, Bóg osobisty, najmędrszy i najlepszy nie mógł być współcześnie przyczyną zła. Bezwzględny zaś i szorstki dualizm perski, przyznający niezależne istnienie dwóch odwiecznych, wrogich i równych sobie potęg, nie licował z wyobrażeniami tych, których przodkowie wysławiali jednego Pana nad Pany, Jahwego, „co nad bogami egipskiemi wykonywał sądy“ (Ex. XII, 12).

Z dylematu tego wyszli żydzi zwycięsko, ucząc, że zło nie zostało stworzone, lecz pojawiło się samo przez się, jako skutek dobrowolnego upadku i zwyrodnienia dobra. Aniołowie i ludzie byli nietylko dobrzy, ale i wolni, używając zaś źle téj swobody, upadli i zepsuli pierwotną harmonię i rozerwali jedność stworzenia. — Związek upadłych aniołów i córek ziemi wydał na świat olbrzymów, którzy nietylko pochłaniali wszystkie wytwory

---

[1]) Odkryto na początku bieżącego stulecia w Abissynii tekst etyopski téj księgi. Oryginał, o którym wspomina Juda apostoł w liście powszechnym, zaginął zupełnie. Utwór ten powstał prawdopodobnie, jak większość apokalips żydowskich, w I-ym wieku przed Chr.

pracy ludzkiéj, ale w końcu zaczęli pożérać i samych ludzi. Wtedy Pan Bóg rozkazał Rafaelowi: „na ręce i nogi Azazela nałożyć pęta i rzucić go w ciemność, i przywalić ostremi a twardemi głazy, i przykryć go ciemnością, aby został tam na wieki i nie ujrzał światła aż w dzień wielkiego sądu, kiedy będzie wrzucon do gorejącéj otchłani.“

Toż samo czyni Michał Archanioł z drugim buntownikiem, Semjazą; Gabryel zaś pobudza złośliwych bękartów nieba i ziemi, olbrzymów, do walki śmiertelnéj pomiędzy sobą.

W dalszym ciągu mniemany Henoch, który, jak Dante, zwiedzał wszystko osobiście, opowiada, że uwięzieni aniołowie, żałując za grzechy, podali na jego ręce prośbę o ułaskawienie, otrzymali jednak odpowiedź odmowną: „Kto bowiem był stworzony dla życia duchowego nie powinien był kalać się zmysłowém zetknięciem z kobiétą.“

Również przeklętemi są dzieci ich, olbrzymy, których duchy chodzą po ziemi, męcząc ludzi.

Trzecią nakoniec klasę demonów stanowią u Henocha aniołowie sądu i kary, czyli szatani właściwi. Oni to pomagają zakuwać w pęta Azazela i Semjazę; oni więżą i dręczą grzeszników. Późniéj wszystkie te kategorye zlały się w jedną: szatana, buntownika, kusiciela, a zarazem wykonawcę wyroków sprawiedliwości niebieskiéj, oraz pana niezliczonego tłumu duchów ciemności. Wtedy to także dawny, potężny hymn pogardy i tryumfu, opiewający upadek dumnego króla narodów, Babilonu, został zastosowany przez rabinów do księcia demonów, Lucyfera, zrzuconego z niebios za bunt i pychę: „Strącona jest do piekła pycha twoja i dźwięk muzyki twoiey: podesłanoć mole, a robacy cię przykrywaią. Jakoż to, żeś spadł z nieba o jutrzenko! która wschodzisz rano (Lucifer)? powalonyś aż na ziemię, któryś wątlił narody! Wszakżeś ty mawiał w sercu swém: Wstąpię na niebo, nad gwiazdy Boże wywyższę stolicę moję, a usiądę na górze zgromadzenia, na stronach północnych; Wstąpię na wysokość obłoków, będę równy Naywyższemu; Wszakże strącon jesteś aż do piekła, w głębokość dołu!“ [1]).

Do pieśni téj, grzmiącéj, niby dźwięk trąby sądu ostatecznego, dodano z czasem, jakby dla uświęcenia zasady: *summum jus, summa injuria*, straszliwe słowo: na wieki, tworząc tym sposobem ponury prolog do wspaniałéj i wstrząsającéj tragedyi, któréj wieki starożyt-

---

[1]) Izaj. XIV, 11—15.

ne nie znały, a która dopiéro po wielu, wielu, stuleciach, pod piórami Kedmona, Marlowe'a, Miltona, Vondela i Byrona, uwewnętrzniła się niejako i pogłębiła duchowo, by znaleść sympatyczny oddźwięk w sercu ludzkości.

Pomijamy tu resztę apokryfów z ostatniego wieku przed Chrystusem, wśród których zasługiwałaby na uwagę niekompletna obecnie księga o w niebo wzięciu Mojżesza (*Assumptio Mosis*), gdzie, według relacyi Orygienesa, znajdował się podobno opis słynnéj walki Szatana z Michałem Archaniołem o duszę wielkiego prawodawcy Izraelitów. Z biegiem czasu walka na miecze i włócznie zmieniła się w walkę duchową, któréj wynik zależał nie od siły fizycznéj, lecz od etycznéj wartości przeciwników. I kiedy zbuntowany sługa boży, drżąc o swoją władzę nad grzesznym światem, zapragnął zgubić Zbawiciela, to nie z bronią w ręku, lecz ze słodkiemi słowy na ustach zbliżył się ku niemu i kusił go, starając się odwrócić myśli Messyasza od celów wyższych ku niższym, ziemskim. Jezus atoli zniweczył zamiary złego ducha, rzucając mu w odpowiedzi wzniosłe: „Nie samym chlebem żyje człowiek!...“ To już nie walka świetlanego twórcy, Ormuzda, z mrocznym niszczycielem, Arymanem, ani pojedynek dwóch aniołów pomiędzy sobą, lecz starcie się ziemi z niebem, materyi z duchem, instynktów niskich, zwierzęcych z idealnemi aspiracyami. Odtąd, przez całe średnie wieki szatan występuje jako przedstawiciel rozkoszy i interesów doczesnych, pan pogardzonego świata i śmiertelnego ciała, które powinno być zdławione dla zapewnienia nieśmiertelnéj duszy żywota wiecznego. Dawny dualizm perski, przecinając świat w pionowym niejako kierunku, dzielił go na dwie części: dobroczynną i szkodliwą dla życia i rozwoju; dualizm nowy rozdwaja wszystko na dwa królestwa, leżące jedno pod drugiém: niższe, cielesne—szatańskie i wyższe, duchowe—boskie. „Ja sam — powiada Paweł święty — umysłem służę zakonowi bożemu, lecz ciałem zakonowi grzechu.“ Urodzić się—znaczyło to podpaść pod władzę szatana, który „chodzi dokoła nas, niby lew ryczący, szukając kogoby pożarł“ (List Piot. ap.). Umrzéć bez grzechu — równało się wyzwoleniu z pęt ciała, świata i—dyabła.

Prócz moralnéj, starał się jednak szatan owoczesny przynosić ludziom i szkodę fizyczną. Dowodem liczne postacie opętanych, przez których usta demony złorzeczyły Chrystusowi, a zmuszone jego rozkazem do opuszczenia ciał nieszczęśliwych, wstępowały, jako duchy nieczyste, w ciała trzody chlewnéj i topiły się w morzu. Jak widzimy, sposób wypędzania demonów wyszlachetniał od czasów Asmodeu-

sza. Miejsce kadzideł z rybiéj wątroby, zajęły teraz słowo i wola niepokalanego egzorcysty.

Ten wyższy pogląd na demony, oparty na etyczno-psychicznych podstawach, nie utrzymał się długo. Średnie wieki wróciły na tym punkcie do grubego materyalizmu, co się odbiło i w poezyach owoczesnych.

Prócz wielu przyczyn, o których wspomnimy we właściwém miejscu, wpłynęły na to także pojęcia żydów, zawarte w Talmudzie i Kabale. Rabini, zapoznawszy się z demonologią babilońską i perską, interpretowali wzmianki biblijne o złych duchach w sposób tendencyjny i wytworzyli całe królestwo dyabłów talmudycznych, wśród których inkub, Asmodeusz, i sukkub, Lilit, pierwsza jakoby żona Adama, główną odgrywały rolę.

Jednolita filozofia kabalistyczna stoi znacznie wyżéj od talmudycznego eklektyzmu i do tak obcych hebrajskiemu duchowi dochodzi wniosków, że znakomity znawca kabały, profesor Franck [1]) nie waha się wyprowadzić jéj początku ze źródeł staro-indyjskich. Jest-to skończony i konsekwentny systemat spirytualistycznego panteizmu, w którym wszystko, co jest, powstało z jednéj nieskończonéj (Ensof) przyczyny przyczyn, przez emanacyę. Im daléj od środka odbiegały fale twórcze, tém stawały się materyalniejsze i mniéj czyste. Demon, Samael (bestya jadowita), jest właśnie samą materyą, ostatnią, najdalszą i najgrubszą emanacyą Nieskończoności, z którą się jednak kiedyś, po oczyszczeniu, zleje na nowo (Franck, str. 211, 217, 379). Podobnie jednak, jak panteizm indyjski, przyjmuje kabała mnóstwo demonów podrzędnych, noszących charakterystyczne miano „powłok", t. j. najniższych i najlichszych form bytu, któremi człowiek w pewnych warunkach może się jakoby posługiwać dowolnie. To przekonanie zachęciło ludzi do rozmaitych praktyk cudotwórczych, o których w średniowiecznéj literaturze pełno znajdujemy wzmianek. Większość alchemików wyznawała także doktryny kabalistyczne.

Kto zrozumiał dobrze ewolucyę uosobień zła w utworach piśmiennictwa izraelskiego, ten zoryentuje się łatwo w księdze świętéj

---

[1]) Franck Ad., „La Kaballe où la Philosophie religieuse des Hebreux", Paris, Hachette. Jak dalece filozofia kabalistyczna przypomina systematy metafizyki indyjskiéj, dowodem fakt, że zarówno neobuddyści francuscy (okultyści), jak i anglo-indyjscy (teozofowie), posługują się terminologią kabalistyczną dla oznaczenia pojęć buddystycznych i *vice versa*, głosząc przytém absolutną identyczność obu systematów, rozpatrywanych ze stanowiska ezoterycznego. *Metempsychoza* była i u kabalistów środkiem udoskanalania się i oczyszczania dusz, zbrukanych zetknięciem z materyą.

muzułmanów, będącéj w gruncie rzeczy zlepkiem doktryn żydowskich i chrześciańskich, podszytych rodzimemi tradycyami Arabów. I według Mahometa pierwiastek zła, nie będąc równy pierwiastkowi dobra, ani w czasie, ani w przestrzeni, nie wypływa jednakże z jego istoty, lecz powstał sam przez się, wskutek dobrowolnego upadku jednego z wyższych tworów. Przyczyną upadku było nieposłuszeństwo i pycha. „Kiedy Allah stworzył człowieka — powiada Koran (Sura, XV, 30—43) — rzekł do aniołów: pokłońcie mu się i oddajcie mu cześć. I aniołowie pokłonili się wszyscy, wszyscy, wyjąwszy Eblisa (*diabolus?*); on nie chciał należéć do grona tych, którzy się kłaniali. Allah rzekł do niego wówczas: O, Eblisie, dlaczego nie jesteś z tymi, którzy się kłaniają? — Ja nie będę kłaniał się człowiekowi, któregoś stworzył z błota, z téj gliny, co urabiać się daje. — Allah rzekł mu wtedy: wyjdź stąd, jesteś ukamienowany! [1]). Przekleństwo ciężyć będzie na tobie aż do dnia sądu! — Eblis odpowiedział: o panie, daj mi zwłokę aż do dnia, kiedy zmartwychwstaną ludzie.—Allah rzekł: dajęć tę zwłokę, aż do dnia z terminem oznaczonym zgóry.

— Panie, mówił Eblis, ponieważ mnie zwiodłeś będę spiskował przeciwko tym na ziemi i będę się starał ich oszukiwać.— Wyjąwszy sługi twe wierne. — Bóg odrzekł: to jest właściwa droga. Nie będziesz bowiem miał mocy nad sługami memi, a tylko nad tymi, którzy pójdą za tobą i zbłądzą.—Piekło jest obiecaném miejscem pobytu dla nich wszystkich!“

W tym krótkim dyalogu, którego treść zaczerpnął Mahomet z nauk rabinów żydowskich, muzułmańska doktryna początku zła, wyłożona jest bardzo plastycznie i jasno, a postaci zuchwałego anioła nie brak nawet pewnego psychologicznego pogłębienia. W inném znowu miejscu Koran przypisuje upadek ludzi złośliwości Eblisa, który „sprawił, że pośliznęła im się noga i że zostali wygnani z miejsca, kędy przebywali“ (XI, 34). Wszystko to, jak widzimy, przypomina żywo poglądy judaistyczne. Eblisa zowie Koran niekiedy wprost szatanem (szejtan). Pomocnicy jego i potomkowie (szejatin) lubią podkradać się pod sklepienie niebios i słuchać, co się tam mówi, a wtedy aniołowie rzucają w nich kamieniami ognistemi (gwiazdy spadające) (XV, 17, 18). Prócz tego, istnieje jeszcze, według Koranu, rasa geniuszów (dżin), stworzonych z „ognia subtelnego“. Duchy te mogą, podobnie jak ludzie, iść złą lub dobrą drogą

[1]) Stały epitet szatana w Koranie, pochodzący podobno stąd, że Abraham odpędził kusiciela rzucaniem kamieni. (Por. Kazimirski, „Koran“).

i, względnie do postępków, zostać zbawionymi lub potępionymi. W pierwszych latach propagandy, Mahomet nawrócił pewną ich liczbę na islamizm i zrobił z nich apostołów swojéj doktryny w państwie duchów (XLVII, 28). Im to, według Koranu, zawdzięczał król Salomon swoją potęgę, one to także odgrywają rolę aparatu nadprzyrodzonego w słynnych „Bajkach 1001 nocy", które, przez pośrednictwo Persów, przeszły z Indostanu do Arabii i tam zostały zlokalizowane. Mimo to, w charakterze tych geniuszów dostrzedz można jeszcze sporo śladów kolorytu rodzimego. Tak np. duch cudownéj lampy Aladyna nazywa swoim mistrzem olbrzymiego Ptaka Roka, który w bajkach „1001 nocy" jest już tylko dużym ptakiem i niczém więcéj, a którego pierwowzór indyjski, Garuda, nieśmiertelny orzeł o ludzkiéj twarzy, oraz mądry gryf perski, Simurg, opiekun rodu Rustemowego, słyną jako istoty, obdarzone nadprzyrodzoną potęgą i wiedzą. Pod względem fizycznym geniusze z „1001 nocy" odznaczają się kolosalnością, a niekiedy i potwornością kształtów, pod względem moralnym zaś są one złośliwe, surowe i szorstkie względem ludzi, chociaż uznają ich wyższość nad sobą. „Czyż nie wiész, że w oczach Boga człowiek jest lepszy od tysiąca dżinów — powiada król dżinów, Szabhan, do towarzysza, który chce się mścić na ludziach za jakąś krzywdę („Hist. o księciu Seifie"). Rządzić niemi można za pomocą czarodziejskich pierścieni, lamp i innych talizmanów, a kiedy są rozgniewane, łatwo je przekupić, nie pieniędzmi wprawdzie, lecz jako prawdziwe dzieci wschodu—ładną i fantastyczną bajką. Opowiadanie bajek ratuje od śmierci pewnego kupca, który zabił przypadkiem syna jednego z geniuszów; bajką także wyprasza się od zguby młodzieniec, złapany na gorącym uczynku ze śmiertelną kochanką strasznego eblisowego wnuka [1]), który nie odbiéra, jak zamierzał początkowo, gaszkowi życia, lecz tylko—zamienia go w małpę. Prócz potężnych dżinów, występują w powieściach „1001 nocy", wstrętne Gule, przypominające indyjskich Rakszasów. „Są to — powiada nieszczęśliwy Sidi Numan, którego piękna żona Amina żyje w zażyłości z Gulem—są to złe duchy obojéj płci, zamieszkujące stare ruiny, skąd napadają na przechodzących, zabijają ich i zjadają. Jeśli im się nie uda schwytać żywych, to idą na cmentarze, wykopują trupy i pożerają ich mięso."

Czarodzieje i czarownice legend arabskich bywają i źli i dobrzy, nie samo zajmowanie się czarami bowiem, jak u chrześcian i żydów, lecz sposób korzystania z tajemnéj wiedzy rozstrzyga o moralnéj war-

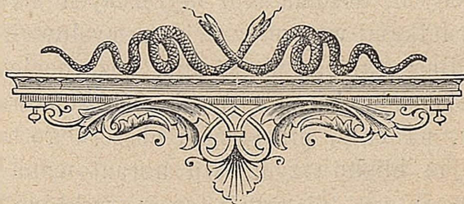
---

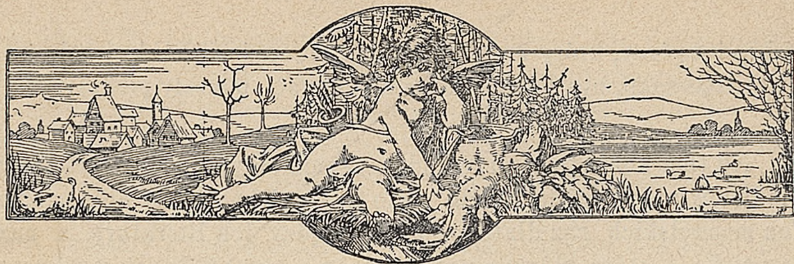
[1]) Jeden z ustępów „Koranu" — w którym zresztą pełno jest niejasności robi Ibbisa nie upadłym aniołem, lecz nieposłusznym dżinem.

tości cudotwórcy, który zresztą operuje najczęściéj zaklęciami, filtrami i talizmanami, nie uciekając się do czynnéj pomocy piekła.

Na tém kończymy przegląd personifikacyi złego w piśmiennictwie ludów niechrześciańskich. Nie włączyliśmy w rozbiór nasz plemion mongolskich raz dlatego, że pomiędzy ich literaturą a naszą, europejską, o którą głównie nam idzie, nie było żadnych wzajemnych stosunków i wpływów, powtóre zaś, że cywilizowane ludy mongolskie wyznają, albo nie obcy nam już islamizm, albo téż buddyzm, nie odbiegający wcale w poglądach na istotę zła od rozbiéranego wyżéj braminizmu. Dla drobnych różnic w szczegółach, nie warto więc było przeciążać artykułu balastem mało charakterystycznych notatek i cytat. O uosobieniu złego w poezyi przedchrześciańskiéj ludów średniowiecznych wspomnimy w następujących częściach naszego studyum.

Ignacy Matuszewski.





Z HISTORYI OSTATNIEGO BEZROBOCIA.

„Chwila, którąście przeżyli, będzie datą historyczną.“ Słowa są pana Clémenceau, omawiającego przed robotnikami, w Carmaux burzliwe koleje trzechmiesięcznego przeszło ich zatargu z zarządem miejscowych kopalń, i głoszącego zwycięski jakoby owoc téj długiéj walki.

W spółczesnych, dość na ogół wytężonych stosunkach między dwoma współczynnikami wytwórczości przemysłowéj, między kapitałem a pracą, podług utartego wyrażenia, bezrobocie kopaczy węgla nie należy zaiste do zjawisk osobliwych. Gdzież owszem nie strejkowano temi czasy, na całéj przestrzeni obszernego terytoryum, śród którego od lat już blisko trzydziestu ugruntowana została zasada legalnego charakteru téj nowéj formy, w którą wcieliły się wiekuiste nieporozumienia pracujących na chléb z ich chlebodawcami! I kto nie strejkował, zacząwszy od konduktorów omnibusowych paryskich i dorożkarzy, nie zadowolnionych wyznaczonym sobie udziałem w wyzyskiwaniu miejscowéj publiczności (jednéj z najgorzéj wożonych, a najsrożéj wyzyskiwanych, jakie są pod słońcem), a skończywszy na chórzystach operowych, którym wysokie zarobki Jana Reszkego spać nie dają po nocach! Żaden jednak z tych częstych i paroksyzmy fabryczne swą chronicznością przypominających kryzysów, nie doczekał się takiego losu, jak ów świeżo zakończony i rozbrzmiewającym na całą Europę rozgłosem otoczony epizod Karmozyński. Żadnym z nich nie opiekowali się politykowcy téj miary, co p. Clémenceau, i nie było mowy o zakwalifikowaniu żadnego z nich do

poczesnego miejsca między wypadkami, upamiętnionemi przez historyę. Przeciwnie, po załatwieniu sporu i po powrocie poważnionych chwilowo stron do nadwérężonéj chwilowo dobréj harmonii, uznawano pospolicie potrzebę przekazania tego, co zaszło, najprędszéj i najzupełniejszéj, żale kojącéj i blizny zasklepiającéj niepamięci. Bezrobocie w Carmaux odznaczyło się więc chyba, w szeregu zjawisk analogicznych, odrębnemi jakiemiś rysami, udzielającemi należącym doń wypadkom osobliwéj doniosłości. W tém zaś przypuszczeniu, z wypadków tych ułożył się rozdział nie już miejscowéj tylko, ale ogólno-europejskiéj historyi. Stąd tych kartek kilka. Szczegółowy opis wypadków, zbyt bliskich i zbyt rozsławionych, iżby nie były przytomne świadomości i pamięci każdego czytelnika, nie jest ich zadaniem. Ogólny rzut oka na nie i najogólniejsze wnioski wyprowadzać się dające z tego pobieżnego przeglądu uczynią zadość wskazanemu założeniu i potrzebie, która je natchnęła.

I.

Powiedziano o strejku robotników karmozyńskich, że był on pierwszym przykładem bezrobocia politycznego, to jest wywołanego przez przyczyny wiążące się z trybem ogólno-państwowego ustroju i bytu raczéj, niż ze specyalnemi warunkami organizacyi przemysłowéj i życia klas pracujących. Nie szło w rzeczy saméj tym razem, jak wiadomo, ani o skalę zarobków, ani o rozkład czy wymiar pracy, ani o żadną kwestyę tegoż rodzaju, należącą do ekonomiki stosunków robotniczych. Szło o pana Calvignac'a.

Rok temu, dzisiejszy mer karmozyński, a wczorajszy bohatér szeroko rozsławionego dramatu, był robotnikiem podobnym do tysiąca innych; niezbyt pilnym, nie odznaczającym się zręcznością, ani roztropnością osobliwą, ale przecież zarabiającym na chléb. Nie kopał zresztą węgla; pracował przy maszynach. Jakoś na początku zeszłéj zimy zdarzyła się w jego losie ważna zmiana: wuj bezdzietny przekazał mu dostatnią fortunę chłopską, grunta, dobytek i grosza trochę. Następstwa tego rodzaju przygodnych pomyślności bywają wszędzie jednakowemi: załatwiwszy formalności spadkowe i dostawszy gotówkę do ręki, Calvignac zrobił to, co robić zwykli Bartkowie i Maćkowie nasi w podobnych przypadkach: poszedł do karczmy. Że ten, alkoholicznemi wyziewami, a tabacznym dymem owionięty przybytek będzie dla niego przedsionkiem do sławy europejskiéj, do tryumfalnych przyjęć w stolicy i do konferencyi z poważnymi mężami politycznymi w gabinetach ministeryalnych, tego ani on, ani nikt nie

domyślał się zapewne. Kolej to jednak przeznaczeń dość już upowszedniona w stosunkach spółczesnych. Sąsiadująca z warsztatem karczma stała się jedném z potężniejszych ognisk życia publicznego. Tu, śród brzęku szklenic potrącanych na stole, cynową blachą obitym, poruszają się najdonioślejsze zagadnienia społeczne; tu także wykształca się najskuteczniejsze narzędzie działalności społecznéj: popularność przyszłych trybunów i koryfeuszów, agitujących masy. Stojący za cynowym szynkwasem gospodarz domu, mąż zwykle wpływowy wielce, nierzadko zaś kandydat osobisty do wybitnéj roli na wielkiéj widowni politycznéj, zna cenę téj popularności — i mierzy swoją krédką jéj postępy. Po kilku tygodniach, w ciągu których Calvignac mylił coraz częściéj drogę wiodącą do warsztatu, a trafiał do sąsiedniego progu, krédka zmierzyła przestrzeń ogromną, i w tłumie cichych pracowników zapodziany dotąd maszynista wyrósł nagle, jak bodziak ponad trawy w zachwaszczonym ugorze...

W warsztacie frasowano się jego nieobecnością, ale znoszono ją cierpliwie. Osoba, posiadająca kucharkę ma prawo żądać od niéj, aby gotowała rosół na zawołanie przez wszystkie dni roku. Naczelnik biura grozi dymisyą podwładnemu kanceliście za jedną godzinę odjętą od codziennych zatrudnień. Gospodarz wiejski odprawia parobka, który zaspał dzwonek poranny. Inaczéj w przemysłowo-fabrycznéj organizacyi pracy, tak jak ukształtowała się ona w spółczesném, dość powszechne zastosowanie znajdującém, prawie obyczajowém. Podstawą téj organizacyi zdaje się być osobliwy gatunek umowy, która co do swéj trwałości obowiązuje jedną tylko stronę. Przemysłowiec — mówią — zatrudniający robotnika obowiązany jest dawać mu zarobek tyle razy i tak długo, ile razy i jak długo ten ostatni żądać go zechce. Pozbyć się tego robotnika, zastąpić go innym, dogodniejszym, albo nawet, bez zastępienia go, zaoszczędzić jego pracę i przypadające za nią wynagrodzenie, byłoby to, ze strony przemysłowca, o którym mowa, rzeczą karygodną i usprawiedliwiającą najgwałtowniejsze represalie. Natomiast, robotnikowi służy możność opuszczenia zajęć swoich w każdéj chwili; na czas prawie nieograniczony, ze swobodą powrócenia do nich kiedykolwiek. Drobna formalność: zaopatrzenie się w świadectwo doktora miejscowego, któremu prawo obyczajowe nakazuje także uznać i stwierdzić, że pacyent jest chory, skoro chorym się być mieni—oto wszystko podobno, czego potrzebuje kandydat do najdłuższego bodaj urlopu. Choćby opróżnione miejsce w warsztacie, czy kopalni, sprowadzało zamieszanie w porządku robót, przynosiło ujmę właścicielowi, nie ma to żadnego znaczenia. Wypełnić tego miejsca nie powinien. W ciągu dwóch

miesięcy, Calvignac był obecny przy powierzonych mu maszynach cztery dni tylko, i nie było mowy o powierzeniu ich komu innemu. Aby skłonić administracyę do takiego kroku, trzeba było, ze strony świętującego robotnika, indywidualnych, wyjątkowych ekscesów. I skutek okazał co podobny krok kosztuje!

Takie unormowanie stosunków wprawdzie wygląda dziwacznie, ale odpowiada pojęciom, które rozpowszechniają się coraz bardziéj śród klasy roboczéj, dzięki przenikającéj ją propagandzie doktryn socyalistycznych, choć właściwie nie mają one nic wspólnego z nauką Marx'a czy Lassale'a, z teoryą ewolucyi, ani z jakąkolwiek doktryną socyologiczną. Formuła: *La mine aux mineurs*, w têm znaczeniu, które jéj świéżo udzielili Calvignac i jego towarzysze, i w têm zastosowaniu, które jéj przeznacza ogoł Calvignac'ów, nie mogłaby być przyswojoną zaiste przez żadnego socyologa obdarzonego zmysłem filozoficznym. Ale niemasz nic więcéj obcego masom jak zmysł filozoficzny. Masy obchodzą się bez rozumowania; zastępują je instynktem, względem którego teorye naukowe odgrywają pospolicie rolę wyłączną czynnika podżegawczego. I ten instynkt ludowy, przez teoretyków zaostrzony a podniecony, znajdując przed sobą problemat tak zawiły jak odwieczna np. łamigłówka tajemniczego równoległoboku sił wytwórczych, kapitału i pracy, załatwia się z nim po swojemu drogą najprostszą—przez usunięcie jednego czynnika. *La mine aux mineurs.* A co się stanie z właścicielem kopalni? I na to pytanie znalazła się odpowiedź, w zaimprowizowanéj zwrotce ludowéj piosenki, téj *Carmagnole* nowoczesnéj, która przez trzy miesiące brzmiała na ulicach Carmaux i odbijała się o wystraszone uszy żandarmów:

A mort les patrons!
Vive le son
Du canon!

Pojęciom tym i dążnościom brakuje dotąd, na ogół, konkretnego kształtu i związku. Majaczeją one tylko i chodzą luzem w rozmarzonych i rozbałamuconych głowach. Zarysowywują się wyraźniéj i ogniskują się potężniéj wtedy tylko, kiedy znajdują możność wcielania się w jakąś widomą, dotykalną reprezentacyę tych pragnień i ambicyi, których są wyrazem. Do ludowéj instynktowności należący także, przez wiekowe tradycye w nią wszczepiony antropomorfizm dopomina się tu o swoje prawa. I dlatego każda osobista popularność, wyskakująca z szarego, mglistego tła tych fermentów, staje się groźném zjawiskiem.

Owóż Calvignac stawał się z dnia na dzień coraz popularniejszym. W miarę zaś przybywającego mu uroku, rosła w nim właśnie chęć i potrzeba odgrywania téj roli, którą narzucały mu kłoniące się doń sympatye, uosobienie owych bezkształtnych majaczeń i aspiracyi. Więc pobudzał krédkę do roboty a folgował językowi. Szklenice wypróżniały się i pobrzękiwały w takt coraz to bardziéj wojowniczym hasłom, rzucanym oszołomionéj masie. Do wojny nie było właściwie żadnego powodu. Zarząd kopalni w Carmaux należy zdawna do tych, które w możliwie najszerszych granicach uwzględniają potrzeby swoich pracowników. Chrześciański socyalizm hrabiego de Mun posiada tu gorliwych zwolenników. Prawda, że tym programem natchnione próby kompromisowe nie wywdzięczyły się dotąd zbyt dodatniemi rezultatami; doprowadziły jedynie do sprawdzenia naszego swojskiego przysłowia o kurze, któremu się pozwala grzędy. Może téż i Calvignac nie chciał wojny na seryo. Prawdopodobnie, przedewszystkiém, nie chciał wracać do warsztatu. Może niebieska bluza pana Thirvier, rozścielona na aksamitach pałacu Burbońskiego, zaglądała mu do oczu...

I oto podsunął mu się pod stopy pierwszy szczebel wiodący do wysokich przeznaczeń a dostojeństw: agitacya, wytworzona dokoła jego osoby wydała pierwszy owoc w owładnięciu miejscowéj municypalności. Z dotychczasowéj kwatery przeniósł się wódz ze swoim sztabem do urzędowego przybytku gminnego; został merem! Dla zarządu kopalni był to cios dotkliwy; ale i nowego urzędnika stawiał przyjęty mandat w położeniu kłopotliwém. Sprawowanie tego mandatu nie godziło się już stanowczo z powołaniem robotnika, pracującego przy maszynach; merostwo wykluczało warsztat. Ale właśnie z dylematem tym nie chciał znowu pogodzić się Calvignac. Wyrzec się warsztatu? Aleź Calvignac nie byłby już wtedy Calvignac'iem, pozbyłby się wszystkich przywilejów przysługujących jego stanowisku w wyobrażeniach tu i owdzie panujących, i prawdopodobnie także uroku z niém wspólnego; przedzierzgnąłby się w prostego mieszczucha! Nowy mer zgłosił się więc do administracyi górniczéj z żądaniem nieograniczonego urlopu, któryby mu zachował i zabezpieczył na wszystkie czasy i na wszystkie ewentualności dotychczasowe miejsce w kadrach arystokracyi roboczéj. Na to żądanie administracya odpowiedziała odmownie. Chodzić jéj przecie musiało o względne przynajmniéj rozbrojenie groźnego przeciwnika, o pozbawienie go téj nietykalności właśnie, którą niebieska bluza osłania dziś wszystkich Thirvier'ów! W oczach zarządu była w tém zresztą i kwestya godności a powagi, nie godzących się z dalszém folgowaniem, wygórowanym

żądaniom! Była to wreszcie kwestya porządku i regulaminu. W zastosowaniu odnośnych przepisów regulaminowych, pan Calvignac udzielony miał sobie tedy termin ośmiodniowy dla uregulowania swoich z administracyą stosunków, to jest powrócenia do warsztatu, lub opuszczenia go raz na zawsze; po upływie którego to terminu wykreślony został z liczby robotników miejscowych.

Nazajutrz zaszły wiadome wypadki.

Napadnięty w swojém mieszkaniu, dyrektor kompanii, p. Humblot podpisał „pod nożem“ swoją dymisyę. Gdy zaś kompania sama ani potwierdzić jéj nie chciała, ani zgodzić się na powrót pana Calvignac'a w poczet swych pracowników, bezrobocie zostało ogłoszoném. Dwa tysiące robotników wyrzekło się zarobku codziennego, dlatego aby pan Calvignac, na chléb razem z nimi nie zarabiając, mógł jednak uchodzić daléj za pracującego pospołu z nimi!

Czy jednak doprawdy znalazło się w Carmaux dwa tysiące szaleńców, rozmyślnie nakłaniających się do podobnego kroku? Wcale nie — przy bliższém wniknięciu. Kto właściwie ogłosił bezrobocie? Syndykat miejscowy. A co to jest syndykat? Syndykaty robocze, do których powstania i rozpowszechnienia się w całéj Francyi położyło fundament prawo z r. 1884, są to stowarzyszenia, mające na celu legalną reprezentacyę interesów klasy pracującéj i pokojowe pośrednictwo między tą grupą a solidarnemi interesami drugiéj grupy, posiadaczy kapitału. Ale takie przeznaczenie stowarzyszeń, o których mowa, nie ma nic wspólnego z właściwą ich rolą dzisiejszą. Prawo tak chciało; inaczéj postanowiła praktyka. W praktyce stała się ta organizacya z jednéj strony narzędziem ucisku, za pomocą którego większość robotników ulega potulnie prawom dyktowanym przez mniejszość; z drugiéj strony najczynniejszém ogniskiem agitacyi. Chciała trzecia rzeczpospolita, jak świéżo wyrażał się p. Leroy-Beaulieu, miéć „organy pokojowego i praktycznego zawiadywania zobopólnemi interesami profesyonalnemi,“ a zyskała jednoczesny powrót do cechowych urządzeń, zniesionych przez pierwszą rewolucyę, (tylko w brutalniejszéj formie), i do klubowych tradycyi z końca zeszłego wieku. Trzeba było, przed niedawnym czasem, wyroku sądu kasyjnego, obalającego dwa postanowienia trybunału i izby apelacyjnéj, aby przyznać słuszność robotnikowi skarżącemu się na syndykat, który zabronił wszystkim zakładom fabrycznym w pewnéj okolicy dawać zajęcie jemu i osobom do jego rodziny należącym. Niedość tego, w departamencie *de la Nièvre* syndykat miejscowy doszedł do ustanowienia podatku, obowiązującego robotników nie biorących w nim

udziału. Przemysłowcy, zatrudniający tych ostatnich, zniewoleni są do potrącania z przypadającego im zarobku pewnéj kwoty, która wpływa do kasy syndykalnéj!

— Czy należysz do syndykatu? — pytał jeden z reporterów paryskich, zapędzonych do Carmaux, robotnika spotkanego na ulicy.

— Nie. Trzeba płacić składkę.

— Więc nie głosowałeś za bezrobociem?

— Nie; nie pytano mnie o głos.

— Dlaczego więc nie idziesz do roboty?

— Bo dbam o swoję głowę.

Despotyzm poparty siłą pięści, znajdujący podstawę w literze źle obmyślanego, gorzéj jeszcze stosowanego prawa, czerpiący siłę z fermentacyi żywiołów anarchicznych, wrogich wszelkiemu prawu i porządkowi, i pod maską rzekoméj obrony interesów zbiorowych, rzucający spokój, mienie, a czasem i życie tysiąców całych na pastwę ambicyom jednostek — oto ostatni wyraz organizacyi, o któréj mowa i ostatnie słowo także dni historycznych, które przeżyli świéżo mieszkańcy Carmaux.

II.

Ale taka historya jest powszednią historyą wszystkich strejków pojawiających się w téj stronie kontynentu europejskiego. W tym stopniu i w tym sensie, politycznemi są one wszystkie. Według dowcipnego wyrażenia jednego z mówców izby poselskiéj, bezrobocia w tym kraju są „rosołem (*bouillon de culture*), w którym wykształcają się mikroby politykowców.“ Z każdego z nich wychodzi i do pałacu Burbońskiego dostaje się nowy przedstawiciel wszechwładzy ludowéj i nowy karyerowicz. Bezrobocie w Anzin wydało w ten sposób pana Basly; bezrobocie w Fourmies pana Thirvier; z bezrobocia w Carmaux wyłoni się prawdopodobnie kandydatura poselska pana Calvignac'a. Kwestya zarobków i inne kwestye tejże kategoryi, o ile pojawiają się na porządku dziennym tych zatargów, służą tylko za pretekst. Do właściwego ich poruszania na téj drodze nie ma najczęściéj dostatecznego powodu. W obecnym układzie społecznych i ekonomicznych stosunków, i o ile nie ma mowy o radykalnym tychże przewrocie, los klasy roboczéj jest tu, na ogół tak pomyślny, a przynajmniéj skala zarobkowania tak wysoką, jak tylko być może. Najwymowniejszego dowodu w tym względzie dostarcza: gromadne usuwanie się kapitałów od przedsiębiorstw przemysłowych, które prze-

stały procentować dostatecznie, i gromadny jednocześnie napływ robotnika obcokrajowego. W domach bankowych depozyty pieniężne rosną do cyfr kolosalnych, trójprocentowa renta sięga *al pari*, pieniądz procentować przestaje, bo mu się to nie opłaca; natomiast wysoka płatność pracy rękodzielnéj wywołuje konkurencyę zagraniczną!

Skądinąd agitacya rewolucyjna, na tle socyalistyczno-anarchicznych pomysłów i mrzonek, pozostaje powierzchowną, nie sięga do głębi potrąconych przez się warstw społecznych. Są one zbyt zsolidaryzowane z panującym porządkiem społecznym i ekonomicznym. Gdzie się zaczyna w tym kraju i gdzie się kończy klasa posiadaczy? Kto nie jest tu kapitalistą? Bezrobocie w Carmaux nie byłoby trwało trzech miesięcy, gdyby daleko więcéj niż połowa jego uczestników nie posiadała innych środków utrzymania prócz codziennego zarobku. Tak długi opór i upór nie byłby ani moralnie ani materyalnie możliwym. Moralnie, bo ludzie z dnia na dzień żyjący nie poświęcają dnia dzisiejszego i jutra dla jakiegoś wątpliwego punktu honoru, nie bawią się w sentymentalizm i w donkiszoteryę. Materyalnie, bo wobec dziurawych kieszeni, rąk bezczynnych i próżnych gąb, zasada *primum vivere* byłaby się upomniała o swoje prawa. W drugim tygodniu bezrobocia, połowa strejkujących byłaby umarła z głodu. Syndykat organizujący bezrobocie posiadał wprawdzie kasę zasiloną rozmaitemi wpływami, składkami zarządzonemi przez redakcye stołecznych i prowincyonalnych dzienników, subwencyami uchwalanemi przez sąsiednie municypalności, i t. d. Ale fundusze przeznaczone na wsparcia robotnikom, pozbawionym zarobku i ich rodzinom, trafiają w małéj części tylko do swojego przeznaczenia. Koryto, którém płyną, miewa dno przepuszczalne. Bilans finansowych operacyi syndykatu karmozyńskiego nie został dotąd ogłoszonym. Posiadamy natomiast sprawozdanie z analogicznych czynności tego syndykatu, który przewodniczył mniéj przeciągłemu, ale równie głośnemu i boleśniéj jeszcze, bo krwawemi ofiarami upamiętnionemu strejkowi w Fourmies. Wpływy do kasy syndykalnéj wyniosły tam: 9,889,05 fr., wydatki: 8,388,55 fr. Ale w téj ostatniéj rubryce, zapomogi rozdane strejkującym ograniczają się do 2,285,20 fr. czyli 25% ogólnego przychodu. A reszta? Resztę pochłonęły rozmaite rozchody postronne, jako to koszta podróży patryotycznych mówców, którzy nawiedzili okolicę, i których elokwencya przyczyniła się do podtrzymania bezrobocia (259, 50 fr.); koszta poboru składek bonifikowane poborcom (281, 30 fr.), i wreszcie jeden niezbędny wydatek, stanowiący między wszystkiemi pozycyami cyfrę najpoważniejszą i najciekaw-

szą także, bo rzucającą jaskrawe światło na genezę i historyę wszystkich podobnych zatargów: dyety sekretarza syndykatu, czyli głównego organizatora kampanii strejkowéj. Calvignac'a miejscowego — 2310 fr.

W Carmaux, wpływy kasy syndykalnéj doszły podobno do cyfr dziesięćkroć okazalszych, ale i z najpomyślniejszym nawet dla robotników rozkładem, nie były one w stanie skompensować trzechmiesięcznego zarobku miejscowéj ludności, którego strata przeniosła 600,000 fr. Ludność ta miała więc inne środki utrzymania i sposoby do wytrwania w trzechmiesięcznéj bezczynności. Calvignac sam jest właścicielem ziemskim i rentierem; większość jego towarzyszy posiada książeczki kasy oszczędności, jeżeli nawet nie obligacye kolei żelaznych. Kapitaliści to wszystko! Gdzież tedy sposób pociągnięcia tego proletaryatu *sui generis*, do współudziału w radykalnym jakimś wywrocie budowy ekonomicznéj, w któréj każdy z nich ma swoją cegiełkę?

Nie socyalizm, nie komunizm, polityka sama jedna, czyli to co się dziś polityką zowie w tém od spodu do wierzchu rozstrojoném i rozluzowaném, z dawnych karbów wyrzuconém, w nowe karby żadne nie wtłoczoném społeczeństwie, to jest jałowa, bezcelowa i bezmyślna agitacya dusz niespokojnych, niesfornych instynktów, ambicyi i ambicyek nie trzymanych na uwięzi, za któréj sprawą nikt nie jest zadowolonym z tego co ma, nikt nie może usiedzieć na swojém miejscu i za któréj przyczyną program towarzyskiego życia redukuje się do gry w cztery kąty a piec piąty — oto właściwe narzędzie wszystkich tutejszych paroksyzmów społecznych. Oto właściwa także choroba tego kraju, który naturalny proteizm poliformicznych stosunków społecznych odziewa tylko w łudzącą oko rozmaitość odrębnych z pozoru, ale w gruncie rzeczy jednorodnych przejawów. Ta przenika, ta nurtuje wszystkie społeczne warstwy. Widowisko, którego wczoraj dostarczył strejk robotniczy w Carmaux powtarza się dziś na innéj scenie, w innéj zgoła kondygnacyi społecznéj, ale z identyczną treścią, po części nawet w téj saméj formie. W paryskim szpitalu Saint-Antoine student fakultetu medycznego przyznaje sobie prawo do palenia fajki na sali, w któréj pielęgnują się choroby piersiowe. Chorzy krztuszą się, dyrektor nawołuje złośliwego nikotynomana do porządku: nic nie pomaga. „W szpitalach naszych wszyscy rozkazują, z wyjątkiem samego dyrektora,“ objaśnia swoim kolegom p. Strauss, członek rady municypalnéj stołecznéj. Rada municypalna postanawia osobistą interwencyę, wyznacza delegacyę ze swojego łona: palacz fajki nakrywa głowę przed delegatami i odwraca się do nich plecami. Obrażona reprezentacya władzy municypalnéj żąda odwołania wino-

wajcy ze stanowiska adjunkta szpitalnego *(interne de l'hôpital)*; otrzymuje je: nazajutrz koledzy skarconego studenta opuszczają gromadnie szkołę, postanawiają *sui generis* bezrobocie, a nareszcie — kubek w kubek tak jak w Carmaux — oblegają radę municypalną w ratuszu, żądając dymisyi dyrektora i powrotu byłego adjunkta na dawne miejsce.

I staje się zadość ich żądaniu! Bo nikt nie ma siły, ani powagi, ani woli nawet dla stawienia mu oporu. Bo wszystkie żywioły zsolidaryzowane są jednako z tém powszechném rozprzężeniem naturalnych kadrów społecznych, które czyni że ladajaki student, ladajaka molekuła organiczna, nie czując żadnéj pociągającéj ją w karby jakoweś, sprzęgającéj ją do jakiegoś ogniwa i ogniskującéj ją energii życiowéj, chodzi samopas i występuje z ładu a składu. Alboż w samém Carmaux, głębiéj rzeczy badając, inicyatorem ruchu, z którego wyszła trzechmiesięczna anarchia, pierwszym agitatorem był Calvignac, czy inny jakiś kopacz węgla, lub maszynista? Inicyatywy tego rodzaju z góry iść zwykły, nie z dołu! Ujmując się za swoim towarzyszem, robotnicy miejscowi podjęli jakoby obronę nadwérężonych zasad głosowania powszechnego, równości politycznéj i wolnego wyboru. Gwałt uczyniony został tym zasadom, w osobie Calvignac'a, skoro nie wolno mu było zająć stanowiska, na które powołała go ufność wyborców, bez pozbycia się swojego zarobku w warsztacie. Więc cóż? Więc, wobec obowiązujących zasad prawa publicznego, żadna inna zasada ani prawo czy to zasada podziału prac, słowem nic z tego czem powszechność ludzi rządziła się dotąd nie ma zastosowania, i, aby nie gwałcić owych zasad, trzeba zadawać gwałt naturze saméj? Prawda, że kiedy teorye polityczne schodzą do tego poziomu umysłowego, na którym utrzymują się dotąd masy wyborców w krajach najwięcéj ucywilizowanych, wówczas w dyskusyach, które się dokoła nich nawiązują, logika rzadko zajmuje poczesne miejsce. Ale też kopacze węgla w Carmaux mieli i mają co innego do roboty niż łamanie głowy nad jakąkolwiek teoryą. I do niedawnego czasu żaden z nich nie myślał przerywać powszednich zatrudnień swoich podobném zajęciem. Agitacya polityczna nie miała z czego wytworzyć się w tym odległym zakątku. Impuls przyszedł z zewnątrz. Zarząd to sam miejscowéj kompanii górniczéj otworzył śluzy, któremi wpłynęła do tego cichego zakątka burzliwa fala anarchicznych mętów i szumowin! Chodziło o pozyskanie podatnego narzędzia dla osobliwych widoków politycznych, o puszczenie wody na własny młynek. O! ma się rozumiéć w godziwym celu, dla dobréj sprawy; dla stawiania oporu złośliwym dążnościom i zamachom władz publicznym, dla upomnie-

nia się o sponiewierane prawa kościoła, o pogwałcenie swobody wychowania publicznego i inne krzywdy społeczne, no i dlatego aby margrabia de Solages został posłem i mógł skuteczniéj, w tym charakterze, podjąć obronę wspólnego zachowawczo-opozycyjnego programu. Trzeba więc było wyrwać miejscową ludność roboczą z jéj obojętności dla wielkich zagadnień politycznych; trzeba było oswoić ją z szermierką walk wyborczych, ze zgiełkiem mityngowych zapasów, z gorączką polemik dziennikarskich; trzeba ją było wciągnąć w szerokie koryto, w którém wre i kotłuje się życie publiczne rozwarcholonego społeczeństwa, i w które przemyślni politykowcy zapuszczają swoją wędkę. I stało się, i zanurzona w ten wrzątek spokojna rzesza strudzonych pracowników dała się porwać prądowi, i wir ją pochwycił i bulanżyzm obryzgał ją swoją pianą, i margrabia de Solages został posłem — tylko nieprzewidzianym był ostateczny wypadek téj kampanii. Bo atak wymierzony przeciwko panującéj formie rządu nie powiódł się; bo bulanżyzm zawiódł nadzieje w niém położone; bo margrabia de Solages ust nawet nie otworzył pod kopułą pałacu Burbońskiego! I tym sposobem cele, dla których agitacya wytworzoną była, poszły w niwecz i niebawem zapomniano o nich. Ale agitacya pozostała. I niebawem ktoś inny dobrał się do garnka i do gotującéj się w nim wody, i dmuchać zaczął na ogień pod nim rozniecony; aż garnek pękł, i oblał ukropem tych samych, którzy ogień podłożyli...

III.

Ale i to są stare dzieje, upowszednione w kolejach, które od lat kilkudziesięciu przebywa tutejsze społeczeństwo. Musiało być w tym wczorajszym epizodzie powtarzającéj się z dnia na dzień historyi coś innego jeszcze, co mu nadało osobliwą drastyczność i daleko doniośléjsze znaczenie. Było coś takiego w rzeczy saméj. Była po raz pierwszy tak wyraźnie ujawniona, kapitulacya władz, strażnictwo porządku publicznego piastujących przed nieporządkiem, i nie mniéj jawne zsolidaryzowanie się społeczeństwa samego ze sprawą nieporządku i anarchii publicznéj!

Władze, o których mowa, miały swoją reprezentacyę w Carmaux podczas napadu zbrojnéj i pijanéj tłuszczy na dom i osobę dyrektora kopalni. Żandarmerya była na miejscu. Więc stawiła opór napastnikom? Nie, nie miała instrukcyi odpowiednich! Nie czuła się upoważnioną do czynnéj interwencyi! Wystąpiła pojednawczo. Aby nie dopuścić do wyłamania drzwi, jeden z żandarmów otworzył je na

oścież. Ale było drzwi kilka, z pokoju do pokoju, przez ktore, w ślad za uchodzącym panem Humblot cisnęli się Calvignac'owi towarzysze, zawsze pod okiem bezczynnych żandarmów. Za ostatniemi zaś drzwiami, słysząc głosy wołające: *A mort! A mort!* zatarasował się nieszczęśliwy dyrektor. I tak, z jego winy, (jak objaśniali później niezrównani spadkobiercy legendowéj Pandory, godni sami poczestnego miejsca w legendzie), przyszło do oderwania zamku i nadwerężenia zawias. Ale obeszło się bez innych gwałtów. Jeden tylko z napastników chwycił pana Humblot za nogi, dla obalenia go na ziemię. I wtedy, widząc że źle się dzieje, żandarmerya musiała, z własnego natchnienia, przybrać energiczniejszą postawę, to jest wezwała pana Humblot do natychmiastowego podpisania dymisyi, któréj odeń żądano.

Na tém skończyła się jéj rola. Po ogłoszeniu bezrobocia, przybyła druga poważniejsza reprezentacya władz centralnych: wojsko samo. Ale już w téj chwili wszelkie policyjne, administracyjne, wykonawcze i prawodawcze atrybucye tych władz uległy konfiskacie, na rzecz zaimprowizowanéj władzy lokalnéj. Z organizacyą syndykalną zespolony strejk przybrał charakter naszych konfederacyi, które swojego czasu zawieszały w podobny sposób działalność normalnych organów życia publicznego. Patrole wojskowe spotykały się na ulicy z oddziałami utworzonéj na prędce milicyi miejscowéj — i ustąpiły im z drogi. Miały one czuwać nad zabezpieczeniem wolności pracy, i otwiérać swobodny przystęp do szybów węglanych i warsztatów robotnikom życzącym sobie nadal na chléb zarabiać; ale milicya, pod rozkazami syndykatu zostająca, otrzymała wręcz przeciwne przeznaczenie i rozkazy. Więc stało się jak chciał syndykat i jak rozporządzili jego milicyanci. Władza centralna zrobiła jak zrobili żandarmi: uciekła się do perswazyi; rozporządziła rozlepianie na murach plakatów nawoływających zbuntowaną ludność do poszanowania prawa. Ale plakaty musiały przejść przez urząd municypalny, czyli merostwo; tam zaś gospodarował syndykat, to jest pan Calvignac; więc proza pana Loubet i jego współpracowników poszła do kosza! I pan Loubet schował do kieszeni obelgę wyrządzoną sobie i reprezentowanemu przez się majestatowi narodowemu. I pan Calvignac sprawował daléj swoją dyktaturę. I rozmaite Karmaniole, o dzikich, mord i pożogę zapowiadających zwrotkach, rozlegały się na ulicach małéj i cichéj do niedawna mieściny, która obecnie wypowiadała wojnę całemu społeczeństwu. Nawet barwy narodowe ustąpiły miejsca rozwieszonéj w ich zastępstwie czerwonéj chorągwii. Była to jeszcze, tłomaczył p. Loubet, trójkolorowa chorągiew, tylko zwinięta, tak że czerwony brzeżek jedynie pozostawał widocznym!

A tymczasem wyzywane i poniewierane, w godności swojéj dotknięte i w bycie swoim zagrożone społeczeństwo — ujmowało się głosem i powagą wszystkich organów swoich za sprawcami tego zamachu! Prasa gardłowała przeciwko wyzyskowi, któremu klasa robocza podlega ze strony swoich chlebodawców, choć nikt w Carmaux nie skarżył się z tego tytułu na miejscową kompanię i nie o to wcale chodziło w wywołanym zatargu. Rada municypalna stołeczna uchwalała subsydya dla strejkujących. Izby milczały, bawiąc na wakacyach, ale dwaj z pomiędzy posłów, panowie Baudin i Duc-Quercy, podążyli na miejsce dla ozdobienia i osłonięcia Calvignac'owskiéj dyktatury aureolą swojego prawodawczego mandatu. Kiedy zaś władze prawodawcze zgromadziły się nareszcie w pełnym komplecie, wiadomém stało się natychmiast, na czyją stronę w ich łonie chylą się sympatye większości. Chwila była krytyczna dla strejkujących. Po trzech blisko miesiącach bezowocnéj swawoli, wyczerpały się siły, znużyły się natężone nerwy, a i środków zabrakło do dalszego podtrzymywania ochłodzonéj gorączki. Jeszcze dni kilka, a zarząd kopalni powołanymby został do zebrania owocu swéj długotrwałéj wytrzymałości, do podyktowania warunków kapitulacyi zwyciężonym przeciwnikom. Więc w izbie poselskiéj jeden prawie głos ozwał się—dla naśladowania żandarmów przy napadniętym dyrektorze kompanii,—dla wezwania naczelnego kompanii kierownika, barona Reille, aby pierwszy kapitulował!

Bo przyjęcie sądu polubownego było kapitulacyą. Kompania nie potrzebowała sądu; miała za sobą słuszność wszelką, za dni zaś kilka mogła mieć wszelką siłę. Ale tego właśnie nie chciano w izbie; tego nie chciała także opinia publiczna. I pan Loubet został sędzią polubownym. I pan Calvignac przyjechał p i e r w s z ą k l a s ą do Paryża, aby konferować z naczelnikiem rządu krajowego. I deputacya poselska, z panem Clémenceau na czele, witała dyktatora ludowego na dworcu kolei południowéj, obwoziła go po stolicy i wprowadzała na ministeryalne pokoje. I wyrok zapadł...

Mniejsza o to, że nie miał on sensu; że jeden paragraf kłócił się z drugim; jeden powracał pana Calvignac na miejsce, z którego niesłusznie jakoby wydalił go p. Humblot, a drugi zostawiał tegoż pana Humblot na jego własném miejscu, do którego utracenia nie dał on jakoby żadnego powodu. Mniejsza o to. Wyroki polubowne chodzą zwykle podobnemi drogami. Ale wiadomo, co daléj zaszło. Baron Reille przyjął sąd polubowny, bo mu kazano. Chwycono go także za nogi, moralnym trybem przynajmniéj.

— Zgódź się pan! robotnicy zgadzają się! — wołał nań p. Clémenceau.

Przyjął sąd i przyjął następnie wyrok. Aliści zaledwie ten ostatni ogłoszony został, dowiedziano się, że nie ma nic zrobionego. P. Clémenceau zaprotestował pierwszy, a za nim panowie Pelletan i Millerand, którzy w imieniu robotników wpływali z nim razem do kompromisowego załatwienia sprawy. Naturalnie! Robotnicy i orędujący za nimi posłowie zgodzili się na sąd, ale na taki, któryby całkowicie wypadł na ich stronę. Owóż p. Loubet zdradził ufność w nim położoną, nie pozwolił wilkowi zjeść całéj kozy; zostawił biédnemu zwierzęciu jedno udo. Naiwny człowiek! przypuścił, że żądają od niego na seryo pojednania poważnionych stron. Ależ nie! Sąd polubowny był tylko pułapką, z któréj wyjść miało albo całkowite zwycięstwo strejkowych przewódców, otwiérające drogę do dalszych tryumfów, albo dalsza wojna, w przypadku, gdyby kompania sama akceptować nie chciała zbyt stronniczego przeciwko niéj wyroku. W jednym lub drugim przypadku pole pozostawało otworem dla agitacyi i dla agitatorów. Więc, razem z tekstem rozjemczego postanowienia, poszła do Carmaux odezwa pp. Clémenceau, Pelletan i Millerand, zachęcająca robotników do dalszéj walki!

I cóż wtedy? Czy może opinia publiczna ocknęła się nareszcie? Czy naczelnik rządu krajowego zrozumiał, że rządzić nie zaś sądzić jest zadaniem człowieka zajmującego jego stanowisko? Gdzież tam! Papiéry pana Clémenceau i jego kolegów poszły w górę, a p. Loubet wziął się potulnie do ponownego krajania kozy. Rzucił jeden jeszcze kawałek wilkowi: wypuścić obiecał na wolność robotników, których przypadkiem policya ujęła w Carmaux na gorącym uczynku osobliwie gwałtownych zamachów na cudzą własność i cudze bezpieczeństwo. I jeszcze jeden: przyrzekł usunięcie pana Humblot. I tak ugoda stanęła nareszcie, i pp. Clémenceau, Pelletan i Millerand pojechali do Carmaux winszować robotnikom odniesionéj wiktoryi.

A teraz jak nazwać takie zachowanie się społeczeństwa i ludzi u steru w nim stojących? Co to jest? Skąd się to bierze? I do czego to prowadzi? — Jest-to druga choroba, będąca w części następstwem tamtéj, wyżéj zaznaczonéj. Jest-to anemia organów żywotnych, któréj podległa właśnie klasa powołana obecnie do przewodniéj roli, klasa rządząca. Rola ta przypadła od końca zeszłego wieku temu trzeciemu stanowi, który, według Sieyes'owego orzeczenia, był pierwéj niczém, a miał stać się wszystkiém. I oto krótki ten przeciąg panowania wyczerpał już widomie siły téj ukrólowionéj burżuazyi. Żywioł szlachecki okazał poprzednio większą wytrzymałość; zużył się dopiéro w ciągu całego wieków dziesiątka! Może posiadł większe zasoby. Używał też ich inaczéj. W trwałych kadrach społecznéj

hierarchii, w spokojnym trybie prawidłowo czy nie, ale stale unormowanych stosunków, żył wygodnie i porządnie w zbudowanym dla siebie domu. Dom ten rozwaliła burżuazya przed stu laty, ale z rewolucyjnéj zawieruchy nie zdołała wynieść materyałów dla nowéj budowy, w któréjby sama znaleść mogła tę samą wygodę, i spokój, i bezpieczeństwo. Nie nakryła własnéj głowy żadnym ochronnym dachem; nie otoczyła zdobytego przez się stanowiska żadnym murem fortecznym. Jak była śród zwycięskiéj walki, tak i pozostała jakiemś koczującém obozowiskiém, otwartém na wszystkie strony, dostępném ze stron wszystkich. Żyła w niém z dnia na dzień, niepewna jutra, napastowana ciągle, zmuszana każdéj chwili do wytężania sił we własnéj obronie, trawiona wiecznym niepokojem i wieczną gorączką. I to życie ją zmogło. I oto znużonéj już i wycieńczonéj przyszło odpierać szturm nowych, z kolei, pretendentów do spadku po wydziedziczonéj arystokracyi. Po trzecim stanie zjawił się stan czwarty! I oto jeszcze powtarzają się przed oczami naszemi te same symptomaty i zjawiska, na które przodkowie nasi patrzyli przed stu laty; ta sama pseudo-filozoficzna abnegacya panującego żywiołu w lekceważeniu praw swoich, a uznawaniu, bez rozbioru, cudzych pretensyi; ta sama niby polityczna gotowość do wszelkich kompromisów i do wszelkich ofiar; ten sam niby humanitarny sentymentalizm w litowaniu się nad losem upośledzonych przeciwników; w gruncie zaś rzeczy ta sama małoduszność, ta sama apatya i to samo mazgajstwo, któremi popisali się owcześni arystokratyczni poprzednicy!

Upośledzenie klasy roboczéj w tym kraju? Cóż znowu? Porównajmy byt kopacza węgli w Carmaux, zarabiającego 6 fr. dziennie za ośm godzin pracy, z bytem urzędnika paryskiego, którego pensya roczna wynosi 1,500 fr., pamiętając przytém jaką drogą jeden i drugi doszedł do swojego zarobku! Jeden bujał swobodnie do lat dwunastu; potém, do lat dwudziestu terminował, pod ochroną praw oszczędzających jego młode siły. Drugi, od ośmiu do 25 lat chodził do szkół i egzamina zdawał; to jest był w opałach! Jadł Bóg wié co, nocy nie dosypiał, podlegał dyscyplinie surowszéj niż wojskowa, i pod naciskiem konkurencyi, którą wywołuje hyperprodukcya intelektualna, nadwerężał zdrowie pracą nadludzką. Przypatrzmy się zaś obustronnemu trybowi życia. Jeden skończywszy robotę swoją o trzeciéj z południa, wraca do domu. Dom ma własny, wygodny i tanio nabyty, prawie za darmo: wybudowała go kompania górnicza i oddała na kredyt robotnikowi, potrącając częściowo kapitał wyłożony z codziennego zarobku, ale właściwie nie odzyskując nigdy swojego nakładu: zazwyczaj robotnik, któremu potrącają coś z pobieranéj daw-

niéj płacy, dopomina się natychmiast o płacę wyższą, i zazwyczaj otrzymuje ją. Przy domu jest ogródek, uprawiany przez żonę robotnika i przez niego samego w chwilach wolnych: źródło pewnego zarobku i narzędzie rozrywki. Tu więc, w otoczeniu swoich, w wygodzie i względnym dostatku, przepędza wracający z kopalni pracownik resztę dnia, używając wczasu i uciech rodzinnych, krzepiąc sobie siły i rozweselając serce. A urzędnik paryski? Ten opuszczając biuro o czwartéj, biegnie na drugi koniec miasta dla jakiéjś lekcyi, za którą dostanie dwa franki. Wraca do domu o 7-éj lub 8-éj. Do domu? Do dwóch izdebek na poddaszu! Zjada obiad, kiedy jest obiad, i bierze się do przepisywania lub do innéj podobnéj roboty, jeżeli był dość szczęśliwy, aby ją znaleść. Tak pracuje do północy; czasem dłużéj. Inaczéj nie mógłby się wyżywić w stolicy, ani rodziny utrzymać!...

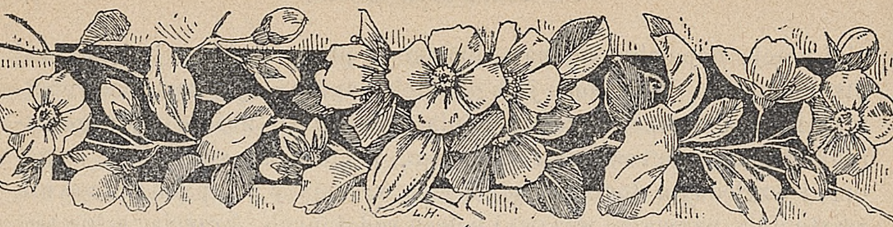
Ale jemu skarżyć się nie wolno! On należy do klasy uprzywilejowanéj! Prawo do skargi ma jeden stan czwarty. Jemu jednemu dzieje się zawsze i wszędzie krzywda straszna (nawet wtedy, kiedy zamiast iść do roboty idzie do winiarni i ostrygi tam zajada), i on jeden wszystkiego żądać ma prawo, nawet szyby z okna i kafli z pieca. Jeżeli nie dostanie, to dom cały rozwali. Jakoż i rozwala! A jednak Bóg wié, czy brakuje gotowości do zaspokojenia wszystkich jego zachcianek. Oto np. w Paryżu chciał mieć giełdę swoję, jak mają swoją kapitaliści. Zbudowano mu giełdę, która kosztowała przeszło pięć milionów, któréj utrzymanie pochłania rocznie przeszło 150,000 franków, a która mu służy, jak powiadają, za plac broni do zamachów układanych przeciwko budynkom sąsiednim. O pracy niemasz tam nigdy mowy; jest mowa o przyszłéj rewolucyi i przygotowywujących ją zamachach dynamitowych.

I tym sposobem przygotowywuje się nowy kataklizm, nowy gromadny przewrot, który, wzorem poprzedniego, nie będzie ani ekonomiczną, ani nawet, w ścisłém znaczeniu słowa, socyalną rewolucyą, ponieważ nie zaprowadzi w łonie społeczeństwa żadnéj zmiany organicznéj, lecz tylko prostém przestawieniem miejsc, zastąpieniem jednego żywiołu przez żywioł drugi, silniejszy liczebnie, przyszłość zaś pokaże, czy sposobniejszy do nadania budowie społecznéj poważniejszego i trwalszego kształtu.

I w tym sensie wypadki, przez nas tu omówione, zasługują na dziejowe znaczenie i upamiętnienie, które im przypisane zostało.

Paryż, 5 grudnia 1892 r.

K. W.



O CHOLERZE.



Zdaje się, że ostatnia epidemia cholery w Europie pozostawi trwałe ślady w rozwoju naukowych poglądów na istotę téj choroby. Liczne obserwacye i doświadczenia, które dotychczas w bardzo małéj zapewne części dopiéro zostały ogłoszone, pozwolą niejedną wyciągnąć naukę nie tylko czystéj, teoretycznéj wartości. Gdy zaś interesy społeczne najściśléj są związane z przedsiębranemi na wielką skalę środkami profilaktycznemi, które od cholery zabezpieczyć nas mają, nic dziwnego, że ogół niezwykle żywo interesuje się choćby najdrobniejszemi postępami, jakie nauka w téj sprawie ma do zaznaczenia. Postępem zaś pierwszorzędnéj doniosłości było w roku 1883 przez Kocha dokonane odkrycie lasecznika przecinkowego, stale znajdującego się w wypróżnieniach kiszkowych chorych na cholerę. Lasecznik ten uznany został przez bakteryologów za mikroba nie tylko wywołującego charakterystyczne dla cholery zaburzenia w przewodzie kiszkowym, lecz i wytwarzającego jadowite produkty, które prowadzą do śmiertelnego upośledzenia w czynnościach serca i prawdopodobnie innych, niezbędnych do życia organów (mózg). Od czasu owego pamiętnego odkrycia Kocha zdawało się, iż sprawa walki z cholerą bardzo jest prosta: należy tylko starać się o zniszczenie lasecznika, przeciąć mu możność rozwijania się i rozmnażania. Ogólnie ta walka z lasecznikiem, jako takim, uważana jest nawet za najistotniejszy, jedyny niemal środek profilaktyczny; cholera uważana

jest wprost za chorobę zakaźną, kontagionistyczną i powinna — zdaniem kontagionistów, opierających się wyłącznie na powyższém — przestać się rozszerzać, jeżeli tylko odpowiednio zarządzone będą środki takie jak kwarantanna, dezynfekcya, izolowanie chorych i t. p. Natomiast zapomniano prawie w zupełności o dużym szeregu faktów epidemiologicznych, zebranych już dawniéj, a i podczas epidemii tegorocznéj nastręczających się w obfitości, faktów, które nie pozwalają zapatrywać się na cholerę wyłącznie ze stanowiska kontagionistycznego. Fakty te, poparte nowo zebranemi spostrzeżeniami oraz doświadczeniami, postanowił przypomniéć lekarzom i ogółowi nestor hygienistów współczesnych, profesor monachijski Pettenkofer, który od wielu dziesiątków lat kwestyą cholery się zajmuje i którego poglądy, dawniéj już wypowiedziane, niestety, zbyt mało ogólnie są znane [1]).

Lasecznik przecinkowy nie jest wszystkiém w cholerze, a dokładna znajomość warunków jego istnienia i rozmnażania się każe w nim upatrywać jeden tylko z niezbędnych do powstania epidemii warunków. Dla Pettenkofera cholera — jak to już dawniéj wypowiedział — jest niby równaniem z trzema wielkościami niewiadomemi, x, y i z, które badanie naukowe wykryć powinno. Pierwsza niewiadoma x jest roznoszonym przez ludzi zarodkiem choroby, y jest czémś, co ma swoje źródło w miejscowości i czasie (miejscowe i czasowe usposobienie), wreszcie z nazwać można usposobieniem indywidualném, osobnikowém, które, jak wiadomo, ważną odgrywa rolę we wszystkich chorobach zakaźnych, zarówno w bezpośrednio zakaźnych (ospa, syfilis i t. d.), jak i w innych (tyfus brzuszny, malarya). Otóż, kontagioniści sądzą, że całkowite x zostało poznane przez odkrycie laseczników w wypróżnieniach chorych i że dla wybuchu cholery w danéj miejscowości potrzeba do owego x jeszcze tylko z, t. j. ludzi niedostatecznie odpornych na zarażenie się. Tak więc, wszędzie, gdzie ludzie nieczystemi rękami dotykają się warg lub za pomocą wody i pokarmów wprowadzają laseczniki do żołądka, tam powinna cholera wystąpić, jeżeli z jest dane.

---

[1]) Pod tytułem „Ueber Cholera, mit Berücksichtigung der jüngsten Cholera-Epidemie in Hamburg“ Pettenkofer wygłosił d. 13 listopada b. r. odczyt w towarzystwie lekarzy monachijskich. Artykuł niniejszy, streszczający ten wykład, opiera się prócz tego na wydaném w r. 1887 dziele tegoż uczonego p. t. „Zum gegenwärtigen Stand der Cholerafrage,“ w którém epidemiologia cholery traktowana jest rozlegle i które z bogatego materyału krytycznie czerpie i uzasadnia poglądy lokalistyczne.

Pogląd ten jest nader prosty, łatwy zwłaszcza do zrozumienia dla każdego, który poszczególnych tylko chorych badał, nie zajmował się zaś, tak, jak to czyni epidemiolog, dużym szeregiem epidemii.

Epidemiolog, uznając nawet w zupełności doniosłość odkrycia Kocha, poważne jednak napotyka wątpliwości w takiém tłumaczeniu i nie może się zgodzić na to, że cholera rzeczywiście tak prostém jest zjawiskiem. Przynajmniéj udaje mu się wskazać pewne nader interesujące fakty, jak np. że, podobnie jak istnieją ludzie odporni na cholerę, tak téż są pewne miejscowości, w których choroba ta nie występuje, a nawet, że w miejscowościach nieodpornych bywają okresy czasu, kiedy pomimo istnienia x i z, t. j. zawleczonych wypadków cholery i dysponowanych dla choroby téj ludzi, epidemia się nie rozwija. Ten właśnie wpływ, tkwiący w miejscowości i czasie, oznacza Pettenkofer ową niewiadomą y. Lecz jakkolwiek starał się ją wykryć w łatwo pochwytnéj postaci, to dotychczas tyle tylko udało mu się zrozumiéć, że nie jest to wielkość tak prosta jak x i że stanowczy na nią wpływ wywierają własności gruntu i wilgotność tegoż.

Ze wszystkich stworzeń na ziemi tylko człowiek wrażliwy jest na taki przebieg cholery, jaki widzimy podczas epidemii. Koch co prawda wywołuje cholerę u świnek morskich, zastrzykując im do żołądka rostwór sody, następnie czystą hodowlę swych laseczników i wreszcie jeszcze dużą dawkę nalewki makowcowéj do jamy brzusznéj; Gruber zaś otrzymuje cholerę u zwierząt, wprowadzając do jamy brzusznéj dużą dawkę zupełnie świeżéj czystéj hodowli laseczników. Jednakże te doświadczenia nie przemawiają z zupełną pewnością za tém, że u zwierząt mamy do czynienia w tych razach z chorobą, powstającą ściśle w tych samych warunkach co i w człowieku. Gdyż w bardzo rzadkich tylko wypadkach spostrzegano, że podczas epidemii cholery ginęły w większéj niż zazwyczaj liczbie zwierzęta. Tak np. w Agra, gdzie cholera często występuje, podczas jednéj epidemii ginęły też koty, lecz w epidemiach wcześniejszych i późniejszych koty były zdrowe. A ostatnia cholera w Hamburgu, jak się przekonano, nic nie szkodziła świnkom morskim. Doświadczenia przeto z lasecznikami cholery, któreby wolne były od wszelkiego zarzutu, mogą być dokonane tylko na człowieku.

Prawidłowe występowanie „przecinków“ w wypróżnieniach cholerycznych wskazuje bądź co bądź, że mikrob ten istotnie dla cholery jest charakterystyczny; pytanie wszakże, czy jest on jedyną, wyłączną przyczyną choroby, czy taki, jakim go otrzymujemy w czystych

hodowlach, sam przez się wytwarza on specyficzny jad choleryczny? Według poglądu Pettenkofera, lasecznik przecinkowy nie posiada tych, przypisywanych mu przez kontagionistów, własności i dlatego w miejscowościach odpornych na cholerę, a także w takich, które czasowo dla cholery nie są usposobione, cholery sprowadzać on nie może.

Ponieważ Monachium w roku bieżącym pomimo wielu przyjezdnych z Hamburga i Paryża wolne było od cholery, postanowił przeto Pettenkofer dokonać doświadczenia na sobie samym, przyjmując laseczniki, sprowadzone z najlepszego źródła, z Hamburga. Bakteryologowie monachijscy, dr. Pfeiffer i dr. Eisenlohr przyrządzili hodowlę w bulionie, w takiéj ilości, ażeby ją przez usta przyjąć było można.

Ponieważ Gruber przekonał się, że zupełnie świéże hodowle działają na świnki morskie pewniéj i silniéj aniżeli po kilku dniach, Pettenkofer przeto wybrał dla siebie hodowlę, która zaledwie 24 godziny się rozwijała. Okazało się, że w jednym centymetrze sześciennym nawet po tysiąckrotném rozcieńczeniu znajdowała się w niéj niezliczona masa laseczników, i że w jednym centym. sześć. przyjąć badacz ten musiał chyba z miliard tych strasznych grzybków, w każdym razie znacznie więcéj aniżeli dostaje się ich do żołądka za dotknięciem warg nieczystemi rękami.

Wiadomo, że kwaśny sok żołądkowy zabija laseczniki cholery; Pettenkofer przeto przyjął swój napój z lasecznikami prawie przy próżnym żołądku, w warunkach, w których najwyżéj mogło się w żołądku znajdować 100 centym. sześc. soku żołądkowego. Żeby wszakże i tę ilość kwaśnego soku zniweczyć, popił „przecinki“ roztworem sody, który zobojętnił kwas.

„Ten napój choleryczny — oto słowa Pettenkofera — który smakował jak czysta woda, wychyliłem wobec świadków dnia 7 października 1892 r. Niektórzy z wtajemniczonych obawiali się o mnie i nawet prosili, abym, jeśli koniecznie już przy doświadczeniu się upiéram, pozwolił im poświęcić się za swego starego nauczyciela. Lecz chciałem postąpić według starożytnéj zasady lekarskiéj: *fiat experimentum in corpore vili.* Mam zaś wszelkie prawo uważać się za *corpus vile.* Mam lat 74, oddawna cierpię na glikozuryę, nie mam ani jednego zęba w ustach; sztucznemi zębami posługuję się tylko wówczas, gdy mam dużo mówić, lecz nigdy do żucia — i wogóle odczuwam brzemię starości. Gdybym nawet miał się mylić i gdyby to doświadczenie było niebezpieczne, spokojnie zajrzałbym śmierci

w oczy; nie byłaby to bowiem śmierć lekkomyślna lub tchórzliwa, umarłbym w usługach nauki, jak żołnierz na polu bitwy. Jak często miałem sposobność wypowiadać, zdrowie i życie wielkiém są dobrém ziemskiém dla człowieka, lecz nie najwyższém. Człowiek, który wyżéj chce stać od zwierzęcia, winien być gotów nawet życie i zdrowie poświęcić za wyższe, idealne dobra.

„Lecz wogóle cała sprawa nie wydawała mi się wcale tragiczną, gdyż głęboko byłem przekonany, że bez *y* nie uśmierci mnie moje *x*.— Po pochłonięciu laseczników żyłem jak zwykle...“

Wymienieni wyżéj bakteryologowie Pfeiffer i Eisenlohr przez cały czas trwania doświadczenia, zajęci byli bakteryologicznemi badaniami wypróżnień Pettenkofera. Okazało się, że laseczniki nie tylko przeszły do kiszek, lecz nawet, że rozmnożyły się tam gwałtownie, że znalazły się na doskonałém dla siebie podłożu. Dopiéro na dziesiąty dzień wypróżnienia wolne były od laseczników, a zarówno przez cały ten czas jak i późniéj Pettenkofer (pomijając tylko obfite, rzadkie wypróżnienia) czuł się najzupełniéj zdrowym.

Przeważna część bakteryologów przyjmuje, że lasecznik sprowadza cholerę azyatycką nie skutkiem przedostawania się z kiszek do innych organów, lecz w ten sposób, że pozostając w kiszkach, wytwarza tu jadowite produkty, które zostają wchłonięte i następnie wywołują objawy cholery. Ileż tych produktów musiałoby się wytworzyć przez dziewięć dni w kiszkach Pettenkofera, w których gnieździły się miliardy laseczników! A jednakże nie odczuwał on najmniejszéj niedyspozycyi, był zupełnie zdrów, miał doskonały apetyt, ani śladu wymiotów, normalną temperaturę, nie przerywał swych zajęć.

„W Hamburgu — powiada on — eksperyment mój może zakończyłby się śmiercią, tam bowiem d. 7 października obok azyatyckiego *x* dość jeszcze było hamburskiego *y*, które i mnie udzielićby się mogło i sprowadzić bardzo poważne skutki nawet przy mniejszéj ilości *x*.“

Gdy w ten sposób szczęśliwie zakończyło się doświadczenie Pettenkofera, powtórzył je na sobie profesor bakteryologii w Monachium Emmerich z zupełnie tym samym skutkiem pomyślnym.

Dwa te doświadczenia, wykonane z całą ścisłością naukową na człowieku, w wysokim stopniu przemawiają za tém, że lasecznik przecinkowy, żyjąc w kiszkach, nie wytwarza specyficznego jadu, sprowadzającego cholerę azyatycką (sprowadza tylko biegunkę); a doświadczenia te zgadzają się doskonale z tém, co niedawno dopiéro stwierdził Bouchard w badaniach dokonywanych z jednéj strony

z czystemi hodowlami laseczników przecinkowych, z drugiéj zaś z wydzielinami (zwłaszcza moczem) cholerycznych. Bouchard przekonał się mianowicie, że króliki, którym zastrzykiwał wydzieliny z nerek lub kiszek ludzi chorych na cholerę, zapadały z objawami prawdziwéj cholery (biegunka, kurcze, cyanoza, opadanie temperatury, zwężenie źrenicy), natomiast pozostawały zdrowe, jeżeli dawano im tylko czyste hodowle laseczników lub wytwarzane przez te ostatnie produkty chemiczne. Bouchard wnosi stąd, że lasecznik przecinkowy nie wytwarza specyficznego jadu cholerycznego. To, czego dowiódł badacz francuski na królikach, Pettenkofer i Emmerich dowiedli na sobie. Zdaje się, że grzybek choleryczny jest w tym względzie podobny do grzybka drożdżowego, który tylko w pewnych warunkach, mianowicie w obecności pewnych gatunków cukru jest w stanie wytworzyć alkohol. Doświadczenia Boucharda dowodzą jednocześnie, że próby infekcyjne z lasecznikami przecinkowemi, dokonywane na zwierzętach, nie są przekonywające: widzimy tu najwyraźniéj, że właściwy jad choleryczny nie powstaje w zwierzętach, lecz tylko w organizmie ludzkim i dopiéro, gdy w tym ostatnim się wytworzył, może u zwierząt cholerę sprowadzić.

„Sądzę jednakże — powiada Pettenkofer, — że pomimo to Koch i liczni jego adepci najspokojniéj twierdzić będą, że nie dowiodłem niczego innego, jak tylko, że i Emmerich i ja przebyliśmy lekki napad cholery bez śmiertelnego skutku. Cieszę się, iż mogę tę przyjemność wyświadczyć moim przeciwnikom, nie mogę się jednak zgodzić na ich pogląd, iż dla epidemii cholery dostateczném jest x i z, a zbyteczném y, a to z powodów epidemiologicznych (o których niżéj). Również nie mogę nabrać przekonania do tych środków ochronnych, które na podstawie odkrycia lasecznika przecinkowego zostają przedsiębrane w Niemczech, Austryi i Włoszech.

„Dodam jeszcze, że dwaj klinicyści, którzy widzieli już wielu cholerycznych, zapewniali, że obraz chorobowy (biegunki) mój i Emmericha nie odpowiada spostrzeżeniom ich zebranych podczas epidemii cholery. Wtajemniczyłem w moje doświadczenie profesorów Bauera i Ziemssena. Oczywiście, iż nie mogłem ogólnie nic mówić o tych moich próbach infekcyjnych; gdy bowiem w wypróżnieniach mych wykryto laseczniki przecinkowe, bez litości zamkniętoby mnie w profilaktycznie na wszelki wypadek urządzonych w Monachium barakach, a mieszkanie moje według rozporządzeń państwowych poddanoby dezynfekcyi. Szkoda właściwie, że się tak nie stało, bo gdyby się stało, wówczas kontagioniści dumnie wyrzecby mogli, że to oni ocalili

całe Monachium od cholery, podczas gdy ja i Emmerich, którzy istotnie wypróżnienia nasze bez dezynfekcyi wrzucaliśmy do dołów kloacznych i waterklozetów, z pewnością zarazilibyśmy miasto.

„Lecz żarty na bok! Toż i ja chętnie zostałbym kontagionistą — to tak wygodny pogląd, czyniący zbyteczném wszelkie dalsze myślenie — gdyby tylko panowie ci zechcieli objaśnić, dlaczego tyle istnieje miejscowości, w które cholera wielokrotnie już była zawleczona, a jednakże epidemicznie się w nich nie rozwinęła. Jednym z najjaskrawszych przykładów jest Lyon, drugie z rzędu co do wielkości miasto we Francyi, przez które prowadzi droga pomiędzy dwoma ogniskami zarazy Paryżem i Marsylią.“

Kontagioniści, całkiem pochłonięci badaniem laseczników, zapominają o konieczności bliższego wnikania w fakty epidemiologiczne, których zebrało się podczas nawiedzających Europę epidemii olbrzymie mnóstwo. Zatrzymajmy się nad ważniejszymi z tych faktów.

Przeglądając tablice, skrzętnie zestawione w dziele Pettenkofera, dochodzimy do przekonania przedewszystkiém, że istnieje pewna zależność występowania cholery od pory roku, zależność, któréj nie podobna nie dostrzedz. To samo widzimy i w pracach innych badaczów, jak np. Hirscha (w sprawozdaniach komisyi cholerycznéj dla państwa niemieckiego) i Reinckego. Biorąc dla przykładu Berlin, widzimy, że z dwunastu epidemii cholery, które dotychczas nawiedziły to miasto, jedna rozpoczęła się w maju, dwie w czerwcu, trzy w lipcu, pięć w sierpniu i jedna we wrześniu; kończyły się zaś wszystkie w listopadzie, grudniu, najpóźniéj w styczniu. To samo mniéj więcéj występuje na jaw, gdy rozglądamy się w tablicach, przedstawiających epidemie hamburskie (dotychczas 14). Jeszcze wyraźniéj zależność od pory roku widać z zestawień epidemii dla całego królestwa pruskiego, w którém przez 12 lat z rzędu (1848—1859) co roku to tu, to owdzie cholera występowała. W ciągu tych 12 lat *minimum* zachorowań i zejść śmiertelnych przypada na pierwszą połowę drugiego kwartału (kwiecień, maj, czerwiec), gdyż wynosi za cały ten czas (12 lat) tylko 71 zasłabnięć i 50 śmierci, kiedy na pierwszą połowę września przypada 57,395 zachorowań i 31,048 wypadków śmierci. Jeżeli przyjmiemy za jednostkę *minimum* wypadków śmierci przypadające na pół miesiąca, otrzymamy tablicę następującą, w któréj jasny mamy przegląd stopniowego wzmagania się i opadania cholery w zależności od pory roku (w całém królestwie pruskiém):

od 1 — 15 kwietnia	1,0	od 1 — 15 maja	2,2
„ 16 — 30 „	1,2	„ 16 — 31 „	6,7

od 1 — 15 czerwca	39,2	od 1 — 15 listopada	227,2
„ 16 — 30 „	48,9	„ 16 — 30 „	125,3
„ 1 — 15 lipca	61,0	„ 1 — 15 grudnia	84,9
„ 16 — 31 „	108,6	„ 16 — 31 „	60,1
„ 1 — 15 sierpnia	233,4	„ 1 — 15 stycznia	28,5
„ 16 — 31 „	439,2	„ 16 — 31 „	28,5
„ 1 — 15 września	620,9	„ 1 — 15 lutego	10,2
„ 16 — 30 „	510,2	„ 16 — 28 „	6,6
„ 1 — 15 października . . .	389,2	„ 1 — 15 marca	3,3
„ 16 — 31 „ . . .	316,1	„ 16 — 31 „	1,1

Cholera w całém królestwie pruskiém, jak widać, wzmaga się według pór roku, od *minimum* 1 do *maximum* 620, i następnie równie prawidłowo i stopniowo znów w sile swéj do *minimum* schodzi. „Trzeba być — powiada P. — wyłącznie bakteryologiem, który umié tylko liczyć, ile rozwija się bakteryi z jednego centymetru sześciennego, ażeby nie dojrzéć w powyższéj tablicy wyraźnie przeglądającego prawa. Jakże pogodzić można te kolosalne różnice czasowe z własnościami lasecznika przecinkowego? Dlaczego lasecznik w Hamburgu i Berlinie w jednéj epidemii działa tak gwałtownie, w innéj znów tak słabo? Sam lasecznik nie może nam objaśnić tego olbrzymiego przeskoku od 1 do 620, gdyż jeden lasecznik wystarczyć może już do wywołania największych epidemii. W Prusiech był on tak dobrze w kwietniu, jak i w sierpniu. Jakiż więc może być ten wpływ pór roku?“

Najbliższém jest przypuszczenie wpływu temperatury. Lecz przeczą temu gwałtowne epidemie zimowe w Moskwie, Petersburgu, Monachium i t. d. Przeczy téż temu przebieg epidemii w samych Indyach. W Kalkucie, położonéj w endemicznym obszarze cholery, *minimum* (według Macphersona, Cuninghama, Bellewa i in.) przypada na sierpień, niekiedy i na wrzesień, a *maximum* na czas od stycznia do kwietnia, najczęściéj na kwiecień. Średnia temperatura kwietnia w Kalkucie wynosi 30° C., sierpnia 28° C., a więc prawie tyleż. Jeżeli lasecznik przecinkowy tak łatwo może się przenosić z człowieka na człowieka, jak twierdzą kontagioniści, w takim razie pora roku wogóle nie powinna miéć wpływu, a najmniéj temperatura, gdyż w przewodzie kiszkowym człowieka lasecznik zawsze znajduje się przy 37,5° C., temperaturze, odpowiadającéj zwrotnikowemu klimatowi. Lecz duża bardzo różnica występuje w Kalkucie co do innego czynnika klimatycznego. Średnia ilość deszczu w kwietniu wynosi tam 60 milimetrów, w sierpniu zaś 365 milim. Kalkuta przeciętnie na rok cały ma 1,600 milim. opadu, lecz bardzo nierównomiernie podzielonego na poszczególne miesiące. Pora deszczowa rozpoczyna się

tam z nastaniem południowo-zachodniego wiatru (*monsunu*) w maju, a kończy się na schyłku września lub w październiku. Po ustaniu wiatrów deszczowych, często przez cztery do pięciu miesięcy nie spada ani kropla deszczu. Jeżeli za pomocą krzywych linii przedstawimy przebieg cholery z jednéj strony, z drugiéj zaś ilość opadu atmosferycznego w poszczególnych miesiącach w Kalkucie, otrzymamy osobliwy rezultat: obiedwie krzywe biegną w wprost przeciwnych kierunkach, w tych miesiącach, w których jedna się podnosi, druga opada i odwrotnie, *maximum* cholery przypada na czas najsłabszego opadu, *minimum* na czas największego.

Nie można tego uważać za bezpośrednie działanie deszczu na bakterye, zwłaszcza zaś na laseczników przecinkowego, na którego susza działa zabójczo i który tylko w wilgotnych żyć może ośrodkach. Pettenkofer przeto zawsze był przekonany, że wpływ pory deszczowéj na cholerę w Kalkucie wyraża się w postaci innego czynnika, mianowicie wilgotności gruntu. Z tém też zgadza się ruch cholery w Prusiech, o którym wyżéj była mowa. *Maxima* przypadają tu właśnie na te miesiące, kiedy w Dolnym Bengalu są *minima* i odwrotnie. W północnych Niemczech *minimum* cholery przypada na kwiecień, a *maximum* na wrzesień, a więc wprost odwrotnie, aniżeli w Kalkucie. Wzmaganie się wilgotności gruntu, w naszym klimacie przynajmniéj, przeciwdziała rozwojowi epidemii cholery; opadanie wilgotności gruntu sprzyja temu rozwojowi. W Prusiech wrzesień jest przeciętnie najsuchszym miesiącem, kwiecień zaś najwilgotniejszym.

Z tych stosunków deszczowych wynika też, dlaczego w Hamburgu i Berlinie z 27 epidemii żadna nie wybuchła w zimie, kiedy np. w Monachium z trzech dotychczasowych epidemii, dwie przypadły na zimę. Ze sprawozdań dyrektorów instytutów meteorologicznych Neumayera w Hamburgu, Bezolda w Berlinie i Langa w Monachium, widać wyraźnie, że późna jesień i początek zimy przynoszą w północnych Niemczech większe ilości deszczu, gdy wprost przeciwnie dzieje się w Monachium.

Objaśnia nam to także, dlaczego miejscowe epidemie cholery zawsze słabną w miarę zbliżania się do gór: większa tu bowiem ilość opadu, większa wilgotność gruntu. Salzburg, znany ze swéj odporności na cholerę i Innsbruck, dokąd za każdym wybuchem epidemii ucieka dużo osób z Austryi i Bawaryi, mają przeciętnie 50% więcéj opadu atmosferycznego, aniżeli Monachium. Cholera w r. 1873-im w Monachium także doskonale ilustruje istotny stan rzeczy. W czerw-

cu był 1 wypadek, w lipcu 1, w sierpniu 298, we wrześniu 128, w październiku 21, w listopadzie 86, w grudniu 415, w styczniu 339, w lutym 92, w marcu 52 i wreszcie w kwietniu 28. Jakże kontagioniści objaśnić to mogą, że lasecznik przecinkowy w Monachium, zaledwie się ukazawszy, osłabł we wrześniu, w październiku i w początku listopada prawie zniknął, a w grudniu nagle wywołał silną epidemię, która trwała przez całą zimę? Jest-to ze stanowiska kontagionistycznego również niezrozumiałe, jak ustawanie cholery zimą w Hamburgu i Berlinie.

Podobnych przykładów, zadawalniające znajdujących objaśnienie w teoryi „lokalistycznéj" Pettenkofera, możnaby jeszcze dużo przytoczyć. Kto ciekaw, znajdzie ich podostatkiem w cytowaném wielokrotnie dziele hygienisty monachijskiego.

Nic dziwnego, że przy szukaniu rozstrzygających przyczyn wybuchu tegorocznéj epidemii w Hamburgu, uwagę zwrócić musimy na wpływy atmosferyczne. Pettenkoferowi udało się zebrać już odnośny materyał [1]), dzięki uprzejmości d-ra Neumayera i prof. van Bebbera, dyrektora morskiéj stacyi w Hamburgu. Okazuje się, że lato 1892 roku było w Hamburgu niezwykle suche i gorące. Dość powiedzieć, że upał w sierpniu był nieznośny, temperatura o 5° wyższa nad przeciętną tego miesiąca, opad zaś w ciągu lipca, sierpnia i września znacznie był niższy, aniżeli normalnie. Oto zestawienie tych danych, w których średni opad obliczony jest z materyału za lata 1876—1890:

	rok 1892	średnio
w lipcu	21	97
„ sierpniu	53	77
„ wrześniu . . .	46	64
	120	238 milim.

W r. 1892 brakuje prawie 50%; a jeżeli uwzględnimy tylko lipiec i sierpień, brak jeszcze będzie większy.

Naturalnie, że te warunki atmosferyczne dały się odczuć na

---

[1]) Ogłaszane podczas epidemii w Hamburgu wiadomości w pismach lekarskich, nasunęły mi uwagi w duchu teoryi lokalistycznéj, które ogłosiłem w nr. 42-im „Wszechświata" r. b. pod tytułem „Cholera w zależności od warunków meteorologicznych". Nie miałem wówczas jeszcze danych meteorologicznych z Hamburga za ten rok; to, co w niniejszym artykule w tym względzie jest przytoczone, doskonale się zgadza z danemi umieszczonemi we „Wszechświecie", a dotyczącemi poprzednich epidemii hamburskich.

większym obszarze państwa niemieckiego i w miejscowościach takich, które wrażliwe są na cholerę, lecz w których w tym roku epidemii jeszcze nie było. W tych ostatnich, dokąd zarazek cholery prawdopodobnie został zaniesiony, cholera będzie też mogła wybuchnąć we właściwym czasie, jeżeli sprzyjać jéj będą w dalszym ciągu czynniki meteorologiczne. Mnóstwo bowiem znanych jest także faktów epidemiologicznych, dowodzących, że zarazek drzémać może niejako i obudzić się wówczas dopiéro, gdy znajdzie pomyślne dla rozwoju swego otoczenie.

W roku bieżącym zarazek cholery został rozniesiony po Niemczech z Rosyi i z Francyi; jeżeli zaś w sposób gwałtowny rozwinął się tylko w Hamburgu, to ma to swój powód w innych jeszcze specyalnych warunkach hamburskich, prócz warunków meteorologicznych, które Hamburg dzielił wspólnie z innemi, przynajmniéj sąsiedniemi, miejscowościami. Warunki te leżą w wodzie Elby, która miasto zaopatruje. Gdy wszakże kontagioniści na ten punkt najsilniejszy kładą nacisk, Pettenkofer jest zdania, że owa teorya o wodzie do picia (*Trinkwassertheorie*) nie objaśnia wszystkiego.

Udział wody w ostatniéj epidemii rozmaicie bywa rozumiany. Ci, dla których teorya o przenoszeniu zarazka cholery za pośrednictwem wody do picia, jest wystarczająca, sądzą, że do Elby dostały się laseczniki zawleczone przez wychodźców z Rosyi, a wraz z wodą do picia przeszły do kiszek hamburczyków. Jest-to teorya niezmiernie wygodna, nigdy nie zawodząca; bo jeśli wybucha epidemia, to znaczy, że coś się do wody dostało (choćby w wodzie wykryć tego czegoś nie było można), a jeżeli nie wybucha, to znaczy, że woda zarazka nie zawiera. Lecz dawniejsze epidemie hamburskie, oraz wiele innych wybuchało nagle bez wszelkiego udziału wody do picia. Dla niektórych, jak np. w r. 1884 dla genueńskiéj, dowiedziono tego z całą dokładnością. Co się tyczy tegorocznéj hamburskiéj, Pettenkofer nie chce rozstrzygać, jaka rola wodzie tu przypadła.

Pomimo to jednak, dziwném jest niezmiernie, że najgorliwsze poszukiwania nie wykryły ani w wodzie Elby, ani w wodociągach hamburskich laseczników cholerycznych. W wodzie giną wprawdzie laseczniki cholery szybko w walce z innemi bakteryami, lecz jednakże przy dostatecznéj ilości mogą być wykryte, jak tego dowiódł Koch, badając wodę ze stawów w Indyach, a ostatnio Fränkel, znajdując je w wodzie Renu, zakażonéj przez jednego cholerycznego.

„Nie jestem bynajmniéj — słowa Pettenkofera — przeciwko lasecznikowi przecinkowemu i nie odmawiam mu wszelkiego znaczenia

etyologicznego; lecz nie mogę wierzyć w to, że jest on owém *x*, które bez *y* może wywołać i rozszerzyć cholerę. Jeżeli dla jakiéjkolwiek choroby zakaźnéj odnaleziono specyficznego mikroba, nie należy się spodziéwać, że jednocześnie wykryto drogę do zwalczenia saméj choroby. Gruźlica najlepszym jest tu przykładem. Odkrycie lasecznika gruźliczego w plwocinie suchotników było pod względem naukowym równie interesującém i ważném, jak i wykrycie „przecinka“ w wypróżnieniach cholerycznych. Ale chociaż odkrycie to jest starsze od odkrycia zarazka cholery, jednakże od czasu owego na suchoty nie umarło mniéj ani więcéj ludzi, niż dawniéj.“

Obecne środki ochronne przeciw cholerze opiérają się całkowicie na podstawie kontagionistycznéj, stoją na czysto teoretycznym gruncie, nie troszcząc się o wszystkie fakty epidemiologiczne. Pod tym względem staliśmy się bardzo jednostronni. Uważamy za rzecz najważniejszą schwytanie „przecinka“ w pierwszym wypadku cholery. Gdy wykryto cholerę azyatycką, należy chorego izolować, zdezynfekować jego wypróżnienia i wszystko co mogło być z niemi w zetknięciu, i nawet całe mieszkanie, a w takim razie — sądzimy, — że dana miejscowość jest od cholery zabezpieczona. Powiadają ogólnie, że gdyby w Hamburgu pierwszy zaraz wypadek odosobniono i należycie zdezynfekowano, wówczas epidemia nie mogłaby wybuchnąć.

„Kto tak jest szczęśliwy, że może temu wierzyć, godzien jest zazdrości. Zanim wypadek cholery w jakiémkolwiek miejscu oficyalnie zostaje stwierdzony, pozostawał on już w zetknięciu z innymi ludźmi, a wypróżnienia takiego chorego w niedezynfekowanym stanie były wyrzucane. Gdy wypadek zameldowano, trzeba dopiéro bakteryologicznie stwierdzić, czy to cholera *nostras*, czy azyatycka. Następnie trzeba wiedziéć, gdzie się chory zaraził, ażeby zniszczyć ognisko zarazy, z którém zresztą przez ten czas już wielu innych ludzi było w zetknięciu, zanim zarządzono środki ostrożności. W każdéj większéj miejscowości, którą nawiedza cholera, jeżeli bada się tylko, w jakim osobistym i miejscowym stosunku pozostają ze sobą pierwsze 10—20 wypadków, okazuje się, że żadnego one ze sobą związku nie mają. Gdy cholera w Hamburgu wybuchła, jednocześnie z równą gwałtownością wybuchła na sąsiedniéj wyspie na Elbie, Wilhelmsburg, która leży już na terytoryum pruskiém i któréj nie zaopatrują w wodę wodociągi hamburskie.“

Jedynie wszelkie powstrzymanie wszelkich stosunków pomiędzy ludźmi mogłoby pomódz w walce z cholerą, to zaś byłoby większém nieszczęściem, niż sama cholera. Zdaniem Pettenkofera, ani w In-

dyach, ani po za Indyami nie można zapobiedz roznoszeniu się cholery przez izolowania, dezynfekcye, kordony, kwarantanny i t. p. Sądzą ogólnie, że dość już, jeżeli uda się wyizolować i zdezynfekować, jeśli nie wszystkie, to przynajmniéj przeważną liczbę wypadków cholery. Porównywano to z czujnością nad granicami celnemi i powiadano, że jakkolwiek, pomimo strzegących granic celników, na każdéj granicy kontrabandę się przewozi, to przecież przemycanoby znacznie więcéj i administracya celna większeby miała straty, gdyby zniesiono straż graniczną. Porównanie to jednak mocno kulcje, gdyż bakterye i zarazki zupełnie inne mają własności, aniżeli przedmioty clone. Gdyby jeden przemycany wół za granicą celną w ciągu 24 godzin wydał z siebie miliardy wołów, lub gdyby sztuka jedna towaru rozmnożyła się szybko i zamieniała na cały skład, w takim razie oddawna już zniesionoby straż graniczną jako bezużyteczną, gdyż wówczas nie o to-by chodziło, czy więcéj, czy mniéj towaru przechodzi kontrabandę, lecz o to, ażeby nic nie przechodziło... Korzystniéjby i skuteczniéj było, gdyby się starano o to, ażeby przemycane towary po za granicą nie mogły się rozmnażać, lecz żeby ginęły. A dla zarazków cholery empirya znalazła takie środki, polegające na asenizacyi, uzdrowotnieniu gruntu siedzib ludzkich.“

Przykład takiego uzdrowotnienia widzimy w Anglii, która w trzecim i czwartym dziesiątku bieżącego stulecia równy udział brała w cholerze, co i kontynent europejski. W szóstym dziesiątku, kiedy Prusy, Belgia, Holandya i Francya najcięższe przechodziły epidemie, w Anglii cholera bardzo już skromnie występowała, a od r. 1866 nie zaszła w Anglii ani jedna miejscowa epidemia, pomimo ciągłéj, kolosalnéj wymiany pomiędzy nią a ojczyzną cholery, Indyami, i pomimo licznych pojedyńczych zawleczonych wypadków. I w tym roku z Hamburga, Rosyi i Francyi epidemia nie przeniknęła do Anglii, pomimo że Anglia (Londyn) jedyném była państwem, które bez obawy zakażenia pozostawało w styczności z okrętami, przybywającemi z zakażonych portów.

Skoro obcowania ludzi pomiędzy sobą nie można zabezpieczyć od zarazka x, przeto starać się trzeba pracować w dwu innych kierunkach, mianowicie co do y i z. Trzeba się starać immunizować, uczynić odpornemi na cholerę siedziby ludzkie i ludzi samych. Każda epidemia przekonywa dosadnie, że wielu ludzi odznacza się indywidualną odpornością. Można będzie doprowadzić organizm ludzki do takiego stanu, w którym nie powstanie w nim jad choleryczny nawet wówczas, gdy człowiek znajdować się będzie w miejscowości dotkniętéj cholerą. Bakteryologia doprowadziła do wykrycia pewnych ciał

białkowych, które zadane zwierzęciu w drobnéj choćby ilości, zabezbezpieczają je od zakaźnéj choroby. Podobnie, jak możemy się uchronić od ospy, tak téż oczekiwać można ochronnego szczepienia cholery. Spustoszeń, jakie zrządzał zarazek ospy, nie można było zwalczyć przez izolowanie i dezynfekcyę; pomogło tu dopiéro szczepienie. Cholera o tyle jest od ospy łagodniejszą, o ile nie jest wprost zaraźliwą, jak dostatecznie tego dowodzą przykłady lekarzów i osób pielęgnujących chorych. Lecz za to zależy ona od miejscowych warunków, przeciwko którym można wystąpić, zanim jeszcze specyficzny jéj zarazek do danéj miejscowości się dostał.

Że izolowanie chorych w barakach, dezynfekowanie i gotowanie wody nie pomogło i w ostatniéj epidemii w Hamburgu, wynika z tego, że równie gwałtowne epidemie i dawniéj i w innych miejscach tak samo przebiegały jak ostatnia epidemia hamburska.

Pettenkofer porównywa tegoroczną epidemię w Hamburgu z epidemią monachijską z r. 1854, która również eksplozyjnie wystąpiła w lecie. Monachium stosunkowo więcéj wówczas straciło ludzi, aniżeli Hamburg, bo do 29 października ze 106,715 mieszkańców zmarło na cholerę 2,231 (21 na 1000). W roku 1892 liczba mieszkańców Hamburga wynosi 640,000, a do 29 listopada umarło 7,614 czyli 12 na 1,000. Jeżeli chcemy porównać skutki tych dwu epidemii, musimy obok siebie w sposób graficzny przedstawić codzienne liczby zachorowań i śmierci w Hamburgu i Monachium, pomnożywszy dane dla Monachium przez 6 (tyle razy więcéj mieszkańców ma dziś Hamburg w porównaniu z Monachium w r. 1854). Otóż, w ten sposób otrzymuje się dwa obrazy zupełnie do siebie podobne. Jedyna różnica jest w tém, że w Monachium epidemia rozpoczęła się już początkach sierpnia, w Hamburgu zaś dopiéro w połowie sierpnia, i że w Monachium nie zupełnie tak szybko się rozwijała; obiedwie dochodzą do *maximum* w końcu sierpnia, poczem — rzecz dziwna — monachijska opada jeszcze nieco szybciéj niż hamburska.

Szybkie zanikanie cholery w Hamburgu możnaby wytłómaczyć tém, że zbudowano tyle baraków dla chorych, że tylu izolowano, a mieszkania ich dezynfekowano, że tyle nagotowano wody i t. d. i t. d. Lecz w Monachium, gdzie tego wszystkiego nie robiono, cholera ustąpiła również szybko, nawet jeszcze nieco szybciéj. „Z tego wnoszę — powiada Pettenkofer że i w Hamburgu w r. 1892 tak samo by przeszła cholera jak w 1854 r. w Monachium, gdyby i w Hamburgu nic nie robiono. W Hamburgu tylko uczyniono zadość panującéj obecnie teoryi, lecz nie wypędzono cholery, która sama w listopadzie lub grudniu wpadła by tam w sen zimowy.“

W Niemczech, Austryi i Włoszech uznano, zdaje się, że do niczego nie prowadzą kordony wojskowe, ustawione i w tym roku w Azyi mniejszéj, Turcyi i Persyi. Natomiast pozostano nadal przy kwarantannach okrętowych.

Zakazy większych zebrań w jednéj miejscowości (jarmarków, uroczystości ludowych) wówczas tylko są słuszne, gdy w miejscowości téj panuje już lub zaczyna się cholera. Ze względów finansowych w r. bieżącym nie zaniechano największego jarmarku russkiego, w Niżnym Nowgorodzie, a cholera, która już przed jarmarkiem tam panowała, miała przebieg bardzo łagodny i podczas jarmarku. W Lipsku zaś jarmark był odwołany, jakkolwiek Lipsk i cała Saksonia wolne były od cholery, a to z obawy przed lasecznikami. Na św. Michał w roku 1866, kiedy lasecznika jeszcze nie znano, mieszkańcy Lipska byli jeszcze odważniejsi. Był to rok wojenny i choleryczny, a Lipsk był nawiedzony bardzo silną epidemią, która właśnie w połowie września doszła do *maximum*. Otóż, powstało pytanie, czy w końcu września jarmark ma się odbyć czy nie, podczas jarmarku bowiem w środku miasta ludność w dwójnasób wzrasta. Jakoż, względy handlowe przeważyły i jarmark na św. Michał się odbył. Następnego roku, na konferencyi cholerycznéj w Weimarze słynny klinicysta lipski Wunderlich powiedział dosłownie: „Właśnie w czasie jarmarku epidemia szybko zaczęła wygasać, a jakkolwiek obcy tu i owdzie zawlekli ją z Lipska, nigdzie jednakże, o ile mi wiadomo, nie powstała przez to epidemia.“ Z większym spokojem — powiada Pettenkofer — mogli mieszkańcy Lipska odbyć jarmark w r. 1892, podobnie jak w Monachium odbyła się doroczna uroczystość ludowa w październiku (*Octoberfest*) i przeszła bez śladu cholery.

„Obawa przed lasecznikiem cholery zupełnie jest bezpożyteczna: sprowadza ona tylko środki, które dużo kosztują trudów i pieniędzy. Za tę masę pieniędzy możnaby coś lepszego począć, co trwałą miałoby wartość dla zdrowia publicznego, kiedy obecnie nie ma się za nie nic po epidemii, która i tak tyleż by ofiar zabrała.

„Kontagioniści wprawdzie wmawiają sobie, że skutkiem zarządzonych przez nich środków ostrożności w Hamburgu i w okolicznych miejscowościach, ocalili nie tylko Berlin, lecz i całe Niemcy od epidemii. Ja wszakże niestety obawiam się téj epidemii na przyszły rok, jeżeli niebo znów nie ześle tyle deszczu, ile było w r. 1867 po cholerze z r. 1866.“

Pettenkofer wreszcie przytacza przykłady, w których pomimo zaniechania wszelkich środków, przepisywanych przez teoryę kontagionistyczną, epidemie bardzo łagodnie przebiegały i szybko wygasały.

Gdyby zamiarem moim było przekonywać czytelnika ile prawdy naukowéj i ścisłego rozumowania mieści się w poglądach „lokalistów,“ na których czele stoi Pettenkofer, musiałbym długo jeszcze czerpać z cennéj jego książki o cholerze, a artykuł ten dorósłby do olbrzymich rozmiarów. Bliższe wszakże wejrzenie w tę sprawę jest rzeczą specyalistów. Tutaj, nawiązując tylko do świéżo wypowiedzianego przez Pettenkofera odczytu w towarzystwie lekarzy monachijskich i zaznaczając owo *experimentum crucis* nieustraszonego a gorąco prawdę miłującego badacza, sądziłem, iż i ogółowi inteligentnych czytelników należy się publiczne zdanie sprawy z palącéj kwestyi naukowéj.

Maksymilian Flaum.





MIKOŁAJ REJ

W ŚWIETLE NOWYCH ŚWIADECTW.

(Materyały do biografii Mikołaja Reja z Nagłowic zebrał i wydał dr. Zbigniew Kniaziołucki.—Kraków, 1892. Nakładem Akademii umiejętności).



I.

Czterechsetletnie niemal oddalenie, z jakiego ukazuje się nam postać praojca poezyi polskiéj, wytworzyć musiało w postaci Reja liczne przekształcenia, wynikające z nieuchronnych załamywań i zabarwień, wywołanych przez coraz grubszą mgłę przeszłości, przysłaniającą oku czytelników „Wizerunku“ lub „Zwierciadła“ rysy ich autora. Życiorys, skreślony przez Trzycieskiego (za życia Reja), pozwalał wprawdzie do pewnego stopnia kontrolować i poprawiać nasze imaginacyjne wizerunki, jednakże ten z gruba skreślony, nieudolny, choć bogaty w ciekawe szczegóły, szkic zostawia szerokie pole dla domysłów i pobudza do fantazyjnego rozszerzania podanych, a uzupełniania brakujących rysów.

Przez półtrzecia wieku po śmierci Reja spotykamy tylko o nim krótkie wzmianki i anegdoty, zwykle tendencyjnie zabarwione. Taki sam charakter posiada biografia, pomieszczona przez ks. Hieronima Juszyńskiego w „Dykcyonarzu poetów“ (1820 r.); dołączył on do przedruku opowieści Trzycieskiego szczegóły zebrane z dawnych druków i ciekawego, a zatraconego dziś zbioru listów z w. XVI-go, odnoszących się do Mikołaja Reja i jego rodziny. Wójcicki, Ambroży Grabowski, Wiszniewski i Maciejowski zajmowali się przeważnie bibliografią utworów Reja, nie dorzucając nowych danych do życiorysu.

Jedyna monografia, jaką skreślił Bronisław Zawadzki (1875 r.) opiéra się na znanych już poprzednio świadectwach.

Ogłoszenię w r. 1880 pięciu aktów sądowych, znalezionych przez p. Rybarskiego w Kielcach [1]), rozpoczyna okres poszukiwań archiwalnych, które współcześnie podejmują na większą skalę p. St. Ptaszycki i Zbigniew Kniaziołucki.

Pierwszy, poprzestawszy na zgromadzeniu odpisów 35 aktów z ksiąg sądowych halickich, lwowskich, przemyskich, bełzkich i proszowskich, pomieścił je w ramach krótkiego zarysu biograficznego Reja, uzupełnionego z pomocą dokumentów ogłoszonych już poprzednio w różnych kodeksach dyplomatycznych. Ta bogata w świéże dane, choć drobnych rozmiarów praca, wydaną została w r. 1883-im w Petersburgu w wydawnictwie tamtejszéj Akademii nauk. Drugi pracownik, dr. Zbigniew Kniaziołucki, wystąpił w r. 1892 ze zbiorem obejmującym przeszło 800 aktów urzędowych, dotyczących Reja i jego rodziny. Akty te wyjęte są z ksiąg sądowych ziemskich, powiatów i ziem, w których leżały liczne i szeroko rozrzucone włości Reja i jego przodków. Księgi powyższe przechowały się w archiwach: krakowskiém, lwowskiém, warszawskiém i zwiniętych obecnie: kieleckiém i lubelskiém.

Ogłaszając drukiem te dokumenty, p. Kniazołucki zastosował z wielką korzyścią dla czytelników metodę streszczania aktów, podanych w formie regestów; niektóre tylko ważniejsze pomieścił w całości.

Zbiór ten uzupełnił wydawca spisem aktów, odnoszących się do przodków Reja (z lat od 1398 do 1460), a przechowujących się w archiwum krakowskiém. Podane tu są tylko lata i wskazane strony ksiąg sądowych.

Pomieszczony przy końcu spis alfabetyczny miejscowości i osób wspomnianych w dokumentach ułatwia użytkowanie z pracy, którą p. Kniaziołucki wyświadczył wielką przysługę wszystkim przyszłym biografom Reja i komentatorom jego utworów.

Mozolne poszukiwania p. Kniaziołuckiego tém więcéj zasługują na uznanie i żywą wdzięczność, im mniéj podobne prace mogą pozyskać czytelników i rozgłosu w szerszych kołach naszéj publiczności. Nie wielu się znajdzie ludzi gotowych poświęcić kilka lat pracy dla dzieła, które może miéć z dziesięciu czytelników i kilkunastu nabywców.

---

[1]) Pomieszczone w przekładzie polskim w „Ateneum“ z r. 1880-go, t. III str. 371, 389.

Głównym zarzutem, jakiby można uczynić pracy p. Kniaziołuckiego, jest pomieszczenie zbyt wielkiéj ilości, choć w skróconéj formie, pozwów, obligów, pokwitowań i kondemnat, odnoszących się do jednéj sprawy lub czynności. Za to niewiadomo, dla jakich powodów pominął p. K. niektóre podane przez Ptaszyckiego dokumenty, jak np. akt (N. XIX), wyjaśniający umowę Reja z Odnowskim. Spis osób i miejscowości nie odznacza się należytą ścisłością i systematycznością. Żałować należy również, iż p. Kn. nie przepatrzył archiwum kapituły krakowskiéj, w którym zapewne znalazłyby się akty, dotyczące częstych zatargów Reja z proboszczami i klasztorami (jędrzejowskim zwłaszcza).

Ażeby dać pojęcie o bogactwie wskazówek, jakie mimo drobnych braków, dostarcza zbiór p. Kniaziołuckiego, postaram się zaznaczyć w krótkim zarysie najważniejsze z tych nowych danych, uzupełniających opuszczenia lub rozświetlających mniéj jasne fakty biografii Trzycieskiego.

II.

Zbiór dokumentów, tyczących się przodków poety, zaczyna pan Kn. od aktów, w których spotykamy pradziada Jana, piszącego się z Szumska. Pierwszy akt pochodzi z r. 1446. Długi szereg dawniejszych (od 1398 r.) zaznaczył tylko wydawca w spisie przy końcu książki. Kto wié jednak, czy nie znalazłyby się w tych właśnie dokumentach jakieś wskazówki, objaśniające dzieje rozsiedlania się Okszyców w Małopolsce.

Jeżeli zwrócimy uwagę na pochodzenie wielu i to najwybitniejszych działaczów w życiu umysłowém wieku XV i XVI, to przekonamy się, iż przodkowie ich byli przybyszami ze Szląska lub Moraw. Długosz, Kopernik, Rej, Orzechowski, Modrzewski, Górnicki, Nidecki, Klonowicz, może téż Trzycieski, obok licznego zastępu mniéj głośnych pracowników, są przedstawicielami oddziaływania cywilizacyjnego plemion zamieszkujących kresy zachodnie. Jak Pomorzanie, prawdopodobnie, szerzą w odległéj przeszłości kulturę wyższą na obszarach Wielkopolski, Mazowsza, tak Szlązacy i Morawianie w Małopolsce i na Rusi.

Jednym z pierwszych Okszyców, któremu się udało zdobyć wybitniejsze stanowisko w Polsce, był Nanker (r. 1308 archidyakon sandomierski, do r. 1326 biskup krakowski, a następnie wrocławski). Pod jego skrzydła garnęli się pociągnięci przykładem i nadzieją poparcia, liczni krewni. Przedsiębierczy biskup nietylko przebudowy-

wał katedrę krakowską, ale zajmował się też zakładaniem wsi na obszarach leśnych dóbr kościelnych. W r. 1324 osadza on wieś Biskupice (dziś Jangrot w pow. olkuskim), graniczącą z Trzyciążem, który nazwą (Trzyciesz pod Cieszynem) zdaje się wskazywać szląskie pochodzenie założyciela [1]). Niewątpliwie i Szumsko (między Łagowem i Rakowem w pow. opatowskim) dostało się Okszycom za sprawą Nankiera. Wieś ta leży w otoczeniu dawnych dóbr biskupich, zalegających okolice pasma łysogórskiego.

Z zebranych przez Ptaszyckiego szczegółów widzimy, że na początku w. XV-go siedzą Rejowie też w Nagłowicach nad Nidą (pow. jędrzejowski). Jan Rej z Nagłowic bierze udział w bitwie pod Grunwaldem (r. 1410), a inny zapewne Jan Rej z Szumska jest w latach od 1419 do 1438 na urzędzie sędziego krakowskiego, kiedy trzeci Jan Rej pełni obowiązki sędziego sandomierskiego, a czwarty Jan Rej z Szumska jest kanonikiem krakowskim i proboszczem katedralnym. Twierdzenie Trzycieskiego o przodkach Mikołaja, iż „nie parali się świeckimi sprawami“, a wiedli ciche życie, nie zupełnie może zgodne z prawdą.

Czy pradziad Mikołaja, Jan z Szumska (syn Krzesława), łowczy krakowski (już w r. 1440), był piątym ze współczesnych Janów, czy może jednym z czterech powyższych, trudno rozstrzygnąć. W akcie, rozpoczynającym zbiór p. Kniaziołuckiego, występuje on r. 1446 jako posiadacz Żernik i Brzeźna, wsi królewskich, położonych nad Nidą (około 3 mil na półn.-wschód od Nagłowic, a 14 wiorst od Jędrzejowa). Pożycza on od Mikołaja Kuli z Wojciechowic (nad Mierzawą) 120 grzyw., zapewne na wyprawę i wesele swéj córki, gdyż w ośm miesięcy potém (1447 r.) Mikołaj z Gołczy (w okolicy Miechowa i Wolbroma) zabezpiecza żonie swéj Annie, córce Jana Reja, 200 grzywien posagu i tyleż wiana, kiedy współcześnie ojciec dopożycza od Jadwigi Widawskiéj 200 grzyw. na wypłatę zięciowi.

Wprawdzie Anna jest jedyną córką, ale obok niéj jest trzech synów, jeśli więc otrzymuje od ojca 400 grzywien, sumę przedstawiającą ówczesną wartość dwu średnich wiosek, świadczy to o zamożności pana łowczego.

Z trzech jego synów interesuje nas głównie Mikołaj, dziad poety. Żeni się on z bogatą dziedziczką, Barbarą, córką Sławca z Topoli, zabitego w jakiémś zajściu przez Jana z Rudna (przed r. 1460). Bar-

---

[1]) W r. 1526 Piotr Rej z Topoli ma sprawę z Anną Trzecieską z Chruszczyny (pow. pińczowski), wdową po Andrzeju. Jest-to jedyny akt, wykazujący stosunki R. z Trzecieskimi.

bara posiada prócz znacznych części w Topoli (pod Skalmierzem) działy we wsiach: Bobin, Krzesławice, Mierzwin, Kwapinka, Gruszów, Sieraków, Słonowice. W r. 1463 zastawia ona wraz z mężem (który pisze się z Topoli) czynsz z Topoli w sumie 13 grzywien za 200 florenów, pożyczonych od Elżbiety z Sieciechowic, a w 7 miesięcy późniéj całą wieś Słonowice (Słanowice) za 200 flor. węg., wziętych od téjże Elżbiety. Przy zwykłéj podówczas stopie procentu (10%) dochód czysty z obu wsi wynosić musiał średnio 40 florenów węgierskich.

Majątek ten ulegnie jednak rozdrobnieniu, gdyż pan Mikołaj doczekał się ośmiu synów i czterech córek.

W r. 1475-ym zabezpiecza on na Bobinie Dyonizemu z Muniaczkowic (około Słomnik) 200 grzywien posagu za córką Katarzyną, która zrzeka się wszelkich pretensyi do majątku rodziców.

Mikołaj Rej umiéra w końcu r. 1477. Po jego śmierci w pierwszych latach sprawami pozostałego rodzeństwa zajmuje się jeden ze starszych braci: Jakób. On to zawiera w r. 1480 układ ze stryjem także Jakóbem (z Nagłowic), co do podziału majątku po Mikołaju. Na mocy tego układu stryj bierze obie dzierżawy królewskie: Brzeźno i Żerniki, a synowie Mikołaja dostają całe Nagłowice (ustąpione im przez stryja) i części w Nowéj wsi i Woli (w pobliżu Nagłowic). Topola, Bobin i Słonowice pozostają w ręku wdowy. Akt ponawiający ten dział, spisany r. 1489 świadczy, iż z ośmiu synów Mikołaja pozostało przy życiu tylko czterech.

Z tych Piotr i Andrzéj asystują przy akcie, Stanisław i Marcin są nieobecni. Po roku 1495 żyją tylko dwaj: Stanisław i Piotr.

Pozostała wdowa ustępuje synom w r. 1494 swych części w Topoli, Bobinie i całe Krzesławice. Synowie zaś obowiązują się wyposażyć dwie pozostałe siostry (po 100 grzyw. każdéj) i wyprawić im wesele. Jedna z nich, Zofia, wychodzi wkrótce za Piotra z Czarnkowa (dziś Czarkowy nad Nidą w pow. pińczowskim) i brat Piotr zabezpiecza jéj 100 grzyw. posagu na 2 łanach (3 kmieci) w Topoli.

Zdaje się, że wkrótce po śmierci ojca Stanisław (ojciec poety), za przykładem wielu Okszyców, zarówno Rejów jak Orzechowskich, udał się „na rycerski chléb do ziem ruskich.“ Znalazł tam protektora w osobie Jana Wątróbki ze Strzelc, Okszyca, arcybiskupa lwowskiego (od r. 1480), który, będąc kanonikiem krakowskim, zostawał w stosunkach z ojcem Stanisława. Brat rodzony arcybiskupa mieszkał w Donatkowicach (niedaleko Koszyc, dziś pow. pińczowski), drugi brat Stanisław, kasztelan sądecki, pożyczał nieraz pieniędzy od Mikołaja Reja (100 i 375 grzywien).

Na dworze arcybiskupim, a może jeszcze w czasie służby wojskowéj, zawiązał Stanisław Rej stosunki z najpierwszymi rodzinami na Rusi. Dzięki pewnéj ogładzie towarzyskiéj, wyniesionéj z domu, i stosunkowéj zamożności, nie potrzebował może poparcia arcybiskupa dla pozyskania ręki panny z możnéj i głośnéj rodziny Buczackich z Nienczyna (dziś Niemszyn w pow. rohatyńskim), leżącego w sąsiedztwie dóbr arcybiskupstwa lwowskiego. Daty ślubu nie znamy.

W r. 1492 w sądzie halickim prowadzą sprawę Anna Rejowa i siostra jéj, Helena Skarbkowa, którą spotka smutna, lecz częsta na Rusi przygoda, niewola tatarska. Ponieważ syn Stanisława z tego małżeństwa, Jakób, już 1517 r. (30 stycznia) występuje w sądzie jako dziedzic Słonowic i zabezpiecza na nich 100 grzywien posagu siostrze Agnieszce, wydanéj za Mikołaja Swirczkowskiego, (a więc musiał już mieć lat 24 skończonych), przeto możnaby w przybliżeniu odnieść małżeństwo Stanisława do r. 1491. Ze związku tego miał dwu synów, którzy młodo widocznie zmarli i trzy córki: Wylżyńską (2° *voto* Dzieduszycka), Swirczkowską i Kielanowską. Pierwsza wyszła za mąż na Rusi, dwie drugie w Małopolsce, gdzie téż przebywał jakiś czas i jeden z synów Stanisława.

Wszedłszy przez związek z Buczackimi w koło rodów pańskich na Rusi, znalazł po owdowieniu, w tychże kołach i drugą żonę: Barbarę Herburtównę, wdowę po Żórawińskim, która z pierwszego męża miała dwu synów: Willibrorda i Stanisława [1]).

Wobec tych faktów opowieść Trzycieskiego okazuje się niezgodną z rzeczywistością. Mikołaj Rej, jakkolwiek był jedynym synem z drugiego małżeństwa Stanisława, nie był przecie jedynakiem ani dla ojca, ani dla matki. Charakterystyka Stanisława („człowiek pobożny, poczciwy a spokojny nie parał się żadnemi sprawami ziemskiemi“) może być prawdziwą jedynie odnośnie do starości jego.

Umiérając w końcu 1528 r. miał on zapewne około 70 lat. Trzycieski mógł go tylko, i to rzadko, widywać w Małopolsce, gdy przyjeżdżał dla załatwiania spraw majątkowych. Pobożny i miłujący ciche życie prostak nie wyruszyłby po tak niebezpieczny chléb rycerski na dalekie kresy, nie pozyskałby śród obcych uznania i powodzenia stwierdzonego związkami małżeńskiemi w dwu najpierwszych rodzi-

---

[1]) Stanisław Żórawiński zmarł około r. 1570, zostawiając pięcioro dzieci. Willibrord żyje jeszcze w r. 1537. Jego żona Ewa, córka Włodka z Jaryczowa (pow. lwowski), jest jako panna pod opieką Andrzeja z Oporowa, kasztelana łęczyckiego i Jana z Paniowa, starosty stryjskiego. Prowadzą oni proces o tę opiekę. Widocznie panna była bogatą. Żórawiński założył w Jaryczowie miasto.

nach Rusi. Musiał to być dzielny i energiczny wojak, a następnie zabiegły i zamożny ziemianin.

III.

Roku 1505 dnia 13 lutego, we wtorek mięsopustny, w Żórawnie nad Dniestrem (dziś miasteczko w powiecie żydaczowskim na wschód od Stryja) przyszedł na świat Mikołaj Rej.

Żórawno, gniazdo rodowe Żórawińskich przeszło widocznie na matkę Mikołaja po pierwszym mężu.

Wobec praw dzieci z pierwszego małżeństwa udział Mikołaja w majątku macierzystym, nieznanym bliżéj, musiał być dość szczupły, za to po ojcu może spodziewać się pięknéj fortuny, zwłaszcza gdy dwaj synowie z pierwszéj żony wcześnie zejdą ze świata, a długo żyjąca zabiegliwa wielce babka, Barbara, wdowa po Mikołaju, gromadzić będzie majątek dla synów i znanego już jéj może wnuka. (Umiéra między 1500 a 1508 r.). Wzrastająca bardzo szybko wartość ziemi w okolicach Krakowa, skutkiem rozwoju rolnictwa, podnoszenia się cen ziemi i produktów, w stosunku do obniżania się ceny obficie napływającego złota, sprowadza szybkie zbogacanie się rodzin, które wcześniéj nabyły i utrzymały znaczniejsze obszary.

Ojciec poety, mieszkając na Rusi, nie gospodaruje sam w swych wsiach małopolskich, lecz je wydzierżawia. Tak np. Słonowice bierze w r. 1505 Piotr Lubowski na lat 6 za 90 grzywien i po wyjściu kontraktu ma oddać z zasiewami (20 korcy żyta i 30 owsa). W Krzesławicach sprzedaje dwór z folwarkiem i młynem Jakubowi z Lubomirza w r. 1508 za 430 grzywien na spłacenie długu matki, wynoszącego 355 i pół grzywn. Podział majątku matczynego między braćmi dokonywa się dopiéro r. 1513. Stanisław, jako starszy bierze pół Topoli dolnéj, całe Słonowice, pół Bobina, pół młyna, dwór w Topoli górnéj i połowę ról folwarcznych. Piotr otrzymuje całe Nagłowice, pół Topoli górnéj, części gruntu w Woli i Nowéjwsi nagłowskiéj, pół folwarku w Topoli, pół młyna i gaju. Przy dziale szczegółowo wyliczone są stawy i sadzawki, a następnie w r. 1518 zawierają bracia specyalną umowę o prawo rybołóstwa w tych sadzawkach.

Radząc sobie doskonale w życiu, pomimo skromnego zapewne zasobu wiedzy książkowéj, nie dba ten były wojak i energiczny gospodarz o szkolną edukacyę Mikołaja, którego wychowuje tym trybem, co i synów z pierwszego małżeństwa, zaprawiając do konnéj jazdy, myśliwstwa, władania bronią. Na Rusi każdy ziemianin był z konieczności saméj rycerzem zawsze gotowym do odpierania Tatarów.

Zapewne dopiéro pod wpływem rozszerzającego się z dworu królewskiego popędu ku oświacie wyższéj, zwłaszcza od przybycia Bony (r. 1518), upowszechniało się śród możniejszych rodzin małopolskich przeświadczenie o potrzebie wyższego wykształcenia dla młodzieży. Czyniąc ustępstwo nowym wymaganiom, oddaje p. Stanisław syna, mającego dziedziczyć głównie w Małopolsce, do szkół w Skalmierzu (koło Topoli), ale z przekonaniem, które podzielał i mały Mikołajek, że to mu się na niewiele przyda. Przybywszy w kwietniu r. 1518 w Proszowskie, załatwia w Krakowie kilka spraw majątkowych i umieszcza 13-letniego syna w jednéj ze szkół akademickich (w bursie Jeruzalem).

To, co mówi sam Rej o nauce szkolnéj w „Zwierciadle", stwierdza opowieść Trzycieskiego, (który rozpoczął nauki w Krakowie 1513 r.) i usprawiedliwia niechęć rwącego się do życia chłopca, ku ówczesnéj nauce, nie mającéj z życiem najmniejszego związku [1]).

Umieszczenie Mikołaja na dworze Andrzeja Tęczyńskiego odnieść należy, zgodnie ze świadectwem Trzycieskiego, do r. 1525-go. Zapewne dla należytego wyprawienia syna pożycza Stanisław Rej 110 flor. (13 stycznia 1525 r.) od Andrzeja Rzeszowskiego z Kwiliny i dobiera 230 flor. (do 170 dawniéj wziętych) od Mikołaja Zbilutowskiego na zastaw Słonowic.

W czasie pobytu na dworze Tęczyńskiego traci Mikołaj ojca, który umiéra w końcu 1528 r., czy téż w początkach 1529 r. Młodzieniec przystępuje zaraz do objęcia majątków ojcowskich. Otrzymawszy w spadku widocznie niewielki zasób gotówki, dopożycza 700 flor. od Anny Koćmirowskiéj na Słonowice, ażeby spłacić dług Zbilutowskiego, który trzyma wieś w zastawie i 300 grzywien sum posagowych sióstr przyrodnich: Agnieszki Swierczkowskiéj i Zofii Kielanowskiéj. Suma ta była zabezpieczona na wsiach: Seredne i Dubowica (dziś pow. kałuski), które widocznie przypadły Mikołajowi po matce.

Pierwszym zapewne dokumentem, w którym występuje usamowolniony młodzieniec („*Nicolaus Rey in Slanowicze heres*"), jest oblig na wspomniane 700 flor. wystawiony 13 maja 1529 r. Skończył wtedy już lat 24, a więc stał się zdolnym do zeznawania aktów sądodowych. W rok potém spotykamy tego mniemanego prostaka i nieuka w charakterze komornika sądowego, prowadzącego czynności rozgraniczania, wsi Wojciechowa od Małéj Kazimierzy (pow. piń-

---

[1]) Porów. szczegóły o uniwersytecie w pracy prof. K. Morawskiego o Nideckim, w rozdziale wstępnym.

czowski), zleconą mu przez Jana Tęczyńskiego, podkomorzego krakowskiego. Akt rozgraniczenia Dobranowic od Poborowic (18-go czerwca 1530 r.) wymienia Reja w gronie delegatów asystujących téj czynności. Prowadzi ją sam Jan z Tęczyna, dziedzic Chrobrza w obecności Andrzeja Tęczyńskiego wojew. krakow. i kilku ziemian. Ponieważ przy nazwisku Reja nie ma tytułu: „*camerarius*" jak w poprzednim akcie, możnaby wnosić iż nie spełniał on stale tych funkcyi, lecz zastępował niekiedy podkomorzego.

Zarówno te czynności jak energiczne zajęcie się sprawami majątkowemi (o czém świadczą liczne dokumenty sądowe z r. 1530 i 1531) ukazują 25-letniego młodzieńca o wiele poważniejszym od zwykłego fantazyjnego wizerunku. Powagę tę zwiększa jeszcze wczesne ożenienie (r. 1531?) z Zofią, córką Jana Kościenia Jastrzębczyka, piszącego się z Wywli i Sędziszowa, wsi leżących w niewielkiéj odległości od Nagłowic. Ten Koścień człowiek zamożny, spokrewniony z wieloma wybitnemi rodami małopolskimi, żonaty był z Borzyszowską z Borzyszowic (dziś Borszewice pod Sędziszowem), siostrą arcybiskupa lwowskiego (od 1494 do 1503), Andrzeja. Był to ród Różyców (Poraitów). Arcybiskup, wedle świadectwa Trzycieskiego, obdarzył siostrę dobrami w ziemi chełmskiéj. Majątek ten przeszedł na córkę, jedynaczkę zapewne [1]). Dnia 20 grudnia r. 1531 zawiérają młodzi małżonkowie układ majątkowy w Krakowie. Mikołaj zapisuje żonie dożywotnio Topolę, Zofia zaś oddaje mężowi téż dożywotnio dobra w chełmskiém, upoważniając go zarazem do wszelkich czynności sądowych w sprawach tyczących tych majątków. W trzy dni potém zapisuje mężowi na tych dobrach 1,000 flor. Jednocześnie przyjmuje Rej obowiązek opieki nad dziećmi swéj przyrodniéj siostry Wylżyńskiéj, świéżo owdowiałéj. Wdowa wyjdzie późniéj za mąż za Dzieduszyckiego a Mikołaj zrzecze się opieki w r. 1536.

Zarząd dobrami rozrzuconemi w trzech odległych od siebie stronach kraju zniewalał Reja do częstych podróży. Posiadłości w krakowskiém były zdawna już pod staranną opieką dziada Mikołaja, pozostałéj po nim wdowy, energicznéj Barbary, wreszcie ojca i stryja poety; gospodarstwo folwarczne było już urządzone, łany kmiece nie stały pustkami. Inaczéj się przedstawiały posiadłości na Rusi czerwonéj i świéżo otrzymane za żoną dobra w chełmskiém. Tam trzeba było zaprowadzać nowe porządki i ściągać osadników trudnych do utrzymania na miejscu przy częstych napadach tatarskich i współubie-

---

[1]) W 1552 r. Zofia Rejowa po śmierci Andrzeja Jasieńskiego otrzymuje w spadku rodowe Borszowice.

ganiu się sąsiadów, odmawiających sobie nawzajem kmieci. Z tego to powodu w pierwszych latach po ożenieniu Rej przebywać będzie przeważnie w chełmskiém i okolicach Żórawna, pozostawiwszy w swych krakowskich włościach rządców (*factores*), których często spotykamy w dokumentach.

IV.

Opowieść Trzycieskiego o Reju jest to niewątpliwie gawęda starca blizko 70-letniego, nie troszczącego się o zaprowadzenie ładu w swych wspomnieniach ni o sprawdzenie mieszających się w osłabionéj pamięci faktów. Z tego np. co mówi o arcybiskupie Róży i podarunkach jakie czynił krewnym, czytelnik i biografowie wnoszą zwykle, iż żona Reja była wyposażoną przez stryja arcybiskupa, tymczasem stryj ten już w r. 1510 zakończył życie na stanowisku arcybiskupa gnieźnieńskiego i mógł wyposażyć jedynie swą siostrę, matkę żony Reja. Daléj opowiada Trzycieski, iż Rej po opuszczeniu dworu Tęczyńskiego, przebywał czas dłuższy „między przyjacioły“ na Rusi a głównie „pilen był hetmana“ którym był Mikołaj Sieniawski, wojewoda bełzki. Dopiéro po powrocie z Rusi miał się Rej ożenić. Tymczasem dokumenty p. Kniaz. świadczą, iż przed ożenieniem bawił w Małopolsce i trzymał się dworu Tęczyńskich, pobyt zaś na Rusi i stosunki z Sieniawskim (siedzibą główną Sieniawskich były wtedy Oleszyce w bełzkiém na półn. od Lwowa), odnieść należy do epoki poślubnéj, między r. 1532 a 1540. W dokumentach zebranych przez p. Kniaz. nie ma śladu stosunków Reja z hetmanem. Sieniawscy, Leliwitowie, pochodzili z Małopolski i połączeni byli przez małżeństwa z Oleśnickimi, Tarłami, więc stosunek z tą rodziną mógł zawiązać Rej jeszcze w Małopolsce, może na dworze Tęczyńskich.

Z tego, co mówi o sobie w „Zwierzyńcu“ wnosić wolno, iż po ślubie niebardzo pilnował ogniska domowego a gonił za „panią fortuną“ po dworach magnackich, biegając „za nastołkami“ i szukając zadowolenia swéj ambicyi „w chwataniu polewek“ i pobrzękiwaniu podkówkami po salach pańskich.

Główną rezydencyą Reja w tym czasie jest zapewne świéżo założony Rejowiec (na połowie drogi z Chełmu do Krasnegostawu) na obszarze dóbr Kobyle, otrzymanych za żoną. Już w r. 1539 pozywając biskupa chełmskiego Pilchowskiego o zajęcie pól należących do dzierżawy królewskiéj Stajne, pisze się „in Reyowecz heres.“ Z aktu tego okazuje się, że prócz Kobylego i Siennicy trzymał Rej dzierżawę królewską: Stajne i Plisków, na które otrzymuje w r. 1540 przywiléj

królewski zapewniający przejście téj dzierżawy na Krzysztofa, małoletniego wtedy syna Reja. Prócz Rejowca zakłada w r. 1542 na obszarze należącym do Kobylego wieś Sawczyn (dziś Sufczyn). Ogólny obszar tych stykających się ze sobą majątków wynosił w przybliżeniu do 25,000 morgów w czém naturalnie $^3/_4$ conajmniéj zajmowały lasy. Zdaje się, że p. Mikołaj chciał wytworzyć za przykładem tylu małopolan, fortunę magnacką i na niéj oprzéć przyszłą świetność rodu. Ażeby skoncentrować swą działalność kolonizatorską i gospodarczą, pozbywa się w r. 1536 Serednego i Dubowicy, w ziemi halickiéj (koło Kałusza) sprzedając te wsi swemu krewnemu Mikołajowi Odnowskiemu z Felsztyna (Herburtowi) za 2,000 flor. Z tych pieniędzy pożycza 800 flor. Jakubowi Gruszczyńskiemu na Powęzów (pow. jędrzejowski), który następnie nabędzie na własność.

Wstęp na dwór królewski ułatwiły Rejowi stosunki z Tęczyńskimi, Sieniawskimi, Szafrańcem, Oleśnickimi, Gamratem. Liczne zalety towarzyskie, w połączeniu z rozwijającemi się zdolnościami literackiemi, przy majątku wzrastającym skutkiem niepospolitéj zabiegłości i energii w prowadzeniu gospodarstwa — torowały Rejowi drogę do wybitnego stanowiska w kołach dworskich.

Dlaczego jednak, pomimo życzliwości króla i wszechwładnéj Bony, nie zasiadł na stołku senatorskim, którym z pewnościąby nie wzgardził, trudno odgadnąć. Miłość swobody, którą Trzycieski objaśnia ten fakt, może była tylko osłoną zawiedzionych pragnień ambitnych. Że bowiem brał czynny udział w życiu polityczném, że umiał zasługiwać się dworowi, nawet Bonie, świadczą udzielone mu nagrody, w stałych pensyach (jurgieltach) i nadaniach dzierżaw. Pod wpływem nawiązanych z dworem stosunków, pociągany przez życie towarzyskie i umysłowe koncentrujące się w Krakowie, kupuje w tém mieście (1541 r. 29 marca), zapewne na mieszkanie dla siebie, kamienicę przy ulicy Grodzkiéj, od Anny Odrowążówny, księżny mazow. wdowy po Stanisławie wojew. ruskim. Kamienica ta leżała między domem Ostrorogów a dworem arcybiskupów gnieźnieńskich.

Roku 1547 dnia 18 maja Zygmunt I na prośbę Bony *„pro g. N. R..... aulico nostro“* przeznacza mu 50 grzyw. rocznéj płacy ze stacyi w Skalmierzu. Jednocześnie otrzymuje przywiléj lokacyjny dla Rejowca. Zygmunt August nadając Rejowi w r. 1552 Dziewiąciele, za zasługi „względem ojca i nas“ wyraża się także: *„aulicus noster.“* W akcie sądowym pisanym w Przemyślu r. 1561 nazwany jest Rej „sekretarzem J. K. Mości.“ W potwierdzeniu nadania Dziewiąciel w r. 1564 powiedziano: *„aulico et servitori nostro.“* O pobiéraniu 30

grzyw. z cła chełmskiego świadczy ciekawy bo własnoręczny kwit Reja wydany 19 stycznia 1566 r. (Nr. 735 zbiorów Kniaz.).

Dedykacya „Żywota Józefa“ królowej Izabeli (córce Zygmunta I) wskazuje na blizkie stosunki poety z dworem. Możnaby przypuścić, iż utwór powyższy, przyjęty życzliwie przez koła dworskie jako pierwszy donioślejszy pojaw wytwarzającego się piśmiennictwa narodowego, sprowadził poecie nagrodę królewską w nadaniu wsi Temerowce (pow. stanisławowski). W akcie wydanym r. 1546 dnia 13 lutego król oświadcza, iż chce obdarowanego „*bene de nobis merendum in posterum reddere alacriorem.*“ Życzliwa ręka zapewne jednego z sekretarzy królewskich dopisała przed tekstem aktu: „*Donatur villa Temerowcze g. Nicolao Rey vati Polono alias Rymarzowi.*“ Czy jednak te hojne nagrody wystarczały pragnieniom i nadziejom Reja, możnaby powątpiewać. Charakterystyki Bony i Izabeli w „Zwierzyńcu,“ skreślone bardze zręcznie i dowcipnie, tchną złośliwością, miarkowaną zapewne tylko względami dla Zygmunta Augusta. W trzeciéj części „Żywota człowieka poczciwego“ powiada Rej: „Bo jeśli sobie wspomnisz czasy młodości swojéj, żeś za tą panią fortuną i za jéj dworem po wszystkie czasy swoje biegał, nie może być jedno, iż zawżdy przestraszone sumienie w sobie znaleźć musisz.“ Niewątpliwie miał tu na myśli siebie samego i niezbyt czystéj natury środki zasługiwania się i wyjednywania tak licznych nadań królewskich. Choćbyśmy zgodzili się za Trzycieskim na to, że Rej „żadném ziemskiém urzędem nie chciał się parać,“ to nie wynika ztąd by wyrzekał się godności dworskich, starostw a nawet stołka senatorskiego. Charakterystyczna naiwność umysłowa tego „prostaka“ znika w sferze życia praktycznego i interesów materyalnych, przechodząc w spryt i przebiegłość. Umié sobie ujmować ludzi i korzystać z każdéj sposobności do pomnożenia swéj fortuny. Nie zaniedbując rozległego klucza dóbr chełmskich, którego dochody zwiększa przez zakładanie nowych wsi, karczem, browarów, nadzór nad lasami, wytwarza w krakowskiém drugi kompleks dóbr, zakładając w pobliżu swéj głównéj rezydencyi w Nagłowicach miasto Okszę (r. 1554), na obszarach nabytych wsi: Powęzowa i Tworowa. Nazwy jakie dobiéra dla zakładanych miast zdradzają możnowładcze aspiracye wzbudzone przykładami panów o których się ocierał. Do Nagłowic należą rozległe lasy nad Nidą i pobliski Slęcin. W paromilowéj odległości od Nagłowic posiada Rej pod Skalmierzem: Topolę i Słonowice, a pod Słomnikami Dziewiąciele (Dziewięcioły) na dożywotnią własność. Jeżeli do tego dodamy Temerowce, Seredne, Dubowicę i Kołodziejów na Rusi, kamienicę w Krakowie i liczne kapitały polokowane na różnych dobrach, to polski Enniusz przedstawi

się nam teraz w postaci energicznego plantatora, łączącego żarliwość religijną z gorączką bogactw i znaczenia, zużywającego niewyczerpane zasoby energii fizycznéj zarówno na działalność produkcyjną jak rozrywki hulaszczego życia, goniącego za „panią fortuną“ rozlicznemi drogami.

V.

Zarząd tylu majątków, rozrzuconych na rozległéj przestrzeni zniewalał Reja do ciągłych podróży. Interesa pieniężne i ustawiczne sprawy z sąsiadami o granice, zbiegłych kmieci, szkody w zasiewach, wywoływały liczne procesy i konieczność częstego stawania po sądach w charakterze powoda czy pozwanego. Rzecz naturalna, iż p. Mikołaj musi posługiwać się pomocą plenipotenta, którym w krakowskich dobrach jest od r. 1540 Zygmunt Szaszowski szlachcic, dziedzic Buszkowa. Prócz tego w majątkach są oddzielni rządcy (*factores*) stawający też niekiedy w sądach. Dobra w chełmskiem zostają o ile się zdaje pod zarządem żony, która stale tam mieszka, kiedy małżonek już od 1540 przeważnie przebywa w krakowskiém. Ilekroć dla jakiéj tranzakcyi zawiéranéj tamże potrzebne jest zezwolenie żony, zawsze Rej zobowiązuje się sprowadzić ją nie do Proszowic lub Krakowa lecz do Krasnegostawu, dla zeznania odpowiedniego aktu. Nawet w ostatnich latach przed śmiercią, po przebyciu cięższéj zapewne choroby (w r. 1560), dla któréj odłożono mu sprawę w sądzie, gdy ustępuje w grodzie krakowskim w r. 1563 części na Bobinie, Smolikowi z Wolwanowic, to przyobiecuje w tymże dokumencie, iż żona stawi się do akt ziemskich chełmskich lub bełzkich dla zeznania swéj zgody na dokonaną tranzakcyę. Ten długoletni rozdział, rzucający niezbyt pochlebne światło na pożycie małżeńskie Reja, zostaje zapewne w związku z naprężonemi stosunkami jakie zachodzą pomiędzy p. Mikołajem a jego teściem Kościeniem. Kwestye pieniężne, posagowe, musiały być zapewne powodem ciągłych zatargów. Pod wpływem nakłaniających do zgody pośredników stawiają się obie strony r. 1545 w grodzie krakowskim; Koścień zabezpiecza zięciowi 1,800 złp. na Sieńsku (w pobliżu Nagłowic), p. Mikołaj zaś puszcza Sieńsko w dzierżawę teściowi a owe 1,800 złp. zabezpiecza żonie na Topoli. Jednocześnie umarzają przed sądem wszystkie obustronne pretensye. Zgoda jednakże trwa niedługo. Zięć szuka tylko okazyi dla dokuczenia teściowi. Pożyczył mu pewnego razu książkę „Kronikę świata“ [1]),

---

[1]) Według objaśnienia p. Kniaz. jest to: „Cronica mundi“ Schedla, wydana w Norymberdze r. 1493. Mieści się tu opis Polski i Krakowa z rycinami.

którą wziął od Kościenia jego sąsiad Wodzisławski i zatracił. Rej nie odebrawszy dzieła, pozywa Kościenia, który znowu tą samą drogą domaga się od Wodzisławskiego zwrotu „Kroniki“ lub 50 grzyw. Koścień nie zostaje też dłużnym w szykanach. W r. 1551 pozywa Reja o zwrót aż 14 drobnych sum w czterech rachunkach, wynoszących ogółem 92 grzyw. i 48 złp. Ponieważ jednak nie załączył obligów piśmiennych, przeto sąd nakazał mu przysięgę. Zdaje się, że jakiś polubowny układ położył koniec téj sprawie. Koścień umiéra prawdopodobnie w r. 1562 bo r. 1563 syn jego już wypłaca w dwu ratach Rejowi sumę 1,500 złp. W r. 1564 plenipotent Reja, Szaszowski daje zabezpieczenie na swéj wsi Buszkowie (pow. miechowski) dla Jana i Adama Kościeniów co do stawienia się do akt lubelskich Zofii Rejowej dla pokwitowania z odbioru przez męża sumy 1,500 złp. Nawet śmierć ojca nie wpłynęła na połączenie się rozdzielonych małżonków.

Obdarowanie Reja przez Bystrama i Herburta Odnowskiego, które w opowieści Trzycieskiego przybiéra charakter wylewu uczuć przyjacielskich, w świetle dokumentów innego nieco nabiéra znaczenia.

Paweł Bystram, cześnik lubelski, żonaty z Zofią z Mirowa Myszkowską, córką Wawrzyńca kasztel. sądeckiego, r. 1548 w grodzie bełzkim przekazuje swe posiadłości (Popkowice i Skorczyce) z wyjątkiem wsi Słupie koło Kraśnika [1]) Mikołajowi Rejowi, który jednakże objąć ma te dobra dopiéro po śmierci Bystrama i żony mającéj dożywocie na Skorczycach, a wrazie wcześniejszego zgonu obdarowanego lub doczekania się potomstwa przez Bystrama, zapis cały staje się nieważnym. Otóż tenże Bystram już w r. 1541 podarował pod temiż warunkami też same dobra swemu teściowi Myszkowskiemu, który jednakże zrzekł się w rok potem zapisu. Prawdopodobnie chodziło Bystramowi o usunięcie od sukcesyi jakichś niemiłych mu krewnych i dlatego zawiérał takie układy. Przezorny p. Mikołaj wyjednywa sobie w r. 1551 potwierdzenie układu przez Zygmunta Augusta. Zdaje się jednak, że nie objął on w posiadanie zapisanych wsi. Na jakiéj zasadzie Trzycieski nazywa Bystrama „bratem blizkim“ Reja, trudno się domyślić dla braku wskazówek. Drugi donator Mikołaj Odnowski (Herburt) kasztelan przemyski był zapewne krewnym Reja ze strony matki. Stosunki jednak tych „braci blizkich“ nie zawsze były harmonijne. W r. 1542 w grodzie lwowskim zobowiązuje się

---

[1]) P. Kniaz. mylnie odczytał: „Slupia prope Czasnik“ i stąd nie mógł odnaleźć tych miejscowości.

Mikołaj Rej za zboże ozime i jare, które pozbiérał na obszarze dóbr Bochotnica, Stoczek i Słotlice, pozostałych po zmarłéj Annie z Fulsztyna, wojewodzinie lubelskiéj, wypłacić bratu jéj Odnowskiemu po 3 grzyw. za brog [1]). Ponieważ jednak zobowiązania nie dotrzymał, przeto Odnowski pozywa go w r. 1544 upominając się o pieniądze za 69 brogów zboża. Rej nie stawił się i widocznie ułożył się z kasztelanem, któremu zabezpieczył w r. 1546 sumę 300 złp. na częściach wsi Kołodziejów (pow. stanisławowski, w pobliżu Dniestru) jakie posiadał po matce zapewne.

Co się tyczy ustąpienia Rejowi przez Odnowskiego wsi Dziewiąciele (Dziewięcioły o 2 mile od Miechowa) to mniemany dar „brata blizkiego" przedstawiają dokumenty jako zwykłą tranzakcyę dogodną dla obu stron, niekorzystną jedynie dla skarbu publicznego. Dziewiąciele były wsią królewską dzierżawioną przez Odnowskiego, który jako bezdzietny nie mając komu téj wsi przekazać, ułożył się z Mikołajem Rejem, iż tenże będzie mu płacić dożywotnio po 220 złp. (zabezpieczone na Topoli) a Odnowski zrzecze się dzierżawy, którą król w r. 1552 nadaje Rejowi jako wynagrodzenie za usługi: „*erga divum olim parentem nostrum et erga nos.*" Wieś tę otrzymał Rej na prawie dziedziczném „*titulo perpetuae et irrevocabilis donationis.*" Czy zasługi Reja odpowiadały istotnie tym licznym objawom wdzięczności królewskiéj, czy też zręczny i sympatyczny dworak umiał przy pomocy możnych przyjaciół chwytać dla siebie spore kawały „chleba dobrze zasłużonych," o tém trudno wyrokować przy braku świadectw, wyjaśniających rolę jaką odgrywał Rej w życiu dworskiém i polityczném. Na pozyskanie względów Bony i Gamrata wpłynąć musiały w każdym razie zasługi nie mające nic wspólnego z działalnością literacką lub interesami szlachty.

Jedynym darem przyjacielskim, o którym milczy Trzycieski, lecz świadczą dokumenty, jest ustąpienie w r. 1544 przez Hieronima Szafrańca z Pieskowéj Skały, rozległych łąk nad Nidą (koło Rembiechowy w pow. jędrzejowskim): „*Nicolao Rey, amico suo charissimo, de libera sua gratia, non more venditionis, nec alicujus debiti, sed ex sincero amore erga ipsum Nicolaum... dono amicabilis donationis.*"

Rozgłos jaki pozyskał pismami i różnorodną działalnością, rozległe stosunki na dworze królewskim i dworach pańskich, znaczny majątek, towarzyskie przymioty wreszcie, ściągały niewątpliwie Rejowi,

---

[1]) Akt ten podany w pracy p. Ptaszyckiego pominięty został w zbiorze p. Kniaziołuckiego.

pominąwszy już „dobrych towarzyszów“ hulaszczego życia młodości, liczne koło młodzieży szlacheckiéj, odbywającéj pod kierunkiem tego doświadczonego a praktycznego dworaka i ziemianina, szkołę zarówno dworskości, jak gospodarstwa wiejskiego i prowadzenia interesów.

Akty roków sądowych księskich z r. 1557 rozpoczynają się zaznaczeniem obecności p. Mikołaja Reja z Nagłowic w asystencyi licznego grona, z którego wymienieni są: Mikołaj Czerny z Witowic, Stanisław Wielkanocki, Zygmunt Szaszowski (wspominany już pełnomocnik Reja), Jan Myśliszowski, Jerzy Sokół.

VI.

Jakkolwiek p. Kniaziołucki we wstępie do swego zbioru stara się oczyścić Reja z zarzutów upodobania w pieniactwie i chciwości, czy złośliwéj zawziętości, jakie mogłyby się nasunąć czytelnikowi, rozpatrującemu setki pozwów i wyroków w sprawach, w których p. Mikołaj bywa pozwanym i powodem na przemiany; to jednakże niektóre procesy nasuwają wątpliwości pod tym względem. Bardzo często p. Mikołaj nie dotrzymuje umów pieniężnych, nie płaci w terminie, pozwany nie stawia się, starając się widocznie zwłoką wytargować korzystniejszy dla siebie układ.

Najjaskrawszych przykładów dostarczają nam liczne procesy z duchowieństwem i to nietylko o zatrzymanie dziesięcin, ale téż o niedotrzymanie umów pieniężnéj natury i o szkody wyrządzone w wioskach, graniczących z posiadłościami Reja.

Procesy takie wytaczają p. Mikołajowi: pleban ze Skrzydlny w roku 1550-ym o dziesięciny z folwarku w Topoli, a Jan, kanonik krakowski, o dziesięcinę od kmieci; Jan, pleban z Racławic, w r. 1560 o dziesięcinę ze Zdziemięrzyc (dziś Dziemięrzyce, miał tu Rej swe części), Stanisław Górski, kanonik wiślicki, pleban w Piotrowicach o dziesięciny z folwarku powęzowskiego za lata 1556, 57 i 58, wartości 33 grzywien. Pierwsza z tych spraw ciągnie się długo, bo przez 18 lat. Popiéra ją późniéj inny proboszcz, Marcin. Zaległości doszły do 72 grzywien. Zdaje się, że śmierć Reja nastąpiła przed ukończeniem sprawy. Dziesięcinę z łanów kmiecych w Topoli pobiérała kanonia krakowska, zwana stąd topolską. Jan, kanonik krakowski, upomina się o zaległości wynoszące 89 grzywien. Sąd nałożył sekwestr na Topolę i p. Mikołaj ostatecznie wypłaca w r. 1558 te 89 grzywien, należących się za pięć lat. Zapewne w podobny spo-

sób skończyły się i dwie inne sprawy. W zbiorze p. Kniaz. nie ma jednak pokwitowań z wypłaty.

Opozycyą Reja co do płacenia dziesięcin możnaby zrozumiéć i usprawiedliwić jego przekonaniami religijnemi, gdyby inne sprawy z duchowieństwem nie wskazywały, że pod osłoną zasad działały tu także niższe pobudki. Tak np. w r. 1546 sprzedaje Rej kolegiacie św. Anny w Krakowie 30 złr. czynszu ze Słonowic i Bobina za 600 zł. (z prawem wykupu), obowiązując się płacić ten czynsz w ratach półrocznych po 15 zł. Była to więc pożyczka na 5%, bardzo korzystna wobec zwykłéj stopy wynoszącéj 10%. P. Mikołaj jednak już w r. 1549 przestaje płacić procent, tak że kapituła musi nieustannie uciekać się do drogi sądowéj. W tym wypadku chodzi o prosty, prywatny dług, nie mający nic wspólnego z przekonaniami religijnemi i urządzeniami kościelnemi. Kapituła znów katedralna krakowska miała w Topoli dwa łany osadzone przez kmieci. Rej, pragnąc zapewne zostać właścicielem téj części, dla zaokrąglenia całości, dręczy ciągłemi szykanami kmieci kapitulnych, wywołując nieustanne procesy z kapitułą, która wreszcie znużona ciągłą wojną zgadza się w r. 1563 na ustąpienie tych łanów dokuczliwemu sąsiadowi, w zamian za niedogodne mu działki w Dziemięrzycach.

Trudno się dziwić opatowi jędrzejowskiemu, że w listach swych, wedle świadectwa Juszyńskiego, użalał się na Reja, jeżeli zważymy, że dwie wsi klasztorne: Cierno i Zdanowice graniczyły z Nagłowicami, a p. Mikołaj znajdował widoczną przyjemność w dokuczaniu mnichom. Zarówno Rej, jak klasztor, posiadali gospodarstwo stawowe. Rzeczka, uchodząca do Nidy, zasilała cały szereg stawów. Odwieczny układ zastrzegał, że na żądanie sąsiada, potrzebującego w oznaczonych terminach spuścić stawy dla połowu ryb, dziedzic przyległéj wsi winien był spuścić swoje, by ułatwić odpływ wody. Rej nietylko że nie stosuje się do téj umowy, ale często bardzo wypuszcza wodę swych stawów na pokoszone łąki w Zdanowicach, lub poleca swym ludziom pozabiérać sieci klasztorne i uwięzić rybaków. Przy jakiéjś sposobności zajmuje całą oborę klasztorną (100 sztuk bydła) z wielką trzodą nierogacizny i trzyma przez trzy dni bez pożywienia, pod zamknięciem. Kmiecie wsi klasztornych cierpią niewinnie różne szykany z powodu tych zatargów.

W ostatnich latach życia nie zmienia Rej swéj metody postępowania. Stanisław Grotkowski, kanonik krakowski, pozywa go w r. 1568 o dziesięcinę z Dziewiąciel, zaległą od r. 1564.

Że śmierć Reja, w końcu września r. 1569, ucieszyła duchowień-

stwo katolickie, jest-to bardzo naturalném, ale że nie wywołała ona objawów żalu i uznania w kołach reformatorskich, że nie została upamiętnioną przez współczesnych jakimś wierszem, wspomnieniem, notatką kronikarską, może słusznie nas dziwić. Zapomnienie to rzuca pewien zagadkowy cień na Reja i jego otoczenie.

VII.

Czytelnikom, przywykłym do zarysu skreślonego nieudolną, ale za to tendencyjnie przyjazną ręką Trzycieskiego i do opartych na jego pracy zidealizowanych wizerunków, w jakich Rej ukazuje się na kartach dziejów literatury, -- te rzeczywiste rysy postaci, wydobyte ze współczesnych świadectw, wydać się muszą zbyt ciemnemi i niemiłemi, gdyż obniżają dotychczasową opinią o wartości moralnéj autora „Zwierciadła“.

Każda bezstronna a dokładna biografia wybitnego a popularnego człowieka, sprowadza podobne rozczarowanie, budząc żal za idealnym wizerunkiem, jaki nosiliśmy w duszy.

Życiorysy różnych wielkich ludzi przekonały nas, że rozwój moralny jednostki nie jest współrzędnym z umysłowym, ni z rozkwitem uzdolnień artystycznych. Przytém stopień zasługi moralnéj nie może być oceniany według jednéj skali. Nie mamy prawa od ludzi wieku XVI-go żądać tego, czego wymagamy od współczesnych, nie możemy téż pomijać w ocenie indywidualnych warunków, mierzyć np. wartość moralną Reja skalą Kochanowskiego.

Jeżeli więc uwzględnimy drogę, jaką przebywał twórca „Wizerunku“ i „Zwierciadła“ w swym rozwoju umysłowym i moralnym, przeszkody, z jakiemi się musiał uporać, to w sprzeczności, zachodzącéj pomiędzy życiem a zasadami głoszonemi w utworach, nie będziemy upatrywać obłudy cechującéj niejednego moralistę, lecz przypiszemy to trudnościom niezwykłym, jakie w pracy nad urzeczywistnieniem wymagań moralnych, nasuwały Rejowi właściwości temperamentu, popędy potężnego organizmu fizycznego i żywa wyobraźnia, pozostająca przez całe życie na jednym prawie stopniu rozwoju.

Umysł Reja nie jest zdolnym do abstrakcyi, pojęciom wszelkim nadaje formy materyalne. Rozumowania jego są kombinacyami obrazowemi. Myśl nie jest zdolną oddzielać idee od zjawisk. W duszy swéj nosi on bogaty zasób różnorodnych obrazów, których dostarczyła mu przyroda, życie ludzkie, Biblia i przypadkowa bezładna lektura ksiąg takich, jak wspomniana już „Kronika Świata“ Schedla, „Zo-

dyak życia“ Palingena, traktaty i powiastki moralno-obyczajowéj treści.

Obrazy te żywo się utrwalają we wrażliwéj duszy Reja i oddziaływają silnie na uczucie i wyobraźnię. Gdy śród ciszy nocnéj rozczytuje się w książce, lub przeléwa na papiér zasób nagromadzonych spostrzeżeń, odczuwa on gorącą miłość dla świata nadziemskiego i ziemskiego, zapał dla dobra i sprawiedliwości. Widzi on wtedy jasno swe błędy, swą słabość i skarży się w wierszu umieszczonym przy „Apokalypsie“ (1565 r.), że:

...świat ten z dziwnemi klatkami,
Jako chytrze wiesza je nad nami,
Idąc na nas cicho chytrą sprawą,
Kryjąc klatki pod zieloną trawą,
Wieszając nam czaczka rozmaite,
Z rozkoszami bogactwa obfite,
Któremi nas tak pobłaźnił marnie,
Iż każdy z nas wszytko k'sobie garnie.
A prawiechmy jako ony dziatki,
Kiedy przyjdą na rozliczne kwiatki,
Co się błyszczy, to za tém biegają,
Co potrzebne, to za nic nie mają.

Z chwilą znów, kiedy porzuciwszy książkę i pióro, zwracał się do spraw życia powszedniego, w duszy jego zapadała zasłona nad tym światem wewnętrznym i rozpoczynało się panowanie wrażeń i podniet zewnętrznych. Życie towarzyskie, liczne interesa i sprawy gospodarcze, majątkowe, religijne i polityczne, wymagały ciągłych podróży, obcowania z ludźmi i działalności, w któréj kierować się będzie przeważnie samolubnemi względami i popędami. Pojęcia moralne Reja podniosłością nie grzeszą. Gniéw Boży, kara pośmiertna, wstyd: „gdy nieprzyjaciel twój (szatan) tuż przed oblicznością Pana twego, przed oblicznością aniołów, świętych... będzie cię wlókł za sobą jako świnię parszywą“—z jednéj strony, z drugiéj znowu ponęta rozkoszy niebieskich: „jakie tam osiadłości, jakie tam będą pociechy, jakie pałace, jakie bezpieczeństwa“—oto zwykłe argumenty, jakiemi stara się ludzi zachęcić do cnoty. Jest-to poniekąd najszersze zastosowanie téj praktyczności, jaka cechowała działalność Reja na innych polach.

Sprawiedliwa ocena wartości Reja, jako człowieka, jest konieczną dla zrozumienia jego pism, w których pozostawił nam to wszystko, co było najlepszego w jego duszy. Mimo swych wad, Rej pociągać zawsze nas będzie szczerością i naiwnością uczuć, jakie budzi

w nim Bóg, przyroda i społeczeństwo. Na tych uczuciach polega wpływ uszlachetniający i kształcący licznych jego pism, dostępnych z powodu obrazowéj formy dla szerokich kół czytelników. Ten wpływ moralny i utorowanie drogi dla rozwoju piśmiennictwa polskiego, to zasługi doniosłe, wobec których możemy zapomnieć o usterkach moralnych, nie wiele wychodzących zresztą po za granicę zwykłych ludzkich słabości. Choć w życiu swém był zapewne dość dalekim od ideału moralnego, który wypielęgnował w duszy i rozwijał w pismach, nie mamy prawa wątpić, że nie przestawał sam dążyć do tego ideału i walczyć z niskiemi popędami swéj natury. Samo wytworzenie tego ideału i praca niezmordowana nad jego zaszczepianiem w duszach współbraci, przedstawia czyn wysokiéj wartości moralnéj, mogący przeciwważyć szalę wielu win i błędów.

Doniosłe zasługi Reja nie zostały dotąd należycie wyjaśnione i ocenione. Ani współcześni, ani potomni nie poczuli się do obowiązku uczczenia praojca naszéj literatury chociażby skromnym grobowcem; nie wiemy, gdzie szukać jego popiołów i jakich doznały losów. Przy burzeniu zboru w Nagłowicach poniszczono zapewne i nagrobki.

Zdaje się, że nadchodzi już godzina wymiaru sprawiedliwości dla Reja, obliczenia skrupulatnego jego zasług, oceny talentu i dzieł, zaznajomienia się z zapomnianemi utworami, mieszczącemi tyle ciekawych rysów dawnego życia i wyrażenia w poważnéj a trwałéj formie naszego hołdu dla człowieka, który przyczynił się tak wiele dla rozwoju języka, literatury i cywilizacyi naszéj zarazem.

W r. 1905 przypada czterechsetna rocznica urodzin Reja.

Jednym z najwłaściwszych objawów naszego uznania dla twórcy „Wizerunku“ i „Zwierciadła“ powinno być wydanie krytyczne wszystkich pism Reja i opracowanie biografii, do któréj tak bogatego materyału dostarcza zbiór p. Kniaziołuckiego. Dalsze poszukiwania archiwalne dorzucą zapewne nie jedno nowe świadectwo. Udział Reja w życiu politycznem, stosunki z dworem i działalność reformatorska nie dadzą się wyjaśnić bez pomocy nowych dokumentów. Odszukanie utworów, uważanych za utracone, zebranie drobnych wierszy, porozpraszanych po różnych drukach i opracowanie bibliografii pism Reja wymagać będzie niemało trudu i zachodów.

Jakkolwiek dwanaście lat dzieli nas od zbliżającéj się czterowiekowéj rocznicy urodzin, to zarówno szeroki zakres zadania, wyma-

gającego współudziału większego koła pracowników, jak trudności i powolny postęp wszelkiego zbiorowego działania, nie pozwalają zwlekać z rozpoczęciem robót przygotowawczych.

Poprzestaję na podniesieniu projektu, w nadziei, że pracownicy specyalnie zajmujący się Rejem i jego epoką zechcą zabrać głos w téj sprawie i drogą dyskusyi dojdą do wzajemnego porozumienia się, obliczenia sił, środków i zorganizowania rozstrzelonéj dotąd działalności na podstawie jednego planu.

Bronisław Chlebowski.





ROLNICTWO I ŚRODKI JEGO PODNIESIENIA.

Ziemia i jéj odłużenie w Królestwie Polskiém przez Jana Blocha. Warszawa, r. 1892.

Kiedy okiem nieuprzedzoném spojrzymy na zabiegi naszych rolników i to nie tych, którzy niebacznie przyśpieszają swój upadek lekkomyślném życiem, ale tych, co ciężką pracą dzień każdy znaczą i wszystkich sił dobywają, ażeby łódź ich nie poszła na dno; kiedy zblizka przyjrzymy się, jakie rezultaty daje ta ich praca, pomimowoli musimy postawić sobie pytanie, jakie są przyczyny tego zjawiska, czy wywołują je wątłość sił, czy brak umiejętności w pracy lub może warunki klimatyczne ziemi albo jakieś inne, zewnętrznéj natury trudności i czy rolnictwo nasze nie jest już owym garncem, o którym niegdyś nasz mąż wielki mawiał, że „skorupki jego spoić się i naprawić nie będą mogły.“ Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwą, ale téż tém więcéj konieczną rzeczą jest stawiać je i starać się o ile można umiejętnie badać stan rolnictwa i szukać środków, przy pomocy których dałoby się usunąć złe, niewątpliwie istniejące. To téż każde usiłowanie rozwiązania tych kwestyi jest wielce pożądaném a zwłaszcza musi być pożądane studyum poważne, oparte nie na spostrzeżeniach dorywczych i apryorystycznie stawianych wywodach, ale na mozolnych i umiejętnie prowadzonych badaniach. Takie to właśnie studyum dostarczył nam p. Jan Bloch w dziele, którego tytuł wypisaliśmy na czele niniejszego przeglądu [1]).

---

[1]) Jest to przedruk artykułów umieszczonych w „Bibliotece Warszawskiéj.“ za maj, czerwiec, lipiec, sierpień i październik r. 1891, dokonany z drobnemi jedynie zmianami.

Już to samo, że dzieło to wywołało powszechne w sferach myślących ożywienie i zmusiło ludzi do poważnego nad przedmiotem zastanowienia się, dowodzi nieposledniéj jego wartości. Postaramy się zapoznać czytelników naszych chociaż pokrótce z jego treścią.

Jak nam wyznaje sam szanowny autor, za pobudkę do bliższego, naukowego zajęcia się losami naszego rolnictwa, posłużyło zawezwanie go przez sfery rządowe do wyrażenia opinii w kwestyi upadku cen zboża w państwie rosyjskiém. Owocem badań w téj mierze było dzieło wydane w Petersburgu w r. 1890 pod tytułem: „Kredyt melioracyjny i stan rolnictwa w Rosyi i w państwach zagranicznych“ [1]).

W pracy, o któréj chcemy mówić, autor zużytkował materyały, jakie mu posłużyły do przygotowania powyższego dzieła, zebrał wiele danych statystycznych co do stanu rolnictwa wogóle i u nas i zagranicą i opiérając się na cyfrach, wykłada rzecz swoją, jak mówi, przedewszystkiém ze stanowiska czysto ekonomicznego a następnie — społecznego (str. 30).

Już z tego widzimy, że autor uznaje za najwłaściwszą przy badaniu zjawisk społecznych metodę statystyczną. I słusznie; opiéranie wywodów na podstawie chociażby nawet najtrafniejszych, ale luźnych spostrzeżeń, prowadzi prawie zawsze do bezzasadnego uogólniania oderwanych faktów. Tam, gdzie na każde zjawisko składają się tysiące najróżnolitszych przyczyn, tam i dane statystyczne nie zawsze dostatecznie rzecz wyjaśniają; są one przecież najlepszą i ze wszystkich niepewnych najpewniejszą podstawą; same przez się stanowią one rezultat skrzętnych badań i tak samo, jak najbieglejszy nawet marynarz nie jest w stanie bez busoli prowadzić w pewnym kierunku swego statku, tak samo i badacz zjawisk społecznych bez danych statystycznych nie jest w możności umiejętnych wyprowadzić wniosków. Zobaczymy później zkąd i w jaki sposób zdobył nasz autor cyfry i jak z nich skorzystał.

Jak to już sam tytuł zdaje się wskazywać, autor wziął sobie za cel zbadanie stosunku ziemi, jako warsztatu, na którym rolnik nasz pracuje, jéj wydajności i wogóle warunków pracy rolnika, do odłużenia t. j. do tych ciężarów, jakie na niéj spoczywają, i jakie tylko w normalnych warunkach nie są kulą u nogi rolnika. Zbadanie tego stosunku prowadzi autora do wniosków a zarazem do wskazania środków zaradzenia złemu. Ztąd téż w pracy p. Blocha dostrzegamy dwie części, z których pierwszą stanowi badanie powyższego stosunku

---

[1]) Dzieło to zostało w roku zeszłym wydane z pewnemi zmianami w języku polskim.

a drugą — środki poprawienia dzisiejszego stanu. Powiedzieliśmy: „dostrzegamy," gdyż autor nie uznał za właściwe, jakby to może nakazywała systematyka naukowa, ściśle i formalnie rozdzielić te dwie części dzieła a ośmielimy się tu powiedzieć, nie pozostało to bez pewnego ujemnego wpływu na układ dzieła. Ale przejdźmy do jego treści.

Po krótkich uwagach wstępnych, dotyczących trudnego położenia rolnictwa wogóle a u nas w szczególności i niezbędności akcyi ratunkowéj, autor wprowadza nas odrazu *in medias res* i wskazuje obniżenie się wartości srebra oraz popyt na złoto, jako jedną z ważnych przyczyn powszechnéj zniżki cen i wynikającego ztąd przesilenia ekonomicznego. Posiłkując się przy wyprowadzaniu średnich cen różnych produktów powszechnie uznawaną metodą Stanley'a Jevons'a, na cyfrach ze stosunków Anglii i Niemiec dowodzi, że sprowadzenie znacznéj ilości złota z Kalifornii i Australii wywołało najprzód podniesienie się cen wszelkich produktów, późniéj wahania się a następnie wyraźną tendencyę ku zniżce (str. 2 do 4). Więcéj niż inne rodzaje produkcyi ucierpiało na téj obniżce cen rolnictwo i własność ziemska we wszystkich państwach, które nie zaprowadziły u siebie, na wzór Niemiec, ceł wchodowych na wytwory rolne, znajduje się w stanie opłakanym. Jedyny wyjątek stanowią gospodarstwa, które podniosły wytwórczość produktów zwierzęcych, ceny bowiem produktów hodowli zwierząt domowych poszły w górę bardziéj, niż spadły ceny wszystkich prawie gatunków zboża (str. 5 i 7). Królestwo Polskie wytwarza te właśnie produkty, których ceny się obniżyły.

Powszechna zniżka cen zboża, według naszego autora, dałaby się jeszcze więcéj odczuć naszemu rolnictwu, gdyby jéj nie maskował nizki kurs rubla. Ta ostatnia uwaga prowadzi do postawienia pytania, co się dzieje z produkcyą rolną zagranicą, która nie ma swoich rubli spadających w cenie i w jaki sposób zagraniczne rolnictwo mogło przetrzymać gwałtowną zniżkę cen zboża? W odpowiedzi na to pytanie autor mówi o pomocy, jaką dają swemu rolnictwu niektóre rządy przez ustanowienie ceł zbożowych, ale główną przyczynę większéj wytrzymałości zagranicznych gospodarstw wiejskich widzi on w tém, że na Zachodzie system kultury rolnéj jest inny i odłużenie majątków ziemskich mniejsze, aniżeli u nas (str. 28). My byśmy poważyli się zwrócić uwagę w tém miejscu i na inne jeszcze przyczyny, dla których rolnictwo na Zachodzie łatwiéj niż u nas przechodzi wszelkie przesilenia ekonomiczne a są niemi: rozumne zorganizowanie samopomocy i rzeczywiste zainteresowanie się rolnictwem. Dosyć tu przytoczyć fakt istnienia we Francyi przeszło 800 syndykatów rolniczych,

do których należy około 500,000 producentów. Ta ostatnia cyfra staje się wymowniejszą, jeśli się zapamięta, że liczba wszystkich gospodarstw rolnych we Francyi dochodzi do 5,600,000 a z tych 2,500,000 nie produkuje więcéj jak to, co jest konieczném na potrzeby domowe, że więc do syndykatów należy dziś szósta część wszystkich rolników, których produkcya przechodzi granice potrzeb domowych we Francyi [1]). Działalność syndykatów daje się ześrodkować w następujących punktach: 1) badanie i obrona wspólnych interesów stowarzyszonych rolników; 2) usunięcie pośredników przy nabywaniu i przy sprzedaży produktów; 3) ułatwienie kredytu rolnego i kredytu wzajemnego; 4) godzenie sporów; 5) ubezpieczenie wzajemne od gradu i na wypadek moru bydła; 6) pomoc wzajemna i zabezpieczenie utrzymania po przejściu do stanu spoczynku; i 7) podnoszenie stanu rolnictwa przez szerzenie słowem i czynem zdobyczy wiedzy.

Syndykaty te zostały zorganizowane na mocy prawa z r. 1884 a jak szybko i skutecznie rozwija się ich działalność, za dowód może służyć fakt, że już w r. 1889 rolnicy francuscy nabyli przy ich pośrednictwie ziarna, nawozów sztucznych, paszy, narzędzi rolniczych i t. p. na pokaźną sumę pół miliarda franków [2]). Syndykaty łączą się pomiędzy sobą dla łatwiejszego osiągnięcia celu. Najpoważniejszemi z takich związków są: Zjednoczenie syndykatów rolniczych francuskich i Główny syndykat rolników francuskich, obadwa z siedzibą w Paryżu. Do Zjednoczenia należy 357 syndykatów z liczbą 400,000 członków. Ma ono za zadanie ześrodkowanie w sobie i dostarczanie wiadomości potrzebnych syndykatom, tak co do stanu rynków wewnętrznych i zewnętrznych, jak i co do opłat przewozowych, udzielanie opinii i rad w kwestyach spornych lub wątpliwych i ułatwianie możności korzystania z pracowni chemicznych i stacyi doświadczalnych Stowarzyszenia rolników francuskich. Drugi z tych związków, Główny syndykat rolników francuskich ma zadanie mniéj praktyczne. Celem jego jest ułatwienie tworzenia się syndykatów rolniczych, szerzenie wiadomości specyalnych, tak z działu rolnictwa technicznego, jak i z ekonomii politycznéj i popularyzowanie najnowszych zdobyczy wiedzy [3]). Nie będzie-

---

[1]) L. Hautefeuille: Annuaire des syndicats et de l'agriculture française, Paris 1890. Léon Say: Economie sociale II édition. Paris 1891, str. 169.

[2]) L. Say l. c. str. 170.

[3]) L. Say l. c. str. 171. O znaczeniu syndykatów rolniczych ciekawe szczegóły zamieścił Juliusz Rambaud w *Traité élémentaire et raisonné d'economie politque*. Paris 1892, str. 149, 150 i 288.

my daléj rozszerzać się nad tym przedmiotem. Podaliśmy tu kilka szczegółów dotyczących rolnictwa we Francyi, która także nie jest wolną od przesileń ekonomicznych a uczyniliśmy to w przekonaniu, że te szczegóły rzucą światło na kwestyę ochrony rolnictwa i już przez to samo dla naszego czytelnika nie są pozbawione interesu. Powróćmy teraz do dzieła p. Blocha.

Rolnictwo nasze, mówi autor, nie zdołało jeszcze przyjść do równowagi po uwłaszczeniu a tu przyszła zniżka cen produktów rolniczych razem z innemi ujemnemi warunkami. Kraj jest niemal wyłącznie rolniczym; ztąd też klęska musiała przybrać rozmiary potężniejsze (str. 27). Jednym z objawów téj klęski jest znikanie z widnokręgu majątków większych, fortun rodowych, na których zawsze spoczywają obowiązki społeczne. Należy szukać środków zapobieżenia niechybnie grożącéj ruinie i to téż jest jednym z celów, stawianych przez autora w jego badaniach (str. 29).

Po takiém postawieniu kwestyi na gruncie stosunków ogólnoświatowych autor przechodzi do rozpatrzenia się w jednéj z najpoważniejszych przyczyn złego stanu naszego rolnictwa, do odłużenia.

Ale tu nasz autor spotkał się z przeszkodą trudną do pokonania, bo z brakiem materyału. Rozumiał on, że „Zbiór wiadomości statystycznych,“ ogłoszony przez Towarzystwo kredytowe ziemskie w r. 1881, szereg sprawozdań półrocznych, z czynności Towarzystwa, pamiętnik tegoż Towarzystwa z r. 1884, „Krótki rys statystyczny hypoteki gubernialnéj radomskiéj,“ drukowany przez p. Jana Romanowskiego w „Gazecie Radomskiéj“ r. 1890 i szczegóły podane w dziełach poważnych p. Ludwika Górskiego, stanowią cenny materyał ale materyał niedostateczny dla wysnucia wniosków co do stanu odłużenia własności ziemskiéj w całym kraju. Téj trudności autor nasz się nie uląkł, postanowił ją usunąć, zebrawszy własném staraniem potrzebne dane. Nie możemy tu wdawać się w szczegóły, wyjaśniające sposób zdobycia tych danych. Z tego, co sam autor nam mówi, widzimy, że kierowała przy ich zbieraniu rozumna myśl, że były one wypisywane z ksiąg hypotecznych, według zgóry nakreślonego wzoru. A dotyczą one poważnéj cyfry 9,429 dóbr[1]). Jakkolwiekbądź materyał taki może być niezawsze dokładnym, na co zresztą sam autor zwraca uwagę, już to samo, że zabiegami jednego człowieka został zebranym, stanowi nieposlednią zasługę.

---

[1]) Z 84 powiatów Królestwa, ma autor szczegóły co do 64 a w tych z siedmiu całkowitych gubernii: Kaliskiéj, Piotrkowskiéj, Płockiéj, Suwalskiéj, Siedleckiéj, Radomskiéj i Kieleckiéj.

Ramy tego przeglądu nie pozwalają nam iść krok w krok za szan. autorem. Czytelnik nie pożałuje pracy, jeśli, nie poprzestając na naszém sprawozdaniu, zwróci się do dzieła p. Blocha i z uwagą je przeczyta. Możemy go zapewnić, że korzyść odniesie prawdziwą, zwłaszcza, że autor materyał swój klasyfikuje umiejętnie, rezultaty, jakie mu daje ten materyał zestawia z danemi z innych znanemi źródeł i w ten sposób niejednokrotnie dokonywa sprawdzenia, a rzecz wykłada zawsze w sposób jasny i zajmujący. My tu poprzestać musimy na przedstawieniu jedynie głównych wyników badań.

Uważając, że dane, jakie autor zebrał co do 9,429 dóbr, mogą służyć za podstawę wniosków co do całego kraju, wyprowadza on przypuszczalne cyfry co do stanu odłużenia ziemi. Okazuje się, że w stanie pomyślnym, t. j. gdzie nie ma ciężarów wcale albo gdzie istnieją tylko należności Towarzystwa lub inne, których wysokość nie przenosi należności Towarzystwa, znajduje się w Królestwie 5,809 tysięcy mórg, w stanie wątpliwym, t. j. gdzie długi wyrównywają mniéj więcéj szacunkowi, jest 1,307 tysięcy mórg i w stanie krytycznym, gdzie długi przenoszą wartość dóbr jest 2,936 tysięcy mórg (str. 48) [2]). Stan taki jest prawdziwie groźnym. Wywołany on został nietylko przez warunki czysto ekonomicznéj natury ale i przez przyczyny historyczne, do których autor zalicza w ogóle życie nad stan (str. 70, 185 i 226). Znaczna część długów powstaje z powodu działów majątkowych, wskutek których pozostający przy ziemi bierze na siebie obowiązek spłacenia innych sukcesorów (str. 71, 72, 82, 83, 224 — 226). Poważny też procent długów wogóle, stanowią sumy szacunkowe, t. j. sumy obciążające majątek wskutek niemożności spłacenia przez nabywcę całego szacunku zaraz w chwili nabywania majątku. Dowodzi to, że nabywający nie mieli dosyć środków i że porywali się do wypełnienia zadania nie w miarę sił, co naturalnie musiało się odbić w sposób opłakany i na sposobie prowadzenia gospodarstwa.

Obliczenia wykazały, że w większości wypadków gorszy stan wzrasta wraz z obszarem majątku, że tém samém majątki mniejsze trzymają się lepiéj od większych. Wyjątek stanowią fortuny magnackie.

Osobny rozdział poświęca autor zbadaniu kwestyi procentów.

---

[2]) Rozumié się, że autor mówi tu jedynie o tych majątkach, które mają uregulowaną hypotekę. Winniśmy tu nadmienić, że stosunek stanu odłużenia inaczéj jest przez p. Blocha przedstawionym na stronnicach 225 i 226, gdzie wykazano w stanie pomyślnym 5,337 tysięcy mórg, w wątpliwym — 1,961 tysięcy mórg i w krytycznym stanie 1,835 tysięcy mórg. Dlaczego w końcu pracy autor odstąpił od cyfr pierwotnie znalezionych, wyjaśnienia w dziele szukaliśmy daremnie.

Tu materyał z hypoteki czerpany daje podstawę chwiejną. Stale prawie dotąd utrzymuje się zwyczaj podawania do aktu procentów mniejszych od umówionych rzeczywiście. Jest to następstwo dawnego prawa, które niedozwalało pobiérać procentów wyższych od procentu prawnego. To téż rezultaty badania mogą tu dostarczyć zaledwie danych przybliżonych. Okazuje się, że najczęstszym wypadkiem śród pożyczek hypotecznych jest stopa 5%, autor ją znalazł 66 razy na 100 badanych wypadków; potém idzie 6% (17 razy na 100); stopa 7% do 10% zdarza się 13½ raza na 100, a wyżéj 10% — tylko 3 razy na 100 wypadków.

Dobra małe (60—600 mórg) wcale nie opłacają procentów wysokich, kiedy własność średnia i duża na 20 wypadków zmuszona jest raz jeden płacić procenty przenoszące 10%. Te dobra płacą procent lichwiarski, które się odłużyły do wysokości szacunku lub wyżéj (str. 90 i 227).

Z uwagi, że żydzi pod względem kredytu odgrywają w kraju naszym rolę znaczną i odrębną, autor bada ich stosunek do ludności chrześciańskiéj i stanowisko, jakie zajmują w kwestyi odłużenia majątków ziemskich. Przedewszystkiém zaznaczyć tu według wyników tych badań należy, że stopa procentowa pobiérana przez żydów jest tylko o ½% wyższą od stopy, pobiéranéj przez wierzycieli chrześcian (str. 92). Rozumié się, że jest tu mowa tylko o długach hypotecznych. Daléj widzimy, że udział żydów w kredycie hypotecznym wcale nie jest znaczny. Dla ogółu dóbr suma pożyczona od żydów, wynosi przeszło pięć razy mniéj niż suma pożyczona od chrześcian. Nawet majątki żydowskie 47% swych długów zaciągnęły u chrześcian a tylko 53% od żydów (str. 97 i 228). Kaucyi i ewikcyi na rzecz żydów hypoteki nasze mają 10 razy mniéj, niż na rzecz chrześcian. Sumy ubezpieczone na rzecz żydów mieszczą się zazwyczaj na drugiéj połowie szacunku i tém się tłómaczy większy procent pobiérany przez żydów. Autor wyprowadza na podstawie tych danych wniosek, że żydzi słaby biorą udział w odłużeniu i opiérają swoje bezpieczeństwo więcéj na odpowiedzialności osobistéj niż na rzeczowéj (str. 98, 101 do 106, 229 i 230).

Porównywając stan odłużenia naszych majątków w przeszłości ze stanem obecnym, autor wykazuje, że od r. 1824 do 1857 stan majątkowy ogółu dóbr ziemskich poprawił się; w okresie czasu od r. 1857 do r. 1879 zaszło pogorszenie nieznaczne a w ostatnim okresie po r. 1890 stan odłużenia jest znacznie gorszy, niż w okresach poprzednich (str. 106—112 i 230).

Stan taki naszych majątków smutnie każe wróżyć o przyszłości;

pocieszającym przecież jest fakt niewątpliwy, że w ostatnich czasach wartość ziemi, w porównaniu z r. 1824, znacznie się podniosła, że kultura rolna już w okresie od r. 1857 do 1879 wzrosła a miejsce wysokoprocentowych długów lichwiarskich, zajęła w znacznéj części w ostatnich latach pożyczka Towarzystwa kredytowego ziemskiego (str. 112 i 231).

Porównanie powyższych danych ze szczegółami co do pożyczek, udzielanych przez różne banki własności ziemskiéj w Cesarstwie, prowadzi naszego autora do przekonania, że tam stan rzeczy nie jest lepszy, niż u nas (str. 112 do 114 i 231). Za to w Prusiech w ostatnich latach odłużenie ziemi maleje, dobrobyt rolnictwa idzie w górę, doskonalenie się kultury robi postępy znaczne, a zjawisko to pozostaje w związku z zaprowadzeniem ceł wchodowych (str. 115, 116 i 232).

Niezmiernie interesującym jest rozdział zatytułowany: W a r u n k i p o d a ż y i p o p y t u n a z i e m i ę (str. 122—132, 235—237).

Wobec tego, że w położeniu krytyczném znajduje się przeszło 2 miliony mórg naszéj ziemi, skazanych na zmianę właścicieli, autor stawia pytanie: czy się znajdą nabywcy i kto oni będą?

Położenie rolników pochodzenia polskiego w zachodnich guberniach Cesarstwa nasuwa autorowi myśl, że nabywcy mogą przyjść z tych prowincyi i że to może wpłynąć na powiększenie popytu na ziemię w Królestwie. To przypuszczenie autora już się poniekąd sprawdza, ale przeceniać tych przypuszczeń nie należy.

Co do nabywców z zagranicy, to zauważyć należy, że dziś w ręku cudzoziemców znajduje się przeszło 1,710 tysięcy mórg tytułem własności i 199 tysięcy mórg w dzierżawie, a stanowi to dwunastą blisko część obszaru całego kraju. Jak wiadomo, prawo z r. 1887 zabrania nabywać cudzoziemcom ziemię w Królestwie Polskiém i przekazywać ją spadkobiercom, wskutek czego nietylko z téj strony nie można się spodziéwać przyjścia nabywców, ale jeszcze znaczna część ziemi, będącéj dziś w ręku cudzoziemców, ulegnie przymusowéj sprzedaży i tém samém powiększy podaż. Grozi też ziemi i projektowana ustawa, na mocy któréj żydzi mają być pozbawieni prawa posiadania ziemi; a już w r. 1885, t. j. w lat 23 od chwili dopuszczenia ich do tego prawa, na mocy ustawy z d. 24 maja 1862 r., znajdowało się w ich posiadaniu przeszło 500 tysięcy mórg. To znaczy, że gdyby prawo projektowane przeszło, rzuconoby na rynek pół miliona zgórą mórg ziemi.

Tu autor uważa za właściwe zastanawiać się nad stanem gospodarstw żydowskich.

Na podstawie rezultatu ankiety, przeprowadzonéj przez Towarzystwo kredytowe ziemskie w r. 1885, wyprowadza wniosek, że gdy na 300 dóbr w stanie pomyślnym jest 168 dóbr, w stanie średnim — 89, a w złym—43, to należy zwrócić uwagę na to, że ponad stanem średnim jest 168 dóbr, a poniżéj tego stanu—43, czyli że w stanie złym jest majątków 4 razy mniéj, niż w stanie zupełnie dobrym. Autor wnioski swoje nieco osłabia przez zwrócenie uwagi w odsyłaczu, że w zestawieniu urzędowém odróżniono 3 kategorye majątków, a mianowicie: w stanie dobrym zamieszczono dóbr 147, w średnim— 103 i lichym—63, a prócz tego w rozprzedaży 15 majątków; pomimo to, jednakże uważa za właściwe użyć cyfr przez siebie zaznaczonych za podstawę do zestawienia ich z cyfrą odłużenia majątków chrześciańskich, jak gdyby można było zasadnie zestawiać dwa różne zjawiska: stan gospodarstwa ze stanem hypoteki, — i przychodzi do wniosku, że w stanie krytycznym jest majątków chrześciańskich 7,4%, a żydowskich tylko 3%, liczba zaś majątków w stanie pomyślnym prawie że się co do tych dwóch sfer ludności wyrównywa. (str. 129 i 130).

Prawda, że autor zastrzega się, iż sam do tych cyfr nie przywiązuje wielkiego znaczenia i że, nie mając możności znalezienia innego kryteryum, uciekł się do porównania, jakie mu jedynie pozostało; było mu to potrzebném do wykazania cyframi, że stan gospodarstw wiejskich, znajdujących się w ręku żydów, nie jest tak złym, ażeby mógł alarmować społeczeństwo albo sfery prawodawcze (str. 130).

Niech nam wolno tu będzie zauważyć, że właśnie dlatego szan. autor nie powinien był robić powyższego zestawienia i budować na niém jakichbądź wniosków, ponieważ dokładnie znaną mu była wadliwość takiéj procedury, przez żadną z metod statystycznych nie tolerowanéj. Sam autor zaznacza w dziele swojém niejednokrotnie fakt, że kultura gospodarstw rolnych w Królestwie nie jest w stanie zacofania, że koszta produkcyi są znaczne. Wszystkim wiadomo, że znaczna część długów, obciążających majątki ziemskie, powstaje właśnie wskutek tego, że zmusza do ich robienia chęć nie zapuszczenia ziemi i podtrzymywania dobrego stanu gospodarstwa; to też odłużenie majątku i zły stan gospodarstwa, to nietylko nie są synonimy, jak to zresztą i autor zauważył, ale są to tak różne od siebie zjawiska, że czasami jedno wyłącza istnienie drugiego i dlatego cyfry co do jednego z nich nie mogą być porównywane z cyframi co do drugiego.

Zastanawiając się nad stanem gospodarstw żydowskich, autor

na podstawie danych Towarzystwa kredytowego ziemskiego z gubernii kaliskiéj (co do 37 majątków) wyprowadza wniosek, że znaczna część gospodarstw rolnych żydowskich znajduje się dlatego w stanie upadku, że już w takim stanie zostały te majątki nabyte na licytacyi.

W okresie od r. 1885 do 1890 w 5 guberniach, z których autor posiada dane z hypotek, ludność żydowska zyskała ziemi 6,608 mórg; nadmienić tu jednak należy, że cyfra ta nie może być ustaloną, gdyż hypoteki rzadko kiedy zawierają dane co do przestrzeni. Autor nasz zestawił tu cyfry na zasadzie przypuszczenia, że dobra z przestrzenią nieoznaczoną mają przeciętnie taką samą ilość mórg, jak majątki z obszarem określonym. Ażeby takie przypuszczenie mogło być zasadném, powinnoby się odnosić do niewielkiéj liczby majątków nieznanego obszaru, a szan. autor bliższych szczegółów w téj mierze nam nie udziela.

Rozdział ten zakończony jest wyrażeniem przekonania o potrzebie zbierania wiadomości co do majątków ziemskich w całym kraju.

Chcąc dać możliwie pełny obraz odłużenia ziemi w Królestwie, autor nasz poświęca oddzielny rozdział kwestyi kredytu i odłużenia drobnéj własności. Tu już dane zebrane z hypotek nie starczą; hypoteka bowiem w tych majątkach jest wyjątkiem rzadkim. Instytucyi kredytowych dla własności drobnéj w kraju nie ma, a więc i nie ma i nie może być cyfr i danych, któreby można ująć w schematy systematycznego obrachunku i utworzyć obraz odłużenia. Autor utrzymuje, że u nas nie wyrobił się jeszcze typ specyalisty-lichwiarza, operującego śród włościan, ostrzega przecież, że to, czego dziś nie ma, jutro być może (str. 134, 233).

Ustawa Towarzystwa kredytowego ziemskiego całkiem niemal zamyka włościanom możność korzystania z tego jedynego u nas taniego i porządnie zorganizowanego kredytu, a organizacya tego kredytu nie była i nie jest przystosowaną do potrzeb własności drobnéj i włościanin nasz w razie potrzeby, pomocy w kasie Towarzystwa nie znajdzie. Totéż kredyt włościański u nas jest dziełem przypadku (str. 136 i 233).

Badania p. Makiejewa co do gubernii Radomskiéj wykazały, że przeszło ⅕ część pożyczek zaciągniętych przez włościan poszła na kupno ziemi lub spłatę współsukcesorów, większość zaś zrobionych długów została użytą na cele produkcyjne. Dla rzucenia światła na tę kwestyę z innéj strony, autor nasz cytuje szczegóły co do kredytu włościańskiego w Cesarstwie, dowodzące, że stan tego kredytu jest

tam prawdziwie opłakanym. W Wielkorosyi gminy płacą po 40 do 60% rocznie, a gospodarze pojedyńczy nieraz nawet i po 150%. Tak zwani kułacy pobierają często do 300% rocznie. Włościanie sprzedają tam swoją pracę na przyszłość i to często sprzedają ją spekulantom, którzy potém za cenę o wiele wyższą odprzedają swoich niewolników rzeczywiście potrzebującym pracy (str. 138 — 141). Obok tych szczegółów znajdujemy w dziele p. Blocha dane co do urządzenia kredytu rolnego dla własności drobnéj w Belgii, Portugalii i Rumunii. W Belgii operacye krótkoterminowego kredytu rolnego zostały powierzone centralnéj kasie oszczędności, posiadającéj wielkie kapitały i znaczne stosunki po całym kraju. Bezpieczeństwo stanowi przywiléj rolny wierzyciela co do ruchomości dłużnika, zasiewów i niezebranych z drzew owoców. W Portugalii rząd przeznaczył na ten cel sumy, nagromadzone w towarzystwach dobroczynności, a udzielanie kredytu powierzył akcyonaryuszom prywatnym. W Rumunii każde miasto powiatowe posiada swoją kasę kredytu rolnego, z prawem mianowania agentów w granicach tego powiatu (141 do 145 i 234). Czytelnika, któryby chciał bliżéj z tą kwestyą obeznać się, odsyłamy do pracy p. J. Kirszrota-Prawnickiego: „Kredyt włościański“ (Warszawa, 1885 r.), gdzie starannie zebrane są nietylko teoretyczne wiadomości o kredycie dla własności drobnéj u nas i w krajach ościennych, ale i dane statystyczne co do działalności naszych kas gminnych. Z dzieł obcych możemy tu zalecić prace Waltera Schiffa: *Zur Frage der Organisation des Landwirtschaftlichen Kredites in Deutschland und Oesterreich* (Lipsk, 1892 r.) [1] i Louis Durand: *Le crédit agricole en France et à l'étranger* (Paryż, 1891 r.). W pracach tych znajduje się nietylko wyczerpujący wykład kredytu rolnego wogóle, ale i literaturę przedmiotu; a téj właśnie w dziele p. Blocha brak nam bardzo.

Odpowiedź na pytanie: gdzie szukać nabywców owych paru milionów mórg ziemi, które dzisiejsi właściciele zmuszeni będą sprzedać, autor nasz daje w rozdziale zatytułowanym: „Parcelacya i parcelanci“ (str. 145 do 180 i 237 do 242).

Kiedy większa własność robi bokami, drobni posiadacze trzymają się, oszczędności swoje umieszczają w ziemi, płacą duże szacunki i pomimo to wychodzą na swoje. Fakt ten nasuwa autorowi myśl, że nabywcami ziemi mogą być drobni jéj posiadacze.

---

[1]) Jest-to pierwszy zeszyt tomu pierwszego wydawnictwa profesora Augusta Miaskowskiego: „Staats- und social-wissenschaftliche Beiträge“. Lipsk 1892 roku.

Drobna szlachta, przedstawiająca już w roku 1878-ym pokaźną cyfrę 45,586 właścicieli, będących w posiadaniu 881 tysięcy mórg i mieszczanie rolnicy, których w czasie uwłaszczenia było 58,457 i którym nadaną została ziemia w ilości 443 tysięcy mórg, według naszego autora, nie zdołaliby sprostać zadaniu. Ubóstwo ich większe i stan gospodarstw gorszy, niż u włościan. A więc armia nabywców rekrutować się musi i może z pomiędzy mas włościańskich. Już w r. 1878-ym rachowano w Królestwie gospodarstw włościańskich 611,028 z obszarem ziemi, wynoszącym 8,783 tysięcy mórg. Powołane przez autora dane co do gubernii Kieleckiéj świadczą, iż ludność tam od czasu uwłaszczenia powiększyła się o 53,3%, a przyrost ziemi, znajdującéj się w posiadaniu włościan, stanowi w tym okresie czasu 7,7%. Stąd prosty płynie wniosek, że ludność potrzebuje ziemi, że o nią stara się i chociaż powolnie, ale zawsze zdobywa ją. Tu autor zastanawia się nad warunkami rozwoju ludności naszéj włościańskiéj tak pod względem przyrostu jéj liczebnego, który jest bardzo znacznym, jak i co do nabywania ziemi, korzysta z cennych uwag p. Ludwika Górskiego, zawartych w jego pracy: „O stanie ekonomicznym drobnéj własności ziemskiéj w Królestwie Polskiém“, zestawia własne dane aż po rok 1889-ty i przychodzi do wniosku, że dobrobyt mas od r. 1847 do 1855 zmniejszał się, w siedmioleciu poprzedzającém uwłaszczenie był już dosyć znaczny, a w czasach ostatnich znakomicie poszedł w górę, a więc i środki do nabywania ziemi powinny również się powiększyć. W ostatnich przecież czasach, według autora, postęp dobrobytu zatrzymał się (str. 147 do 158). To twierdzenie sprawdzają cyfry co do ruchu parcelacyjnego. Z ogólnéj ilości 1,465 dóbr rozparcelowanych w okresie 1870 do 1875 nabyto 24%, w r. 1875 — 1880 blisko 30%, w okresie 1880—1885 przeszło 30%, a od 1885 do 1890 zaledwie 3%. Toż samo stwierdza i badanie ruchu parcelacyjnego cząstkowego, t. j. takiego, gdzie nie całe dobra, ale tylko ich części ulegają rozdziałowi pomiędzy nabywców, a reszta pozostaje przy poprzednim właścicielu (str. 151—154). Tu autor zastanawia się nad znaczeniem społecznem parcelowania dóbr całych i parcelacyi cząstkowéj. W pierwszym wypadku pożytek zaszłéj zmiany może być zakwestyonowanym. „Znikanie w jakimś kraju, mówi autor, z oblicza ziemi własności większéj i to znikanie z roku na rok stałe, może mieć poważne strony szkodliwe i niebezpieczne. Posiadacze ziemscy, rozporządzający większemi środkami intelektualnemi i materyalnemi, zajmujący wynioślejsze a niezależne stanowisko społeczne, mają do spełnienia zadanie poważne. Oni przechowują też zazwyczaj — co bynajmniéj małoważném nie jest — w łonie swojém pewne tradycye,

przez życie wieków minionych przekazane, a bez których naród byłby, jak okręt bez balastu, w każdéj chwili pozostający w równowadze niestałéj. W całym kraju rozrzucone być winny posterunki, w których znaleśćby mogły odbicie ogniska wiedzy i postępu, rozniecane w dobie dzisiejszéj w miastach; nietylko rozwój, ale byt wymaga, aby w każdym zakątku ziemi naszéj znalazły się umysły, chcące i umiejące ocenić doniosłość ulepszeń technicznych, zdolne wreszcie pojąć wszystkie tony haseł potężniejącéj wciąż cywilizacyi. Drobna własność nie wyklucza oczywiście wysokich zdolności w posiadaczu, nie broni przejść przez ławy i egzaminy szkół wyższych; ale drobna posiadłość wymaga całego czasu, wymaga pracy twardéj, nie pozostawia chwili wolnéj i myśli swobodnéj, nie daje wreszcie środków na wprowadzenie udoskonaleń gospodarczych, które zawsze pociągają za sobą znaczny nakład, kosztują wiele prób i niepowodzeń czasowych" (str. 154 i 155). A daléj autor mówi: „biorąc rzeczy nie tak, jakby one być mogły, lecz tak, jak są, wiemy, iż u nas posiadacze drobnéj własności stoją na niskim poziomie umysłowym, rolę uprawiają i wogóle gospodarstwo prowadzą sposobami najpierwotniejszemi. Znikanie dóbr większych równałoby się gaśnięciu świateł" (str. 155). Przytoczyliśmy ten ustęp nietylko dlatego, że przekonania w nim wyrażone w zupełności podzielamy, ale także dlatego, żeby czytelnikowi dać możność dowiedzenia się z ust samego autora o prawdziwie poważném stanowisku, z jakiego patrzy na stosunki nasze i o wszechstronném rozważaniu kwestyi. A trzeba tu przyznać, ustępów takich moglibyśmy zacytować wiele.

Względy, o jakich autor mówi w powyższym ustępie, nie znajdują zastosowania, gdy część tylko większéj całości zostaje rozparcelowaną. Parcelacya cząstkowa jest najczęściéj uregulowaniem gospodarstwa. Zresztą obszary majątkowe są u nas zbyt duże, nie odpowiadają siłom pieniężnym i administracyjnym właściciela; parcelacya cząstkowa może warsztat rolnika, posiadacza większéj własności, sprowadzić do rozmiarów właściwych (str. 155, 156, 238 i 239). Podobne do wyłożonych tu myśli znajdujemy w pracy p. Górskiego: „Znaczenie większéj własności i obowiązki większych właścicieli ziemskich w Królestwie Polskiém" (Warszawa, 1886 r., str. 29 i nast.) [1]).

---

[1]) Zob. także C. Reklewskiego: „O znaczeniu postanowionych reform agrarnych w Cesarstwie Rosyjskiém i Królestwie Polskiém" („Biblioteka Warszawska" za sierpień r. 1888, str. 220). Zresztą w kwestyi téj wiele u nas pisano, zwłaszcza w organach specyalnie poświęconych sprawom rolnictwa.

Autor zastanawia się daléj nad tém, czy i co nowi właściciele zyskują na nabyciu rozparcelowanéj ziemi. Obrachunek doprowadza go do wniosku, że odłużenie dóbr, od których odpadły cząstki rozparcelowane, jest mniejsze; wogóle przecież i dzisiaj ziemia rozparcelowana obciążoną jest znacznie, a zdaje się to być następstwem braku taniego kredytu; to téż ułatwienie parcelantom taniego kredytu długoterminowego mogłoby wywrzéć skutki zbawienne (str. 157—179, 239—241). Przebieg parcelacyi nie jest dotąd uregulowany w stałe jakieś ramy, dozwalające na przeprowadzenie pewnych zasad; to téż i badanie tego zjawiska, a zwłaszcza skutków jego, jest trudném. Autor zaleca badanie sumienne téj kwestyi, może jednéj z najważniejszych w danéj chwili, a dla ujęcia w pewne karby ruchu parcelacyjnego, proponuje wydanie przewodnika dla parcelantów, w którymby się znalazły i popularny wykład i praktyczne wskazówki najwłaściwszego sposobu postępowania przy załatwianiu formalności prawnych, przy dzieleniu cząstek, zakładaniu nowych gospodarstw i t. d. (180 i 241).

Po takiéj dyagnozie stosunków naszych rolnych, do któréj, jak to już nieraz mógł czytelnik zauważyć, wtrącał autor kiedy niekiedy i myśli co do usunięcia złego, przechodzi on do tak zwanych wyników, a właściwiéj mówiąc, do wskazania najodpowiedniejszych według niego środków zaradczych.

Tę część pracy rozpoczyna p. Bloch od uwag o obecnéj sytuacyi ekonomicznéj i widokach na przyszłość.

W ciągu kilku lat ostatnich cena ziemi w państwie całém podniosła się, w Królestwie zaś spadła i to znacznie, bo o 29%, a obawiać się należy, że ta obniżka będzie jeszcze większą, gdyż podaż ziemi w czasie najbliższym musi się zwiększyć, a nabywców znikąd nie można się spodziéwać. Wobec tego autor zastanawia się nad pytaniem: czy ogólny wzrost dobrobytu nie zrównoważy nadwérężonych stosunków i nie da możności ziemianom powiększenia dóbr, a ludziom innych zawodów — zaciągania się w szeregi stanu ziemiańskiego. Tu autor roztacza przed okiem naszém smutny obraz stanu, w jakim się znajduje obecnie nasz handel i przemysł i zwraca uwagę na to, że następstwem opłakanych warunków dobrobytu był fakt, iż dosyć było jednego roku nieurodzaju dla wybuchnięcia epidemii emigracyjnéj naszéj ludności do zamorskich krajów.

Jako jeden z najdzielniejszych środków ratunkowych wskazuje autor parcelacyę cząstkową. Radzi, ażeby właściciele większéj własności starali się o uratowanie części, gdy nie mogą marzyć nawet o uratowaniu całości, a za takie obszary, które mogą istniéć, uznaje, idąc za

zdaniem p. Ludwika Górskiego, mająteczki po 300 mórg mające, bo takie właśnie obszary najlepiéj jeszcze stawiają czoło przeciwnościom. Autor widzi tu duże trudności i natury moralnéj, — wobec niechęci wyrzekania się przyzwyczajeń do stopy życia, i technicznéj, — wobec odłużenia majątków i niełatwego oddzielania części obciążonych długami Towarzystwa kredytowego ziemskiego, serwitutami i t. d.; uważa przecież, że temi trudnościami zrażać się nie należy i coś w téj mierze robić trzeba (str. 186).

Inny środek ratunku widzi autor w badaniu przyczyn złego i przytacza słowa p. Ludwika Górskiego, który już w pracy swojéj: „Pogląd na stan i potrzeby własności drobnéj w Królestwie Polskiém“ [1]) wskazuje nawet metodę badania i wzywa dbałych o przyszłość kraju obywateli do robienia studyów poważnych. Autor nasz jest zdania, że praca taka może być skutecznie podjęta tylko przez instytucyę, mającą potężne środki i dokładnie znającą potrzeby rolników; inaczéj bowiem brak będzie jednéj myśli przewodniéj, co wobec różnorodności warunków, w jakich się znajdują różne części kraju, nie zapewni badaniom dobrych rezultatów. To téż, nie godząc się w tym względzie ze zdaniem p. Górskiego, autor obowiązek przeprowadzenia badań pragnąłby włożyć na władze Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Jakkolwiek i my mamy przekonanie, że zebranie danych nie może być przez nikogo lepiéj dokonaném, jak przez władze Towarzystwa, sądzimy przecież, że praca organów téj instytucyi może być prowadzona niezależnie od urzeczywistnienia myśli p. Górskiego i wcale nie zastąpi potrzeby badań, prowadzonych przez jednostki. Instytucya, jako ciało zbiorowe, nigdy nie może skutecznie oddawać się studyom naukowym, a któż zaprzeczy, że wiele z tych kwestyi, które mają pierwszorzędną dla rolnika wagę, jedynie naukowo zbadane być mogą. Za to znowuż zapełnić braki statystyczne, zbiérać szczegóły i bezpośrednio i przez pośrednictwo jednostek, lub władz, może u nas tylko instytucya poważana i potężna, jaką niewątpliwie jest Towarzystwo kredytowe ziemskie. Zresztą sam autor przytacza zdanie p. Górskiego skądinąd wzięte, a świadczące, że ten mąż światły uznaje Towarzystwo za powołane do przeprowadzenia takich badań (str. 190); różnica zatém w ich zdaniach polega jedynie na tém, gdzie należy umieścić środek ciężkości badań: na stronie instytucyi czy jednostek.

P. Bloch uznaje dotychczasowe prace statystyczne Towarzystwa za niedostateczne, nie dozwalające osiągnąć celów praktycznych;

---

[1]) Praca ta drukowana w „Niwie“, Nr. 6, z r. 1889.

tymczasem społeczeństwu potrzeba takich danych, któreby pozwoliły oryentować się w kwestyi i właśnie od Towarzystwa takich danych domagać się społeczeństwo może. To też Towarzystwo powinno rozszerzyć zakres swojéj działalności w tym właśnie kierunku. Ma ono po temu dosyć w łonie swojém ludzi, a koszta nowe, gdyby były, władze Towarzystwa mogłyby pokryć z łatwością.

Zrozumiano potrzebę cyfr w Cesarstwie, gdzie zarówno Towarzystwa wzajemne kredytowe ziemskie w Petersburgu i w Inflantach, jak i ziemstwa pozakładały swoim kosztem biura statystyczne i podania i przedstawienia swoje zawsze zbroją cyframi. My, nie posiadając cyfr, nie mamy w ręku żadnego dowodu na poparcie nawet najsłuszniejszych żądań i przedstawień. Autor przytacza przykłady z życia i utrzymuje, że gdyby można było udowodnić cyframi szkodliwość dla włościan szachownic i serwitutów, niewłaściwość opłat przewozowych, nieustosunkowanie do dochodów podatków, opłacanych przez rolnika, słuszne żądania nasze znalazłyby uwzględnienie. Tymczasem u nas pojawiają się tylko rozprawy traktowane akademicko niejako, nie przerzucane na grunt praktyczny i dlatego też nie mogące być wyzyskanemi w celach utylitarnych (str. 190 do 197).

Jakkolwiek nie w zupełności możemy podzielać przekonanie szan. autora co do skuteczności dat statystycznych, wtenczas, kiedy idzie o przedstawienie jakiéjś kwestyi sferom decydującym, a w poparciu naszych wątpliwości moglibyśmy przytoczyć, jeśli już nie inne dowody, to chociażby tylko losy kredytu melioracyjnego, wnioski jego co do rozszerzenia działalności Towarzystwa w kwestyi prowadzenia poważnych badań statystycznych, uważamy za niesłychanie doniosłe i niecierpiące zwłoki. O ile przecież jest nam to wiadomém, tego rodzaju badania są już przez władze Towarzystwa prowadzone.

Daléj w szeregu środków zaradczych wskazuje autor pomoc naukową, jaką Towarzystwo mogłoby przynieść rolnictwu przez urządzanie stacyi doświadczalnych, laboratoryów, odczytów, doświadczeń i wyjaśnień dla stowarzyszonych. Mogłoby to zastąpić brak specyalnego wykształcenia; widok pracy i jéj zdobycze zachęciłyby niejednego i usposobiły do przyswajania sobie zdobyczy innych. Autor utrzymuje, iż jest mu wiadomém, że myśl zadosyćuczynienia téj potrzebie istniała lub istnieje śród przedstawicieli Towarzystwa (str. 197 do 198).

Ta część pracy p. Blocha przypomina nam słowa prof. Kazimierza Plebańskiego wyrzeczone kiedyś z powodu oceny dzieła p. Józefa Kirszrota-Prawnickiego: Towarzystwo kredytowe ziemskie w Króle-

stwie Polskiém i kredyt rolny (Warszawa 1887) [1]. „Towarzystwo kred. ziemskie, pisze szanowny profesor, opiéra wszelką działalność swoją na przepisach, których najskrupulatniéj trzymać się obowiązane dla swego bezpieczeństwa i dla dobra ogółu stowarzyszonych.“ Zbyteczne rozszerzanie granic działalności Towarzystwa, rozpraszanie jéj na szczegóły, które w każdém społeczeństwie, niepozbawioném jeszcze sił żywotnych w inicyatywie prywatnéj i poczuciu obowiązków swoich przez obywateli powinny znaleźć źródło i osłonę, mogłyby odwrócić siły organów téj instytucyi od głównych jéj zadań. To téż jakkolwiek rozumiemy doniosłość projektowanych przez p. Blocha urządzeń, nie sądzimy, ażeby do przeprowadzenia ich mogło być moralnie obowiązanem i dziś uprawnioném Towarzystwo kredytowe ziemskie.

Ze względu, że zachodzi konieczność szukania nabywców ziemi i że ci, na których pomoc w tym względzie, jedynie chyba liczyć można, drobni właściciele, nie mają po temu środków, autor zwraca uwagę na potrzebę wytworzenia tych środków. I tu znowuż a tym razem o wiele zasadniéj niż poprzednio, spotykamy się z Towarzystwem kredytowém ziemskiém. W przedmowie do Pamiętnika Towarzystwa wydanego w r. 1884 wyliczono kilka projektów, zajmujących w różnych czasach władze téj instytucyi. Autor nasz zajmuje się w tém miejscu pierwszym z nich a mianowicie kwestyą udzielania pożyczek na małą własność. Widzimy tu zwrot do myśli już poprzednio rzuconéj, że stan gospodarstw drobnych jest lepszym niż większych (str. 59, 60 i 91). Na podstawie obliczeń p. Romanowskiego, dokonanych co do gub. Radomskiéj, twierdzenie to znajduje wymowne uzasadnienie. Przymusowe wywłaszczenie trafia się wśród drobnéj własności dwadzieścia kilka razy rzadziéj, niż śród dóbr większych. Sprzedaż osad z wolnéj ręki jest w ostatnich czasach zjawiskiem częstém (w r. 1890 dokonano takich sprzedaży 533); włościanie czasami płacą za wypożyczenie pieniędzy na nabycie gruntu po 36%, ponoszą przytém koszta sporządzenia aktu a jednak pomimo to wychodzą na swoje.

Otóż Towarzystwo pożyczek drobnych dotychczas udzielało bardzo niewiele. Ze sprawozdania za drugie półrocze r. 1889 okazuje się, że na 8,877 wszystkich wypadków, najmniejszych (100—500 rs.) było 277 t. j. 3,1% zaledwie; pożyczek 550—1000 rs. zaciągnięto 306

[1]) „Biblioteka Warszawska“ z r. 1887 za kwiecień str. 102 do 117. Słowa cytowane mieszczą się na str. 103. Takież uwagi znajdujemy tam i na str. 112 i 113.

t. j. 3,4% a więc razem Towarzystwo udzieliło pożyczek niższych od 1000 rs. 583, co stanowi 6,5% ogólnéj liczby. Według przekonania autora ułatwienie formalności mogłoby powiększyć ilość stowarzyszonych śród właścicieli zagonowych (str. 201—204).

W krótkim zarysie przebiegu sprawy co do udzielania przez Towarzystwo pożyczek właścicielom drobnych majątków ziemskich, autor zwraca uwagę na to, że samo Towarzystwo odczuwało i dziś odczuwa potrzebę rozszerzenia w tym kierunku swojéj działalności, ale że władze jego dla uzyskania odpowiednich zmian w ustawie nie umiały w swoim czasie wyzyskać położenia a dziś zmienione warunki rzecz czynią stokroć trudniejszą; radzi przecież, żeby w usiłowaniach nie ustawać, gdyż to, co już osiągnięto, daje możność sądzić, że dalsze zmiany ustawy pozyskać będzie można. A jeśli uda się zyskać pozwolenie na udzielanie pożyczek trzystorublowych, wówczas najbardziéj naglące potrzeby będą już zaspokojone (str. 204 do 208). Widocznie mowa tu o gruntach włościańskich, gdyż co do ziemi nie podchodzącéj pod ukaz r. 1864 ograniczenie nie istnieje.

Daléj autor zastanawia się nad działalnością innych instytucyi finansowych i zapytuje czy z ich strony pomocy nie można się spodziéwać.

Działalność Banku włościańskiego rozwija się dotychczas bardzo wolno i o przyszłości nic wnioskować nie pozwała. Bank nie pożycza jednostkom lecz jedynie gromadom a może działać bardzo powolnie, bo za każdym razem musi się zwracać o zatwierdzenie pożyczki do Petersburga [1]).

Że udzielanie pożyczek w kraju naszym stanowi otwarte pole, możliwe do eksploatacyi, o tém wiedzą banki ziemskie z Cesarstwa i dobijają się o rozszerzenie swojéj działalności na Królestwo; rząd jednak odmawia, motywując decyzyę względem, że Towarzystwo kredytowe potrafi samo zadosyć uczynić potrzebie. Na wypadek, gdyby Towarzystwo nie miało możności rozwiązać zadania, za najwłaściwszy i najłatwiejszy sposób dojścia do celu uważa nasz autor założenie

---

[1]) Czego u nas spodziéwano się od téj instytucyi, wyjaśnił w cytowanéj już tutaj pracy p. Reklewski „Biblioteka Warszawska" z r. 1888 za miesiąc sierpień str. 209 do 228. Szan. autor przewidywał wtenczas, że będzie około 2 milionów mórg, któreby mogły być rozparcelowane przy pomocy Banku włościańskiego i marzył, że ten Bank pójdzie ręka w rękę z Towarzystwem kredytowém dla przeprowadzenia dzieła ratunku większéj własności i zapewnienia podstaw bytu ludowi, i że w ten sposób z połączenia działalności tych dwóch instytucyi kraj otrzyma rękojmię harmonii społecznéj.

dla Królestwa banku ziemskiego. Gdyby i to się nie powiodło, życzyćby należało, ażeby który najodpowiedniejszy z banków Cesarstwa uzyskał pozwolenie rozciągnięcia operacyi na Królestwo. Kredyt wtenczas niewątpliwie byłby droższym ale by był (str. 208 do 211).

O potrzebie rozwinięcia działalności Towarzystwa kredytowego w kierunku udzielania drobnéj własności kredytu krótkoterminowego mówiono u nas i pisano wiele [1]) ale trudno podobno zrobić zasadnie zarzut Towarzystwu kredytowemu, jakoby jego przedstawiciele nie zajmowali się tą kwestyą dosyć poważnie i umiejętnie. Wszak o tém, że Towarzystwo nie miało na myśli jedynie interesów większéj własności, lecz za cel jasny stawiało sobie rozwiązanie w duchu potrzeb kraju kwestyi agrarnéj, o tém świadczyć mogą prace około wprowadzenia do ustawy zmian pożądanych, rozszerzających działalność téj instytucyi; wszak i to, co już zrobiono tam w kwestyi kredytu dla drobnéj własności, jest także owocem pracy i starań naczelnych władz Towarzystwa. Że okoliczności nie pozwoliły zrobić wszystkiego, co leżało w granicach zamiarów, to podobno największa, jeśli nie jedyna wina tego, leży w istnieniu właśnie owych okoliczności. Nie myślimy tu występować w obronie instytucyi, która naszéj obrony nie potrzebuje i naszego uznania nie żąda; nie mamy też zamiaru zwalczać zarzutu, że Towarzystwo w swoim czasie nie przedstawiło władzy gotowych projektów prawa; chcemy tylko zaznaczyć, że warunki pracy były i są bardzo trudne nawet dla Towarzystwa a więc zarzuty, jeśli mogą być jakie czynione, winny być czynione z całą ostrożnością i z uwzględnieniem owych warunków. *Suum cuique.*

Podnosząc myśl p. Górskiego, który przed kilku laty „przypomniał obywatelstwu potrzebę założenia instytucyi, ułatwiającéj i regulującéj proces parcelacyjny“ [2]), autor zastanawia się nad znaczeniem banku parcelacyjnego i nawołuje do niezwlekania daléj z wprowadzeniem w życie tego projektu. Sami ziemianie powinni załatwić tę sprawę, bo oni lepiéj niż kto inny rozumieją potrzeby rolnictwa, bliżéj i dokładniéj znają pierwiastki, tworzące proces parcelacyjny.

---

[1]) Jedną z najpoważniejszych prac naszych w przedmiocie kredytu rolnego wogóle, jest dzieło p. Józefa Kirszrota-Prawnickiego: Towarzystwo kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiém i kredyt rolny. Warszawa 1887. W kwestyi tu omawianéj str. 302 i 303. Myśl założenia u nas banków ziemiańskich prowincyonalnych rzucił już dawniéj p. Górski w pracy: O znaczeniu większéj własności str. 116.

[2]) l. c. str. 113 i 114. Myśl założenia banku parcelacyjnego już dawniéj była podniesioną w gronie właścicieli ziemskich i przedstawicieli tutejszego świata finansowego a nawet był już wygotowanym projekt ustawy dla téj instytucyi.

Z właściwą sobie biegłością dowodzi autor, że drobna własność daje dostateczne zabezpieczenie dla przeprowadzenia téj operacyi i że kapitały, wyłożone czy przez Towarzystwo kredytowe czy przez Bank parcelacyjny, nie przepadną (str. 211 do 215). Przypominając słynne słowa: wiedza to potęga, radzi autor niezwłoczne przystąpienie do studyów poważnych pod kierunkiem komitetu i delegatów Towarzystwa, głównie nad kwestyą, o ile rozprzedanie ziemi jest możliwe ze względu na zasoby a także, czy drobni posiadacze ziemi, płacąc normalne ceny, mogliby pomimo to ciągnąć zyski. Tu znajdujemy w dziele p. Blocha gotowy projekt metody badań (str. 215 i 216). Pokierowanie badaniami, leży według autora, w zakresie praw i obowiązków Towarzystwa kredytowego, bo ono ma prawo opieki nad dobrami stowarzyszonych. Ewentualnie i warszawski oddział Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, posiadając sekcyę rolną, mógłby się zająć czémś podobném; lecz Towarzystwo kredytowe posiada daleko więcéj środków i odpowiedniejszą organizacyę. Szanowny autor jest zdania, że założenie i rozwój Banku pożyczkowego i Banku parcelacyjnego tylko w takim razie byłyby możliwe, gdyby Towarzystwo przyrzekło zgóry swoją pomoc i poparcie (str. 216 i 217). Do téj opinii autora nic dodać nie jesteśmy w stanie. Zajęcie się tą sprawą jest rzeczą pierwszéj wagi; jest to jedna z palących potrzeb bieżącéj chwili. Nie wątpimy też, że władze Towarzystwa, których przedstawiciele nieraz dowiedli jak żywo interes stowarzyszonych biorą do serca, rzucone myśli rozważą i pomnąc o zasadzie *bis dat qui cito dat*, co będzie w ich możności przeniosą w dziedzinę czynu.

Ostatni ze środków, wskazanych przez p. Blocha w celu podtrzymania rolnictwa, stanowi zorganizowanie kredytu melioracyjnego.

Autor, jakeśmy to już wyżéj nadmienili, brał udział w pracy komisyi rządowéj, mającéj za zadanie zorganizowanie kredytu melioracyjnego a owocem badań jego w téj kwestyi było wyżéj przez nas powołane dzieło. W pracy, z któréj zdajemy sprawę, autor przytacza główniejsze myśli wyłuszczone w owém dziele i zakomunikowane komisyi.

Jeżeli nie zostanie podniesioną kultura, rolnictwo upaść musi; ale czyż można robić ulepszenia, kiedy dochód z ziemi nie zawsze pozwala na pokrycie wydatków produkcyi, na opłacenie wierzycieli i podatków. Gdzie zresztą leży gwarancya, że pieniądze, zyskane tytułem pożyczki na ulepszenia nie zostaną obrócone na cele inne? Zaznaczywszy tak trudność położenia, autor nasz stawia dwa postulaty: 1-o niezbędny jest kredyt specyalny na melioracye w gospodarstwach

rolnych; bez niego przesilenie coraz bardziéj będzie się zaogniać, wywołując różne, niepożądane skutki jak np. emigracyę i 2-o organizacya kredytu powinna uniemożliwiać użycie sum pożyczonych na inne niegospodarskie potrzeby właściciela (str. 7 i 8). Pożyczka taka winna znaleść pomoc i zabezpieczenie ze strony prawa. Fatalna sytuacya rolnictwa wywarła nacisk na instytucye prawodawcze we wszystkich krajach, skutkiem czego były zmiany przepisów o zastawach i o pierwszeństwie w porządku egzekucyi. Tu autor przedstawia szczegóły przepisów istniejących w tym względzie w Anglii, przytacza niektóre szczegóły co do Prus i przypomina, że u nas b. Bank Polski, udzielał pożyczki na kupno maszyn rolniczych, na podniesienie gospodarki, na zaprowadzenie wyższych ras bydła, na budynki z materyałów niepalnych, na przeprowadzenie dróg i t. p.

Autor zaleca, ażeby rząd czuwał nad dokonaniem robót projektowanych i spłatą regularną rat amortyzacyjnych. Nie powinien też być pominięty środek gwarancyi, który wszędzie został przyjęty a polega na przyznaniu w razie egzekucyi pożyczkom takim pierwszeństwa przed wszystkiemi innemi zobowiązaniami wierzyciela. Nie będzie to niesprawiedliwością; udzielenie bowiem pożyczki pociągnie za sobą podniesienie się wartości majątku i zyskają na tém wszyscy wierzyciele, mający zabezpieczenie na tym majątku (str. 9 do 12). Te szczegóły autor nasz zamieścił na początku swego dzieła, kiedy je zaczął drukować w „Bibliotece Warszawskiéj.“ Wtenczas wyrażał on przekonanie, że nawet niepodobna przypuszczać, ażeby przy organizowaniu tego kredytu w całém państwie zostało pominięte Królestwo [1]). Téż same uwagi znajdujemy i w oddzielném wydaniu téj pracy ale już ze wzmianką, że nadzieje te się niespełniły (str. 12 i 13). Wiadomo, że dla Cesarstwa została w r. 1891 wydaną ustawa, organizująca kredyt melioracyjny i że z niéj mogą korzystać tylko te gubernie, które mają u siebie ziemstwa. W końcu dzieła autor nasz podaje treść ustawy téj i jeszcze raz wyraża nadzieję, że jeśli będzie udowodnioną potrzeba zastosowania ustawy do naszego kraju, to propozycya taka przychylnie zostanie przyjęta (str. 217—220, 222—224). I my téż jesteśmy przekonania, że bez szczeréj pomocy ze strony władzy, przeprowadzenie reform agrarnych i podtrzymanie naszego rolnictwa jest prawie niemożliwém, a zorganizowanie kredytu melioracyjnego jest jednym z najdzielniejszych środków prowadzących do tego celu.

---

[1]) Bibl. Warsz. za maj r. 1891, str. 231.

Ostatni rozdział poświęcony jest streszczeniu całego dzieła (str. 220 do 245).

Autor rozumié, że nagromadzenie wielu różnolitych szczegółów, tysiące cyfr, z pośród których jak kwiaty z pośród liścia wychylają się od czasu do czasu jego własne uwagi i wnioski, objętość zresztą dzieła a zwłaszcza jego układ, wszystko to mogło uwagę czytelnika zbytecznie rozstrzelić i że dlatego w końcu dzieła może być potrzebném pewne zsumowanie rezultatów badania i zestawienie logiczne głównych wywodów. Dając to p. Bloch, w przekonaniu zupełnie uzasadnioném, że spełnił dobrze swój obowiązek, mówi:

„Zdaje się nam, iż dowiedliśmy, że niemoc i niedola rolnictwa u nas, czy zagranicą, to wynik wielu przyczyn, to skutek wielu nieszczęść, klęsk, wpływów niepomyślnych. Nie ma też lekarstwa jednego, działającego szybko; możliwe jest tylko powolne oddziaływanie przeciwko wszystkim czynnikom i warunkom szkodliwym. Potrzebna jest praca wytrwała, potrzebne jest światło wiedzy.“

„Kto sądził, że ratunek spaść może nagle, niespodziewanie, wskutek jakiéjś siły ukrytéj, jakiegoś sposobu dotychczas nieznanego i niepraktykowanego, — ten nie rozumié natury bytu i rozwoju społecznego. Możemy na razie myśléć tylko o poznaniu braków i potrzeb, o wytknięciu kierunku postępowania; ratunek leży gdzieś daleko, po za szeregiem lat, po za wysiłkami pracy. Prowadzi do niego powolne ale nieustanne polepszanie stosunków, którego tylko samo społeczeństwo mozołem własnym dokonać może.“

Ostatnie słowa pracy zwrócone są do Towarzystwa kredytowego, „téj jedynéj instytucyi, która robotę jakąś zacząć może“ i która, „jeśli nie będzie w stanie odrazu rozwinąć wskazanéj działalności wszechstronnéj, to winna przynajmniéj w czasie jaknajkrótszym wskazać, jaka część pracy spaść musi na inne organy społeczeństwa.“

Zamyka dzieło pięć tablic statystycznych.

Kończąc nasze sprawozdanie, możemy powiedzieć, że z odczytania dzieła: „Ziemia i jéj odłużenie“ wypływa wniosek, iż położenie naszego ziemiaństwa jest ciężkiém,ale, że odwrócenie go nie jest niemożliwém,jeśli umiejętnie zostaną wyzyskane zasoby jeszcze istniejące. Osiągnięcie takiego wrażenia,bolesnego ale jednocześnie dającego promienie nadziei, było niewątpliwie jednym z celów pracy p. Blocha.

Ale nie spełnilibyśmy naszego obowiązku, gdybyśmy się nie podzielili z czytelnikiem uwagami, jakie nam praca ostatnia p. Blocha nasunęła. Mamy nadzieję, że szan. autor tych kilku myśli naszych za złe nie poczyta, jeżeli zechce ocenić pobudki, które nas do ich wypowiedzenia skłoniły.

Bogactwo szczegółów, ogrom zużytego i umiejętnie wyzyskanego materyału czyni z dzieła p. Blocha prawdziwy róg obfitości. I rolnik z powołania i ekonomista i prawnik znajdzie tam na długie lata wiele danych do rozwinięcia na ich podstawie poważnych studyów. Ale tak samo, jak bukiet najpiękniejszych nawet kwiatów, zyskuje wiele na symetrycznem, harmonijnem ich rozmieszczeniu i piękno kwiatów dopiéro wtenczas prawdziwie przemawia do duszy, jeśli téj harmonii nic oko nie może zarzucić, tak i w dziele poważnem, mającém przemawiać do umysłu naszego, potrzebną, nawet konieczną jest pewna harmonia, którą stanowi umiejętny układ treści. Jeśli tego nie uwzględnimy, bukiet woni nie straci, kwiaty piękna swego pozbawione przez to nie będą, ale estetycznego wrażenia całość ich robić nie będzie; dzieło poważne nie będzie dlatego mniéj poważnem, a treść jego mniéj bogatą, ale całość jego mniejszą miéć będzie wartość naukową.

Już wyżéj nadmieniliśmy, że układ dzieła p. Blocha nie jedno pozostawia do życzenia. Szan. autor zdaje się, jak gdyby nieco lekceważył powszechnie przyjęte zasady co do porządkowania treści w dziełach naukowych. Następstwa tego są proste: dwie części pracy, z których jedna zajmuje się wyjaśnieniem stanu własności ziemskiéj, a druga—wskazaniem środków usunięcia grożącéj klęski, czasami zléwają się i plączą, szczegóły, które powinny być zamieszczone w pierwszéj, dostają się do drugiéj (np. szczegóły co do stanu majątkowego drobnéj własności, str. 201 do 203) i naodwrót (np. umieszczenie w części pierwszéj wniosków co do kredytu melioracyjnego, str. 8 do 12) i całość na tém na pewno nie zyskuje.

Toż samo możnaby powiedziéć o braku równomierności w wyjaśnianiu szczegółów; jedne z nich są obstawione całą bateryą cyfr i danych z prawodawstw, inne znowuż traktowane są mniéj starannie pomimo to, że są nie mniéj od tamtych ważne. Ktoby nie wiedział, jakim zasobem danych rozporządza nasz autor, mógłby wnosić z tego, iż on bierze materyał, jaki mu się nasunął pod rękę. Tak np. co do kredytu krótkoterminowego, kwestyi jednéj z najważniejszych, o jakich dzieło traktuje, znajdujemy tam wiadomości czerpane z prawodawstw Anglii, Belgii i Rumunii (str. 141 do 145), a nie znajdujemy wzmianki nawet o tém, co istnieje w krajach więcéj pod wielu względami zbliżonych do naszego, jak Austro-Węgry, Niemcy i Francya, pomimo że w krajach tych ustawodawstwo w tym przedmiocie wysoko jest rozwinięte. Nie myślimy przecież robić z tego powodu poważnego zarzutu. Rozumiemy dobrze, że czasami zbyteczne muskanie, że tak powiemy, formy, tamuje możność zajęcia się czémś waż-

niejszém, bo treścią. Autor nasz miał przed sobą przedewszystkiém cele praktyczne, dawał co miał, a miał dużo i dawał dużo i szybko dawał, i w tém leży jego wielka zasługa; chcemy tylko zwrócić uwagę na to, że rzeczby wiele zyskała, gdyby jéj nie odmówiono tego, co autor z pewnym naciskiem nazywa akademickiém (str. 197).

Innego rodzaju myśli nasuwa nam fakt, że autor nie uznał za właściwe zapoznać czytelnika z większością źródeł, z których sam czerpał naukowe dane. Tu już, przyznać się do tego musimy, mamy do szan. autora żal szczery. Wszakże w całości swego dzieła zachęca on spółziomków do prowadzenia badań, a niechce przed nimi otworzyć tych ksiąg, które jego samego badać nauczyły. Wiemy, że gdyby ktoś osobiście zgłosił się do niego w téj kwestyi, nie odmówiłby mu swéj światłéj rady i pomocy, dlatego nie rozumiemy czemu dla szerokich kół odmówił jéj, nie powołując literatury przedmiotu. I gdyby już nie chciał podawać obszernéj literatury obcéj, lub jakichś dzieł, ogólnie kwestye gospodarstwa społecznego traktujących, to niechżeby przynajmniéj powiedział czytelnikowi, kto już przed nim na tym samym lub sąsiednim zagonie w ostatnich czasach pracował, niechżeby chociaż wspomniał o istnieniu prac takich sumiennych naszych badaczy, jak Załęski, Buczyński, Kirszrot-Prawnicki albo Tadeusz Pilat, Kleczyński, Marasse, L. hr. Plater i in. Powołanie dzieł, jeśli już nie przegląd literatury przedmiotu, jest koniecznném w dziele, zalecającém dalsze badania, nietylko dla ułatwienia pracy, ale przedewszystkiém dla wyjaśnienia lepszego, co już jest zrobioném, a co jeszcze zrobić potrzeba.

Już wyżéj nadmieniliśmy, że autor własném staraniem zebrał dane co do stanu majątkowego 9,429 dóbr ziemskich, mających hypotekę. W jaki sposób ta olbrzymia praca została dokonana, to, jak na teraz, jest jego tajemnicą. Domyślać się nam nie wolno, kiedy sam autor nic nie mówi, ale też musimy tu nadmienić, że całe znaczenie obliczeń, na takiéj opartych podstawie zależy od tego, czy ci, co zbiérali dane, umieli zrobić to dokładnie, czy chcieli zrobić to dobrze i nie nazbyt ułatwiali sobie mozolną pracę. Każdy, kto jest bliżéj obeznanym z hypoteką, wié dobrze, jak to wiele potrzeba wprawy w czytanie wykazów, jak co do niektórych dóbr potrzeba wykazy studyować, ażeby kwerenda hypoteczna dała rezultaty zgodne z rzeczywistością. Należy mniemać, że taki budowniczy, jakim jest nasz autor, nie stawiałby olbrzymiego gmachu swoich wniosków, gdyby nie był przekonany o mocy podwalin i doborze użytego materyału. Musimy mu ufać i czynimy to tém chętniéj, że autor często

bardzo wywody oparte na jego danych sprawdza z faktami, znanemi skądinąd. To też nie myślimy tu wcale podawać w wątpliwość przekonania o mocy podstaw budowy, jaką mamy przed sobą; zauważymy tylko, że dostrzegać się tam dają pewne rysy, świadczące o nie dosyć ścisłém spojeniu, a może i o zbyteczności niektórych części. Pośród wież i wieżyczek, jakiemi szan. autor urozmaicał budowę, są takie, których zbyt misterna robota szkodzi całości, styl szachetny psuje, a co gorsza, już dziś jest widoczną wątłość ich konstrukcyi.

Do takich słabych części pracy p. Blocha zaliczamy wnioski jego co do stopy procentowéj i co do roli, jaką w odłużeniu naszéj własności ziemskiéj odegrywa ludność żydowska. Ośmielimy się powiedzieć, że rozumowania autora, zawsze jasne i proste, tutaj zdają się sztucznie naginać, jak gdyby szło o uzasadnienie tez zgóry postawionych i jak to zawsze w podobnych razach bywa, dobre chęci nie są w stanie zastąpić faktów.

Przedewszystkiém należy zauważyć, że sam autor utrzymuje, iż dane, czerpane z hypoteki co do stopy procentowéj, nie dają dobrego pojęcia o rzeczywistości (str. 87). Poważymy się tu twierdzić, że te dane prawie zawsze dają wprost błędne pojęcie o stopie procentowéj [1]). Przyczyna tego prosta. Przed wydaniem prawa o procentach z r. 1885 pobieranie wyższéj stopy procentowéj ponad prawną (5% w stosunkach cywilnych i 6% w handlowych) było uważaném za lichwę. Kodeks kar z r. 1847 groził tu karą, dochodzącą w pewnych razach nawet do dwuletniego osadzenia w wieży (art. 1217); a jakkolwiek kodeks wydany w r. 1866-ym łagodzi tę karę, jednak zawsze dochodziła ona do roku i 4 miesięcy więzienia (art. 1707). Zawierający umowy wiedzieli o tém i nie chcąc narażać się na odpowiedzialność, nie zamieszczali w umowach stopy procentowéj, pobieranéj rzeczywiście. Istniały tu różne dodatkowe umowy, najczęściéj ustne, znajdujące sankcyę w tém, że procent płacił się z góry i że dłużnikowi, nie stosującemu się do umowy, groziło wypowiedzenie kapitału. W roku 1885-ym położenie rzeczy się zmieniło; prawodawca zezwolił na umawianie się o stopę wyższą ponad prawną (6%), ale zanim wiadomość o nowém prawie przeszła do ogółu, zanim zwyczaj utarty został zarzuconym, upłynęło wiele wody i można powiedzieć, że dopiéro w ostatnich czasach umowy pod tym względem zbliżają się więcéj do prawdy.

Sam autor utrzymuje, że dług raz zapisany do hypoteki rzadko

---

[1]) Rozumie się, że nie mamy tu na myśli danych z hypoteki co do wierzytelności Towarzystwa kredytowego.

kiedy znika, że zmienia się tylko nazwisko wierzyciela, ale dług po dawnemu zostaje (str. 85), a stąd prosty wniosek, że co najmniéj w większéj liczbie wypadków i dziś są jeszcze w hypotekach umowy, dawniéj, przed rokiem 1885-ym, co do stopy procentowéj zawarte, t. j. umowy, nie mówiące w téj mierze prawdy.

Czyż więc na takich danych można coś opiérać? Czy wnioski, jakie szan. autor tu wyprowadza na podstawie hypoteki, nie muszą być sztuczne? Czy można np. utrzymywać na takiéj podstawie, że ludność żydowska bierze jedynie ½% więcéj, niż chrześciańska, kiedy sam autor gdzieindziéj mówi, że wierzytelności żydowskie, jako źle bardzo ulokowane, o tyle mają bezpieczeństwo, o ile wierzyciele mogą jeszcze przed ruiną dłużnika miéć nadzieję pobiérania przez czas jakiś znacznego procentu? (str. 106). Sądzimy, że na pytania te nie trudna odpowiedź.

Druga kwestya, o jakiéj tu winniśmy wspomniéć, dotyczy wniosków autora co do stosunku odłużenia majątków ziemskich na rzecz wierzycieli chrześcian i żydów. Szan. autor robi słuszną uwagę, że żydzi częściéj, niż chrześcianie, ufają odpowiedzialności osobistéj (str. 101) i wykazuje, że suma pożyczona od żydów jest przeszło 5 razy mniejszą od sumy wypożyczonéj od chrześcian, że nawet te majątki, które obecnie są w posiadaniu żydów, od chrześcian wzięły 47%, a od żydów tylko 53% (str. 97). Te ostatnie rezultaty obliczeń służą autorowi za podstawę do wyprowadzenia wniosku, że żydzi „biorą słaby udział w odłużeniu.“ Przyczynę tego zjawiska widzi autor w tém, że „żydzi, biorąc wogóle, posiadają niezbyt wielkie kapitały“ (str. 98). Tego ostatniego twierdzenia nie będziemy podawać w wątpliwość, ale nie sądzimy, ażeby przytoczony przez autora fakt co do słabego udziału żydów w odłużeniu, mógł miéć tylko jedną i taką przyczynę, a przedewszystkiém nie pojmujemy, jak szanowny autor mógł przyjść do przekonania o tém, czy udział żydów w odłużeniu jest słabym, czy licznym na podstawie prostego zestawienia cyfr co do ilości wierzycieli chrześcian i żydów, a bez uwzględnienia stosunku liczebnego jednéj ludności do drugiéj wogóle. Co więcéj, to skwapliwe wskazywanie zaraz przyczyny zjawiska i to takiéj, jaką jest nieposiadanie przez żydów większych kapitałów musi naprowadzać na myśl, że szan. autor na podstawie danych z hypoteki wnioskuje o słabym udziale żydów w odłużeniu majątków ziemskich wogóle. Otóż sądzimy, że zamykanie kwestyi takim wnioskiem zdradza chęć pozostawienia, co do udziału żydów w procesie odłużenia, jaknajlepszego wrażenia, ale rzeczy saméj naprzód nie posuwa i najszlachetniejsze może intencye

autora pozostają tu intencyami. Tam, gdzie jest mowa o odłużeniu ziemi i o udziale, jaki bierze ludność żydowska w zobowiązaniach jéj właścicieli, tam niepodobna przy wyprowadzaniu ogólnych wniosków poprzestawać na tém, co widnieje z hypoteki. Wobec braku źródeł kredytu krótkoterminowego, dobrze zorganizowanego, ludność żydowska jest u nas dostawcą tego właśnie kredytu i działalność téj ludności rozwija się zarówno i tam, gdzie się hypoteka kończy. Jak to sam autor utrzymuje, ludność ta, do ryzykowania przywykła, więcéj niż na prawie rzeczowém gruntuje swoje bezpieczeństwo na odpowiedzialności osobistéj, a wobec tego nie w hypotece szukać należy danych do postawienia wniosków o owéj działalności, a może i o jéj opłakanych skutkach.

Złém jest odłużenie hypoteczne, ale stokroć gorszém jest to zadłużenie się, które najprzód zbyt łatwo przychodzi, a następnie zbyt wiele kosztuje; stokroć gorszą od hypotecznéj jest ta pożyczka, która przychodzi jak dobroczynna pomoc, a potém staje się Dejaniry palącą koszulą. Nie pozbędziesz się jéj bez ciała, które ci wypaliła do kości.

Szan. autor mówi, że pożyczka żydowska majątku nie uratuje, ale jest ostatnią dawką lekarstwa dla śmiertelnie chorego; zdrowia nie przywróci, życia nie zatrzyma, ale na chwilkę uśmierzy cierpienia agonii (str. 106). Idąc daléj drogą tego porównania, niepodobna nie widzieć, że środek taki działa jak morfina. Sprzedawany zbyt łatwo pod przynętną formą eliksiru życia i wprowadzany do organizmu zbyt często, wyniszcza soki żywotne, sam przez się straszną sprowadza chorobę i życie skraca. Nie myślimy tu nikogo obwiniać, zwłaszcza że jesteśmy przekonani, iż wina nie po jednéj tylko leży stronie; chcemy jeno zwrócić uwagę szan. autora na to, że dla malowania obrazu, mającego przedstawiać istotny udział żydów w odłużeniu własności ziemskiéj, tych farb, jakie są na murach hypotecznych, nie starczy.

Daléj widzimy, że do środków ratunku słusznie autor zalicza i pomoc naukową i uznając potrzebę wykształcenia fachowego, utrzymuje, że brak tego wykształcenia dałby się w pewnym stopniu zastąpić pewnemi urządzeniami (str. 197). Właściwie idzie tu o podniesienie wykształcenia przy pomocy owych środków. Zalicza do nich autor: stacye doświadczalne, zbiory ziem, laboratorya, odczyty specyalne i doświadczenia (str. 197 do 199).

Już to dawniéj powiedziano, że uzdolnienie rolnika jest największą dźwignią postępu i rozwoju rolnictwa i nawet więcéj znaczy od instytucyi kredytowych (Laveleye), a w zdaniu tém wiele mieści się

prawdy. Otóż w liczbie środków, jakie autor nasz zaleca, pragnęlibyśmy widzieć nietylko luźną wzmiankę o wyżéj wskazanych sposobach podniesienia poziomu umysłowego, ale wprost, wyraźnie, z położeniem na ten przedmiot pewnego nacisku, wygłoszone przekonanie o potrzebie kształcenia się. Może szan. autor uzna tę naszą pretensyę za bezzasadną, gdyż w dziele jego o tém jest mowa. Niech nam to raczy łaskawie wybaczyć. Ale kiedy ktoś umiał, jak on, dzięki pracy nad sobą, stanąć na wysokim piedestale i kiedy woła z niego doniosłym głosem do całéj masy społeczeństwa, to pragnęlibyśmy, ażeby głos jego był jaknajpełniejszym, żeby za nas, nie posiadających takiego głosu, tam, gdzie mówi o środkach ratunku, wywołał wszystko, co serce nasze wypełnia. A w tém sercu żyje i panuje wszechwładnie przekonanie, że gdybyśmy mieli więcéj ludzi światłych, do pracy zawodowéj dobrze przygotowanych, stosunki nasze ziemiańskie nie byłyby w tak opłakanym stanie, jak są dzisiaj.

Daremnie też szukamy pośród środków ratunkowych, jakie p. Bloch wskazuje, myśli zakładania stowarzyszeń dla dążenia wspólnemi siłami do takich celów, których osiągnięcie byłoby trudném albo niepodobném dla jednostek. U nas takie stowarzyszenia rolnicze istniały i nawet miewały swoje złote czasy a potrzeba stowarzyszeń odczuwa się i dziś w szerokich kołach naszych rolników [1]). To też wielce pożądaną byłoby rzeczą, żeby szan. autor wyraził swoje zdanie w kwestyi ich istnienia; pominięcie tego w dziele, mającém być drogowskazem pracy, może naprowadzić na myśl, że drogą współek autor iść nie radzi a nie sądzimy, żeby taką mogła być myśl autora.

Kiedy już mowa o tém, co jest dla nas mniéj zrozumiałém, nie możemy pominąć milczeniem kwestyi, dlaczego szan. autor utrzymuje, iż nie mamy zupełnie instytucyi kredytowéj dla włościan, kiedy w kraju istnieją na mocy praw z lat: 1869, 1870 i 1884 zorganizowane kasy gminne. Czy te instytucye dobrze wypełniają swoje zadanie, czy są dostateczne wobec potrzeb istotnych ludności włościańskiéj, to jest inna kwestya, ale istnieją, a więc nie można utrzymywać, że ich nie ma (str. 233). Tém więcéj należałoby o istnieniu tych kas chociażby wspomnieć, że jakkolwiek warunki rozwoju nie bardzo były przychylne, udzieliły one włościanom jeszcze po dzień 1-szy stycznia 1883 r. pożyczek na pokaźną sumę 13,592,739 rs. 16½ kop., było zaś ich w tym czasie w kraju 950 [1]).

---

[1]) L. Górski: Znaczenie większéj własności str. 115. W ostatnich czasach pisali o tych spółkach A. Bardzki i F. Flaum.

Przez wypowiedzenie uwag, jakie nam praca p. Blocha nasunęła, nie myślimy umniejszać tego uznania, z jakiém dzieło „Ziemia i jéj odłużenie“ zostało u nas przez opinię publiczną przyjęte.

Nie tylko podjęcie ale i wykonanie olbrzymiéj i mozolnéj pracy, wykonanie prawie zawsze umiejętne i w granicach możliwości ścisłe, nadaje jéj poważne znaczenie i zapewnia wpływ na społeczeństwo. Sądzimy, że nawet ostatnie wybory do Towarzystwa kredytowego ziemskiego i wnioski przez stowarzyszonych czynione przekonały, że głos p. Blocha usłyszano w różnych stronach kraju, a że może nie zawsze umiano z niego należycie skorzystać, to już nie jest winą autora.

Winniśmy tu dodać, że wykład najzawilszych nawet kwestyi jest w dziele p. Blocha jasnym i przystępnym, do czego wiele przyczyniają się, przy wyprowadzeniu obliczeń statystycznych, tablice graficzne; przemawia autor językiem zawsze poprawnym, czasami pięknym, — a to są przymioty dzieła nie małe.

Wł. Andrychiewicz.



[1]) J. Kirszrot-Prawnicki: Kredyt włościański str. 74.



Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

I.

Dwie powieści psychologiczne. Paweł Bourget: *La terre promise.* — Gabriele d'Annunzio: *L'Innocente*).

Do sytu i do przesytu nasłuchaliśmy się w ostatnich czasach o odrębnych cechach, jakie posiadać ma piśmiennictwo i sztuka u schyłku naszego stulecia. „*Fin de Siècle*“ stało się rodzajem wspólnej nazwy, obejmującej brak ideałów i pozytywnej wiary, wyczerpane siły żywotne, mrożący sceptycyzm, denerwujący pesymizm, chaotyczną anarchię idei i zasad, wśród której kiełkować ma wszelako ziarno przyszłego odrodzenia. Wszystkie te pseudo-filozoficzne poglądy nie mogły być w pierwszéj chwili brane za co innego, jak za to, czem były istotnie: za arlekinowe skoki felietonistów igrających z bańką mydlaną i żaden poważniejszy umysł nie mógł zapewne przypuścić, ażeby prosta data, przyjęta za konwencyonalną normę do obliczania czasu, miała sama przez się rozstrzygać o umysłowej twórczości cywilizowanego świata. Ale nie bez zdziwienia, tymczasem spostrzegamy, że dla wielu to pojęcie o końcu wieku nabrało, przez samo powtarzanie, nieledwie dotykalnej rzeczywistości i że upatrują oni na seryo w piśmiennictwie pewne wyłączności datą ową wywołane. Zauważyć wszakże trzeba, że żaden z tych, skomlących jeremiaszowe skargi nad wyjałowioném stuleciem, nie odważa się zapowiedzieć nam natychmiastowego odrodzenia i nowéj ery, gdy za lat dziewięć nowy wiek liczyć poczniemy. A wszakże, jeżeli nie ma być takiéj jutrzni i takiego nowego słońca, to nie może także teraz być takiego upadku i że poprostu istnieje natomiast nie-

zawodna, nieprzerwana ewolucya społeczna, stopniowe wprowadzanie nowych czynników do powszechnego organizmu.

Wypadałoby tedy skończyć co prędzéj tę igraszkę słów o końcu wieku i szukać warunków umysłowego przekształcania się współczesnego świata tam, gdzie się one znajdują—w nim samym. Jeżeli nikomu na myśl nie przychodzi mówić o chemii, o fizyologii, albo o astronomii *fin de siècle*, to nie ma także powodu mówić o takiéjże literaturze. A właśnie o niéj rozpisywać się lubią ci, którym wszelkich innych naukowych podstaw brakuje. Oni to także orzekli, że tak zwana powieść psychologiczna jest specyalnym wypłodem tego czasowego momentu i najcharakterystyczniejszém jego znamieniem. Mamy właśnie przed sobą dwa najnowsze utwory téj dziedziny, jeden Pawła Bourget'a, koryfeusza piśmiennictwa francuskiego, drugi znakomitego pisarza włoskiego, Gabryela d'Annunzio, oba utwory z wielu względów usprawiedliwiające wrażenie, jakie wywołały. Ale nie zdaje się nam, ażeby jeden albo drugi, tak samo jak kilka innych, któreby można do téj saméj kategoryi zaliczyć—a wymienimy choćby jeden, znakomity romans Dicka May: *Le Cas de George Aurell*, zasługujący na większy rozgłos, aniżeli ten, który pozyskał dotąd— miały wartość swą zawdzięczać chwili swego powstania, albo żeby je pod rubryką powieści *fin de siècle* postawić wypadało.

Powieść psychologiczna ma widocznie przeciwników, skoro najznakomitszy jéj przedstawiciel w literaturze francuskiéj, Bourget, uznał za potrzebne stanąć w jéj obronie w przedmowie do swego ostatniego romansu, przedmowie, która chwilowo uczyniła wiele wrzawy w świecie literackim. Obrona ta, jest zdaniem Anatola France, na które się całkowicie piszemy, zbyteczną. Od czasu jak powieściopisarze piszą, jedni czują pohop większy do epizodów dramatycznych, do przygód awanturniczych i anegdotycznéj strony życia, drudzy do kreślenia obrazu walk wewnętrznych, rosterki uczuć, dramatu, który się w sferze duszy odgrywa. Jak sam Bourget obrazowo powiada, jednych nęci bicie zegaru a drugich maszynerya te głośne dźwięki wywołująca. Każda z dwóch szkół liczy już długi szereg typowych arcydzieł, a każda częściowo przynajmniéj u sąsiada zapożyczać się musi, gdyż o swéj sile wyłącznie stać nie potrafi. W „Trzech muszkieterach" jest tak samo pewna doza psychicznéj analizy, jak muszą być wypadki i postaci, działające w powieści jak „Ziemia obiecana". Nie na istnienie tedy powieści psychologicznéj, jako takiéj, skarżyćby się wypadało—istniała ona po wsze czasy, tylko pod mniéj nazwami pretensyonalnemi, jak np. romansu analitycznego — ale na widoczną przesadę, na zbyt silny nacisk, jaki kładą powieścio-

pisarze téj szkoły na podejmowaną przez nich analizę charakterów. Zdawaćby się mogło, że oni dopiéro odkryli człowieka, że nikt dotąd nie odmalował gry namiętności, stopniowego przesuwania się uczuć przez soczewkę ducha, przedzierzgania się jednych w drugie. Surowość krytyki przypisać należy w znacznéj części tym nieuzasadnionym pretensyom, które w autorach powieści psychologicznych podejrzywała. Obecnie ci ostatni, jak to właśnie czyni Bourget, starają się wykazać, że mają już za sobą szereg dostojnych antenatów i że patentu wynalazczego dla téj formy piśmienniczéj i téj metody brać nie myślą. Zarzut tedy upadnie prawdopodobnie, ale znajdą się tacy, którzy wychodząc z niezbitego aksyomatu Taine'a, że powieść jest psychologią żyjącą, wyrzucać będą wielu jéj okazom, iż nie są dość żyjącemi, że nie tworzą ludzi z krwi i ciała, lecz tylko martwe formuły i schemata. Nie ma wątpliwości, że o przykłady tego rodzaju nie trudno!

O samego Bourget'a nie ma potrzeby się obawiać. Przepłynął on już szczęśliwie przylądek burz i nawie jego rozbicie nie grozi. Literacka jego fizyognomia skrystalizowała się już w niewzruszonéj formie i dosięgnął on mistrzowstwa. Nie ma potrzeby charakteryzować szczegółowo całéj jego twórczości. Uczyniliśmy to już zresztą tutaj nie zbyt dawno [1]); i nie widzimy powodu do żadnych dodatkowych rysów. Dla tych czytelników, którym nie o samą anegdotyczną stronę w utworach powieściowych idzie, lecz którzy nad nią przekładają rozbiór subtelnych czynników duchowych, jest on wymarzonym, idealnym autorem. Skoro nie ulega wątpliwości, że poziom umysłowy wśród masy czytającéj podnosi się a horyzont rozszerza, zatém można uważać za pewnik, że jego stanowisko literackie, jego wpływ i znaczenie stawać się będą coraz większemi. Gdy autor jaki już tak wykończony typ przedstawia, gdy się wié z góry w jakiéj się sferze duch jego twórczy obraca i czego odeń oczekiwać mamy prawo, to się zadanie sprawozdawcy o wiele upraszcza, bo się sprowadza do zastosowania do nowego utworu probierza dawniejszych i wskazania nowych pierwiastków, jakie się ewentualnie w nim pojawić mogły.

„Ziemia obiecana“ jest do wysokiego stopnia interesującą powieścią i ci co się uskarżają, że jest nudna, sobie samym tylko przypisać muszą winę: wzięli się do pisarza, nie odpowiadającego ich indywidualnéj modle. Nie podobna wyobrazić sobie dzieła, któreby

---

[1]) Patrz „Ateneum“ za wrzesień, 1890 r.

doskonaléj odpowiadało zadaniu odmalowania stanu duszy kilku jednostek w danych okolicznościach. Interesującą jest owa powieść, powiadamy, ale czy zadawalniającą? to całkiem inne pytanie. Chociaż autor podjął wyczerpującą, subtelnie wycieniowaną analizę uczuć, mimo tego nie dał ostatecznéj odpowiedzi na problemat etyczny przez siebie samego postawiony, i można powiedziéć, że się sam uląkł wniosków, do których popychała go logika. Z trzech figur działających w powieści skazał jedną na śmierć, a o losach dwóch drugich, o sposobie w jaki się wywiązały z zakreślonych sobie samym obowiązków, nie wiemy nic i każdy może stosownie do swych własnych wywodów resztę śpiéwki w swéj duszy dośpiéwać. Można tego rodzaju brak formuły pozytywnéj przebaczyć poczynającym pisarzom; czujemy się zawiedzeni stwierdzając, że nawet mistrz, jak Bourget, zatrzymał się wpół drogi i dał nam tylko negacyjną część swojéj dyagnozy. Idąc w ślad za łatwą do streszczenia osnową powieści, czytelnik zda sobie sprawę z doniosłości téj uwagi krytycznéj.

Teatrem wypadków opowiedzianych tutaj jest Palermo, a nawiasowo można powiedziéć, że skreślone krajobrazy godne są zająć miejsce obok tych, jakie Bourget niedawno dał w swoich *Sensations d'Italie*, jednéj z najartystyczniejszych, najbardziéj wyrafinowanych książek ostatnich czasów. Do ciepłego klimatu Sycylii posłana jest przez lekarzy hrabina Scilly, która tam bawi z jedynaczką córką Henryettą i jéj narzeczonym, p. Francis Nayrac. Pomiędzy tą parą narzeczonych rozgrywa się dramat uczuciowy, będący wyłączną treścią powieści. Dramat ten rozpoczyna się jak idylla. Nie podobna stworzyć i subtelniéj wycieniować młodéj, o gołębiéj niewinności istoty, jak to uczynił autor: postać to anielskiéj czystości. Rozumiéć można, że wychowana przez szlachetną matkę, nigdy z pod jéj skrzydeł nie wypuszczona, otrzymawszy za jéj sankcyą narzeczonego, którego kochać jéj wolno, całą duszę wléwa w to uczucie, a nie znając życia rzeczywistego, wyobraża sobie swego oblubieńca czystym i niezmazanym, jak jest sama. Większy jeszcze talent analityczny rozwinął autor w odmalowaniu duchowego nastroju Francisa. Gdy go spotykamy u boku jego białéj narzeczonéj, rozumiemy głębię i potęgę téj miłości, w któréj jak w czystéj krynicy czerpie on nowe siły życiowe, i pod któréj słońcem się odżywia. Dla niego miłość ta i małżeństwo przedstawia przystań po burzy, nieograniczoną ufność i wiarę w przezroczystą duszę Henryetty. W przeszłości swéj bowiem cierpiał niezmiernie właśnie przez brak téj ufności w ukochaną kobietę. Z całą namiętnością pierwszéj młodości był on pokochał przyjaciółkę swéj siostry, panią Paulinę Raffraye, i po burzliwym prze-

biegu tego związku, podejrzewając swoją kochankę o wiarołomstwo, o zdradę, shańbiwszy się szaloną zazdrością i jéj gwałtownemi wybuchami, porzucił ją z przekleństwem i wzgardą. Chociaż lat dziesięć ubiegło prawie od tego tragicznego zerwania ich występnéj miłości, czuł on zawsze gorycz w sercu i wstręt do owéj kobiéty, która mu wiarę w ideał miłosny skruszyła. Uważając siebie za ofiarę niegodnéj kobiéty w przeszłości, wita w swéj narzeczonéj urocze widziadło spokojnéj przyszłości, widzi w niéj rękojmię zadośćuczynienia, przez los mu przygotowanego. Dwa charaktery główne skreślone są w rysach delikatnych, miękkich, ale przez ich zestawienie umiejętne nastrój ich duchowy posiada dla nas wyrazistość potrzebną.

Sytuacya zmienia się w skutek trafu, który sprowadził do tego samego hotelu ową owdowiałą Paulinę z jéj dziewięcioletnią córeczką, która jest także córką Francis'a: ten jednak nietylko ojcostwa swego nie podejrzywał, ale był gotów go zaprzeczać. W przybyciu swéj odepchniętéj kochanki, choć ją widzi umierającą, przypuszcza on intrygę i nie zdradza się, że ją znał uprzednio. Ale wkrótce światło przedziéra się do jego umysłu. W nadzwyczajném podobieństwie, jakie dziewczynka nosi na swéj twarzy z jego siostrą, widzi niezbity dowód, że jest jego własną córką i w duszy jego powstaje chaotyczny zamęt, ferment dawniejszych pierwiastków, połączonych z obecnemi. Poczucie ojcostwa i swych obowiązków względem córki staje się przeważającą nutą w jego sercu, a gdy zmuszony jest ją stłumiać, posuwa się ona do chorobliwych rozmiarów. Pomiędzy miłością głęboką, czułą, lojalną dla narzeczonéj, nowo rozbudzoną miłością dla córki i zadawnionym wstrętem do Pauliny, dusza Francis'a jest kołataną bez przerwy i nie potrafi ani uczuć tych rozmaitych uporządkować, pojednać, ani swego wewnętrznego rozstroju ukryć przed czujnym wzrokiem swéj ukochanéj. Kilka wysoce dramatycznych scen wystarczyło autorowi do przedstawienia stanowczych perypetyi, doprowadzających opowieść do końca. Coraz nieszczęśliwszy, coraz bardziéj pomiędzy swemi krzyżującemi się obowiązkami rozrywany, Francis czuje się podejrzewany przez Henryetę, zdającą sobie sprawę, że się pogodne jéj niebo schmurzyło, ale nie rozumiejącą skąd chmury nadciągają; ale gdy natura jego, brzydząca się podstępami i wybiegami, gnie się pod naciskiem tych, do których obecnie uciekać się musi, jego zgroza i wyrzuty sumienia podnoszą się do ostatniéj potęgi, gdy się dowiaduje z ust własnych Pauliny, iż ona była mu wierna, że pastwił się niemiłosiernie, barbarzyńsko nad niewinną i że tylko przez poczucie osobistéj godności z obelżywych zarzutów usprawie-

dliwiać się nie pragnęła. Odepchnięty z oburzeniem i ostatecznie przez kobietę, któréj był w istocie katem, on co podobał sobie przez długie lata w roli ofiary, Francis, pozbawiony jednocześnie wszelkiéj możności zbliżenia się do swego dziecka i opiekowania się niem, gdy zostanie sierotą, dochodzi do rozpaczy, tém bardziéj, że w sercu jego płonie czysta, bezgraniczna miłość do narzeczonéj. Zbieg okoliczności sprowadza, że Henryeta dowiaduje się z ust dziewczątka o znajomości istniejącéj pomiędzy jéj matką a Francis'em, i że chcąc wyświetlić tę zagadkę, sprowadza katastrofę: narzeczony, nie mogąc inaczéj wybrnąć z sieci, w które się sam uwikłał, spowiada się jéj matce z grzechu swéj młodości i wyznaje, że jest ojcem naturalnym dziecka pani Raffraye. Zwierzenie to dochodzi wypadkiem do jéj ucha i naraz rzuca okrutne światło na niepodejrzewane strony życia moralnego i fizyologicznego. Z nadzwyczajną delikatnością autor rozbiéra gamę uczuć i wrażeń, przez jakie przechodzi ta czysta istota, dotknąwszy się kału ziemi. Jéj wstręt, jéj oburzenie, nawet odcień zazdrości, ujawniający się w jéj sercu, jéj pogarda dla kłamstw i wybiegów, któremi się jéj narzeczony posługiwał, doprowadza ją do zerwania małżeństwa, a religijny ferwor każe jéj powziąć zamiar ofiarowania swego własnego szczęścia dla odkupienia grzechów ukochanego. Opis tortur moralnych, jakie przechodzi Francis wobec tego niezłomnie powziętego zamiaru, oddany jest także z patetycznością nadzwyczajną. Życie tych dwojga wyjątkowo szlachetnych, delikatnych natur rozchodzi się w przeciwnych kierunkach, i autor na ostatniéj stronicy pozwala nam przypuszczać, że reszta życia Francis'a poświęconą będzie troskliwéj, chociaż pośredniéj, tajemniczéj pieczy nad dziecięciem, do obowiązków względem którego poczuł się zapóźno.

Oto cała osnowa, cały przebieg „Ziemi obiecanéj“, do któréj żaden z bohaterów się nie przedostał. Wyrządza się krzyczącą niesprawiedliwość każdéj powieści Bourget'a, a téj przedewszystkiém, gdy się nagi ukazuje jéj szkielet, obdarty nietylko z artystycznéj powłoki zewnętrznéj, ale nawet z téj sieci nerwowéj, która go w ruch wprowadza. Wartość jéj cała w przeprowadzeniu psychicznego procesu. Ale zdawało się nam niezbędném streścić ją, ażeby czytelnik zdał sobie sprawę z postawionego zagadnienia moralnego. Sam autor powiada w przedmowie, że gdyby tytuł taki nie wydawał się zbyt pretensyonalnym, powieść ta powinnaby nosić nazwę: „Prawo dziecka“. Istotnie, o nie tu chodzi, i o nie tylko. W życiu codziennem nie troszczymy się zwykle o dzieci naturalne a mniéj jeszcze o spłodzone w związku cudzołóżczym, gdzie nazwisko urzędowego ojca jest dla

rzeczywistego wygodną tarczą. Mimo tego obowiązek ojcowski istnieje i wypełniać go należy nawet z poświęceniem indywidualnego, późniejszego szczęścia. Ażeby tezę tę uczynić dotykalną, autor przedstawił osobistości o wysoce rozwiniętéj delikatności uczuć, cierpiące w położeniu fałszywém, w którém się znajdują, rwące się do spełnienia obowiązków i nie mogące im sprostać, a w bezwiedném szamotaniu się druzgoczące niewinne ofiary. Nie można zaprzeczyć, że doktryna o moralnéj odpowiedzialności człowieka za swoje czyny, o pokucie za popełnione występki przeciwko zasadniczym ustawom społecznym, przeprowadzona jest z całą precyzyą logiki i całą nieubłaganą stanowczością sędziego. Autor nie uczynił żadnego ustępstwa sentymentalnego, ażeby dobrodusznych czytelników zaspokoić co do indywidualnego szczęścia swych bohaterów. Podesłał to szczęście pod stopy obowiązku takiego, jaki się w ich duszy zarysował. Przeciwko temu protestować nie myślimy. Zarzut, który postawiliśmy wyżéj, tyczy się tego jedynie punktu, że autor nie uznał za właściwe pokazać następstw tego heroicznego postanowienia. Nie daje się zaprzeczać, że nawet podrzędne natury powziąć je potrafią; pytanie jest co do trwałości takiego postanowienia, co do ustępstw, jakie w praktyce życia czynić mu jesteśmy zmuszeni. Dopiéro gdyby ta druga strona zadania wyświetlona została i przeprowadzona szczegółowo, moglibyśmy objąć całość zagadnienia etycznego i wydać o niém wyrok.

W każdym razie czytelnik przyzna, że nie wiele jest powieści, którymby tego rodzaju tylko zarzuty czynić się musiało i które do takich pobudzają myśli. Pod wszystkiemi innemi względami zmuszeni jesteśmy uznać tę powieść za najdoskonalsze dzieło Bourget'a. A nie ograniczamy się do strony zewnętrznéj, do bogactwa myśli, które w aksyomatycznéj formie rozsiane są na téj powiewnéj szacie niby drogocenne klejnoty; lecz mamy na uwadze ogólny nastrój pisarski, duch który z téj powieści wieje. Gdzie są owe czasy, w których uważano Bourget'a za przedstawiciela koteryi eleganckiego sceptycyzmu, wojującego ironią i pogrążonego w oschłym pesymizmie! Nie ma tego wszystkiego najmniejszych nawet śladów. Ironią nie posługuje się bynajmniéj a przeciwnie dźwięczy wszędzie ciepła uczuciowość, wszędzie wykrzykniki świadczące o dyapazonie duchowym podniesionym, blizkim nieraz egzaltacyi. Na każdéj stronie, gdzie maluje próby i walki wewnętrzne, toczące się w piersi tych męczenników szlachetnych idei, dźwięczy nietylko sympatya dla nich, ale spostrzegać się daje prawdziwe rozczulenie. Jest ten nastrój objawem całkiem nowym w piśmiennictwie francuskiém, gdzie się ubie-

gano o błyszczący dowcip daleko więcéj, aniżeli o rzewne, tkliwe nuty. Nie ma żadnéj wątpliwości, że zwrot ten przypisać należy potężnemu wpływowi ruskich powieściopisarzy jak Dostojewskiego i Tołstoja: oni to nauczyli rozczytanych w nich i odurzonych ich rozbolałą nutą francuskich autorów, że życie trzeba brać na seryo i że powierzchowny tylko spostrzegacz tragicznych jego komplikacyi dojrzéć nie jest w stanie.

Nietylko, że tkliwość i łzawość rzewna uderza jako *leitmotiv* w tym utworze i czyni suchą analizę psychiczną nie abstrakcyą żadną, ale bezpośrednią życiową obserwacyą, prowadzącą do szukania zaradczych środków, ale można iść daléj jeszcze o krok jeden i powiedziéć, że Bourget ożywiony jest duchem istotnie religijnym. Jest to nuta nowa, a przynajmniéj rozwinięta daleko potężniéj, aniżeli się to niedawno jeszcze przypuszczać dawało. W ostatniéj swéj powieści *Un disciple*, zajął on już stanowisko przeciwko tym systematom filozoficznym, które podkopują wiarę i nietylko przeciwko materyalizmowi, ale nawet przeciwko wszelkiemu agnostycyzmowi. Ale nie można było widziéć w nim jeszcze stronnika religii pozytywnéj, nie przedstawiał on dogmatu, jako niezbędnéj podstawy dla jasno wytkniętego i uczciwie wiedzionego życia. Obecnie krok ten uczyniony został. Hrabina Scilly i Henryeta czerpią w religijnych czynnikach swéj istoty ową siłę moralną, która nietylko na prawéj ścieżce je utrzymuje, ale uzdalnia do najwznioślejszych poświęceń; ciągle wahający się bohatér powieści pomiędzy dobrém a złém, pomiędzy obowiązkiem a namiętnościami, sam dochodzi do przeświadczenia, iż na dnie walk, które sam z sobą staczał i katastrof, które na drugich ściągnął, leżało to uczucie religijnego sceptycyzmu, jakie go pochłaniało. Taki wniosek narzucić się musi każdemu uważniejszemu czytelnikowi, a tém łatwiéj go uczynić przychodzi, że autor, gdy mówi od siebie i przemawia o nastroju religijnym, o ceremoniach kościelnych, czyni to z powagą, z przejęciem się, z istotném namaszczeniem. Gdy się odtworzy myślą drogę, jaką Bourget przebiegł, ów dawniéj współwyznawca Beaudelaire'a, Flauberta, Renana, on, który Taine'a za swego ogłaszał mistrza, to trzeba przyznać, że metamorfoza to całkowita i że nietylko na kilku młodszych pracownikach piśmienniczéj gleby ujawnił się wpływ tego neo-chrystyanizmu, który Alb. Desjardins postawił pod wezwaniem Nowego Fiesole, ale że ruch ten wciągnął nawet do zwiększającego się swego orszaku pisarzy o już wyrobionéj indywidualności. Następne utwory Bourget'a pokażą, czy był to jedynie nastrój chwilowy, następstwo wyjątkowo wrażli-

wego temperamentu duchowego, czy też stały, normalny, z którym się odtąd raz na zawsze liczyć będzie wypadało.

Powieść Gabryela d'Annunzio, *Innocente*, należy do téj saméj kategoryi psychologicznych romansów co utwory Bourget'a, chociaż nie ma w niéj naturalnie tego humanitarno-religijnego tętna, wytworu ostatniéj ewolucyi we Francyi, ale nieznanéj jeszcze we Włoszech: nic dziwnego, że kopie i echa przychodzą nieco późniéj za Alpami. Powieść Gabr. d'Annunzio ma jednak prawo być rozważaną sama w sobie, bo jest utworem niepoślednim. Przyjaciele Włoch powitać ją mogą z radością, jako świadectwo, że życie piśmiennicze daje tam świetne wypłody. Włochy prześcignęły pod tym względem Niemców. Zjednoczenie rozerwanych części narodu odbyło się w obu krajach prawie jednocześnie i w obu zrodziło nadzieję bezzwłocznego rozkwitu piśmienniczéj twórczości. Ale kiedy wśród obfitéj, ale mętnéj, chaotycznéj literatury niemieckiéj nie ma ani jednego poety, romansopisarza i dramatyka w ciągu ostatnich lat dwudziestu, którychby świat po-za-niemiecki uznał za genialne, przewodnie duchy, to Włosi na niektórych przynajmniéj zagonach téj niwy już przygotowali sobie świetne żniwo. Pochlebne przyjęcie, jakie ostatni utwór G. d'Annunzio odrazu sobie pozyskał wśród umysłowéj arystokracyi europejskiéj, świadczy, że Włosi, nie zatracając żadnéj z wyłącznych cech swéj narodowości, idą jednocześnie pod wspólnym sztandarem z resztą ucywilizowanego świata i z nim się solidaryzują.

Dotychczas znaliśmy G. d'Annunzio przedewszystkiém jako poetę. Był on zawsze stawiany, wspólnie z Enrico Panzachi i Lorenzo Stochetti jako przedstawiciel, jako uosobienie szkoły Verystów, któréj wielkim mistrzem jest Carducci, a która jest na wskroś przesiąknięta nowoczesnym realizmem. W niektórych jego poezyach realizm ów przechodził poprostu w zmysłowość. Dość będzie przytoczyć jego sonety, a szczególniéj należące do seryi, któréj ostatnim wyrazem był *O bel corpi di femmine attorcenti*. Widocznie jednak odpowiadała jego muza narodowemu nastrojowi, skoro niektóre zbiory jego poezyi, jak: *Intermezzo di rime*, *Guttadauro*, *Il libro delli virgini*, i t. d., doczekały się w krótkim przeciągu czasu dziesięciu edycyi z rzędu. Zdarzyło się nam także czytać jego *Armata d'Italia appunti*, przedrukowane z „Trybuny", a wysławiające w malowniczéj prozie, pod wpływem płomiennego patryotyzmu skreślone obrazy przyszłéj morskiéj potęgi mocarstwa włoskiego. Ale przyznajemy się ze wstydem, że nie czytaliśmy żadnéj z dwóch jego dawniejszych powieści, *San Pantaleone*, wydanéj w 1886 i *Il piacere*, wydanéj w r. 1889, lubo ta ostatnia w ciągu pierwszego zaraz roku pięciu doczekała się wy-

dań. Trzeba było potężnego wrażenia, jakie wywołał *l'Innocente*, aby uznać, że się tu ma przed sobą już wyrobionego mistrza i żałować, że się nie szło krok w krok za jego dawniejszemi rozwojowemi stadyami. Z drugiéj strony jest jednak artystyczną rozkoszą stanąć przed samodzielnym, na nieznanéj sobie glebie wykwitłym utworem i dostrzedz w nim natychmiastowo istnienia pierwiastków, do najbardziéj wyrafinowanego umysłowego środowiska należących. Usterki téj powieści są do wytknięcia łatwe, ale nikt nie zechce zaprzeczyć, że téż zalety posiada i w zdumiewającéj nawet potędze.

Innocente jest spowiedzią człowieka, który popełnił występek i który czuje wewnętrzną potrzebę wypowiedzenia przed sobą samym całéj nici wypadków, całego psychicznego procesu, jaki go do niego doprowadził. Wiadomo, że taka autobiograficzna forma w postaci dziennika, albo pamiętnika nie jest najdoskonalszym sposobem opowiadania powieściowego, że jéj musi brakować obiektywizmu, że jednéj osobie nadaje nieuzasadnioną przewagę nad innemi, że jéj nieraz brakuje siły dramatycznéj, ale z drugiéj strony, gdy idzie o odsłonięcie duchowych przełomów, o zbadanie psychicznych motywów, leżących na dnie akcyi i o to jedynie, nie można znaleść odpowiedniejszéj celowi. Autor kładzie opowiadanie w usta pana Tullio Hermil, człowieka należącego widocznie do wyborowych warstw towarzystwa, małżonka wyjątkowo pięknéj i duchowo wzniosłéj żony, Juliany i ojca dwóch córeczek. Jest wprawdzie wprowadzonych do opowiadania kilka pobocznych postaci, jak matka bohatera, święta i zacna kobieta, jak brat pojmujący życie uroczyście obowiązkowo i t. d., ale chociaż autor umiał w przelocie nadać im wypukłość życiową, to można powiedzieć, że całe światło ześrodkowane jest na dwóch głównych figurach i że autorowi nie szło o nic innego, jak o uczynienie zrozumiałym dramatycznego epizodu, który się pomiędzy mężem a żoną rozegrał. Można uważać za oryginalność ze strony pisarza włoskiego, że przedstawił nam dramat ów ze stanowiska męża, nie zaś żony, co większą część romansopisarzy byłoby niewątpliwie w powyższym razie do siebie wabiło; ale jak to czytelnik natychmiast będzie mógł stwierdzić, mamy tylko jedną połowę medalu delikatnie wyrzeźbioną; drugą zostawił przesłoniętą takim półcieniem, że jest tam dla rozmaitych przypuszczeń miejsce szerokie. Jest to grzech przez pominięcie, który mu tém surowiéj był wyrzucany, że nie będąc należycie wtajemniczonym w duchowy labirynt Juliany, czytelnik potyka się o istotne niepodobieństwa.

Charakter Tullia narysowany jest z siłą zarówno jak z subtelnością analizy. Jest to, niepotrzebujemy zapewne uprzedzać, cha-

rakter ujemny, chorobliwy, bo w takich jedynie powieściopisarze ostatnich czasów sobie podobają, jako przedstawiających otwarte pole do studyowania ułomności natury ludzkiéj *in anima vili*. Tullio jest naturą zmysłową, nie umiejącą powstrzymywać swych namiętności i nawet swych kaprysów na wodzy: zdradza bez przerwy, na prawo i na lewo, swą czystą, idealną żonę, choć niby to kochać jéj nie przestaje. Zakrwawianie serca, o którém wie, iż wyłącznie do niego należy, jest w jego własnych oczach przestępstwem usprawiedliwienia nie potrzebującém. Przeświadczonemu o swéj wyjątkowéj umysłowéj i moralnéj wartości zdaje się, że mu wszystko jest dozwolone, że może sam dla siebie kreślić prawa moralne; egotyzm rozkiełznany kryje się u niego pod maską subtelnego przyglądania się grze swych namiętności, dyagnozy swych zmieniających się uczuć. Wybornie naszkicowana jest ta strona dyletancka jego natury, owa dwoistość, gdzie do rozkoszy życia przykłada się jeszcze rozkosz obserwacyi tego życia we wszystkich jego zboczeniach i wybrykach. Nie kryje się on przed swą żoną ze swemi zdradami i nie oszukuje jéj, dzięki lojalizmowi który posiada; każde nowe wiarołomstwo wydaje mu się ostatniém i chociaż i przed nią i sobie samemu obiecuje poprawę, zawsze w dawne popada grzechy, nie mając wędzidła obowiązku jako hamulca. Od żony żąda, ażeby się stała jego przyjaciółką, jego siostrą i upiększa tę rolę, na jaką ją skazuje bez najmniejszego wyrzutu sumienia, że ją na ciągłe skazuje męczarnie. Jest ustęp przedziwny, malujący dosadnie pożycie tego stadła: mówimy o tym, gdzie autor opisując bolesną chorobę Juliany i pieczołowitość, jaką ją wówczas mąż jéj otaczał. Z kochanką swą ówczesną był poróżniony i po jéj odjeździe mając czasu sporo, poświęcał go ochotnie swéj żonie. Było dlań artystyczną rozkoszą przekonywać się, że go ciągle i namiętnie kochała, że sama nadzieja, jaką kropla po kropli do jéj serca wléwał, iż się znowu dla nich dni wiośnianéj miłości powrócą, pozwalała jéj do zdrowia, do życia się garnąć. Żywił istotnie zamiary odegrania z tą swoją żoną miłosnéj symfonii oddawna przebrzmiałéj; ale gdy się zdarzyło, że właśnie po ukazaniu jéj w czarodziejskiéj dali swego nieba, kochanka wiarołomna wzywa go rozkazująco do swego boku, bez wahania biegnie do téj ostatniéj, zadając żonie cios tém dotkliwszy, im z wyższych spaść musiała wyżyn. Po takiéj scenie zrozumieć można, iż serce Juliany musiało raz na zawsze wziąć rozbrat z nadzieją, i że nastąpiło pomiędzy małżonkami całkowite zerwanie wszelkich poufałych stosunków. Jak dwie całkiem obce osobistości żyją oni pod jednym dachem, a Tullio jedynie w przerwach pomiędzy swemi erotycznemi paroksyzmami spostrzega, że ma u swego boku ko-

bietę idealną, a przez myśl mu przebiega nawet zazdrość, gdy drobna okoliczność pozwala mu przypuszczać, iż Filip Arborio, pisarz o szerokiéj reputacyi, żywi dla niéj cześć otwartą. Przelotne to podejrzenie przechodzi jednak bez śladu, bo właśnie w tym czasie rozgrywa się pomiędzy nim a jego ostatnią kochanką łatwy do przewidzenia z góry epizod ostatecznego zerwania, dramat z którego wychodzi duchowo okrwawionym, rozczarowanym i złamanym.

Po takiéj ekspozycyi, wyśmienicie i interesująco skreślonéj, bez żadnego zbytecznego szczegółu, autor prowadzi nas do samego jądra swéj analizy psychicznéj. Tullio Hermil z żoną i córeczkami znajduje się w wiejskiéj posiadłości u swéj matki, wśród rodzinnego spokoju, czystych tradycyi, świéżo rozkwitającéj natury. Do skołatanego, burzliwego jego serca stopniowo, pod wpływem tych błogosławiących czynników zstępuje spokój, męty osadzają się na dnie, a czysta postać widocznie słabéj, znękanéj żony staje przed nim jako idealne widziadło szczęścia najwyższego. Pozyskać jéj miłość: oto cel, który się staje jedynym przedmiotem jego dążeń i wysiłków. Czuje, że w głębi tych popiołów jest jeszcze jedna skra niewygasła i stara się ją rozdmuchać; jest w ciągłych paroksyzmach rozpaczy, czując, że żona już mu nie wierzy, że pomiędzy nimi wznosi się jakiś mur niewidzialny, dzielący ich raz na zawsze. Przychodzi pomiędzy nimi do stanowczego wyjaśnienia dawnych nieporozumień, ale kiedy Tullio wymownie i przekonywająco udowodnił Julianie, że pomimo swych różnych zboczeń ona i tylko ona była jedyną białą lilią jedyną srebrną gwiazdą w uraganie jego życia, że może się rozesłać przed nimi w przyszłości jeszcze pasmo rajskiego szczęścia, ona jedynie płaczem spazmatycznym te, wewnętrzną prawdą drżące, przyjmuje zwierzenia. Czuje, że mu oddała swą duszę, że go kocha, jak go nie kochała nigdy przedtém, a mimo tego nie chce roztworzyć przed nim tajni swéj duszy, w któréj przeczuwa straszne jakieś widmo. Myśl, że mu się ona przeniewierzyła, że nie jest już ową białą *turris eburnea*, jak ją w dedykacyi swego romansu nazwał słynny pisarz Arborio, tylko występną żoną, przeszywa jego oczyszczoną duszę jak strzałą. Niepewność tragiczna trwa niedługo: z ust własnéj swéj matki dowiaduje się, że niedługo ma zostać ojcem i że należy wątły organizm Juliany otoczyć najtroskliwszą pieczą. Tullio posiada dość siły wewnętrznéj, ażeby nie zdradzić się ani przed matką, uszczęśliwioną nadzieją wnuka, ani przed bratem z radością witającym przyszłego dziedzica wielkiego imienia i znacznéj fortuny, ani przed domownikami, radującymi się przypuszczalną jego radością. Ale szalona burza szarpie jego

łonem, miota się rozpaczą i cudem tylko z samobójczego uratowany jest zamachu.

Z ust własnéj żony dowiaduje się nareszcie, że te przypuszczenia są prawdą. Zapewniając go, że nigdy go, ani na jedną chwilę kochać nie przestała, że mu wszystkie jego zdrady przebaczyła, że wierzy w jego odrodzenie i w stałą jego miłość na przyszłość Juliana prosi go, błaga z rozdzierającą szczerością, aby jéj pozwolił się otruć i zejść ze świata bez hańby, aby jéj było dozwoloném opłacić dobrowolną śmiercią jedną jedyną chwilę obłędu i nieprzytomności woli. Nie powiada mu, jak katastrofa ta zaszła, ani kto jest ojcem jéj przyszłego dziecięcia, ale rozumié, że odtąd nigdy nie będzie dla nich ani szczęścia, ani nawet spokoju i żądając pozwolenia śmierci, błaga o zwolnienie jéj z katuszy nie do zniesienia. Wobec takiego wyznania, Tullio okazuje się szlachetnym i wspaniałomyślnym, przestaje badać upakarzającą tajemnicę, zabrania jéj samobójstwa, upewnia o swéj miłości, przekonywa ją, że jest to zasłużona kara za jego własne przewinienia, i istotnie, otacza ją dowodami ciągłéj pieczołowitości, ukazując w dali jeszcze możliwość szczęścia.

Lecz w głębi jego duszy czarny pająk sieci swéj rozpinać nie przestaje. Napróżno nabiéra pewności, że ów romansopisarz genialny, Antonio, którego podejrzéwać o swoją hańbę nie przestaje, należéć już niebawem będzie do przeszłości, bo umiéra na paraliż mózgu, nienawiść w jego sercu jest coraz gwałtowniejszą, coraz bardziéj niepowściągniętą do tego *Innocente*, do tego niewiniątka, które po przyjściu swém na świat boży, będzie zapewne wizerunkiem swego ojca, a jemu ukradnie raz na zawsze imię, mienie rodziny, spokój, szczęście. Żonie przebaczył, tém łatwiéj, że czuje i w jéj sercu wstręt do tego dziecięcia grzechu, ale jemu przebaczyć nie chce, nie może; przechodzi to jego siły. Śmierć tego niemowlęcia staje się jedyną stałą myślą w umyśle jego skrystalizowaną. Rodzi się nareszcie owo dziecię nieszczęścia, i choć kosztuje prawie życie Juliany, samo okazuje się do takowego zdolném. Syn, przyjęty błogosławieństwami jednych, jest dla rzekomego ojca, a prawdopodobnie i dla matki, żyjącém przekleństwem. Obraz ten tragiczny, odmalowany jest bez żadnéj przesady, z precyzyą rysów, oczywistością motywów, zasługujących na szczery poklask.

Dopóki syn ten był jedynie abstrakcyjném widziadłem, Tullio mógł mniemać, że z jego istnieniem pojednać się potrafi. Lecz gdy go widzi w krwi i ciele, gdy organizm ten wątły zdaje się nad pierwszemi tryumfować słabościami, coraz niezbędniejszą staje się dla Tullia konieczność zgładzenia go ze świata. Opiéra się pokusie, wal-

czy z nią z razu, ale niebawem pokonany zostaje przez nienawiść. Wystarcza mu stanąć z niemowlęciem na ręku przez chwilę w otwartém oknie w mroźny wieczór zimowy, ażeby delikatne niemowlę wzionęło w siebie zaród choroby, która je w ciągu doby jednéj, bez żadnych poszlak ściągnionych na mordercę, prowadzi do śmierci. U zwłok zmarłego niemowlęcia rodzaj chwilowego obłędu porywa Tullia, ale spokój swój odzyskuje wkrótce i tajemnicę swoją zamyka w sobie.

Ostatnią scenę, jaką opisuje autor, jest pogrzeb dziecięcia w grobach familijnych. Ten fakt materyalny nie jest w stanie zastąpić żadnemu z bardziéj wymagających czytelników tego właśnie duchowego obrazu, którego od analizującego autora oczekiwać się miało prawo. Tak samo, jak autor nie powiedział nam dawniéj, jak się stało, że owa niepokalana wieża z kości słoniowéj uległa podmuchowi zła, tak samo zostawia nas teraz w zupełnéj nieświadomości uczuć, jakie śmierć niewiniątka wzbudziła w sercu matki. Była to przecież kwestya psychiczna rozjaśnienia warta, tak samo jak owa druga o moralnych następstwach, jakie dokonana zbrodnia wywołała w duszy przestępcy i o owocach, jakie dla dalszego życia Tullia i Juliany przyniosła. Annunzio postąpił sobie tak samo zupełnie, jak Bourget w wyżéj omówionéj powieści: dokonał nader subtelnéj analizy pewnego stanu duszy wśród okoliczności takich, że jedynie wyższe, podniosłą nerwowością opatrzone istoty zdać sobie mogły sprawę ze sporu pomiędzy różnorodnemi obowiązkami; ale raz doprowadziwszy ów zatarg wewnętrzny do kulminacyjnego punktu, nie starał się wysnuć z takowego ewentualnych następstw. Na natarczywie stawiające się pytanie: a co potém? i on także nie daje żadnéj odpowiedzi. Taka nieudolność powieści psychologicznéj do przedstawienia całości etycznego zagadnienia jest najlepszym argumentem przeciwko tym romansopisarzom, którzy, jak Bourget w ostatniéj swéj przedmowie, pokazują zamiar windykowania dla téj metody powieściowéj powagi, nieledwie naukowéj.

Z samego streszczenia *Innocente*, czytelnikom nie trudno będzie utworzyć sobie wyobrażenie o wartości powieści pod względem analizy duchowéj. Lecz trzeba ją czytać i czytać w oryginale, ażeby ocenić jak należy całą piękność jéj pod względem wykonania. Język czaruje obfitością i bogactwem kolorytu, misterném wycieniowaniem, na każdéj stronicy są zwroty, wyrażenia plastycznéj piękności, które ryją się w pamięci; pełno krajobrazów, naszkicowanych jakby od niechcenia, a świadczących o wysoce artystycznym zmyśle autora,

pełno ustępów, jak np. opis słowika śpiewającego w noc wiosenną, które tylko poeta, jakim jest Annunzio, był w stanie napisać. Ta barwistość i wspaniałość formy i zewnętrznéj szaty sprawia, że się nie czuje ani na chwilę ścisłości analizy przeprowadzanéj na charakterach działających, że nie ma tego natężenia, tego wysiłku, który w powieściach Bourget'a staje się nieraz męczącym. Jest to w całém znaczeniu utwór piękny i można powinszować beletrystyce włoskiéj talentu, który świetną zapowiadać się zdaje przyszłość.

N. T.





KRONIKA EKONOMICZNA.



I.



W tych dniach ogłoszony został raport prezydującego w komisyi wyznaczonéj w r. 1888 celem zbadania przyczyn spadku cen zboża i wskazania środków podniesienia rolnictwa w państwie ruskiém. Ponieważ środki wskazane przez komisyę, będą prawdopodobnie miarodajnemi dla dalszych kroków rządu, mających na celu podniesienie rolnictwa, podajemy tu w skróceniu treść ostatecznych wniosków, tak, jak je znajdujemy sformułowanemi w „Gońcu finansów, przemysłu i handlu.“ Za środek najpilniejszy komisya uważa zorganizowanie instytucyi, mających na celu dostarczanie rolnikom taniego, krótkoterminowego kredytu, a więc: budowanie elewatorów i składów z wydawaniem na złożone w nich zboże warantów i zaliczek oraz z przyjmowaniem zboża w komis.

Drugie miejsce w propozycyach komisyi zajmuje usunięcie z praktyki handlu wywozowego zbożem wszystkich tych zwyczajów, wskutek których producent otrzymuje na rynku międzynarodowym, cenę niższą niżby należało, a więc urządzenie w portach rządowéj inspekcyi ziarna, ustanowienie w drodze prawodawczéj obowiązujących prawideł normalnych dla handlu ziarnem, organizacyę giełd zbożowych, polecenie konsulom w miastach portowych i innych zagranicznych rozciągania opieki nad zbożem z Rosyi przychodzącém i zobowiązanie komitetów giełdowych miast portowych ruskich, do peryodycznego ogłaszania ceny frachtów morskich, obliczonych na ruską wagę i monetę.

Trzeci z kolei wniosek wskazuje potrzebę przeprowadzenia reformy obowiązujących obecnie taryf kolejowych. Komisya uważa za pożądane: aby średnia stawka tych taryf była jeszcze zniżona przez powiększenie refakcyi, ustanowionych dla transportów przebiegających większe odległości i przez obliczanie refakcyi nie od przebiegu transportu po jednéj, oddzielnéj drodze, ale od ogólnego ich przebiegu w komunikacyi bezpośredniéj. Daléj komisya życzy sobie, aby niedopuszczalnemi były wypadki taryf mniejszych dla odległości większych, — aby produkta rolnictwa mało cenne opłacały taryfę do 25% niższą a stawki dla żyta i owsa były nieco niższe od stawek dla innych gatunków ziarna ustanowionych, — aby na wszystkich drogach tak w komunikacyi miejscowéj jak i bezpośredniéj, taryfy na produkta młynarstwa nie były wyższe od taryf na przewóz ziarna; aby dla wywozu mąki zagranicę, jeśli się tego okaże potrzeba, przyznane były dalsze przywileje taryfowe i aby t. z. taryfy przemiałowe i tranzytowo-składowe rozszerzone były do wszystkich dróg w państwie. W końcu komisya uważa za potrzebne, aby taryfy zbożowe ustanawiane były na termina jak najdłuższe i aby projekta zmian w taryfach zbożowych komunikowane były z urzędu w czasie właściwym pod opinię towarzystw rolniczych, z urzędów ziemskich i komitetów giełdowych.

Celem poprawienia istniejących komunikacyi wodnych i lądowych komisya proponuje zorganizowanie miejscowych komitetów dozoru nad spławem rzecznym do których powołanemiby zostali przedstawiciele min. dróg komunikacyi, obywatele miejscowi, przedstawiciele towarzystw żeglugi parowéj, delegaci i właściciele statków przewozowych; daléj reformę poborów od spławu, reformę ustawy drogowéj; rozszerzenie powinności szarwarkowéj i wzmocnienie techniczńej kontroli nad drogami lądowemi.

W zakończeniu sprawozdania, komisya wyraża opinię, że przy różnorodności klimatu, gruntów i systemów rolniczych w różnych miejscowościach państwa, niemożliwém jest ułożenie dla całego imperyum jednego, ogólnego programu działania celem podniesienia rolnictwa; ale że cel taki może być urzeczywistniony tylko przez ustanowienie specyalnego organu rządowego, któryby ciągle badając stan rolnictwa troszczył się o jego potrzeby, — sądzi, że najbardziéj naglącém, najpoważniejszém ale téż i najtrudniejszém zadaniem w sferze stosunków rolnych jest konieczność zastosowania zasad gminnego władania ziemią do nowych warunków gospodarowania na roli tak, aby przedsiębiorczość pojedyńczych rolników nie była zatamowaną obowiązkiem ulegania wymaganiom innych członków gminy.

Ze wszystkich tych postulatów Komisyi, najbliższym urzeczywistnienia jest reforma taryf kolejowych dla zboża; wedle źródeł urzędowych kwestya ta wniesiona będzie na prządek dzienny już w pierwszéj połowie 1893 roku. — W niedalekiéj więc przyszłości będziemy zobowiązani komunikować sprawozdanie o jéj przebiegu i ostatecznym rezultacie, a gdy kwestya ta jest dość zawiłą i z całym szeregiem specyalnych szczegółów związaną, mamy zamiar już teraz streścić jéj stan obecny i zestawić te ogólne dane statystyczne, na które, naszém zdaniem, powinna być zwrócona uwaga sfer właściwych.

Podstawą obecnie obowiązujących taryf zbożowych jest t. z. formuła — schemat taryfowy, opracowany przez specyalną komisyę zwołaną w roku 1890 celem ustanowienia, pod kierunkiem komitetu taryfowego ministeryum finansów, ogólnych zasad opłat przewozowych dla zboża.

Specyalna ta komisya, w któréj brali udział przedstawiciele różnych ministeryów, dróg żelaznych i rolnictwa — prezesów ziemstw i marszałkowie szlachty, — pracowała przedewszystkiém z zamiarem: ułatwienia ziarnu, pochodzącemu z Rosyi, konkurencyi z ziarnem amerykańskiém i indyjskiém na rynkach zagranicznych. Już prace przygotowawcze — których rezultat zebrano w obszernéj księdze: „Materyały do opracowania taryf na ruskich drogach żelaznych“ tom I, taryfy zbożowe do punktów wywozowych prowadzone były w powyższym kierunku: wyjaśnienia warunków zagranicznego handlu zbożem.

Potrzeby handlu wewnętrznego, stan rolnictwa w różnych okręgach państwa nie były pominięte zupełném milczeniem. Prezydujący w komitecie taryfowym i specyalnéj komisyi — obecny minister finansów — niejednokrotnie na posiedzeniach komisyi zaznaczał ważność handlu wewnętrznego — i prócz celu głównego obrad komisyi wskazywał cel drugi: przyjście z pomocą przedewszystkiém tym okręgom rolniczym, które w skutek przesilenia rolnego najwięcéj ucierpiały. Szczegółowe jednak opracowanie taryf zbożowych wewnętrznych z uwzględnieniem tego drugiego celu napotkało w komisyi dwie poważne trudności: brak czasu i brak odpowiedniego materyału statystycznego.

Wobec tych trudności postanowiono: formułę taryfową, opracowaną dla handlu zewnętrznego, zastosować do transportów wewnętrznych.

Formuła ta w następujący sposób reguluje opłaty kolejowe:

Od 1—200 wiorst taryfa normalna $1/24$ od puda i wiorsty
„ 201—360 „ $1/24$ od puda i wiorsty ze zniżką 10%.

Od 361—1600 wiorst do taryfy za 360 w. dodaje się $1/_{80}$ od puda i wiorsty
„ 1601—3000 „ do taryfy za 1600 w. dodaje się $1/_{200}$ od puda i wiorsty.
„ 3001 i więcéj — opłata ta sama co za 3000 wiorst.

Obliczone na powyższych zasadach stawki od puda i wiorsty, na całéj przebieżonéj przestrzeni stanowią następujące ułamki:

Za 200 wiorst	$1/_{24}$ kop.	Za 1500 wiorst	$1/_{54}$ kop.
„ 360 „	$1/_{27}$ „	„ 2000 „	$1/_{65}$ „
„ 500 „	$1/_{33}$ „	„ 2500 „	$1/_{75}$ „
„ 1000 „	$1/_{46}$ „	„ 3000 „	$1/_{83}$ „

W ten sposób koszta przewozu zboża na dalekie odległości są stosunkowo 2, 3 i więcéj razy mniejsze od kosztów przewozu na odległości małe.

Przewóz pełnego wagonu zboża kosztuje według formuły:

na 100 wiorst	na 150 w.	na 200 w.	na 250 w.	na 300 w.
25 r. 42 k.	38 r. 13 k.	50 r. 83 k.	57 r. 19 k.	68 r: 63 k.
na 1000 wiorst	na 1500 w.	na 2000 w.	na 2500 w.	na 3000 w.
131 r. 15 k.	169 r. 28 k.	189 r. 10 k.	204 r. 35 k.	219 r. 60 k.

Stosunek odległości przewozu 10 : 100 wyraża się stosunkiem kosztów transportu

10 : 52   10 : 44   10 : 39   10 : 35   10 : 32

Przy stosowaniu formuły t. j. przy ustanowieniu na zjeździe ogólnym przedstawicieli dróg żelaznych szczegółowych taryf dla każdéj drogi żelaznéj, stawki zasadnicze uległy pewnym, niewielkim zmianom, mimo to wyżéj obliczony ogólny stosunek kosztów transportu na małe i wielkie odległości nie został zmieniony. Wpływ tego stosunku zwiększył się: 1-o przez wprowadzenie bezpośredniéj komunikacyi pomiędzy wszystkiemi bez wyjątku stacyami dróg żelaznych w państwie ruskiém — i 2-o przez ostateczne zrównanie opłat od przewozu przetworów młynarskich: mąki, kaszy i krup z opłatami od przewozu ziarna.

Nie ulega wątpliwości, iż opracowane przez komisyę specyalną z r. 1889 taryfy zbożowe osiągnęły cel główny: ułatwiły eksport ziarna. Co do celu drugiego — przyjścia z pomocą okolicom najbardziéj przez kryzys rolny dotkniętym — ten postawionym będzie zapewne na pierwszym planie przy zamierzonéj obecnie reformie taryfowéj. Dla wyjaśnienia sprawy z tego mianowicie punktu widzenia, należy rozpatrzyć się w danych statystycznych, objaśniających różny

stopień natężenia kryzysu rolnego i różne warunki produkcyi rolnéj w różnych okręgach państwa.

Przedewszystkiém zauważyć musimy, iż w żadném z państw europejskich nie istnieją tak silne różnice w stosunkach klimatycznych, ludnościowych i ekonomicznych, pojedynczych prowincyi, jak w państwie Ruskiém. Klimat Archangielska i Tyflisu, cyfra zaludnienia na wiorstę □ w gub. Orenburskiéj i Kurskiéj — stosunki przewozowe gub. Ufimskiéj i Warszawskiéj — przedstawiają różnice tak wielkie, że równych im w innych państwach Europy nie napotkamy. Jakkolwiek więc cała Rosya jest państwem rolniczém — to jednak stosunki rolne różne są wielce w różnych jéj okręgach.

Linia przeprowadzona przez Rygę, Moskwę i Kazań dzieli państwo Ruskie na 2 części, z których południowa produkuje o wiele więcéj ziarna, niż go spotrzebować może i zasila niém część północną, która pszenicy nie produkuje całkiem, inne zaś gatunki zboża produkuje w ilościach niewystarczających na potrzeby ludności miejscowéj. Część południowa z wyjątkiem gubernii Królestwa Polskiego, nadbaltyckich, litewskich i Wołyńskiéj, posiada grunta przeważnie czarnoziemne, najurodzajniejsze w całéj Europie. W téj części uprawa żyta przeważa od północy — uprawa pszenicy od południa. W północnéj części Rosyi gospodarstwo wiejskie opiéra się głównie na produkcyi bydła, nabiału, siana i roślin włóknistych lnu i konopi, a dochód z lasów stanowi poważną część dochodów z ziemi.

Statystyczne dane o ruchu cen produktów rolnych w drugiéj połowie bieżącego stulecia przekonywają, że przesilenie rolne wynikło wyłącznie wskutek spadku cen ziarna: spadek ten obliczono na 20% w porównaniu z cenami średniemi 1850 roku a na 46% w porównaniu z cenami 1871/5 roku.

Ceny produktów zwierzęcych, jakkolwiek spadły w porównaniu z cenami 1871/5 roku o 25%, wyższe są jednak od cen 1850 r. o 29%. Z obu tych cyfr łatwo jest zrozumiéć dlaczego kryzys rolny w różnym stopniu dotknął różne części państwa. Jeśli potrzebujemy wyszukać miary do możliwie dokładnego zmierzenia siły, z jaką ten kryzys rozwinął się w różnych okręgach rolniczych, to miarę tę znajdziemy w statystycznych danych, dotyczących zmian w średniéj cenie ziemi w ostatnich dziesiątkach lat w różnych guberniach Rosyi.

Odpowiedni i już obroniony materyał statystyczny zawiéra IV tom „Wiadomości rolniczych i statystycznych,“ wydawanych przez departament rolnictwa i przemysłu wiejskiego ministeryum dóbr państwa. Według danych w tym zbiorze zawartych, średnia cena dziesięciny ziemi w 44 guberniach Rosyi europejskiéj od 1860 do

1870 podniosła się z 28 rubli na 45 r. t. j. o 61%, w okresie od 1870 do 1883 podniosła się z 45 r. na 68 r. t. j. o 51%, w latach zaś 1883—1889 podniosła się jeszcze z 68 r. na 71 r. t. j. o 4%. W dwóch pierwszych okresach cena ziemi wzrastała ciągle i wszędzie, w okresie ostatnim ruch cen w różnych okręgach jest różny i obok okręgów, w których cena ziemi wzrasta, znajdujemy okręgi, w których cena ta ulega obniżce.

Maximum wzrostu cen ziemi w latach 1883/9 znajdujemy:

w okręgu czarnoziemnym południowo-stepowym [1]) z 54 r. na 83 r. t. j. o 52%
w okręgu północno-zachodnim [2]) z 29 r. na 44 r. t. j. o 52%
w okręgu przemysłowym [3]) z 40 r. na 44 r. t. j. o 10%.

Wzrost cen ziemi w dwóch ostatnich okręgach jest wynikiem charakteru gospodarstwa wiejskiego tych okolic. Oba te okręgi leżą w północnéj części państwa, w któréj jak to zaznaczyliśmy, ziarno w produkcyi rolnéj gra rolę podrzędną. Najlepszym tego dowodem są dane, pomieszczone w tym samym tomie IV „Wiadomości rolniczych i statystycznych“ (str. 16) o stosunku przestrzeni gruntów ornych do ogólnéj przestrzeni ziemi, zostającéj w posiadaniu prywatném w tych okręgach. W gub. Petersburskiéj ziemia orna stanowi 6,9%, w gub. Nowogrodzkiéj 8,1% w Pskowskiéj 16,7 ogólnéj przestrzeni gruntów dworskich. W okręgu przemysłowym ziemi ornéj jest nieco więcéj; stosunek waha się od 9,8% (w gub. Jarosławskiéj) do 25,3% (w gub. Kałużskiéj). Cyfry te dowodzą, że zwyżka cen ziemi w obu tych okręgach przemysłowym i północno-zachodnim mogła wyniknąć tylko wskutek zwiększenia się ludności i zwyżki cen produktów zwierzęcych i leśnych. W jednym tylko z okręgów produkujących ziarno, w okręgu czarnoziemnym południowo-stepowym ceny ziemi wzrosły znacznie o 52%.

Maximum zniżki cen ziemi według danych departamentu rolnictwa znajdujemy:

w okręgu czarnoziemnym północnym [4]) ze 110 r. na 95 r. t. j. o 13%
i w okręgu nadbaltyckim [5]) z 99 r. na 84 r. t. j. 15%.

---

[1]) Gubernie: Bessarabska, Chersońska, Ekaterynosławska, Taurydzka i ziemia Wojska Dońskiego.

[2]) Gubernie: Petersburska, Pskowska i Nowogrodzka.

[3]) Gubernie: Moskiewska, Twerska, Włodzimierska, Jarosławska, Smoleńska i Kałużska.

[4]) Gubernie: Kurska, Czerniechowska, Orłowska, Tulska, Riazańska, Tambowska i Penzeńska.

[5]) Gubernie: Kurlandzka, Liflandzka i Estlandzka.

Możemy dołączyć tutaj jeszcze nie objęte wykazami departamentu:

10 gubernii Królestwa Polskiego ze zniżką cen ziemi z 116 na 82 rs., t. j. o 28%

Te ostatnie cyfry bierzemy ze źródła najbardziéj kompetentnego, opierającego się na kontraktach notaryalnych i sądowych wyrokach adjudykacyjnych, a mianowicie z dzieła p. J. G. Blocha „Ziemia i jéj odłużenie“ (str. 23).

Cyfry te dowodzą, że ze wszystkich okręgów państwa najwięcéj ucierpiaływskutek spadku cen ziarna trzy wyżéj wymienione: północny, czarnoziemny, nadbaltycki i Królestwo Polskie, — i że w Królestwie Polskiém natężenie kryzysu dosięgło *maximum*. Ważność tego twierdzenia nie pozwala nam jednak opierać go tylko nadanych o spadku cen ziemi i skłania nas do odszukania przyczyn tego stanu rzeczy w warunkach produkcyi ziarna w różnych okręgach rolnych państwa. Przeprowadzenie tego poszukiwania odnośnie do wszystkich trzech okręgów, zabrałoby nam za wiele czasu i miejsca, ograniczamy się zatém do porównania warunków produkcyi ziarna w Królestwie Polskiém, z warunkami téj produkcyi w innych częściach państwa, przyczém posiłkować się będziemy przeważnie materyałami urzędowemi, zebranemi przez departament rolnictwa i przemysłu wiejskiego.

II.

Jest faktem niezaprzeczonym, a przez departament rolnictwa stwierdzonym, że mimo gleby wogóle nie bardzo urodzajnéj, średnia wydajność plonów w Królestwie Polskiém z szeregu lat, poprzedzających rok 1889-ty, przewyższa plony najurodzajniejszych czarnoziemów Rosyi na ¼—½ ziarna. Tylko stosunkowo wysoka kultura, intensywność gospodarstwa rolnego jest tego przyczyną. Średni stosunek ilości bydła do przestrzeni gruntów dworskich i włościańskich w Królestwie jest większy, niż w innych okręgach państwa [1]). Ilość nawozu kładzionego corocznie na pole jest stosunkowo znacznie większa. Bardzo pouczające w téj mierze cyfry podaje departament rol. i p. w. w zbiorze artykułów noszących tytuł: „Rok 1887-my pod względem gospodarstwa wiejskiego.“ Według zawartych w tym zbiorze danych, w okręgu czarnoziemnym stepowo-południowym wywozi się na 1 dziesięcinę ziemi ornéj rocznie 0,5, *maximum* 20 pudów nawozu.

---

[1]) Szczegółowe dane znajdzie czytelnik w dziełach J. G. Blocha: „Ziemia i jéj odłużenie“ i „Kredyt melioracyjny“.

W Królestwie Polskiém wywozi się 300—450 pud., a w gub. Warszawskiéj 450—750 pudów. Więcéj niż 750 pudów na dziesięcinę ogólnéj przestrzeni wywożą tylko rolnicy tych gubernii północnych, w których zboże bez nawozu całkiem się nie rodzi. Ilość nawozu wpływa bezpośrednio na koszta produkcyi ziarna.

W kwestyi ogółu kosztów produkcyi ziarna, niezmiernie ciekawe dane zawiera wydany przez tenże departament tom III „Wiadomości rolniczych i statystycznych“. Według nich, koszta produkcyi 1 puda ziarna w Królestwie Polskiém wynoszą:

pszenica średnio	78 kop.	owies średnio	59,7 kop.
żyto „	71,9 „	jęczmień „	49,6 „

W pozostałych okręgach państwa ziarno wywożących koszta te wynoszą na 1 pud:

pszenicy	od 48,3 do 63,6	owsa	od 38,3 do 45,5
żyta	„ 41,3 „ 56,2	jęczmienia	„ 33,2 „ 42,3

Koszta zatém produkcyi są w Królestwie Polskiem wyższe, niż w pozostałych okręgach rolnych państwa:

na 1 pud.	pszenicy	o 14,4—29,7 kop.	na 1 pud.	owsa	o 14,2—21,4 kop.
„	żyta	o 15,7—30,6 „	„	jęczmienia	o 6,8—16,4 „

W powyższe obliczenie kosztów produkcyi wchodzi renta czy to w formie procentów od kapitału, włożonego w ziemię przez właściciela, czy to w formie opłaty dzierżawnéj. Po wyłączeniu z rachunku téj części wydatków, koszta produkcyi ziarna w Królestwie Polskiém wedle tychże danych stanowią:

na 1 pud	pszenicy	66,4 kop.	na 1 pud	owsa	48,8 kop.
„	żyta	59,1 „	„	jęczmienia	40,8 „

Koszta te w innych okręgach rolnych państwa wynoszą:

na 1 pud	pszenicy	41,3—51,8 kop	na 1 pud	owsa	28,3—38,8 kop.
„	żyta	31,8—49,6 „	„	jęczmienia	27,1—34 „

produkcya zatém ziarna w Królestwie Polskiém, nie wliczając nawet renty, droższa jest niż w innych okręgach państwa na:

na 1 pud	pszenicy	o 13 —25,1 kop.	na 1 pud	owsa	o 10 —20,5 kop.
„	żyta	o 9,5—27,3 „	„	jęczmienia	o 6,8—13,7 „

Cyfry powyższe departament rol. i p. w. opiéra na bardzo szczegółowych danych o kosztach produkcyi różnych gatunków zboża na 1 dziesięcinę ziemi; klasyfikuje te wydatki i oddziela w osobne rubryki: rentę, podatki, koszta ubezpieczenia, administracyi, renowacyi budynków i inwentarza żywego i martwego i koszta produkcyi wła-

ściwe, które znów dzieli na: koszta nawożenia, — uprawę roli, siew i pracę na roli aż do żniwa, — zbiór i zwózkę i nakoniec, młóckę i czyszczenie ziarna. Nie możemy tutaj, idąc za naszém źródłem przytaczać całego tego szeregu kolumn cyfrowych, któremi departament usprawiedliwia swe cyfry średnie, jakkolwiek dla specyalistów posiadają te szeregi niesłychanie wielki interes. Poprzestaniemy tylko na przytoczeniu, że podług tych danych koszta produkcyi właściwe, na 1 dziesięcinę ziemi, stanowią w Królestwie Polskiém:

przy uprawie pszenicy	37 rs. 45 kop.
„ „ żyta	26 „ 05 „

w innych zaś okręgach rolnych, produkujących ziarno na wywóz, stanowią:

przy uprawie pszenicy jaréj . .	od 14 rs. 26 kop.	do 20 rs. 19 kop.
„ „ „ ozimej . . .	„ 22 „ 56 „	„ 33 „ — „
„ „ żyta	„ 14 „ 25 „	„ 25 „ 01 „

Cyfry te dowodzą bardzo przekonywająco, że koszta produkcyi ziarna w Królestwie Polskiém są wyższe i to znacznie wyższe, niż w pozostałych okręgach rolniczych państwa i stanowią do 270% kosztów produkcyi ziarna w innych okręgach (pszenica na dziesięcinę 37,45 i 14,25 kop.). Wszystkie te cyfry dowodzą daléj, że gospodarstwo rolne w granicach Królestwa Polskiego prowadzi się intensywniéj, z większym nakładem kapitału i pracy, niż w innych okręgach rolnych Cesarstwa, z czego wypływają dwa bezpośrednie wnioski:

1) że w cenie ziemi w Królestwie część ceny, reprezentująca t. zw. własności urodzajne ziemi, jest mniejsza, a część ceny, reprezentująca kapitał włożony w ziemię w postaci inwentarza, budynków, rowów, płotów, nawozów i wszelkich melioracyi, jest większa, niż w innych okręgach państwa;

2) że mimo stosunkowo nizkiéj ceny robotnika, suma ogólna pieniężnego wynagrodzenia pracy, potrzebnéj do uprawy dziesięciny ziemi w Królestwie Polskiém, a więc ilość pracy użytéj na dziesięcinę, jest większa niż w pozostałych okręgach rolnych.

Ten ostatni wniosek pozwalamy sobie bliżéj objaśnić. W kwestyi, która nas obecnie zajmuje, w kwestyi wpływu nizkich cen zarobków na produkcyę rolną, zwracamy uwagę na trzy następujące okoliczności.

Jeżeli porównywamy cenę dnia roboczego u nas i w guberniach czarnoziemnych stepowych, nie powinniśmy zapominać, że przytaczane ceny są zwykle cenami sezonu letniego w epoce zbiorów siana i zboża. Po przejściu tego sezonu praca na roli w okolicach stepo-

wych ustaje i za wyjątkiem epoki orki i siewu (na jesieni lub na wiosnę, stosownie do uprawy ozimych lub jarych gatunków zboża), robotnik pozbawiony jest zajęcia na roli i musi emigrować do innych gubernii, przerzucać się do innego zajęcia dla znalezienia środków do życia. W Królestwie Polskiém praca na folwarku i w chacie z mniejszém lub większém natężeniem trwa rok prawie cały, dla zabezpieczenia sobie pewnego i sumiennego robotnika dwory utrzymywać muszą przez cały rok pewną liczbę parobków, fornali, ratai, — tak, że w ogólnéj sumie wydatków wynagrodzenie pracy, zużytéj przy uprawie dziesięciny ziemi, u nas wyższe jest, niż w innych okręgach rolnych.

Powtóre, utrzymanie i wychowanie inwentarza pociągowego w krainie stepowéj tańszém jest, niż w Królestwie Polskiém. Ceny najmu robocizny ciągłéj w zimie u nas i w okolicach stepowych nie o wiele się różnią [1]). Przy konieczności nawożenia i staranniejszéj uprawie roli wydatek na robociznę ciągłą jest u nas na 1 dziesięcinę większy.

Jeśli nakoniec mówimy o kosztach uprawy w gospodarstwie włościańskiém i powinniśmy kwestyę ceny pracy zupełnie wyłączyć z rachunku, bo praca włościanina siedzącego stale na roli ma cenę niewiadomą zarówno nad Wisłą, jak nad Donem lub Wołgą.

Na możemy zakończyć wyjaśnienia różnic w kosztach produkcyi ziarna bez zwrócenia uwagi na różnice w podatkach z ziemi u nas i w pozostałych okręgach Cesarstwa. Departament rolnictwa i przemysłu wiejskiego w przytoczonych przez nas tablicach kosztów uprawy zboża w różnych guberniach Cesarstwa podaje, iż podatki z ziemi wynoszą w Królestwie Polskiém:

na 1 dziesięcinę pod uprawą żyta . . .	rs. 3 kop.	80
„ pod uprawą owsa . . .	„ 1 „	90

w guberniach nadbaltyckich:

na 1 dziesięcinę pod uprawą żyta . . .	rs. 1 kop.	25
„ pod uprawą owsa . . .	„ — „	63

w pozostałych zaś guberniach Cesarstwa:

średnio na 1 dziesięcinę pod uprawą żyta . .	kop.	58
„ „ pod uprawą owsa . .	„	35

---

[1]) „Rok 1888-my pod względem gospodarstwa rolnego“, wyd. departamentu rol. i p. w.“ Cena średnia w zimie w Królestwie Polskiém 1 rs. 40 kop., w gub. stepowych 1 rs. 95 kop.

W pojedyńczych okręgach podatki z ziemi stanowią:

w guberniach czarnoziemnych połud. stepowych:

na 1 dziesięcinę żyta	od 28	do 60	kop.	—	średnio	kop.	47
„ owsa	„ 14	„ 30	„	—	„	„	24

w gub. południowo-zachodnich:

(kijowskiéj, wołyńskiéj i podolskiéj) (*maximum*)

na 1 dziesięcinę żyta . . .	kop.	60 do	74	—	średnio	kop.	68
„ owsa . .	„	30 „	37	—	„	„	34

Dokładność tych cyfr sprawdzić możemy, wchodząc w ich szczegóły, — przytaczając zasadnicze normy podatkowe, z których one wynikają.

Podatek gruntowy w Królestwie Polskiém pobiéra się na zasadzie Najwyższych Ukazów z d. 8/20 grudnia 1866 r. i 15 grudnia 1868 r. („Dziennik Praw“, t. 66, str. 99 i t. 69, str. 113), stanowiących dość skompletowane normy podatkowe oddzielne dla gruntów włościańskich, oddzielne dla gruntów dworskich. Opłaty te, doliczając do nich t. zw. podatek gruntowy dodatkowy, stanowią średnio:

1) z morgi gruntów włościańskich:

klasy I kop. 69 kl. II kop. 30 kl. III kop. 39 kl. IV kop. 8½

co wynosi na dziesięcinę:

klasy I kop. 135 kl. II kop. 58½ kl. III kop. 76 kl. IV kop. 17

2) z morgi gruntów dworskich średnio:

kl. I k. 68,1 kl. II k. 29,25 kl. III k. 93,34 kl. IV k. 37,92 kl. V k. 8,46

a na dziesięcinę:

kl. I k. 1,33 kl. II k. 57 kl. III k. 1,82 kl. IV k. 74 kl. V k. 16,5

Prócz podatku gruntowego, włościanie i obywatele opłacają podatek z domów zamieszkałych zwany podymném. Z podatków tych, według danych profesora uniwersystetu moskiewskiego, I. I. Janżuła („Zasadnicze podstawy nauki finansów“, str. 302), skarb państwa na rok 1888-my przewidywał dochodu:

z gruntów dworskich	rs. 2,700,000
„ włościańskich	„ 2,180,000
z podymnego	„ 1,475,500
Razem	rs. 6,355,500

Suma ta rozłożona na 112,000 wiorst kwadratowych, objętych granicami Królestwa Polskiego, stanowi rs. 56 kop. 70 na wiorstę kwadratową.

W pozostałych guberniach Cesarstwa podatek gruntowy wprowadzony został w r. 1875 i normy jego ustanowione ostatecznie w roku 1884-ym, wahają się od ¼ kop. z dziesięciny w guberniach Astrachańskiéj i Ołonieckiéj do *maximum* 17 kop. w gubernii Kurskiéj.

Według zacytowanego przez nas źródła (I. I. Janżuł, str. 296), budżet państwa przewidywał na rok 1888-my dochód z tego podatku w sumie rs. 13,048,662, które rozdzielone na 5,400,000 wiorst kwadratowych Rosyi europejskiéj stanowią rs. 2 kop. 40 z wiorsty kwadratowéj.

Jeśli przywiedzione przez nas cyfry rozdzielimy na ilość płacącéj je ludności wypada podatków z ziemi w Królestwie Polskiém (8,250,000 ludności) kop. 77, w Cesarstwie (100,000,000 ludności) kop. 13 na głowę.

Biorąc zaś za podstawę obliczenia cyfry przybliżone średniéj ogólnéj produkcyi zboża, takie, jakie je podają np. „Materyały", zebrane przez komisyę taryfową w r. 1889, wypada, że z każdego puda zboża wyprodukowanego w Królestwie Polskiém (200 milionów) skarb państwa pobiéra podatku 3,15 kop., z ziarna zaś wyprodukowanego w pozostałych okręgach rolnych państwa (1,500 milionów pudów) 0,81 kopiejek.

Na zakończenie tego zestawiania danych statystycznych, mającego nam posłużyć za podstawę do oceny wpływu taryf zbożowych na stosunki rolne w Królestwie Polskiém, pozwalamy sobie dotknąć jeszcze kwestyi wywozu i przywozu ziarna do Królestwa Polskiego, wyłączając z tego obrachunku gubernię suwalską. Wyłączenie to wynika z czysto technicznych względów a przyjętém zostało w urzędowych materyałach, jakie mamy pod ręką. Według danych oddziału statystycznego ministeryum komunikacyi, wyd. IV, 1889 r., — ogólny rezultat ruchu zboża w Królestwie Polskiém (bez gub. Suwalskiéj), biorąc go średnio za lata 1878—1885 wykazuje:

wywóz roczny średnio:	pszenicy		6,473,000 pud.
	żyta		6,552,000 „
	mąki żytniéj		20,000 „
	Razem		13,045,000 pud.
przywóz roczny średnio:	mąki pszennéj	329,000	
	kasz i krup	386,000	
	jęczmienia	399,000 „	1,114,000 pud.
	nadwyżka wywozu		11,931,000 pud.

prócz tego przywieziono owsa pudów 2,477,000.

W najlepszym z tego szeregu lat 1882:

wywieziono:	pszenicy	9,497,000	
	żyta	11,915,000	
	mąki żytniéj	29,000	
	jęczmienia	607,000	
	razem wywieziono		22,048,000 pud.
przywieziono:	mąki pszennéj	79,000	
	kasz i krup	668,000	
	razem przywieziono		747,000 pud.
	nadwyżka wywozu		210,301,000 pud.

przyczém owsa przywieziono pudów 1,785,000.

W najgorszym zaś 1884 roku:

wywieziono:	pszenicy	3,715,000	
	żyta	3,992,000	
	razem wywieziono		7,707,000 pud.
przywieziono:	jęczmienia	409,000	
	mąki pszennéj	860,000	
	mąki żytniej	138,000	
	kasz i krup	667,000	
	ogółem przywieziono		2,074,000 pud.
	nadwyżka wywozu		5,633,000 pud.

przyczém owsa przywieziono 5,278,000 pudów.

Zawieszenie szczegółowego wydawnictwa „Statystycznego o ruchu ministeryum dróg komunikacyi“, z którego zaczerpnęliśmy te cyfry, pozbawia nas co do lat następnych (po r. 1885) gotowego materyału statystycznego. Materyał surowy odnajdujemy w „Sprawozdaniach departamentu celnego“ o wywozie zboża przez różne komory celne europejskiéj granicy Rosyi i w „Sprawozdaniach statystycznych ministeryum komunikacyi“ o ruchu najważniejszych towarów, a więc przedewszystkiém zboża na kolejach żelaznych państwa.

Z zestawienia cyfr, podanych w tych źródłach, wynika, że w ciągu lat trzech 1886—1889 i 1890 (rok 1891 nie może być brany na uwagę ze względu na anormalne w tym roku stosunki zbożowe) średnio z Królestwa Polskiego (bez gub. Suwalskiéj):

wywieziono:	pszenicy	3,619,000	
	jęczmienia	262,000	
	grochu	530,000	4,411,000 pud.
przywieziono:	żyta	1,930,000	
	mąki i krup	2,308,000	4,238,000 „
	nadwyżka wywozu		173,000 pud.

wyraźnie sto siedmdziesiąt trzy tysiące pudów.

Owsa w ciągu tych lat przywożono średnio rocznie 3,529,000 pudów.

Szczegółowe dane co do każdego z tych 3 lat dołączamy w poniższéj tablicy, w któréj znak + oznacza wywóz, znak — przywóz w tysiącach pudów:

Rok	Pszenica	Żyto	Jęczmień	Groch	Mąka i kasza	Razem
1888	+ 5883	— 335	+ 1001	+ 981	— 2124	+ 5406
1889	+ 3086	— 2452	— 362	+ 306	— 3085	— 2507
1890	+ 1886	— 3003	+ 307	+ 307	— 1716	— 2378

Owsa zaś przywieziono:

w roku 1888	. . . . .	942,000 pudów
„ 1889	. . . . .	4,743,000 „
„ 1890	. . . . .	5,306,000 „

Cyfry te długich komentarzy nie potrzebują. Objaśniać zmniejszenie się średniego wywozu ziarna o 11,000,000 pudów wzrostem ludności w ciągu lat 3-ch, od 1885 do 1888 nie można. Stwierdzają cyfry owe tylko wyjątkową siłę klęski, poniesionéj przez Królestwo Polskie wskutek przesilenia rolnego. Stwierdzają one, że w ciągu lat ostatnich produkcya zboża w Królestwie Polskiém maleje, że z roku na rok ogół rolników coraz gorzéj gospodaruje i nietylko nie zwiększa nakładów rocznych, ale stara się — albo téż zmuszonym jest—coraz mniejsze nakłady na rolę robić.

Odkładając do następnego zeszytu objaśnienie, jaki wpływ na tak ukształowane nasze stosunki rolne miały taryfy zbożowe 1890 r. i jakie zmiany w taryfach tych byłyby ze względu na powyższe stosunki pożądanemi, zakończymy dzisiejszą kronikę paroma słowami. dotyczącemi spraw bieżących ze sfery przemysłowo-handlowéj.

W listopadzie otworzyło tutejsze Muzeum wystawy nasion, która, względnie na tutejsze stosunki, nieźle się udała. Szczególnie pogodne żniwa pozwoliły, prawie w całym kraju, zebrać ozime i jare zboża bez deszczu. Pszenica, żyto, jęczmień i owies uderzały i piękną barwą i wysoką wagą gatunkową. Mianowicie téż waga żyta, od roku 1874-go dotąd, nigdy tak wysoką nie była. Zapewne należałoby zapytać, jakie korzyści, oprócz zadowolenia miłości własnéj z dyplomów i medali, — odnieśli lub odniosą wystawcy? Ozimego zboża do siewu nie sprzedadzą, bo zwykle kupuje się zboże nowe w sierpniu, a nie wiadomo, jak téż ono po żniwie 1893 roku wyglądać będzie. Pozostaje zboże jare i nasiona okopowych i traw. Życzymy wystawcom, by jak najwięcéj owsa do siewu sprzedali, bo co do jęczmienia

to najpiękniejsze gatunki, zebrane w jędrzejowskim wcale na wystawie reprezentowane nie były a z Powiśla wystawiono mało. Spożycie jęczmienia tak w browarach miejscowych jak i pokup do browarów w Cesarstwie, wzrasta z każdym rokiem. Nie wszędzie jęczmień się udaje, lecz gdzie się udaje, tam jego uprawę osobliwą warto otaczać opieką, — bo w bieżącym np. sezonie, na wagę funtową licząc, sprzedawano wyborowy jęczmień na równi z pszenicą, zwłaszcza gdy był starannie młócony. Jęczmień z gatunku Hanna podobno najlepiéj się na tutejszych gruntach udaje.

Rozszerzająca się z każdym rokiem produkcya nasion buraków cukrowych, miała wcale wdzięczne pole do popisu, tém więcéj, że próby zarządzone dały korzystne dla krajowych nasion wyniki. Zapewne téż niedługo już krajowa produkcya tych nasion, jeśli równie umiejętnie i celowo pracować będzie, potrafi wyrugować ogromny dowóz nasion magdeburskich. Obecnie ³/₄ nasion buraczanych sprowadzają krajowe cukrownie z zagranicy.

Publiczność oglądająca wystawę nasion przechodziła około okazów produktów nabiałowych, suszonych owoców i warzyw do długiego frontowego salonu Muzeum, gdzie w drugiéj połowie zeszłego roku rozstawiła swe kioski i witryny stała wystawa prób i wzorów (wejście bezpłatne).

Wszędzie gdzie zagranicą powstaje podobna instytucya, — cieszy się ona poparciem, a już co najmniéj — udziałem całego przemysłu. Na inném miejscu, czytelnik znajdzie wzmiankę, że dwa piętra olbrzymiego nowego gmachu giełdy w Filadelfii, zajęte zostały na wystawę prób i wzorów przemysłu filadelfijskiego.

Słyszeliśmy od inicyatorów tutejszéj wystawy prób i wzorów, że umieszczenie okazów na pierwszém piętrze wpływa dodatnio na zwiększenie liczby zwiedzających, lecz nowych wystawców przybywa niewielu, pomimo, że taryfa opłat zaczyna się od rs. 3.75.

Czyżby rzeczywiście przemysłowcy nie wiedzieli o tym sposobie taniéj a skutecznéj reklamy, nie rozumieli, jak ważną dla nich jest sposobność stałego przypominania o sobie licznym odwiedzającym wystawy, z których wielu w celach handlowych z dalekich stron przybywa?

Dla ścisłości zaznaczyć tu należy, iż między Muzeum i wystawą stałą prób i wzorów, ten tylko istnieje związek, że Muzeum pobiéra komorne za lokal od Zarządu wystawy.

W jednym z tygodników za grudzień znaleźliśmy ostre słowa krytyki przeciw Muzeum i wystawie skierowane — pozwalamy sobie

tylko pod adresem krytyka powiedzieć: „sztuka jest trudną, krytyka łatwą“ i prosić o wskazówki pozytywne.

Pod tym samym dachem, w końcu grudnia miało miejsce sprawozdanie delegacyi o szeregu postulatów jakieby przy oczekiwanéj reorganizacyi Banku państwa ujawnić należało.

Śród długiego szeregu wniosków, którym życzymy powodzenia, zasługuje na szczególne wyróżnienie prośba o ściąganie należności za weksle przez woźnych Banku w pierwszym dniu płatności weksli. Zasady prawnéj do żądania, aby dłużnik wekslowy z swą należnością przybywał do wierzyciela, w ościennych państwach nie znają, i teraz, gdy w wyższych sferach rozciągają szczególną opiekę nad maluczkimi, pewno prośba tutejsza, trafiając na przychylne usposobienie, dodatni skutek odniesie.

Druga prośba idzie także za duchem czasu, bo wskazuje na sposób poważnego ułatwienia kredytowego dla fabrykantów. Idzie bowiem o częściowe uruchomienie kapitału, użytego na zakup surowego materyału, np. zboża, wełny, drzewa, bawełny i t. d.

Postulat odczytano w téj osnowie:

„Że najdogodniejszą dla towarowego kupca i fabrykanta jest pożyczka na zastaw towarów, dowodzić nie potrzeba, idzie tylko o to, aby formalności, z uzyskaniem pożyczki związane, aby formy zastawu, były możliwie nieskomplikowane, a jednak dawały Bankowi zupełne bezpieczeństwo. Idzie mianowicie o lombardowanie towarów w zakładach prywatnych, gdziebądź takowe się znajdują, bez oddawania kluczy Bankowi, i bez nakładania pieczęci.

„Zatém należy wynaleźć formułę prawną, któraby dała Bankowi przywilej przed wszystkimi wierzycielami na zastawionym towarze, któraby usunięcie całości lub części zastawionych przedmiotów łączyła z tak wielkim dla interesantów ryzykiem, by i z téj strony Bank miał pewność prawie absolutną.

„Zdawałoby się, że uzyskanie takiego prawa w ustawach, któreby dało możność, w danym razie, pociągania do odpowiedzialności kryminalnéj nietylko lombardujących, lecz i osoby dozorców danego mienia (przez Bank ustanowionych), pozwoliłaby Bankowi, operacyę zastawu towarów znacznie rozszerzyć.

„Zapewne, i w téj sferze działalności, charakter dłużników, charakter i położenie towarzyskie ustanowionych dozorców, obok porządnie prowadzonych kontroli buchalteryjnych, miałyby znaczenie decydujące w orzeczeniach wysokości i warunków kredytu przez komitet dyskontowy.“

Praktyczna strona działalności Banku Państwa, jaką ona jest

a jaką być może, właśnie ze względu na oczekiwaną reformę, zasługuje na bliższe rozpatrzenie — co też nastąpi w najbliższym numerze.

Na rok 1893 Muzeum przemysłu i rolnictwa organizuje wystawę skór i wyrobów skórzanych. Będzie to — po wystawie tkackiéj — druga wystawa przemysłowa specyalna, obejmująca jedną tylko gałąź przemysłu, a o ile wiemy, pierwsza z szeregu wystaw specyalnych, jakie komitet Muzeum w latach następnych urządzić zamierza. Wystawy, obejmujące całość przemysłu krajowego, stają się z biegiem czasu coraz trudniejszemi do urządzenia, przemysł nasz w ostatnich latach tak się rozwinął, iż organizacya wystaw ogólnych przemysłowych przechodzi środki, jakiemi Muzeum rozporządza. Prócz tego, wystawy specyalne tém są pożyteczniejsze, że odpowiednio do wyspecyalizowania wystawy pozwalają na lepsze zbadanie stanu pojedyńczych gałęzi przemysłu, na ściślejsze obliczenie tego, co już zrobiono a co do zrobienia pozostaje.

Takie obliczenie szczególniéj u nas jest pożytecznném i pożądaném. Lat temu 30 przemysł nasz zwolna się dopiéro podnoszący — obecnie znajduje się w téj epoce życia, w któréj peryodyczne egzamina są bardzo na dobie. Mimo stosunkowo wysokiego rozwoju u nas garbarstwa i zasłużonéj, dobréj opinii, jaką w kraju i po za krajem skóry nasze używają, nie robimy u siebie jeszcze wszystkiego, czego potrzebujemy i sprowadzamy z zagranicy pewne gatunki skór wyprawionych. Z wyrobami ze skóry stoimy podobno gorzéj jeszcze. Galanterya skórzana krajowa istnieje od lat kilku i bardzo wiele materyału i artykułów dodatkowych sprowadza z zagranicy. Co do narzędzi i maszyn, któremi się ta gałąź przemysłu posługuje, są one przeważnie pochodzenia zagranicznego.

Bardzo niedawno zaszła kwestya, dlaczego pewien gatunek skór, na obuwie używanych, w kraju się nie wyrabia? i dlaczego próba wyrabiania go przedsięwzięta niedawno w Warszawie nie udała się, naraziwszy przedsiębiorcę na poważne straty? Obok zdania, że próba udać się nie mogła, bo zbyt tego gatunku skór w kraju jest za mały — słyszeliśmy i inne zdanie, że próba przedsięwziętą była w warunkach technicznie fałszywych i dlatego straty przyniosła.

Meble kryte skórą są u nas dość często używane; obijamy je jak dotąd zwykle skórami gładkiemi, a zamiar pokrywania mebli skórą ozdobioną jakimkolwiek ornamentem rozbija się o wysoką cenę skór wytłaczanych i wypalanych, sprowadzanych z zagranicy. Podobno gdzieś w kraju wyrabiają się już skóry wypalane — ale o fabryce czy zakładzie tym prawie nikt nie wié i wyroby te mało kto widział.

Wszystkim także wiadomo, że w mieście naszém sprzedają się

nieraz galanterye skórzane krajowe jako towar zagraniczny i płaci się za nie ceny zagraniczne. Przeciętny producent nie posiada środków dostatecznych do bezpośredniéj sprzedaży detalicznéj, a pośrednik sprzedaje jego wyrób za krajowy lub zagraniczny, stosownie do okoliczności.

Bardzo poważne miejsce w naszym wywozie zajmują buty i rękawiczki. Rozszerzenie zastosowania maszyn w obu tych gałęziach produkcyi mogłoby przemysłowi naszemu duże przynieść korzyści i nie pozostałoby bez wpływu na dostawy skór i wyrobów skórzanych dla armii.

Czy wystawa skór i wyrobów skórzanych wszystkie te kwestye wyjaśni, czy powoła do życia nowe gałęzie produkcyi, a już istniejące rozszerzy, czy ułatwi zbyt i wpłynie na postęp w technice — zależy to nietylko od powodzenia wystawy, ale i od ziszczenia się innych warunków, których sama wystawa otworzyć nie może.

Zamierzona na luty wystawa ma program stosunkowo obszerny, dzielić się będzie na dwie grupy: skór i wyrobów skórzanych. Grupa pierwsza obejmuje garbarstwo, białoskórnictwo i kuśnierstwo — grupa druga: szewctwo, rękawicznictwo, siodlarstwo z rymarstwem, introligatorstwo z galanteryą skórzaną; dział piąty grupy drugiéj objąć ma wszelkie wyroby skórzane, poprzedniemi działami nie objęte.

Do konkursu o nagrodę stawać mogą tylko krajowi producenci. Komitet wystawy zamierza urządzić na wystawie małe warsztaty objaśniające poglądowo sposoby produkcyi i uprosić specyalistów o udzielanie w pewnych godzinach ustnych objaśnień o najnowszych postępach techniki. Jakie praktyczne rezultaty wyda wystawa, zależéć to będzie przedewszystkiém od zajęcia się tą sprawą osób najbardziéj w niéj zainteresowanych — producentów skór i wyrobów skórzanych.





OSTATNIE DRAMATA IBSENA.

I.

Nerw dramatyczny stępiał nieco na Zachodzie, zblazował się skutkiem nadmiernéj czynności innych nerwów... Ludziska czują to dobrze i coraz częściéj zaglądają do skarbca twórczości północnéj, surowéj trochę, ale właśnie dlatego mało robaczywéj. Lew Tołstoj zaczyna im smakować więcéj, niż wytworny, słoneczny i zaokrąglony i w miarę smutny Daudet, a Ibsen uprzytomnił im całą nicość ideową sztuk Feuilleta i Sardou. Ba! nawet Augiera sceny stołeczne nie witają taką fanfarą, jak twórcę „Nory". Co za bluźnierstwo!...

I do nas przedostaje się już tchnienie świeższe — właściwie mówiąc — dopiéro od wczoraj, bo jakkolwiek teatr miejscowy wystawił „Norę" lat kilka temu, to przecież powodowano się nie pobudką głębszą, nie hasłem nowych w poezyi i literaturze prądów, lecz niezmierną jedynie efektownością utworu. I znowu upłynęło dużo wody a na niéj pojechała do morza zapomnienia cała flotyla eleganckich, spacerowych czółenek francuskich, w których była ławeczka tylko dla jednéj osoby—autora, mknącego tą drogą do sławy. Żaden towar cenniejszy w bacikach tych przewożony nie był, jak w bańce mydlanéj żadna myśl ku górze nie wzleci.

Gdy teraz oto skosztowano dramatów rodzaju Ibsenowskiego, choć podpisanych imieniem Sudermanna— smakowały nadspodziewanie. Słuszna więc, że od ucznia, którego zasługę wydęła niepomiernie reklama niemiecka, kierownicy sceny przechodzą do mistrza i oto w ubiegłym miesiącu wystawiono z nienajgorszym rezultatem „Heddę Gabler". Trudno oprzéć się pokusie skorzystania z téj okazyi i nie podzielić się z czytelnikiem kilkoma uwagami o dosyć zawi-

łéj idei przewodniéj Ibsena, w téj zwłaszcza formie, w jakiéj się ona wyłania z ostatnich jego utworów, do których i wspomniana sztuka należy. Tém słuszniejsza wdać się w taką analizę, że głośny poeta norweski jest coraz bliższym kresu swéj działalności i duchowe oblicze jego, obfitujące w momenta niejasne a nawet zagadkowe, uwydatniło się prawie zupełnie. Wypowiedział w ostatnich latach wszystko, czego trafnie lub mylnie trzeba się było domyślać.

Oczywiście mglistość ta malała znakomicie dla tych, co stojąc po nad modą, śledzili systematycznie i porównywali wszystkie, nawet najdawniejsze dzieła Ibsena, a jakie takie rozumienie ukrytego pulsu epoki prace te jeszcze ułatwiało. Można więc było spostrzedz, że szedł on z początku śladami Goethego. W pierwszych bohaterach swoich dawał światu ów piękny gatunek osobników, których Spielhagen nazwał raz w „Naturach zagadkowych" dosyć zręcznie: *Faustuli posthum*, ale z namiętnościami bez porównania nowszemi, takiemi niemal jak dusza teraźniejszych jego postaci. W „Brandzie", „Cesarzu i Galilejczyku" odzywała się ta sama prawie pobudka, co w dramatach świeższéj daty, jeno odziana była w formę szeroką, myślicielską, wszechludzką. W piersiach jednostek wrzała tragedya całego rodu ludzkiego. Brand, naprzykład, całkiem jawnie zatrącał o „Fausta", lecz męczył się nie problematem świata, bezmyślnością mieszkańców naszego globu. Było to głębokie, wysoce poetyczne, ale dla ogółu za trudne i za oderwane, a więc mało działające na poczucie efektu. To też o autorze wiedzieli zaledwie coś owoś, i wspominali ziomkowie jego.

Musiał więc zstąpić z wyżyn abstrakcyi poetycznéj. Odgadł, że hasłem poezyi naszego wieku jest teatr namacalny, widomy i zaciekawiający, rozpowił swojego ćwieka z osłonek filozofii i ubrał w sukienkę barwną i jaskrawą. Posypały się wnet laury i zapachniały kadzidła. Wszyscy, dbający o tytuł pokolenia przyszłości, pisali o każdym jego nowym dramacie, jak o literackiém *événement;* różne partye i obozy społeczne dopatrzyły się w nim rzecznika swoich ideałów, a krytyka wznosiła oczy do nieba z zachwytu nad robotą sceniczną.

Tym sposobem ćwiek poety-myśliciela zniknął pod grubą i pogmatwaną plecionką akcyi i dyalektyki. A publiczność, niemiecka zwłaszcza, nie czuła go pod palcami całego, lecz tylko niektóre punkciki, wyzierające na zewnątrz i przystępne nawet dla tępogłowych serwilistów talentu. Nawet bystry i wytrawny Brandes unosi się przesadnie nad techniką Ibsena [1]) i zapomina, jak często bywa ona

---

[1]) Henrik Ibsen und seine Schule in Deutschland. „Frankfurter Zeitung".

naciąganą. Mylą się téż społecznicy, gdy twierdzą, że głosi on socyalizm i zawsze kopie w jego obronie kruszy. Prawda, że przemawia on gorąco i szczerze za stanem czwartym w „Podporach społeczeństwa" i gromi większość liberalną we „Wrogu ludu", lecz to stanowi tylko jednę z wielu części składowych jego myśli przewodniéj, która zawiéra coś więcéj. Czy traci urok jego imienia na tém, czy zyskuje — to już inna sprawa, ale fakt, że ułamek nie równa się całości.

Rdzeń Ibsenizmu nie wiele się w bliskiém obcowaniu z salą teatralną zmienił. Jego indywidualność autorska nie przechyla się na stronę jakiegoś nowego kierunku w dramacie i jeżeli tworzy nową szkołę, to pospołu z całém gronem pisarzów skandynawskich a po części i słowiańskich. Potrafili oni rozwiązać trudne zagadnienie tendencyi w sztuce. Przyniósłszy bowiem z sobą na ziemię nowego ducha, nowe nerwy, nową krew, wypowiedzieli krytykę teraźniejszości i łaknienie reformy samą swą jaźnią, a bez pomocy wywieszonego na pokaz sztandaru, po którego usunięciu dzieła traciłyby całą wartość. Knut Hamsun umié zamknąć w epopei podmiotowego „Głodu" pełną satyrę na całą sytą i niegodziwą ludzkość i spółczucie dla wszystkich spragnionych i opuszczonych. Arno Gaborg opowiada tylko zwyczajną historyę dziewczęcia, wychowanego bez opieki i miłości („U mamy") i nie sprawia ani na chwilę niesmaku, który płynąłby z chęci moralizowania, a jednak poruszył serca wszystkich pojmujących dzisiejsze sieroctwo kobiety—i bezradność kobiety.

W „Znużonych duszach" prawi tylko o sobie, jest ścisłym egoistą, a przecież ośmieszył dyabelską ironią całą nicość społeczeństwa naszych dni, i pokazał całą gehennę tortur, w których wije się jednostka lepsza — mocą jego praw i bezprawi.

Oto nowa szkoła. Do niéj należy tylko jako *primus inter pares* Henryk Ibsen, a złudzenie, jakoby miał monopol nowatorstwa pochodzi stąd, że odważył się zrobić naczyniem idei społeczno-etycznéj, dramat sceniczny, w którym tak często ostatniemi czasy widzieliśmy popisy flirtu i krawieczyzny.

Nie jest też on specyalistą od wymiatania śmieci z instytucyi małżeństwa — jak chcą inni, ani téż, jak opiewają bzdurniejsze jeszcze komentarze, wyrazicielem społecznego pesymizmu. Naprzód bowiem zaprząta go stosunek moralny ludzi do siebie, nie zaś forma pożycia, a powtóre wierzy w możność przetworzenia się natury ludzkiéj, jak w „Pani z morza" i „Podporach społeczeństwa" (Konsul Bernick) i kwituje ze zbyt wygórowanych wymagań, jak w „Dzikiéj kaczce".

Oto gotowy kryształ jego najistotniejszych pragnień: „Nieodzownym warunkiem szczęścia osobistego jest wolność woli“. Rzecz jasna, iż mowa tu nie o odwiecznéj zagadce filozoficznéj tak zwanego, *liberum arbitrium.* Wolnym a zatém i szczęśliwym jest człowiek, który ma zupełną świadomość swych czynów, zarówno popełnionych jak zamierzonych. Musi on w potrzebie stawać się podsądnym własnego sumienia, własnéj etyki, lub choćby tylko mądrości życiowéj, i jeśli zasłuży na to, skazać się na srogą pokutę a nawet na śmierć! Ludzie Ibsena są tym gatunkiem, co to w razie zbrodni lub małości ducha czują nad sobą fatalność swojego błędu, kłamstwa lub przymusu zewnętrznego. Spełnione zło, ujma, zrobiona prawdzie, świętemu obowiązkowi lub rozumnéj świadomości, wisi nad nimi w powietrzu lub trawi łono zatrutém żądłem i choć nie zawsze odbiéra im sen, to jednak czyni zadowolenie krótkotrwałém, chyba, że równowaga moralna przywróconą zostanie. I to nietylko między mężem a żoną, lecz tak samo między jednostką a społeczeństwem. Nora musi rozłączyć się z mężem nie dla takich np. powodów, jak złamanie wiary, lecz dlatego, że bezwiednie, w nieświadomości prawa i etyki, zadrasnęła honor swój i męża. Z chwilą, gdy się jéj otworzyły oczy i pojęła jak mało przysposobiona jest do ważnéj swéj roli, nie chce żyć dłużéj w niewoli błędu. Autor zaś umotywował jego konieczność tak dobitnie i takim otoczył urokiem moralnéj restytucyi, że filister ani się spostrzega, iż ma przed sobą gorszącą, jak mawiać zwykła opinia, separacyę. Konsul Bernick nie zbiéra owoców swego układnego i zręcznego podstępu i oszustw. Furya własnéj myśli kąsa go aż do tragicznego prawie bólu, a wtedy zrzuca z siebie odrazu zdradę i fałsz, niby brudny łachman, ciska czczym pochlebcom w twarz ich miodowe słówka i obłudną służalczość, wydobywa się z występku, w którym grząsł po same uszy i staje się na nowo szczęśliwym i spokojnym przez wolność i prawdę. I to samo w „Rozmerholmie“ i nawet w „Upiorach“, choć tu klęska matki i syna jest niezasłużoną; jest jednak konieczną wedle poetyckiego poglądu Ibsena, gdyż oboje są ofiarami jarzma i gwałtu.

Zatrzymajmy się dłużéj nad utworem przedostatnim — „Panią morza“, a znajdziemy nowe potwierdzenie swéj tezy. Poemat to zresztą i z wielu innych względów ciekawy i wart poznania.

Ellida Wangel — to stworzenie o tak odrębnym i czysto skandynawskim ustroju, że aby ją zrozumiéć i odczuć, trzeba rozważyć wszystkie jéj słowa, śledzić ruchy, oglądać ją, jak dziwny kwiat, przywieziony pod kloszem z dalekich stref, a co główna, przenieść się myślą do dziwnego środowiska jéj życia. Jesteśmy tedy w jedném

z nadbrzeżnych miast północnéj Norwegii, które widać z morza tylko przez wązki wyręb w ścianie gór i opok. Z ustronnéj téj piędzi ziemi zrobiono niewielką lecznicę, którą kieruje w charakterze lekarza, mąż Ellidy. Wziął on swą żonę jak gdyby wprost z otwartego oceanu, wyrosłą pod bokiem ojca latarnika śród burzliwych fal na samotnéj wyspie. Odebrała wprawdzie lepsze wykształcenie, ale za dużo miała swobody a mało towarzystwa odpowiednich ludzi. Kiedy więc doktór Wangel, wdowiec i ojciec dwu dorastających córek, wyznał jéj swą miłość i poprosił o rękę, oddała się bez namysłu.

Po paru latach spokojnego pożycia we czworo, między młodą kobiétą a jéj mężem i pasierbicami staje duch nieufności. Nad strzechą domową zawisł niewidomy, a przygniatający ciężar. Skutkiem tego nawet jedno z dziewcząt gorąco przywiązane do macochy, musi swe afekta tłumić. A sami małżonkowie wrócili do stosunku, który świadczy o żarliwéj czci dla miłości „platonicznéj"...

Ellida stawała się coraz bardziéj zadumaną i w własnym smutku pogrążoną; azwłaszcza od chwili, gdy ktoś niedyskretny zdradził, że pamięć jéj poprzedniczki w tym domu nie wygasła bynajmniéj. Bo oto wieńce i girlandy i nastrój świąteczny, któremi miano jakoby witać dawnego nauczyciela, okazały się cichą rocznicą urodzin pierwszéj żony Wangla. Uczuła się jeszcze bardziéj obcą — i to jest moment, który osobliwie zapamiętać należy.

Doktór, choć w swym zawodzie nie kiep, był bezsilny wobec tajemniczéj choroby tak bliskiéj sobie pacyentki. Powodowany miłością i obawą złych następstw zażądał od niéj otwartéj spowiedzi i oto usłyszał ciekawą, zaledwie prawdopodobną historyę...

Kiedy Ellida oddawała mu swą rękę, nie była całkiem wolną. Już na parę lat przedtém pozyskał jéj wzajemność przybysz z dalekich stron, fino-lapończyk, podający się za anglika, to znów za amerykanina. A wywierał on urok dziwny, niepojęty, ale i nieprzeparty; panował nad uczuciami dziewczyny, jak silny hypnotyzer, jak kieruje magnetyzm globu igiełką kompasu; czarował ją przepaścistym wzrokiem, wabił na przestwory morskie i nieznane odmęty, odwagą romantyczną i — obiecał pojąć za żonę. Wprzód atoli miał jeszcze odbyć długą i daleką podróż na własnym statku i zamiast przysięgi, wymógł na Ellidzie pierścionek, który złączywszy ze swoim stalową obrączką, rzucił w głębie oceanu, mówiąc:

— Teraz oboje poślubieni jesteśmy morzu.

Odtąd już go nie widziała. Pisywał rzadko a o połączeniu się z nią nie wspominał. Uważał je snać za fakt prawie spełniony, który, jak prawo przyrody, spełnić się musi. Nawet i wtedy, gdy znie-

cierpliwiona prosiła o zwrot słowa, odpowiedział tylko, dokąd się udaje. W milczeniu jego był despotyzm, była pewność zapadłego ostatecznie wyroku.

Wyszła więc za Wangla, ale o zagadkowym marynarzu pamięci nie straciła. Gdy miała zostać matką, ujrzała go raz w halucynacyi, przerażająco wyraźnie i dobitnie. Dziecko zaś miało jego oczy, bezdenne i jak morze migotliwe, w dni burzy czarne jak otchłań, a w pogodę niebieskie, jak fiord północny.

Dziś Wanglowa już dlań sentymentu nie ma, owszem, pragnęłaby duszą całą zrosnąć się z radością, ale nie może. Czuje, że byłoby to złamanie wiary, a czuje okropniéj, odkąd doszła ją groźna wieść, przyniesiona przez młodego, naiwnego rzeźbiarza, który bawi w téj miejscowości na kuracyi. Poznał on mianowicie na okręcie tajemniczego żeglarza, osobistość zamkniętą w sobie, ponurą, nieznaną dobrze ani z nazwiska ani z pochodzenia. Jegomość ten czytając pewnego razu gazetę norweską, wpadł nagle w gniew szalony, podarł pismo ma drobne kawałki, rzucał się wściekle i mówił do siebie:

— Do mnie ona należy i moją musi zostać. I za mną iść musi, gdy po nią przyjdę, jako topielec z czarnego morza!

I przyszły mistrz dłuta żywo malował słowami — topielca, ociekającego jeszcze wodą upiora, który staje znienacka nad łóżkiem niewiernéj żony...

Już więc dyagnoza postawiona — trzeba wziąć się do leczenia. Wangel zaczyna od perswazyi, prawi o przesądach i rozstrojonych zwyczajnie nerwach. Ale rozsądek nie ma nad jego żoną władzy. Tęskni ona za oceanem i za wszelką cenę wrócić do niego musi. Staje tedy umowa, że czas jakiś spędzi na rodzinnéj swéj wysepce. Ale zdarzyło się coś, co wszystkie plany popsuło i na nowo zachmurzyło widnokrąg. Pewnego razu, gdy siedzieli w parku, jakby z pod ziemi wyrósł nagle tajemniczy nieznajomy. Jakgdyby Wangla wcale nie widział, utkwił wzrok w Ellidzie, zbliżył się i przypomniał dawne śluby. Zaczęła drzéć na całém ciele, chciała uciec, błagać o pomoc. Ale była jak ptaszę pod wzrokiem magnetyzującego je węża. Przybysz jednak nie uląkł się ani gróźb, ani cierpkiéj odprawy doktora i powtarzał wciąż jedno: że przychodzi po swą własność. Każe jéj być gotową następnego wieczora do drogi, nie zważa na drwiny jéj męża i nie wątpi wcale, że ona się stawi, gdy dzwon na parowcu, czekającym w przystani, da sygnał do odjazdu.

W końcu, nie tracąc nic ze swego fatalnego i groźnego spokoju, odszedł.

Ellida, odetchnęła. Czuła się już bezpieczną pod tarczą miło-

ści męża, który ułagodził jéj nerwy wzburzone i przyśpiesza uplanowany wyjazd, ażeby uprzedzić ponowne spotkanie. I znowu niebo się rozjaśnia.

Lecz w miarę, jak chwila ucieczki się zbliża, biédna kobiéta traci moc ducha. Urok żeglarza znów działa na nią. W uszach brzmią coraz bardziéj złowrogo pożegnalne jego słowa, że jeśli ulegnie namowom męża, już swego oblubieńca z nad morskich otchłani nie ujrzy nigdy, nigdy!... Nazajutrz, nim jeszcze stanął w porcie jego okręt, ona już go przeczuła. Coś ją prze ku morzu i węzły rodzinne z każdą chwilą wątleją w jéj duszy, targanéj okrutną walką. Wreszcie zjawił się i sam ciemiężca, pewny swych praw, milczący, nieubłagany. Nieczułym jest nawet na poważne groźby. Wangel wié o pewnéj jego zbrodni, będącéj jakoby aktem zemsty i gdyby chciał, mógłby go oddać w ręce sprawiedliwości.

Ale młodą kobietę magnetyzm już ubezwładnił i oto wybucha gwałtowna rozprawa, która jest przesileniem dramatu i ukazuje nam jaskrawo dno duszy samego Ibsena.

Ellida. Wangel!... możesz mnie zatrzymać, masz po temu siłę i środki!... Ale mojego serca, moich myśli, ale wszystkich mych tęsknot i pożądań—skrępować nie możesz! One będą wybiegać wciąż ku nieznanym obszarom, dla których jam stworzona, a któreś ty przedemną zamknął.

Wangel (*w cichym bólu*). O, widzę to dobrze, Ellido! Krok za krokiem wyślizgujesz mi się. Żądna tego, co niezmierzone i bezgraniczne i co niedościgłe, co gna twojego ducha ku potężnym mrokom.

Ellida. O, tak, tak, ja czuję nad sobą, jakgdyby czarne ciche skrzydła.

Wangel. Do tego nie dojdzie. Dla ciebie innego ratunku nie ma. Ja go przynajmniéj nie widzę. I dlatego—dlatego—cofam naszą umowę. Teraz więc możesz sama wybrać swoją drogę, wolna zupełnie, zupełnie.

Ellida (*chwilę wpatruje się w niego, jakgdyby wydobyć głosu nie mogła*). Jestże to prawdą, co ty mówisz! Czy myślisz tak i w głębi twego serca?

Wangel. Tak— tak myślę w głębi mego, boleścią znękanego serca.

Ellida. I masz na to siłę! I możesz pozwolić na to?!

Wangel. Tak, mogę, bo cię tak bezgranicznie kocham.

Ellida (*cicho i ze drżeniem*). A więc tak bliską, tak bliską jestem sercu twemu?!

Wangel. Uczyniły to lata i wspólne pożycie.

Ellida (*uderza w dłonie*). A ja, a ja tego wszystkiego nie widziałam!

Wangel. Tak, teraz możesz wybiérać swobodnie i na własną swą odpowiedzialność. Ellido!

Ellida. Swobodnie—mówisz. I na własną odpowiedzialność? O w tém leży siła przełomu.

(*słychać dzwon okrętowy*)

Nieznajomy. Słyszysz, Ellido! Dzwonią po raz ostatni. A więc chodź!

Ellida (*odwraca się ku niemu i mówi głosem silnym*). Nie pójdę z panem potém, co tu zaszło.

Nieznajomy. Nie pójdziesz!

Ellida (*tuli się do Wangla*). O, nie opuszczę cię nigdy po téj ostatniéj chwili.

Wangel. Ellido — Ellido!

Nieznajomy. A więc wszystko minęło?

Ellida. Wszystko i na wieki!

Jedna z córek doktora widziała potém swego ojca z Ellidą, promieniejących szczęściem. Szli ręka w rękę, jak para narzeczonych.

I w rzeczy saméj, od téj chwili dopiéro należeli do siebie naprawdę.

Czyż można wymyśléć większą niespodziankę nad to rozwiązanie? A więc nawet potężny magnetyzm człowieka i magnetyzm oceanu ulotnił się pod podmuchem miłości i swobody wyboru? Ondyna została nimfą lądową, ptak nieoswojony, przemocą w klatce zamknięty, wrócił do niéj dobrowolnie, dla tego, że go dobrowolnie wypuszczono. Na długo przedtém kiedy Ellidę zaczęła niepokoić tęsknota, nazwała ona swój związek małżeński układem kupieckim. Wprawdzie nikt jéj do niego nie zmuszał, nikt nie kupował ani sprzedawał i szła jedynie za poszeptem zdrowego rozsądku, bez cienia niechęci, a jednak nie była to wolność bezwzględna, swoboda natury żywiołowéj, wzrosłéj na łonie żywiołu, którego nikt nie kiełzna i nie jarzmi. Była to raczéj szorstka aklimatyzacya, bezowocna dopóty, póki dzikiéj rośliny nie ogrzano ciepłem serdeczném i bezprzykładnym dowodem poświęcenia.

Tutaj tendencya jest aż nadto widoczną — leży na wierzchu wyciągnięta za włosy i sprowadza artystyczną wartość dramatu niemal do zera. Ale jako nowy waryant poetycznéj i głębokiéj idei Ibsena, ma powab niezaprzeczony. Tłómaczono ją sobie w ocenach

i zaściankowo i płytko, twierdząc, że autor chciał wynieść pod niebiosa małżeństwo z miłości i niezależność kobiét. I u nas tak „Panią z morza“ zrozumiano. Tymczasem dla niego są to sprawy dawno rozstrzygnięte, i popiérać ich nie ma już potrzeby. On sięga dalej i daje do poznania, że nawet sentyment, wzajemny szacunek i niewątpliwa życzliwość nie tworzą istotnéj spójni, jeżeli wchodzi w grę jakikolwiek przymus moralny, widmo obowiązku lub obawa wstawiennictwa zasady prawnéj. Jestto więc cześć wewnętrznego samorządu, posunięta prawie do manii. Wola dobra, ale nie wolna, nie sprawia nic, nawet gdy jéj przychodzi z pomocą wdzięczność.

Oczywiście, pod wpływem téj manii Ibsen staje się aż optymistą. Zapomina on, że taki nieskażony cywilizacyjną tresurą twór przyrody, jak Ellida, nie zmienia raptownie swego ustroju i temperamentu pod wpływem czyjéjś tkliwości i altruizmu. Czyż przywiązanie męża może zaważyć więcéj, niż nostalgia? Hm... Nagła zmiana w usposobieniu Wanglowéj, to wyraz tego, czego autor pragnąłby w swoich wygórowanych żądaniach prawdy i szczerości, ale nie tego, co się na świecie dzieje, lub dziać może. Bo kto wié, czy ta sama Ellida, w któréj nagłą miłość wierzyć niepodobna, nie ochłonie pierwszego pięknego wieczora z zapału wdzięczności i nie zamarzy znów o tajemniczym kochanku. A zresztą, czy z punktu widzenia Ibsenowskiéj etyki nie ma on praw większych, niż Wangel? Jeśli wpierw nie było w Ellidzie wewnętrznego, elementarnego oddania się mężowi, lecz sumienność cywilnéj umowy, to teraz ciążyć nad nią powinien wyrzut żeglarza, a jeszcze więcéj błąd chwilowego entuzyazmu.

Tak czy owak, tezy Ibsena nie wytrzymują ścisłéj krytyki, bo są nazbyt subtelne i idealistyczne. Wola nigdy nie jest bezwarunkowo wolną i o ten pewnik psychologiczny rozbija się ostatecznie ów dogmat moralny, choć ręczyć można, że poeta nasz w filozoficznem swém *credo* indeterminizmu nie uznaje. Ellida byłaby tylko wtedy absolutnie panią siebie, gdyby natychmiast zapałała rzetelną miłością dla męża, — no, a w to nikt nie wierzy, mimo świadectwa dziewczęcia. Wypędziła ona dyabła przez Belzebuba — zastąpiła przymus zobowiązania przymusem chwilowego porywu, czyli jeden bodziec innym bodźcem.

Ale to nie przynosi wielkiéj ujmy pięknu romantycznéj walki z sobą i nie obniża ogólnego polotu moralnego w dramacie. W nim zresztą wszystko inne kroi na zabawkę fantastyczną, na czarowną baśń w rodzaju „Latającego holendra“ i na tle realizmu wieku robi wrażenie dziwnie mieszane. Bo czuć i figielki w owych „zagadkowych morderstwach“, „obrączkach rzucanych w morze“ i cuda Józefa

Balsamo w zwierzęcym magnetyzmie „Nieznajomego“ i prawdziwą, bezbrzeżną melancholię północnych wód. Poezya strasznego smutku owiewa „Panią z morza“.

Na zapytanie, o czém rozmawiali z marynarzem, odpowiada ona:

„O burzy i ciszy morskiéj. O ciemnych nocach na morzu. O morzu w piękne, słoneczne dni mówiliśmy także. Ale najczęściéj o wielorybach i delfinach i psach morskich, które w spiekę południową wylegują się na piaszczystych ławach. A potém mówiliśmy o mewach, o orłach i wszystkich innych ptakach morskich. Znasz je przecie. Pomyśl, czy to nie szczególne, gdyśmy gawędzili o tém, zdało mi się, że wszystkie te sworzenia morskie i ptactwo morskie są z nim spokrewnione. I mnie saméj tak było na sercu, jak gdyby to byli moi krewni...“

Chmurny wędrowiec był dla Ellidy żywém wcieleniem tego żywiołu. Odpychał ją i przyciągał zarazem, jak uosobiona groza, ale bardziéj przyciągał.

Dla nas jest tém samém cały dramat — uosobieniem romantycznéj fantazyi Skandynawów, która przeraża biegunem, oceanem i tęsknotą, ale przyciąga zarazem.

II.

Teraz już łatwiéj będzie pojąć „Heddę Gabler“, bo i z niéj wyziera owa dyalektyczna poezya ibsenizmu, wypuszczająca z siebie, niby winograd, setki łętów i skrętów, nad których znaczeniem ten i ów czytelnik darmo głowę nieraz łamie.

Bohatérka dramatu to dama, w któréj ludzie światowi dopatrzyć się mogą wielu znajomych rysów. Życie ją wykoleiło, choć uważaną jest za najszczęśliwszą pod słońcem. Kobiéty zazdroszczą jéj i winszują męża, przyszłego profesora dziejów cywilizacyi, ale ona go nie kocha, oddała mu swą rękę z kaprysu, odbyła podróż poślubną z konieczności, towarzystwo jego znosi z niesmakiem i zagryza się z góry jedną okropną myślą: wiecznie żyć z tym samym i nie módz być zostawioną sobie! Co prawda, Tesman, chociaż młody, pracowity i uczony, jest prostym mierzynem, a nawet czémś mniéj jeszcze. Grzebie się w rękopisach i papiérach dla saméj rozkoszy łykania pyłu książkowego i pisze dla saméj przyjemności zapełniania stronic. W dodatku, zjawia się ni stąd, ni zowąd dawny przyjaciel Heddy, Eilert Lövberg, żywy kontrast jéj męża, cygan, pijak, z głową szeroką, umysłem twórczym. Również uczony i dziejopis oświaty, wydaje w chwili, gdy go uważano za upadłego, dzieło śmiałe i niespo-

dziane, jak bomba. Między nim a Gablerówną musiało kiedyś coś zajść, ale co, trudno odgadnąć. Wiadomo tylko, że groziła mu ona niegdyś rewolwerem. Teraz znowu bawi się ustawicznie pistoletem. Radaby też poigrać z Lövbergiem, ale w granicach flirtu, bo drży na samą myśl o skandalu. Chętnie rozdmuchałaby tlejące iskierki w sercu swojém i jego, ale boi się oparzyć paluszki. Trzyma go wciąż na wodzy i nie pozwala na zbytnią poufałość.

Odrodzenie się Eilerta zatruwa Heddzie spokój, albowiem nie jest dziełem jéj, lecz innéj kobiéty. Thea Elvsted uciekła od męża brutala, pod skrzydła Lövberga, nie z miłości, do któréj jest mało zdolna, ale ze współczucia. Ceni go, darzy prawdziwą przyjaźnią, opieką jego się chlubi, i nad nim opiekę rozciąga, chroniąc od pokus pijackich i nieporządnego życia. Jest mu nawet pomocną w pracy i zapewnia Heddę, że go „inspiruje“. Ta wprawdzie uśmiecha się ironicznie, ale sam Lövberg fakt ten podobném wyznaniem stwierdził. Spółka owa ma nawet wkrótce zrodzić nowy utwór, w postaci drugiego tomu głośnego dzieła, który niebawem ma iść pod tłocznię drukarską.

A więc ta gęś, to „głupie jagnię“ — ma poniekąd prawo tytułować się matką duchowego dziecka Eilerta. Na czém jéj wspólnictwo się zasadza, czy pomagała szperać w źródłach, czy dodawała otuchy— to mniejsza, dosyć, że uważa i kocha książkę jak swoją własną. A tymczasem Hedda, któraby na podobne macierzyństwo stokroć więcéj zasługiwała, pochlubić się niém nie może. Buntuje się więc jéj dusza złamana, która daremnie łaknie miłości i celu życia; zżyma się kochanka, bo na przedmiot afektu nie ma monopolu. Jest coś tygrysiego w jéj złości, że nie może miéć samca na własność wyłączną, chociaż i sama by się mu nie oddała. Wara od niego! — mówi całe jéj zachowanie się, bo marzy tylko o tém, jakby wywrzéć swą wściekłość i zemstę na nieszczęsném owém dziecku — rękopisie, który też staje się prawdziwą osią dramatu. Musi ona tę gryzącą sól ze swego oka usunąć, choćby przyszło oko zranić, bo z takiém upokorzeniem w rachubach życia pogodzić się nie może.

Furye sprzyjały jéj i zesłały na pomoc uczynny traf. Dyskretny a chytry wielbiciel, sędzia Brack, który radby utworzyć z Tesmanami „trójkąt“, ale powściągany despotyczną rączką, musi poprzestawać na roli „koguta w koszu“ — wybiera się z jéj mężem na piknik kawalerski tego samego wieczoru, kiedy Eilert ma złożyć pierwszą po swoim powrocie do miasta wizytę. Gdy przybywa, panowie chcą go zabrać z sobą. Jego „muza“ gwałtownie odradza, w obawie recydywy, ale Hedda przycinkami swemi nietylko znagla do wychylenia na

miejscu wbrew ślubowi paru szklanek ponczu, ale zadrasnąwszy ambicyę męzką, zmusza iść na pohulankę. Eilert idzie, lecz ma wrócić wcześniéj, by swego anioła-stróża odprowadzić do domu.

Ale panie czekają coś długo—całą noc. Nad ranem zjawia się Tesman i wzruszony pokazuje żonie rękopis, który wypadł z kieszeni właściciela, wracającego pod dobrą datą. Poczciwiec dlatego jedynie nie zwrócił go Eilertowi, ażeby nie obrażać go uprzytomnieniem hańby, jaka w téj lekkomyślności tkwiła. Hedda podziela niby owe delikatne skrupuły, a tymczasem bierze zgubę do siebie na przechowanie. A choć niebawem wpada Lövberg ze złowieszczym wzrokiem upiora, i woła w pijanéj rozpaczy, że zamordował własne dziecko, choć cierpi katusze, bo rozumié dobrze, że teraz poniósł śmierć cywilną nieodwołalnie,—ona sekretu nie zdradza, a Tesmana, któryby mógł to uczynić, nie ma w domu. Zresztą z góry zapewniła sobie jego milczenie. Z niezamąconym spokojem słucha rozdzierających serce żalów.

Przed panią Elvsted Lövberg nie ma odwagi przyznać się. „Tak — mówi — na tysiąc kawałków rozdarłem go i rozproszyłem po morzu... Niechaj popłyną, niech je porwie wicher i fala... Rychło pójdą pod wodę... głębiéj, coraz głębiéj — tak samo, jak ja, Theo...

— Ale jak mogłeś—to przecie i moje dziecię!

Tego tylko brakowało; macierzyństwo Thei wyżera Heddzie mózg. Po chwili, gdy się znalazła sama, wzięła z ukrycia część rękopisu, rzuciła w piec i z piekielną satysfakcyą patrzyła, jak płomienie trawiły kartkę po kartce. A potém z flegmą kata pali i resztę.

Wkrótce nadchodzi Brack i przynosi okropną wieść: Eilert Lövberg nie żyje. Hedda łakomie łowi uchem szczegóły wypadku, ale we wnętrzu swém poi się błogą samowiedzą, że raz przecie doczekała czynu bohaterstwa. Rozkosz ta jednak trwała nie długo i zamieniła się w obrzydzenie, bo oto kula trafiła nie w pierś, ale w brzuch, a w dodatku broń znaleziono w kieszeni, z czego wypływa, że było to nie samobójstwo, lecz albo prosty przypadek, albo morderstwo, któregoby mogła się dopuścić śpiewaczka. Lövberg przyszedł do niéj, ażeby zrobić awanturę, pewny, że ona to w nocy wykradła mu jego skarb, jego dziecię.

Sędzia zaciera ręce, ma teraz młodą kobiétę w swéj mocy: gdyby chciał bowiem, mógłby łatwo wyśpiewać pewne okoliczności, grożące jéj nieuniknionym skandalem, jak np. to, że pistolet był tym samym, który widywał u niéj. Tryumfuje więc, nie wątpiąc, że gdy został już jedynym w koszu „kogutem“, dojdzie od łyczka do rzemyczka...

— A więc zależna od pańskiéj woli i pragnień — woła Hedda. — Niewolnica! Niewolnica zatém. Téj myśli ja nie zniosę nigdy!

Teraz zieje cała szyderstwem. Patrząc na panią Elvsted, jak wraz z Tesmanem mozoli się nad zesztukowaniem notat, któremi nieboszczyk posługiwał się w swéj pracy, mówi ze złośliwością kota, bawiącego się myszą: „Czyż to nie cudowne — Theo, teraz oto siedzisz z Tesmanem, całkiem tak samo, jak przedtém siedziałaś z Lövbergiem?

— Ach, mój Boże!—odpowiada zagadnięta — gdybym i twojego męża tak natchnąć mogła.

— O i to przyjdzie z czasem.

Nawet z drugiego pokoju, dokąd poszła spocząć po bezsennéj nocy, ostrzeliwa Bracka, pewnego zwycięstwa. I tam téż zaczyna ni stąd, ni zowąd grać jakąś szaloną muzykę do tańca. Tesman, zdumiony nie na żarty, przesyła jéj prośbę, by zaniechała swéj niewczesnéj wesołości, i postanawia na przyszłość pracować pospołu z Elvstedową u ciotki.

Hedda z oddali wyraża zgodę na ten projekt i pieczętuje ją w połowie zdania — hukiem wystrzału. Gdy przybiegli, leżała już bez duszy...

— Ależ, na miłość Boga, nie robi się podobnych rzeczy — wykrzykuje filister Brack, a sam autor podkreśla owo nie robi się, albowiem przez postać tę wypowiada mądrość mieszczańską, w przeciwieństwie z morałem Heddy, która wielbi czyn. Dawniéj jeszcze po wydobyciu z Eilerta pewnych zeznań, dotyczących jego młodości, a bolesnych snadź dla jéj żądzy własności wyłącznéj, w szale gniewu zerwała z nim, a wspominając o tém w przeddzień jego śmierci, rzekła:

— Jeślim wtedy nie mogła pana zastrzelić, to nie było to największe moje tchórzostwo.

Czyli innemi słowy, powinna była sobie odebrać życie. Teraz właśnie uczyniła to i naprawiła owo fatalne *l'irréparable* Francuzów. Ołowiana kula położyła kres zwichniętemu życiu, ogień pochłonął dziecię duchowego cudzołóstwa. Zresztą jéj nietylko o to chodziło. To nie pospolita samobójczyni, obłąkana rozpaczą i bezporadnością, ale bohaterka czysto ibsenowska, idealistka *sui generis*. Mniema ona, że życie winno nam dać szczęście, a jeśli nie da czy to z naszéj własnéj winy, czy z przyczyn zewnętrznych, trzeba mieć odwagę zwinięcia tego wątpliwego interesu póki czas, zanim przyjdzie do zupełnego bankructwa. Rozporządzajmy naszym bytem, bądźmy jego pa-

nami, każmy mu być silnym i pełnym prawdy, a sobie — konsekwentnymi. Jeśli nie można uwolnić się od taczki, którą ciągnąć nam każe konieczność, czém prędzéj pistolet do czoła! — bo taka katusza jest i kłamstwem, i słabością i—brzydotą.

Wymaga ona tego samego i od innych. Kiedy Lövberg zaprzepaścił tak świetnie odnowioną karyerę, powinien rachunek z życiem uregulować. Podając mu tę samą broń, którą niegdyś groziła, mówi ona:

— Użyj jéj pan i użyj pięknie.

A po fakcie spełnionym, wykrzykuje nieostrożnie w obecności Bracka:

— Przecież raz jakiś czyn!... w tém leży piękno...

Tym więc razem Ibsenowska *idée fixe* wystąpiła ostrzéj, niż zwykle i dobitniéj téż ujawniły się jéj następstwa, całkiem naturalne, ale dla ludzi złotego środka krańcowe nad miarę. Ćwiek rozdarł spowijający go oprząd akcyi, zabłysnął niemile i kłuje ich w oczy. Na tle spokojnego, bezgrzesznego prawie żywota — śmierć. I dla jakiéj idei? Dla rękopisu cudzego i dla wypitéj wbrew danemu słowu szklanki ponczu? Nas jednak, już wraz z łaskawym czytelnikiem oswojonych z egzaltacyą Ibsena, i ten nowy jéj wybryk ani dziwi, ani gorszy.

Co innego — postacie i tło, otaczające Heddę Gabler. Tu słyszymy znowuż echo romantyzmu, które brzmi nieraz fałszywie, ażeby stwierdzić raz jeszcze fakt, że autor nie ustępuje swoim spółplemieńcom w skłoności do mgły bajecznéj, Rembrandtowskiego światło-cienia, Andersenowskiéj fantazyi, Frytyofowskich sag, Jezajasza Tegnera i marzycielstwa Kierkegaarda. W miarę starzenia się, wziewa on coraz chciwiéj czarodziejskie dymy, któremi tak okłębił „Panią z morza.“ A bohaterka zdradza raz po raz receptę poetycką afektowanego romantyzmu. Jéj wstręt do prozy życia zatrąca jak gdyby Fryderykiem Schleglem, lub Tieckem. W obcowaniu z nią czekamy co chwila, czy rychło wyrwie się jéj okrzyk: „*Fi donc!* jakie to prozaiczne.“ I nie darmo czekamy, bo oto na wiadomość, że kula trafiła Lövberga w brzuch, krzywi się ona, jak salonowa lala na widok brudnego lokaja. Z takiém utęsknieniem wyglądany zgon nie zadawala jéj, bo nie było w nim pozy melodramatycznéj. Ibsen stracił poczucie różnicy między tém, co estetyczne, a tém, co śmieszne i wyrafinowane. Bo skargi Heddy mają coś w sobie z dawnego *spleenu* Anglików, zemsta zakrawa na demoniczność wschodniéj hetery, Thaidy lub Kleopatry, albo Byronowskich Giaurów i korsarzów. Obrócić w popiół dzieło, które ma być chlubą nauki i narodu i tém samém należy

do ogółu, dla marnéj satysfakcyi, dlatego, żeby zgnębić głupkowatą niby... rywalkę—jakie to naciągane!

Brandes zauważył gdzieś, że Ibsen lubuje się coraz więcéj w symbolizmie. Jest to słuszne, bo tajemniczy nęt oceanu w „Pani z morza“ na pewno suggestyonuje bezmiar wolności, a „Dzika kaczka“ w dramacie tak samo zatytułowanym, uosabia splamiony honor rodziny. Ale jeszcze słuszniejszym byłby zarzut, że lgnie on coraz bardziéj do melodramatu, który sprawia chwilami złudzenie, że mamy przed sobą pisarza młodego, niedowarzonego. Ibsen mógłby śmiało wyznaczyć sutą nagrodę za rozwiązanie rebusu, jakim jest rozmowa Lövberga z Heddą i dawny ich stosunek. I dyalog z Brackiem, obfituje nadmiernie w domyślniki, przenośnie i... braki i przyjaźń Lövberga z Theą jest rodzaju zupełnie zagadkowego. A owa igraszka z pistoletem już całkiem pachnie niebieską pończoszką jakiejś literackiéj Primuli.

Jest to niewątpliwie autorska siwizna. Po potrąceniu jéj, zostanie Ibsen silny i jędrny, majster cichéj a zjadliwéj ironii, która kąsa obłudę. Nawet Hedda Gabler oczyszczona z demonicznéj fanfaronady, staje się postacią ciekawą, wielce złożoną i prawdziwą. Należy ona do rzędu tych kobiét najświeższego autoramentu, co to zyskały już świadomość swych praw do szczęścia, ale nie wyrobiły sobie celu życia. Wolne od złudzeń idealistycznych, łakną rozkoszy i owoców zakazanych, ale nie mają jeszcze tyle męstwa i pogardy dla ludzkich języków, ażeby pod skrzydła wolnéj miłości schronić się jawnie. Cechuje je samowola, ciągłe łaknienie wrażeń, a zarazem ostrożność, przebiegłość i tchórzliwość. Na wszystko się zgodzą, byle nie na skandal. Na wzmiankę Bracka o śledztwie i poszlace, tkwiącéj w pistolecie — Hedda woła: „O tak, jestem strasznym tchórzem.“

Dosyć pokrewne odkrycie zrobił Guy de Maupassant w *Notre coeur*, którego bohaterka składa się również z estetyki, zimnéj rachuby, epikureizmu, silnego instynktu samozachowawczego, jeno na sposób elegancko paryski, a więc bardziéj cyniczny. Ale autor francuski jeszcze szerzéj pojął nową generacyę płci pięknéj, bo kochankę Mariolle'a uważa całkiem świadomie za ogólny, przejściowy typ kobiét *fin de siècle*. Hedda jest od nich wyższą, o całą ostateczną swą siłę i odwagę. Bo kiedy inne dużo gadają o samobójstwie, kokietują niém, bawią się fotografiami znanych desperatek i wreszcie idą... do teatru na „Bettinę“ lub „Pierścień rodzinny,“ ona śmiało dni swoje przecina.

A Tesman? Wyśmienity jest z swą mrzonką o katedrze, która

go wabi jedynie obietnicą poprawy bytu. Odbywa podróż poślubną według Baedeckera, ślęczy nad „Przemysłem koronczarskim w wiekach średnich“ a usłyszawszy, że Lövberg bada „Potęgi cywilizacyjne przyszłości,“ woła osłupiały:

— O przyszłości? ależ my o niéj nic nie wiemy!

Nie zazdrości mu laurów rzeczywistych, lecz tylko drży o swoją posadę. Miłuje tuzin ciotek i nie posiada się z radości, że Hedda może zostanie matką, i ustawicznie częstuje ją swojém poufałém „my.“ Z kieszeni jego nie znikają nigdy pliki szpargałów, z twarzy, krasne jagody, z mózgu — poczciwa ograniczoność. Rzecby można, że swą wyborną charakterystykę zawdzięcza temu, że Ibsen wlał w niego cały swój wstręt do płaskiéj, kreciéj uczoności, tak, jak satyrę na małość moralną wléwa w Bracka. Pan radca sądowy to człek „porządny“ całą gębą, z wytworném obejściem. Krętemi dróżkami wślizguje się w łaski pięknéj mężatki, a traktu otwartego się boi, jak złodziéj. To też gdy usłyszał wystrzał, omal nie omdlał z przestrachu. Haniebny policzek dla „przyzwoitego towarzystwa“ i cały Ibsen, bicz boży dla maluczkich duszek, wyziera z uwagi dla aktorów, dotyczącéj charakteryzacyi scenicznéj:

Dobrze zbudowany, ruchy elastyczne, twarz okrągława i profil szlachetny. Mimowoli przychodzi na myśl pan prezydent Grandmorin z *La bête humaine*, który również ma lekki brzuszek i szlachetny, wzbudzający szacunek profil.

Co się tyczy Lövberga, to jako niezbędna sprężyna tendencyi Ibsena, należy on do liczby owych bohaterów matematycznych, nieprawdopodobnych dla jednego, jakiegoś rysu niemożliwego, na którym jednak autor buduje cały gmach intrygi. Doktór Stockmann, jest głupio niepraktyczny, a Lövberg nieprawdziwie roztrzepany. Gdyby nie naiwność życiowa (w którą nikt z nas nie wierzy) pierwszego a u drugiego noszenie sążnistego rękopisu w palcie — nie byłoby ani „Wroga ludu“ ani „Heddy Gabler.“ Gdzież się podziała żelazna logika „Upiorów?“

Zatém faktura ostatnich sztuk Ibsena jest dziurawą, na przekór chwalbom jego bezkrytycznych wielbicieli z Niemiec, a między nimi i Brandesa. Nie przeszkadza to im jednak być wysoce scenicznemi i obfitować jak „Hedda Gabler,“ w liczne i urozmaicone momenty wysokiego napięcia. Pod tym względem były kierownik teatru jest wirtuozem doświadczonym. Sam jego rodzaj wymaga mnóstwa efektów, powikłań, zdarzeń i ruchu, ażeby, jak pnące się bluszcze i powoje zakrywają pień drzewa, zasłoniły myśl przewodnią, nawskroś tendencyjną. Musi on przetapiać na fakta ideę całkiem

oderwaną, równą niemal systemowi etyki i w ten sposób czujność widza lub czytelnika uśpić. Powtóre wypada mu odrośle téj samej w gruncie rzeczy tezy (proszę mi darować użycie tego wyrazu niesmacznego, który pasuje tak dobrze do wyblagowanych zagadnień Wiktoryna Sardou), tego samego całokształtu pojęć ubrać za każdym razem w inną formę, świéżą, nową, z żywym pulsem dramatycznym.

Ibsenowskie sztuki suponują w widzu dużo przytomności umysłu, pozwalającéj oryentować się w plątaninie akcyi, i jeszcze więcéj łatwéj wiary, ale wzamian dają mu wysokie i szlachetne zaciekawienie.

III.

Gdy ukazała się w druku „Hedda Gabler“ Niemcy zaczęli kiwać głowami. Tyle nałasili się Ibsenowi, tyle napłodzili bredni o jego stosunku do germańszczyzny [1]) a tu naraz daje on im do przełknienia taką gorzką pigułkę, taką krańcowość, którą tylko krok jeden dzieli od niedorzeczności. Tłómacz, Wiktor Ottman gani go nawet za wynajdywanie „konfliktów, nie będących wcale konfliktami dla człowieka normalnego,“ za przesadę i tym podobne zbrodnie.

Przegapili jednak ci ongi zacietrzewieni, a teraz rozczarowani prawie Ibseniści, że ich pół-bóg, ich *oraculum* bywało już bardziéj radykalném, że wspomnimy tylko „Norę.“ Kazano jéj postradać męża i domowe ognisko, dlatego, że w swéj naiwności skowronka, który tylko co uleciał z ciepłego gniazdka, położyła na rewersie nie swoje nazwisko, ażeby uratować życie własnemu mężowi. Taka sroga pokuta za jedno jedyne kłamstwo, w dodatku bezinteresowne, trąci chyba przesadą i doktryną znacznie więcéj. No, ale bohaterka miała wdzięk nieopisany, jéj życie domowe było słodką idyllą z balami i piękną toaletą, więc krzesła, loże i paradyzy biły brawo zawzięcie, nie zdając sobie sprawy, że oklaskują zasadę moralną, którą gdyby zastosować do publiczności, to powinnaby ona stracić już nie domowe ognisko, ale nazwę „porządnych ludzi.“

Dramat w „Norze“ jest poważny i wielce społeczny — w „Heddzie Gabler“ czysto indywidualny i prawie pokątny, ale zarówno ten jak tamten są kryształowo-jasne i prawdziwe. Jeno my, ludzie moralnie bladzi, nie dorośliśmy do téj idealnéj prawdy, którą uwziął się

---

[1]) Między innymi znany krytyk niemiecki Leo Berg w książce *Henrik Ibsen und Germanenthum*, dobrém skądinąd studyum.

głosić Ibsen — my się jéj nawet boimy potroszę. Hedda zrobiła dobrze, słuchając swego, wewnętrznego dajmona i głosu rozumu, mimo, że się to skromnéj i umiarkowanéj burżuazyi nie podoba.

Oczywiście taki superlatyw estetycznéj i moralnéj drażliwości nie jest wcale przeznaczony dla ludzi przeciętnych i poeta norweski doskonale o tém wié i wyraźnie oznajmia innym w „Dzikiéj kaczce.“ Dramat ten, przedostatni, zostawiliśmy na koniec, właśnie dlatego, że wyobraża on jakoby klauzulę objaśniającą dwa poprzednie i rozmach ich idealizmu do właściwych granic sprowadza. Widzimy tam „gorączkę szerzenia prawości,“ którą opanowany głuptas-marzyciel, pragnie wywieść swego przyjaciela z hańbiącéj jego zdaniem iluzyi co do przeszłości żony. Fotograf Hialmar Ekdal dowiaduje się więc nagle, że od lat piętnastu żyje zgodnie z kobiétą, która mu oddała rękę nie wolną od zmazy, padła bowiem ofiarą sideł bogatego swego pracodawcy. I oto spokój rodzinny bezpowrotnie pierzcha. Wymożona na Ekdalowéj spowiedź stwierdza oskarżenie, a komisarz od cnoty szczęśliw jest, że położył prawdziwe podwaliny małżeństwu, które dotąd opiérało się na zręcznie utajonéj winie, i że spłacił przytém dziedziczny dług swego sumienia, jest bowiem synem uwodziciela.

Podrażniony raz w swéj godności, fotograf odtrąca już teraz wszelką pomoc, którą w skromnym swym bycie od starego lubieżnika otrzymywał, pod postacią uczciwego zarobku. Co więcéj, zarażony idealizmem chce nawet spłacić wszelkie, dawniéj doznane przez się dobrodziejstwa. Pamięć o nich parzy go i boli, tak samo jak dzika kaczka, ulubienica jego dorastającéj córki, postrzelona sierota z leśnych bagien; i ta bowiem darowana została przez kogoś z tego samego domu, skąd spłynęła owa jawna dziś bezcześć.

Na całą tą krzyżową wyprawę patrzy trzeźwy, wolny od złudzeń lekarz Relling. W imię dobra domu, chętnieby on wypędził niewczesnego apostoła na cztery wiatry, ale ten nie daje się rozłączyć z „zadaniem swego życia“ i nawraca daléj i daléj... korci go, że w stadle tym zostało jeszcze coś niedomówionego — kwestya pochodzenia córki, jakkolwiek sam ojciec, raz tknięty niepokojem, począł śledzić i rozmyślać i doszedł do wniosku, że żywił, kochał nad wszystko i kochał więcéj niż własną myśl wynalazku — kogo? Dziecko nie swoje... Chodzi teraz przybity i czuje, że mu ziemia z pod nóg się usuwa. Szał rozpaczy ogarnia go, potem niewysłowiona gorycz. Nie ma on całéj pewności swego odkrycia, a już wątpi, czy jest przez dziewczynę kochanym tak gorąco, tak namiętnie, jak dotąd mówiły pozory. Złorzeczy więc Jadwini, szorstko ją odpycha, postanawia

uciec z domu i już pakuje swoje manatki. A biédne, wrażliwe, zagrożone nawet przyszłą ślepotą i tylko miłością dla ojca żyjące dziecko leje łzy bólu i żalu...

Nieproszony wybawca zbłąkanych i tu wtrąca swoje trzy grosze. Namawia Jadwigę, ażeby dała jaki silny dowód przywiązania do ojca, ażeby zabiła, ot, swą ulubioną dziką kaczkę, która jemu od pewnego czasu stała się nienawistną...

Tym razem posiew morału padł na jeszcze żyzniejszy grunt. Znękane dziewczę chwyciło się wprawdzie rady owéj jak deski zbawienia — ale gdy ojciec wrócił z miasta w tym samym, co przódy, humorze i znów ukazał jéj surową twarz — wnet rozległ się na strychu strzał, który położył trupem nie kaczkę, lecz jéj nieletnią opiekunkę... Młoda, nerwowa natura nie wytrzymała ciężaru swéj niedoli.

Takie były owoce kaznodziejstwa. Żałoba okryła wszystkich, ale doktór Relling nie dzieli wcale skarg żałosnych na nędzę świata, bo życie, powiada, nie byłoby tak złém, gdyby go nie psuli głupcy — swym idealizmem. Kiedy wyraz ten wyszedł już po raz setny z ust idyotycznego moralisty, odpiéra cierpko:

— Po co pan używasz ciągle tego obcego słowa: ideały? Mamy przecież doskonały wyraz norweski: kłamstwa. Umysły wyjątkowe może sobie z nim dają radę, ale ludziom przeciętnym złudzeń odbiérać nie wolno.

Ibsen przygotował nas do katastrofy poważnie. W narysowany znakomicie charakter Ekdala wlał czynniki, które odrazu skazywały deklamatorskie rozumkowanie na śmieszność. Dał mu bowiem instynktów poczciwych, nałogowych daleko więcéj, niż zmysłu do słuchania oderwanych a subtelnych mądrości. Głowa, nie najtęższa, poszła za lichym majakiem, ale serce tkliwe, proste, tuzinkowe, nieraz nań sarkało. Z pierwszym zdjęciem bielma byłby się łatwo oswoił — dwu operacyi jadnak było za wiele! Bah, i drugą byłby może strawił pomyślnie — ale niebezpieczna gra, w którą go prawie przemocą wciągnięto, już przyniosła była swój plon.

„Dzika kaczka“ zawiera postacie żywcem przeniesione z rzeczywistości, prócz jednego może apostoła. Obadwaj Ekdalowie — stary jest nałogowym pijakiem—są wprost znakomici. Sztuka ciągnie się długo, ale rozwija misternie, spokojnie, siłą samego działania, bez pomocy frazeologii, bez scen wyjątkowych, któreby na jednym lub paru epizodach skupiały całą uwagę. Dowiódł nią Ibsen, już nie pierwszy raz, że tragikomedyę małżeństwa traktować można seryo, stawiać na tle rozległych zagadnień psychologii, a zwłaszcza etyki,

bez buduarowego aparatu francuskiego, bez efektów niewiary i skandalu. Tylko tą drogą idea dojdzie do czegoś... zużyta, wyszarzana instytucya, jeśli ma na sobie dźwigać i nadal budowę społeczną, musi przecież uledz reformie. Dramat zaś paryski sprawę jeno zagważdża, zakrywa szykowną draperyą i stawia najśmielsze kolizye po to tylko, ażeby je rozwiązać zgodnie z dawnym, mieszczańskim kanonem moralności. Napiętrzył stosy wiarołomstw, unurzał się cały w zgorszeniu i zepsuciu, odbił w sobie dosyć wiernie te zamachy i to przesilenie, jakich dziś doświadcza małżeństwo, ale idei nie posunął naprzód ani na cal. Cudem nad cudami, — świętość zawsze zwycięża. Jéj staje się zawsze zadosyć. O kołowacizno ludzka!...

Ibsen widzi w każdym zatargu przedewszystkiém konflikt z a s a d o w y, o g ó l n o - l u d z k i, m o r a l n y, a nie parafiański. Hasłu temu został wierny i w „Dzikiéj kaczce“, która téż jest echem dawnych silnych uderzeń jego satyrycznego młota. Jest w niéj bardzo mało owych modnych naleciałości i nakręcanéj, nieraz umyślnie tajemniczéj dyalektyki, która w ostatnich dwu dramatach znamionuje taką niezaszczytną pogoń za laurami czysto scenicznemi. Jest w niéj nadto — bo chcemy być szczerzy — i sporo poszlak, że autor ten sam znalazłby się w kłopocie, gdyby mu wypadło ideę swą zawrzéć w jasnych, motywowanych słowach prozy publicystycznéj: zanadto waha się, zastrzega, dopełnia, powtarza i lawiruje.

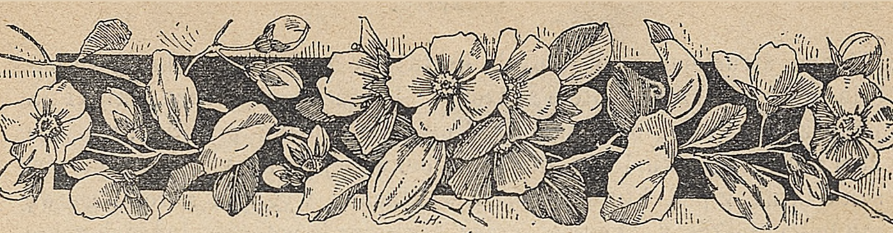
Zresztą, czy podobna dziś w chaosie nieprzejrzanym pragnień i wstrętów, być z sobą zawsze w ścisłym porządku? W rozmowie z Jerzym Brandesem, Ibsen wyrzekł o sobie, iż „nie ma talentu na porządnego obywatela“ [1]). Nie oceniajmy go miarą jednostek całkiem normalnych, bo nie dla nich zaczął pisać, choć może dla nich, dla szerokiego ogółu, tworzy dzisiaj.

Boć pamiętajmy, że odsłania on nam niejeden szczytny widok zwycięstwa moralnego, niejedną kroplę wstydu wsącza w nas, pokazuje nie jeden obraz potężnych szamotań maluczkiéj istoty ludzkiéj, krzywi się nie jednym uśmiechem złośliwego chochlika na podpatrzoną dokoła infamię. A ludzie jego, choć po szczególe nie zawsze prawdziwi, w sumie jednak wtajemniczają nas dokładnie w trędowatą naturę i zabójczo płaską i małostkową opinię tak zwanéj „inteligencyi”, śród któréj żyjemy i któréj kością z kości jesteśmy...

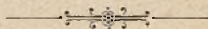
Cezary Jellenta.

---

[1]) „Henrik Ibsen und seine Schule in Deutschland.“ (Gazeta frankfurcka).



MINIATURA Z XVI WIEKU.



W jednéj ze swych wycieczek naukowych prof. Gerson napotkał wspaniały zabytek malastwa miniaturowego z pierwszéj ćwierci XVI stulecia, i celem zaznajomienia z nim miłośników sztuki postarał się o wierną jego podobiznę, którą w „Sprawozdaniach komisyi do badania historyi sztuki“ (tom V, zeszyt II) ogłosił [1]. Opiérając się na téj publikacyi, chcemy czytelnikom naszym podać wiadomość o owém piękném dziele.

Jest to akt nadawczy kanclerza kor. Krzysztofa Szydłowieckiego z 26 sierpnia 1519 r., datowany w Sandomierzu, a mający zawierać świadectwo „wielkiéj ofiarności“ na rzecz kolegiaty Opatowskiéj; mówimy: mającéj zawierać,—gdyż całéj osnowy aktu nie ogłoszono. Treść ta mogła ze stanowiska artystycznego wydawać się obojętną, skoro wydawcy tylko o nader ozdobną szatę dokumentu chodziło.

Na ogromnym arkuszu pargaminowym, u góry i z prawego boku mamy wspaniały na złotém tle ornament, złożony z floresów o żywych barwach, na falisto wygiętéj gałązce osadzonych; z lewego zaś boku na złotym pasie, 3½ cala szerokim, widnieją piękne malowidła figuralne. U góry przedstawiony jest patron kolegiaty, św. Marcin, jak poucza napis cokolwiek niżéj umieszczony; święty siedzi na przysłowiowym białym koniu, a mieczem odcina część szkarłatnego płaszcza, którym się z ubogim kaleką, klęczącym na ziemi, podzieli. Jeździec ma zbroję srebrną, bogato złoconą, na głowie koronę, zdobną

[1]) Podobiznę tę świetnie wykonała tutejsza chromolitografia W. Główczewskiego.

piórami strusiemi, a od pełnych kształtów białego rumaka żywo odbija szafirowy rzęd, złotem sadzony. Poniżéj tego obrazu, ukląkł na poduszce ze złotogłowu, sam Szydłowiecki, postać poważna, z wyrazem nabożnego skupienia ducha na bezwąséj twarzy. Szata na nim szkarłatna, z pod któréj srebrna, wyzłacana, wygląda zbroja; głowę mu hełm pierzasty okrywa, przez lewe ramię potrójny łańcuch przewieszony, u boku nosi „tasza“ — torebka z trzema kutasami; o prawą rękę oparta chorągiew purpurowa, na któréj wyszyty herb rodowy kanclerza, Odrowąż, otoczony zielonym smokiem, dodanym mu przez cesarza Maksymiliana. U dołu powtórzone toż godło herbowe i wypisane wszystkie tytuły kanclerza, których miał sporo.

Cały ten pargamin wygląda imponująco, bogato, efektownie. Przypuszczać można, że i na zachodzie Europy nie wiele znalazłoby się podobnie pięknych zabytków dyplomatyki; tém mniéj ich pewnie było u nas. Znamy wprawdzie z opisu bardzo ładnie zrobiony jeden dokument miasta Wieliczki z roku 1609, ale ozdoby jego rysowane są piórem i dlatego do malarstwa miniaturowego nie należą.

Patrząc na piękne dzieło, chciałoby się poznać jego twórcę. Zadał sobie takie właśnie pytanie prof. Gerson i opiérając się na polskiéj ortografii w nazwisku Szydłowieckiego przez malarza użytéj, mniema, że był nim Polak, że miniatury mogły być dokonane w samym Sandomierzu, gdzie akt datowano, a na poparcie tego domniemania przytacza liczne wzmianki źródłowe o naszych malarzach z końca XV i początku XVI wieku [1]), z których „*Nicolaus pictor de Sandomiria*“ przebywa r. 1499 w Krakowie, a co jeszcze ciekawsza, zaznacza, że pod koniec XV stulecia (1481 r.) ksiądz Bartłomiéj, altarysta przy krakowskim kościele P. Maryi nauczał sztuki zdobienia rękopisów złotem i kwiatami. Wreszcie, z porównania oblicza kanclerza na jego grobowcu i na miniaturze badacz nasz wnosi, że twarz ta „na dokumencie nosi na sobie cechę malowidła nie tylko z natury zrobionego, ale portretowanego.“ Jeżeli więc tak jest istotnie, — a bynajmniéj temu przeczyć nie mamy zamiaru, — to wyłączyć już trzeba przypuszczenie, jakoby miniatura wykonana była w Sandomierzu. Kanclerz z natury obowiązku swego musiał się znajdować przy osobie króla, a król właśnie w epoce wydania dokumentu miniaturowego, robi krótką wycieczkę z Krakowa do Sandomierza, być może uproszony o to przez Szydłowieckiego; 20 sierpnia wyruszył ze stoli-

---

[1]) Zaznaczamy tu mimochodem, że malarz Jan z Twardoszyna, wymieniony pod rokiem 1511, pochodził z ziemi Słowackiéj, z nad Orawicy.

cy, 21 był w Proszowicach; 26 i 27 bawił w Sandomierzu (A. G. Z. X. Nr. 288), a 1 września był znowu w Proszowicach i tegoż dnia wyjechał do Krakowa [1]). O ile wiadomości nasze sięgają, Zygmunt Stary nie lubił podróżować zbyt śpiesznie, co zresztą przy ówczesnym stanie dróg nie bardzo było łatwém; na drogę przeto ze stolicy do Sandomierza liczyć trzeba trzy dni i tyleż na podróż powrotną, a gdy ten czas potrącimy, pozostanie na pobyt w Sandomierzu najwyżéj dni cztéry. Bawiąc z królem w tém mieście, mógł Szydłowiecki uroczyście zaopatrzyć pieczęcią przygotowany już zawczasu dokument i doręczyć go przedstawicielom kolegiaty opatowskiéj; ale na pozowanie dopiéro do portretu chyba nie starczyłoby w Sandomierzu czasu. Łatwiéj przecież było wymalować portret w miejscu zwykłego pobytu tego dostojnika, a więc w Krakowie.

Wypisanie nazwy Szydłowca przez *sz* lub *sch* nie jest dość pewną podstawą do wyprowadzania wniosków o narodowości; ortografia bowiem polska była w owym czasie i długo jeszcze późniéj, bardzo chwiejna i daleka od ustalenia [2]). Sam Szydłowiecki oznaczał swe nazwisko najczęściéj tylko pierwszą literą S., znamy jednak i dłuższy jego podpis: „de Schy.“ (*Lib. Geneseos*, tabl. XIV); podobnéj ortografii trzymała się stale kancelarya królewska, wypisując w całości nazwisko kanclerza pod dokumentami.

Prąd ożywczy epoki Odrodzenia dał się czuć w naszym kraju już w drugiéj połowie XV wieku; przejawił się on, jak na Zachodzie, w uwielbieniu dla utworów literackich starożytności klasycznéj, a bardziéj jeszcze może w zamiłowaniu w sztukach pięknych. Nie obcą temu ruchowi była rodzina królewska, a w blizkiéj z nią zażyłości zostający dom Szydłowieckich liczne a bardzo wyraźne tego zamiłowania okazuje dowody. Członkowie téj rodziny, nie szczędząc wielkich nakładów, urządzają lub odbudowują na nowo wspaniałe zamki, kościoły, kaplice, zdobią je rzeźbą, złoceniem, malowidłami; gdy jeden z nich, Jakób, w kościele, który w gnieździe rodzinném wystawił, zawiesza obraz malowany we Flandryi, Anna Szydłowiecka sprowadza

---

[1]) Daty odnoszące się do początku i końca podróży królewskiéj wyjęte są z notat, udzielonych uprzejmie przez prof. Pawińskiego.

[2]) Jeszcze pod koniec XVI wieku widzimy podpis biskupa poznańskiego „Adam Conarski“ 1571 r.; Gembicki, sekretarz królewski w r. 1592 pisze swe nazwisko „Gembiczki;“ we cztery lata późniéj podkanclerzy koronny podpisuje się „Tharnowski;“ w 1598 r. kanonik Marcin Szyszkowski wykaligrafował z mazurska „Sijszkowski;“ autor głośnego dzieła *De optimo senatore*, biskup przemyski, podpisał się się w r. 1599 „Wawrzinyecz Gosliczky.“

obrazy z Wrocławia, Krzysztof zdobywa się w zamku Ćmielowskim na taki przepych architektury i malarstwa, że cudzoziemcy i krajowcy umyślnie tam przybywają, by owe wspaniałości oglądać i podziwiać. Chociażby w tych słowach współczesnego panegirysty mieścila się niejaka przesada, nie ulega wątpliwości, że zmysł estetyczny Szydłowieckich nie pomijał żadnéj gałęzi sztuk plastycznych, że zaznaczyli swe zamiłowanie i w dziale malarstwa miniaturowego. Jeden zakupuje malowany mszał pargaminowy (*picturibus solemnioribus exornatum*), inny oddzielną zakłada księgę, w któréj dwanaście portretów rodzinnych gromadzi, albo dokumenta swoje miniaturami zdobić się stara.

Z téj złotéj epoki renesansu przechowało się szczęśliwie do naszych czasów kilka jeno, ale niepoślednich, w kraju wykonanych zabytków. Pierwsze miejsce zajmuje tu znany publiczności z kilku reprodukcyi we „Wzorach sztuki średniowiecznéj“ pontyfikał Erazma Ciołka z czasów króla Aleksandra Jagiellończyka, gdzie między licznemi innemi obrazami i sceny koronacyjne oglądamy. Za nim idzie zaraz „malowany kodeks“ Baltazara Bema z wyobrażeniami pracowitego życia mieszczan krakowskich (1516 r.); wreszcie wspomniana już księga rodowodowa Szydłowieckich. Obok tych zabytków miniatura dokumentu opatowskiego wcale poczesne zajmuje miejsce i z konieczności niejako do porównań nakłania.

Prof. Gerson uważa, że ornamentacye wewnętrznéj strony dokumentu, któreśmy na początku opisali, „są jeszcze naturalistyczne epoki ostrołukowéj, podobne do tych jakie w rękopisie krakowskim Behema znajdują się,“ gdy ornamenta lewéj, to jest zewnętrznéj strony pergaminu „już zarysem ogółowym należą do form renesansowych.“ Inny znawca tych rzeczy, Bruno Bucher [1]), dopatruje znowu liczne a wielkie podobieństwa między obrazami kodeksu Bema a malowidłami w pontyfikale Ciołka. Sposób obramowania obrazów, budynki z rozmaitemi oknami w głębi, błękit oddaleń, skały i powierzchnie wodne, wybór barw, któremi malowane są szaty — wydają mu się zupełnie jednakowemi w obu rękopisach. Twierdzi on téż, że kobiéta, przedstawiona w pontyfikale na obrazie święconego wielkanocnego, ma wiele podobieństwa z postaciami kobiécemi u Be-

---

[1]) „Die alten Zunft- und Verkers-Ordnungen der Stadt Krakau,“ Wiedeń, 1889, str. XXI. Jest to właśnie *Codex picturatus* Baltazara Bema, według rękopisu biblioteki Jagielońskiéj, odtwarzający w światłodrukach wszystkie onego miniatury.

ma; że malec z wielkim mieczem (nawiasem mówiąc, „malec" jest brodaty i wąsaty) na tablicy XIX w *Codex picturatus*, występuje w pontyfikale przy poświęceniu fundamentów kościoła (gdzie widzimy młodzieniaszka bez wąsów) i t. d. Być może, iż przy porównywaniu tych obrazów w oryginale, podobieństwa te bardziéj uderzają, ale w reprodukcyach, wyznajemy, że nie wszystkich wskazanych dopatrzyć się mogliśmy. Twierdzić téż stanowczo wraz z p. Bucherem, że malarz kodektu Bema brał udział w obrazach pontyfikału — nie śmiemy. Wszak podobieństwa mają być wynikiem tożsamości czasu, gustu, miejsca, wreszcie cechowego kształcenia się malarzy, a niekoniecznie dowodzić tożsamości ręki mistrza. Więcéj nas uderzają dwie figury zakute w pełne zbroje, które u Bema podtrzymują tarczę na tablicy X, a w obrazie koronacyi u Ciołka stoją na konsolach lub podtrzymują ramkę sceny homagialnéj; lecz i tu zachodzą znaczne różnice: w pontyfikale narysowane są one z wielką fantazyą i humorem, których brakuje w obrazie Bema.

Ma słuszność natomiast, jak się nam wydaje, p. Bucher, gdy odrzuca zdanie Rastawieckiego jakoby imię Stanisław pomieszczone w obu zabytkach na dzwonach, było imieniem malarza obrazów; czy zaś było to imię gisera, odléwacza dzwonów, jak chce Bucher, czy raczéj imieniem samego dzwonu — nie łatwo rozstrzygnąć.

Litery, które malarz kodeksu Bema niejednokrotnie na szatach figur pomieścił, a które nie dają wcale żadnego sensu, wedle zdania p. Buchera, nie mają najmniejszego związku ani z imieniem ani z nazwiskiem artysty; mogły one stanowić raczéj rodzaj rebusu, w ówczesnych kołach rzemieślniczych krakowskich łatwo zrozumiałego. Badacz wiedeński nie wątpi, że twórca owych obrazów mieszkał w Krakowie, nie chce jednak rozstrzygać, czy był on Polakiem, czy Niemcem; zaznacza wszelako, mianowicie w obrazie ukrzyżowania, niejakie pokrewieństwo z malarzami dolnego Renu, wpływu zaś włoskiego renesansu nie widzi nigdzie [1]).

Ale, spyta może czytelnik, jaki to ma związek z malowidłem opatowskiém?

Wszystkie cztery zabytki miniaturowe blizkie są sobie czasem

---

[1]) Może to być słusznem, pod względem rysunkowym, na którym p. Bucher twierdzenie swe wspiéra. Nie mogę jednak pominąć uwagi, że użyty w łacińskim napisie na tablicy XII, przedstawiającéj pracownię malarską, wyraz *tavola* (nie *tabula* ani *Tafel*) nasuwa domniemanie, że malarz tego obrazu miał jakieś zetknięcie z Włochami.

ich wykonania, wszystkie pochodzą z Małopolski, wszystkie prawdopodobnie malowane były w Krakowie. Gdy twórcy trzech dawniéj znanych zabytków nie zaznaczyli nigdzie swych imion, gdy i dotychczasowe badania wykryć ich nie zdołały, — słaba podobno nadzieja, żebyśmy autora miniatury opatowskiéj odkryli. Pozostaje on bezimiennym [1]), ale niewątpliwym artystą.

Pan Gerson, jak wspomnieliśmy, podnosi wpływ renesansowy tylko na zewnętrznéj (lewéj) stronie dokumentu. Zdawałoby się nam, że i na stronie głównéj (wewnętrznéj) pewien ślad onego dostrzedz można i że tém właśnie zabytek opatowski wyróżnia się od miniatur kodeksu Bema. Te mają wyraźne cechy naturalizmu średniowiecznego, a p. Bucher twórcę ich nazywa wprost satyrykiem i humorystą. Malarza dokumentu Szydłowieckiego nikt tak nazwać nie może, jest on całkiem poważny, zajęty jedynie tematem obrazu, po za którym osobistość twórcy znika całkowicie. Drugi ślad wpływów odradzającego się nowo-klasycyzmu dostrzegamy w rysunku konia, na którym św. Marcin siedzi. Pełne, może zbyt okrągłe kształty zwierzęcia jakże jaskrawo wyróżniają się od tych, lichych wierzchowców, które u Bema na tablicach VII i XXII oglądamy. Bezwątpienia, wskazówki to słabe; ale pamiętajmy, że miniatura przypada na epokę przejściową w historyi malarstwa naszego. Wszak Rafael jeszcze nie skończył swéj krótkiéj ziemskiéj pielgrzymki i wpływ jego mistrzowstwa nie mógł na północne nasze sfery zbyt szybko oddziałać; wszak królowa Bona dopiéro drugi rok bawi w Polsce. Wzory włoskie nie od razu mogły zwalczyć nawyknienia malarstwa cechowego w Krakowie. Wszak w zbiorze portretów Szydłowieckich, zabytku o dziesięć lat z górą od naszéj miniatury późniejszym, nie łatwo też chyba dopatrzyć oznak epoki renesansowéj i bodaj czy nie jedynym jéj śladem są ornamenta ramek na tablicach IX, X i XI; a przecież wtedy wpływy włoskie w dziedzinie sztuk pięknych stanowczo już u nas brały górę. Niektóre z tych portretów przypominają naszą miniaturę sposobem, w jaki się draperye chorągwi układają — szablo-

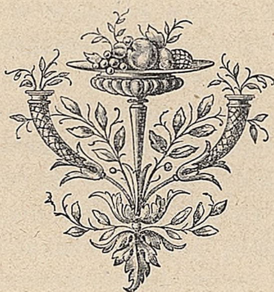
---

[1]) Być może, iż na miniaturach, zdobiących dokument urzędowy, nie było przyjętém pomieszczać nazwę malarza. Na oryginale statutów czeladzi, czyli „towarzyszów rzemiosła paśniczego“ w Krakowie r. 1517, ozdobionym różnobarwnemi floresami, wypisano wprawdzie złotemi literami „Pawel mystrz“ (Piekosiński, Prawa, przyw. i stat. m. Krak. I. 413), sądzimy jednak, że to było imię majstra paśniczego, który o wygotowanie dokumentu postarał się, nie zaś miniaturzysty, który floresy malował.

nowo może, ale miękko i zręcznie. W tak zwanéj „szkole strzeleckiéj“ u Bema (tabl. XXI) chorągwie wyglądają całkiem inaczéj Czy i téj drobnéj różnicy na karb wpływów włoskich policzyć nie byłoby wolno?

Cokolwiek w téj mierze lepsi i wytrawniejsi od nas znawcy malarstwa powiedzą — zgodzą się oni z nami przynajmniéj co do tego, że panu Gersonowi należy się szczera podzięka za jego interesującą pracę.

St. Ł.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Ernest Till, „Prawo prywatne austryackie“ (tom I i II, Lwów, 1892 r.).

Nie mogąc na tém miejscu wchodzić w szczegóły dzieła, mającego doniosłą wartość dla literatury prawa prywatnego austryackiego, poruszyć pragnę tylko jedną kwestyę, mającą ogólniejsze znaczenie. Jest nią skreślenie stanowiska, z jakiego prof. Till patrzy na badane przez siebie prawo, kierunku, lub jeżeli tak chcemy nazwać, szkoły, do której się przyznaje i w imię zasad której pracuje. Innemi słowy, są to pytania, czém jest prawo prywatne dzisiaj obowiązujące, gdzie go szukać i jak badać. Odsłonięcie tych punktów nauki prawa zajmie może nawet nie wtajemniczonych w tysiące teoryi prawnych, jeżeli bowiem nie szczegóły, to ogólne przynajmniéj prądy znanemi być powinny każdemu, kto nie ogranicza się na samowiedzy, że żyje, ale i pyta, jak żyje.

W książce, omawiającéj prawo pozytywne, występują te trzy kwestye pod pewnym względem namacalniéj, aniżeli tam, gdzie się je tylko teoretycznie bada, bo książka taka... to właśnie zbiór dowodów na teoryę. To też choćby prof. Till nie zajmował się niemi *ex professo*, to i tak odszukaćby można w jego dziele dosyć momentów, posługujących do rozstrzygnięcia tych pytań. Jestto zresztą zupełnie naturalném. Nie wierzy się lekarzowi, nie znającemu anatomii i fizyologii, a leczącemu tylko według dorywczo zebranych doświadczeń. Tak też i prawnik, który nie porobił studyów w wyżéj zaznaczonym kierunku, nie daje bezpiecznéj rękojmi dla swego dzieła.

W § 2-im dochodzi autor do rezultatu, że prawem prywatném jest to prawo, które ma na celu przedewszystkiém interes jednostek,

z § 3 zaś wynika, że prawem prywatném austryackiém jest to, co zawiera kodeks cywilny austryacki. Chcąc te dwa pojęcia pogodzić, żądać musimy dowodu, że to, co obejmuje kodeks cywilny austryacki, ma na celu rzeczywiście interes jednostek. Dowodu tego nie znajdujemy, a potrzebnym on jest dla tych, którzy w kodeksie cywilnym austryackim widzą cały szereg norm z prawa publicznego. Wskutek tego, zdaniem tych ostatnich, jeżeli nie obie, to jedna przynajmniéj z wyżéj podanych definicyi jest fałszywa. Jeżeli prawdą jest, że prawo prywatne ma na celu przedewszystkiém interes jednostek, to prawa prywatnego austryackiego nie można będzie identyfikować z kodeksem austryackim, bo ten zawiera i takie przepisy, które mają na celu głównie interes ogółu. I na odwrót, jeżeli kodeks cywilny austryacki jest identyczny z prawem prywatném austryackiém, to o prawie prywatném wogóle nie może powiedziéć prof. Till, by miało na celu przedewszystkiém interesy jednostek. Nie o skonstatowanie jednak téj sprzeczności mi tu idzie, lecz o podniesienie téj charakteryzującéj prof. Tilla cechy, że podstawą jego wykładu jest ustawa, jest kodeks. Jego pojęcie prawa prywatnego wogóle (§ 2) jest zbytecznem wobec § 3, w którym nie te przepisy ustawodawstwa austryackiego zalicza do prawa prywatnego austryackiego, które mają na celu interes jednostek, ale te, które przez ustawodawcę „prywatnemi" zostały nazwane.

Ta cecha nabiéra wyrazistości przy rozpatrywaniu źródeł, z których prof. Till czerpie. Wedle § 3-go podstawą wykładu prawa prywatnego austryackiego jest kodeks cywilny austryacki. Zgodnie z tém zapatrywaniem twierdzi autor na str. 45, że „w zakresie prawa prywatnego austryackiego nie ma prawa zwyczajowego", na str. 79, że „zwyczaje sądowe (*usus fori*) nie są zdolne do tworzenia prawa", na str. 81 wreszcie, że „nauka (umiejętność) prawa nie jest przyczyną powstania prawa w znaczeniu przedmiotowém." Jedynie przeto ustawa i ustawa jedynie jest, zdaniem prof. Tilla, źródłem prawa prywatnego austryackiego.

Więcéj, aniżeli odpowiedzi na dwie powyższe kwestye, zapowiada prof. Till tam, gdzie mówi o metodzie. „Jeżeli metoda systematyczna—mówi autor na str. 4—podaje nam ogólną formę, w jakiéj naukę przyjąć nam wypada, metoda egzegetyczna, w pewnych granicach zastosowana, pasłuży do obznajomienia się z pozytywnemi przepisami ustawy, a przezorna i umiarkowana krytyka poda nam wskazówki, czy przepis, jaki uważać nam należy ze względu na przedmiot, na przyczynę prawodawczą jako odpowiedni, lub dążyć do zmiany i w jakim kierunku." Na pierwsze dwie zgoda bez innych

zastrzeżeń, jak tylko co do materyału, który metoda systematyczna ma ujmować w ogólną formę, a egzegetyczna podawać w zrozumiałéj szacie, kwestya ta jednak wyżéj została już poruszona. Co do krytyki jednak, to na jakiéj podstawie wsparty ocenia autor przepisy prawne? Wyraźnie wypiera się prawa natury (str. 2), jako *tertium comparationis*, wyraźnie także prawo rzymskie uznaje tylko do pewnego stopnia za wzór (str. 3), logicznie zaś z tego, co mówi o prawie zwyczajowém, zwyczajach sądowych i umiejętności prawa (a co wyżéj przedstawiłem), wynika, że nie może mu służyć za kryteryum także i cały ten olbrzymi materyał prawny, jakiego dostarcza życie w tysiącznych swoich objawach, czy to w sądzie, czy po za nim, czy w literaturze ekonomicznéj, czy téż w żywém gospodarstwie. Na czémże więc polega krytyka prof. Tilla? Wobec odrzucenia wymienionych kryteryów nie zostaje mu nic innego, jak to, czém już rozporządzała całkowicie literatura, gdy się posługiwała tylko metodą egzegetyczną, a o któréj sam mówi, że porównywa i zestawia jedne przepisy ustawy z innemi przepisami (str. 1), ale tylko przepisami.

Reasumując to, co wyżéj przedstawiłem, dochodzę do dwóch wyników, a mianowicie: że metodzie prof. Tilla brakuje zupełnie krytyki, o ile przez tę ostatnią rozumiemy co innego, aniżeli to „porównywanie i zestawianie jednych przepisów z drugiemi“, które sam autor umieścił już w metodzie egzegetycznéj, tudzież powtóre, że prof. Till nie dał nam w swéj książce systemu prawa prywatnego austryackiego, lecz tylko usystemizowany kodeks cywilny austryacki. Ten ostatni wniosek poparty jest tém, co wyżéj zostało przedstawioném, a nie obala go bynajmniéj fakt, że prof. Till posiada iście potężną znajomość literatury prawa pospolitego i w pełnéj mierze z niéj korzysta. Trzeba tylko jasno zdać sobie sprawę z tego, jaki i kiedy przynosiła literatura pożytek dla prawnika, badającego prawo partykularne. Biorąc pod uwagę tę tylko jéj część (i najobfitszą i taką, z któréj prof. Till wyłącznie korzystał), która ochrzczona została nazwą „dogmatycznéj“, nie mogę wyciągnąć z niéj innych korzyści, prócz ułatwienia w generalizacyi pojęć, a więc w systematyce, a zastosuję ją do danego prawa, jeżeli premisy, na których taki ogólny wniosek w prawie pospolitém oparto, są identycznemi z temi, jakie przedstawia badane przezemnie prawo. Zapatrywanie moje popieram całym tysiącem sporów o najdrobniejsze teorye. Upadają lub wydają się niewzruszonemi w miarę tego, czy znajdzie ktoś wypadek mieszczący się w nich, czy téż nie. W tym drugim wypadku, t. j. mając przed sobą dobrą teoryę, wysnutą z prawa pospolitego, mam

znacznie ułatwioną pracę przy badaniu prawa partykularnego, bo sprawdzam tylko założenia, a odpada mi cała praca umysłu nad zbudowaniem pojęcia ogólnego. Literatura prawa pospolitego przeto nie wydobywa autora z ram, jakie sobie zakréślił, t. j. z kodeksu austryackiego a nieuwzględnianie przezeń prawa zwyczajowego, praktyki sądowéj, życia samego czyni system jego systemem kodeksu cywilnego, nie zaś systemem prawa prywatnego.

Praca taka ma jedną wadę, a prof. Till popełnia jeden błąd Wada polega na tem, że praca taka nie daje obrazu prawa dzisiaj obowiązującego, lecz tylko prawo téj chwili, którego odzwierciedleniem był kodeks, jeżeli niém był w ogóle. Błądzi zaś autor, bo tego nie mówi, a przeciwnie sądzi, że przedstawia prawo dzisiejsze. Mojém zdaniem [1]) nie zna prawa dzisiaj obowiązującego, kto go nie chwyta w życiu ciągle się zmieniającém. Mimo stu paragrafów, wykluczających znaczenie prawa zwyczajowego i praktyki sądowéj, te ostatnie drwią sobie z drukowanéj banicyi. Prawo tworzą interesowani i sąd. Kto je chce poznać, ich, nie zaś papiéru, zapytać się o nie powinien.

Wartość jednak takiéj pracy, jak prof. Tilla, nie może w pewnym kierunku mimo tego podlegać wątpliwości. Czyjém zdaniem kodyfikacya jest konieczną, ten i system kodeksu t. j. logiczne ugrupowanie pojęć w miarę ich znaczenia, uznawać musi za konieczny. Niewątpliwym jest także i wpływ takiéj pracy na przekonania prawne społeczeństwa, ale ten wpływ nie może być i nie jest jedynym. W świecie objawów prawnych odbywa się ciągle przystosowywanie się do warunków zewnętrznych, jak wszędzie w naturze. Warunki te są i rozliczne i ciągłéj ulegają zmianie. Kodyfikacya, jeżeli jest rozumną, t. j. jeżeli się rachuje z temi zewnętrznemi warunkami, normuje stosunki ludzkie może nawet bardzo wyczerpująco, ale zawsze tylko w pewnym czasie i na pewien czas. Stąd z jednéj strony słuszny opór przeciwko potrzebie kodyfikacyi, a z drugiéj konieczność ciągłéj rewizyi pojęć prawnych. Kto w dwóch ostatnich dziesiątkach naszego wieku bada prawo prywatne austryackie na podstawie kodeksu pochodzącego z samego początku bieżącego stulecia, a nie daje dowodu, że w życiu jest ono takiém samém, jak na papiérze noszącym nazwę kodeksu, ten nie przedstawia prawa dzisiaj obowiązującego, lecz ówczesne.

W powyższym wywodzie chodziło mi, jak to na początku już

---

[1]) Patrz moją „naukę o służebnościach,“ Kraków 1892 r.

powiedziałem, o określenie kierunku badań prof. Tilla nad prawem prywatném austryackiém. Streścić się ono da w kilku słowach. Autor przedstawia ze stanowiska nauki to, co redaktorowie kodeksu cywilnego austryackiego umieścili w nim, jako ustawodawcy. Wspólnym i prof. Tillowi i redaktorom kodeksu jest jeden i ten sam materyał, tylko inaczéj go przedstawiają. U pierwszego system udoskonalony blisko wiekową pracą, sprostowanie niekonsekwencyi i sprzeczności między poszczególnémi przepisami, ściśle określone pojęcia, a wreście możność stworzenia części ogólnéj. Drudzy, wiek wstecz pracujący, rachować się nadto musieli z temi wszystkiemi względami, które im, jako ustawodawcom, były wskazane, a więc przedewszystkiém wyrzucić wszelkie abstrakcyjne pojęcia i definicye. Praca jednak tego rodzaju nie daje, jak już wyżéj powiedziałem, obrazu prawa dzisiaj obowiązującego, a to z tego powodu, że z czynników, z których się ono składa, uwzględnia tylko jeden t. j. sam szkielet, jakim jest kodeks, odrzuca zaś cały szereg innych, między któremi najważniejszym jest poznanie, jak ludzie w pewnéj chwili żyjący rozumieją i wykonywają ten kodeks. Że to rozumienie i wykonywanie jest w różnych czasach różném, nie ulega chyba wątpliwości, jak z drugiéj strony mojém zdaniem one dopiéro są tém ciałem, które, choćby było na jednym i tym samym szkielecie, jeżeli samo się zmienia, inne tworzy istnienia. „*Les usages*,“ mówi Brocher de la Fléchère [1]), *en effet, se transforment incessamment. Les conventions doivent à leur nature: une certaine stabilité temporaire; mais lors même qu'elles ne varient pas dans leur forme, la manière dont elles sont comprises et appliquées est susceptible d'importantes modifications. Le droit positif, comme on appelle les usages et les conventions, non seulement ses transforme, mais son developpement dépend dans une certaine mesure de la libre action de l'homme. Aussi la connaissance du droit positif, tel qu'il a été appliqué dans le passé le plus rapproché de nous, n'est elle pas suffisante*“... Słowa te zupełnie słuszne, a i wnioskowi, jaki stąd Brocher wyciąga, że trzeba stworzyć nową naukę, mającą za przedmiot wyszukiwanie przyczyn zmiany prawa, nic więcéj zarzucić się nie da, jak tylko to, że przed wyszukaniem przyczyny zmian jakiegoś prawa trzeba pierwéj samo to prawo poznać. Jeżeli prawo ciągle się zmienia, jeżeli ciągle jest inném, a jeżeli mimo to „podstawą jego“ jest jeden i ten sam kodeks, to czyż można znajomość tego prawa opierać na tym kodeksie właśnie, czy to przeciwnie nie wskazuje, że

---

[1]) Les revolutions du drait, tom 1-szy, str. 4 (Paris etc.).

oprócz niego istnieć muszą i istnieją inne czynniki, które, by samo prawo poznać, przedewszystkiém zbadać należy. Autor nasz nie uwzględnia ich zupełnie i to właśnie charakteryzuje kierunek jego badania.

Po zaznaczeniu i ocenieniu założeń, na których prof. Till buduje swój system, zapytać już tylko można, jeżeli się nie pisze nowego dzieła, lecz jedynie recenzyą, czy materyał, który autor wziął za podstawę swego dzieła, zużytym został przez niego całkowicie i czy wnioski, do których doszedł, są logiczne. Gdy się ma przed sobą książkę autora téj powagi, jak prof. Till, ogólniki nie są potrzebne, dla szczegółów zaś i sumiennego ocenienia rezultatów pracy wielkiéj i rozmiarami i włożonym w nią czasem, miejsce właściwsze w piśmie fachowém.

D-r Władysław Leopold Jaworski.

Ignacy Dąbrowski. „Śmierć“. Studyum. Warszawa, T. Paprocki, 1893, str. 188.

Jestto praca młodzieńca, występującego po raz pierwszy, jak się zdaje, w druku, a zwracającego już na siebie uwagi myślami swemi, a raczéj sposobem, w jaki je wypowiedział. Rzecz ta powstała pod wpływem-fizyologiczno-psychologicznego kierunku w beletrystyce; zawiéra więc faktów, zdarzeń, okoliczności bardzo mało, lecz za to nader wiele spostrzeżeń i refleksyi. Student 23-letni ma dziedziczne suchoty, ale o tém nie wié z początku, sądząc, że kaszel i inne przypadłości są skutkiem chwilowego przeziębienia, które przejdzie rychło i pozwoli mu znowuż chodzić na wykłady i udzielać lekcyi dla utrzymania bytu. W tém mniemaniu utwierdza go kolega, który z nim spólnie odnajmuje biedny, pusty niemal pokój na 3-ém piętrze i ma szczególne do swego egoistycznego i despotycznego towarzysza przywiązanie; tak samo sądzi poczciwa, gadatliwa, naiwna siostra Zosia, będąca już na własnym chlebie z korepetycyi; toż powiada lekarz Starzecki, odwiedzający chorego bezinteresownie.

Jest więc niezłéj myśli Józef Rudnicki i zmuszony pozostawać w pokoju, skraca sobie chwile spisywaniem uwag o sobie i otoczeniu, a zwłaszcza o swojéj chorobie w tonie drwinkującym, w gwarze i z konceptami studenckiemi. Ta część dziennika jego jest pełna życia i prawdy. Sienkiewicz w początkach swego zawodu, w „Hani“ np., parę takich scenek i zarysów podał, lecz na tę skalę, co u p. Dąbrowskiego nie przypominam ich sobie w powieściopisarstwie naszém.

Wyborna jest ta charakterystyka samego siebie, niby sceptyka, niby sofisty, ale z uporem, zapałem dysputującego o wszystkich najważniejszych zagadnieniach ducha i świata; doskonały jest ten Stach, kolega, mający wyrobione już bardziéj przekonania, niby chłodny i trzeźwy, pełen dogmatów, lecz lubiący marzyć i rosprawiać po całych nocach bezsennych; niezła jest i 18-letnia Zosia trochę rostrzepana, niezbyt głęboka, ale serdeczna, dla miłości Stacha pragnąca się ukształcić, zgryźć, wszelkie twarde orzechy mądrości filozoficznéj, którą się jéj ukochany zajmuje.

Autor dziennika należy do natur lotnych, imponujących innym: mniéj gibkim pod względem myśli i wyobraźni, i z tego tytułu rozpatrujących wszystko i wszystkich jedynie w stosunku do siebie samych. Miał on zawsze — jak sam o sobie powiada — „pociąg do udawania i hecarstwa,“ czyli inaczéj mówiąc, pociąg do dramatyzowania życia swego, jak to w dobie romantyczno-byronowskiéj było we zwyczaju. Stąd rad jest bardzo, gdy mu się uda zauważyć, że go spotyka coś niezwykłego, przynajmniéj we własném jego mniemaniu; i byłby bardzo zmartwiony, gdyby mu powiedziano, że jego cierpienia lub jego myśli, mają mnóstwo spólności z cierpieniami i myślami setek i tysięcy. Wprawdzie raz jeden (str. 113) nazywa sam siebie „uosobioną przeciętnością téj falangi wpółwykształconych ludzi, z nicością w duszy, z drwinami na ustach, doskonale się obywających bez wszelkich ś w i a t o p o g l ą d ó w i metafizycznych idei, z oczami ku ziemi, nie ku niebu zwróconemi;“ — ale to orzeczenie nie jest zgodne ani z poprzedniemi, ani z następnemi objawami duszy piszącego, który bądź co bądź uważa się za człowieka wyższego, za orła, szybującego myślą ponad poziomem otoczenia.

Złudzenie to naturalnie; umysł taki bierze swoje niejasne, mgliste obrazy lub dorywczo pochwycone formułki za pomysły genialne, gdy w rzeczywistości, gdy je nam wypowiadają, okazuje się, że to są ogólniki dobrze i niejednokrotnie wygłaszane, albo też koncepta brane za prawdy głębokie. Weźmy taki jeden pomysł, do którego autor dziennika przywiązywał, jak się zdaje, wielkie znaczenie, uważając go za rozwiązanie zagadki, dlaczego tak mało myślimy o śmierci. „Oto dlatego — powiada autor — iż my wszyscy wiemy, że pomrzemy, ale nikt temu nie wierzy. Niesłusznie nazwali to paradoksem; to p r a w d a n a j p r a w d z i w s z a. Śmierć stosujemy do wszystkich, tylko nie do siebie. My wszyscy, pomimo miliarda przykładów, pomimo jaskrawéj ich oczywistości, pomimo nawet najsilniejszego o tém przekonania, czynimy się wyjątkami w ogólnéj regule. Nikt się do tego nawet sobie nie przyzna, potrafimy nazwać to idyotyzmem, śmiać

się z własnéj głupoty, a jednak... jednak... nie wierzymy. Ta najdziwaczniejsza z dziwacznych niewiara nie występuje może nigdy w umyśle jako jasno i dobitnie sformułowane twierdzenie, ale tkwi gdzieś po kącikach inteligencyi, jako instynktowy, wrodzony głos. Nie wiemy, że go mamy, — a on jednak wchodzi w grę myśli i wpływa na nią“ (str. 140).

Autor dziennika nie powiada, skąd przyszedł do takiego pomysłu, może go poczytuje za własne genialne spostrzeżenie. Ja spróbuję postawić hipotezę, nie daleko szukając. Pomiędzy szkicami Leona Tołstoja jest jeden p. n. „Śmieć Iwana Iljicza,“ tłómaczony na polski i wydany w r. 1891. Jestto także studyum nad śmiercią; nie suchoty ją sprowadzają, lecz nerka latająca. Toż samo tu rozdrażnienie, taż sama złość co odgrywania komedyi wiary w polepszenie, taż sama nieufność, toż rozmyślanie nad niepewnością losu pośmiertnego, taż niewiara w możliwość śmierci. Oto słowa, któremi ten ostatni szczegół w chorobie Iwana Iljicza wyraził Tołstoj: „Przykład sylogizmu, pamiętny mu jeszcze ze szkół: Cajus jest człowiekiem, ludzie są śmiertelni, a więc Cajus jest także śmiertelny — wydawał mu się przez całe życie słusznym tylko co do Cajusa, ale nigdy co do niego. Tamten był Cajusem, człowiekiem w ogólném znaczeniu tego słowa, i to było naturalne; ale on nie był Cajusem, ani człowiekiem w ogólném znaczeniu tego slowa; on był zupełnie różném, odrębném od wszystkich stworzeniem... Cajus jest rzeczywiście istotą śmiertelną i naturalnie umierać musi, ale ja, Iwan Iljicz — ja, to zupełnie rzecz inna. Niepodobna, żebym ja miał istotnie umiérać. Byłoby to zbyt straszne!... Gdyby śmierć była mojém przeznaczeniem, wiedziałbym o tém wcześniéj, ostrzegłby mię głos wewnętrzny. Ale nic podobnego nie przytrafiło się nigdy, ani mnie, ani nikomu z moich przyjaciół; przeciwnie, doskonale rozumieliśmy wszyscy różnicę między sobą a Cajusem. A teraz cóż? — To niepodobieństwo, ta niemożliwość nadeszła, zbliża się. I jakże to być może? Jak to zrozumieć?“

Więc myśl nie jest nowa, lecz co jest ważniejszą i znamienną rzeczą, myśl ta u Tołstoja rzucona jest ironicznie jako charakterystyka takiego samoluba, jakim byl Iwan Iljicz; u autora zaś dziennika pojawia się niby poważny pogląd filozoficzny jako „najprawdziwsza prawda!“ Dowodzi to jego niewyrobienia pod względem myślowym i nieprzygotowania do prawdziwie trafnych i rozumnych uogólnień. Nie, genialnym on nie jest, chociaż zdolności dyalektycznych i pewnego stopnia spostrzegawczości odmówić mu nie można.

I sympatycznym nie jest. W téj fazie, w któréj go poznajemy, zanadto się samym sobą zajmuje, zanadto zwraca uwagi na drobne-

przejścia swego chorobliwego stanu, zanadto jest egoistą, ażebyśmy szczerze i serdecznie spółczuli jego cierpieniu. Prawda, że nie może on czynem zrobić nic dobrego, kiedy leży w łóżku lub leży w fotelu obstawiony poduszkami, ale i z przeszłości jego nie dowiadujemy się niczego, coby świadczyło o życiu jego dla drugich. Także rzadkiemi są w jego dzienniku wzmianki wdzięczne o tych troskach, zachodach, jakie sobie zadają Zosia i Stach, by mu dogodzić, by mu ulżyć; jakże często natomiast, przyznaje się, iż ich dręczy naumyślnie. Protestuje on przeciwko Dumasowi, który wystawił suchotników w idealném świetle. „Gdzie on widział — powiada — tych potępieńców ze słowami miłości i słodyczy, jakie im w usta wkłada? Gdzie on się do, patrzył tego altruizmu i poświęcenia, jakie z ich słów wieją? To nieprawda! Egoizm chwyta nas w swe szpony i wszystko nam z serca wyjada. Co nam po świecie całym? Niech ginie, niech przepada, skoro my już z niego korzystać nie możemy. Idee społeczne? szczęście? dobro? prawda? Co one nas obchodzą? My tylko konamy — z zawiścią, z przekleństwem, że na nas przyszła kolej wykluczenia" (str. 158).

Tak przemawia samolub, a lepiéjby zrobił, gdyby słów swoich nie uogólniał, gdyby się wyrażał w liczbie pojedyńczéj, bo dowiódłby przynajmniéj, że ten zmysł analityczny, którym się przechwala, nie zanikł w nim czasu choroby. Bywają przecież chorzy, co nie o sobie myślą wyłącznie, których nie o siebie tylko strach ogarnia, gdy smiertelną zagrożeni są słabością, lecz nie postradali jeszcze przytomności umysłu.

Ale Józef Rudnicki miał tylko dużo miłości własnéj, a zresztą serce oschłe, które lubiło własną tylko „pieścić się boleścią," a innych uważać za stworzenia niższe, do posługi jakoby obowiązane. Dwa razy tylko w ciągu dwumiesięcznéj choroby odzywa się w nim struna serdeczna, raz przy pożegnaniu z ciotką, drugi raz przy rozmowie z księdzem, który mu przynosił ostatnią pociechę. W pierwszym atoli wypadku rozczulenie jego można uważać także tylko za przejaw egoizmu, że będzie pozbawiony widoku jeszcze jednego przedmiotu, który mu przypominał życie; w drugim zaś widzimy raczéj dowód niekonsekwencyi w skréśleniu nastroju religijnego, aniżeli rys psychologiczny prawdziwy.

Bo z tą religijnością Józefa dzieją się w jego dzienniku rzeczy trochę dziwne. Raz czytamy, że wszystko mu jedno było staczać dysputy z przyjacielem z jakiegobądź stanowiska: „panteisty lub ateusza," to znowu, że nie miał on zupełnéj świadomości powolnego ulatniania się uczucia religijnego i dogmatów. To mówi, że o d d z i e c k a

już wyrabiał w sobie odporność względem wszelkich zabarwień tendencyjnych (str. 151), gdy na początkowych kartach (str. 38, 39) twierdził, że do 16-go roku życia utrzymał „wszystkie nabytki dzieciństwa,“ że wiara była dla niego wszystkiém, że przez jéj pryzmat widział świat i życie, że ona była „jedyném światłem, rozpraszającém mroki zagadek, jedyną spójnią, łączącą w całkowity systemat wszystkie pojęcia o wszechświecie.“

Są niektóre ustępy dziennika pisane jakby pod innym wpływem, pod inném natchnieniem, akcentujące potrzeby wiary i dające poznać, że pustka serca Józefa pochodziła właśnie z jéj utraty. Są znów inne, w których sceptyk, materyalista i niedowiarek występuje wyraźnie. Bynajmniéj nie przeczę, iż to są objawy możliwe w téj saméj osobie i w niedługich odstępach czasu, ale musiałoby to wszystko być lepiéj zharmonizowaném.

Gdybyśmy mieli przed sobą autentyczny pamiętnik suchotnika, rozważalibyśmy go tylko pod względem psychologicznym. Ale tak nie jest; część jedynie dziennika można nazwać odczutą naprawdę; przeważnie zaś są to myśli i sytuacye kombinowane z czytania, z opowiadania i t. p. Jako na utwór artystyczny, zamało w nim sztuki, zadużo powtarzań, zadużo jednostajności. Są ustępy (mianowicie dotyczące uczucia religijnego) jakby dosnute i doczepione nieorganicznie późniéj, już po napisaniu głównego zarysu.

Pod względem stylu odznacza się on z początku buńczucznem zaniedbaniem, ale téż i świéżością, późniéj jest staranniejszy, ale téż pospolitszy; wszędzie jest żywość, jędrność, energia. Język jest wogóle dość poprawny, lecz nie brak w nim niepożądanych nabytków takich jak: światopogląd, służyć dowodem, przyjmować udział, nie ujrzéć więcéj i t. p., które, niestety, coraz bardziéj zanieczyszczają nie tylko dziennikarstwo nasze, ale i beletrystykę.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Ks. Zygmunt Chełmicki.* **W Brazylii.** Notatki z podróży. Z licznemi ilustracyami w tekście. Warszawa. 1892. Dwa tomy: str. 207 i 217. Niespełna dwumiesięczny pobyt w takim kraju jak Brazylia nie jest naturalnie dostatecznym do dokładnego poznania

wszystkich stron jego bytu; ale kto sobie ścieśniony, określony należycie stawia zamiar, kto pewną tylko stronę stosunków zbadać pragnie i brać się do tego umié, ten w tym ograniczonym przeciągu czasu bardzo wiele dokonać potrafi. Ks. Chełmicki znalazł się właśnie w tém położeniu. Wybrawszy się z p. Mikołajem Glinką w 1891 r. do Brazylii, celem przyjścia z pomocą nieszczęśliwym z kraju naszego wychodźcom, zaopatrzył się przedewszystkiém we wszystkie dzieła traktujące o kraju owym wogóle oraz specyalnie o jego kolonizacyi, a stanąwszy na gruncie, miał już gotowe dane do przedsięwzięcia kroków, które miały zaprowadzić nie tylko do uskutecznienia zamiaru głównego, ale także do poznania losu emigrantów i warunków pracy kolonizacyjnéj. Szczęśliwe okoliczności dozwoliły odbywać podróż po nadbrzeżnych stronach Brazylii, nie tylko bez przeszkód, ale nawet z pewnemi udogodnieniami i ułatwieniami, pozwalającemi swobodnie się rozglądać we wszystkich szczegółach, które go interesować mogły. Był więc w Rio, w San Paulo, w Paranaguie, w Curitibie, przypatrzył się zbliska zarówno tymczasowym, a straszliwie urządzonym przytułkom dla wychodźców, jak plantacyom kawy i pracy karczowania gruntu. Opisał to wszystko spokojnie, rozważnie, bez uniesień, podał, o ile zdołał zebrać, szczegóły statystyczne o dotychczasowych koloniach polskich w Brazylii, nakréślił stan ich ekonomiczny i przedstawił trudności, z któremi każdy przychodzień a zwłaszcza ten, kto nie zna miejscowego języka i do innych warunków klimatycznych przywykł, walczyć musi. W jego przedstawieniu, ogólnie biorąc, bynajmniéj ów raj brazylijski lepiéj, korzystniéj się nie przedstawił, aniżeli w pośpiesznych, gorączkowych sprawozdaniach p. Dygasińskiego. Ks. Chełmicki nabrał przekonania, że do Brazylii w ostatnich mianowicie czasach „emigrowały prawie wyłącznie szumowiny naszego wiejskiego i miejskiego proletaryatu“ (II, 150), że „moralnie dotychczasowi wychodźcy przedstawiają poziom nader nizki; kradzieże, pijaństwo, rozpusta są na porządku dziennym; przykłady, aby jeden drugiemu pośpieszył z pomocą, są nader rzadkie, a natomiast oszukać się wzajemnie, ograbić, należy do wypadków częstych“ (II, 151). Ale gdyby nawet pod względem fizycznym i moralnym wychodźcy przedstawiali się lepiéj, to i tak warunki, wśród których działać im przyjdzie w Brazylii, są dla Polaka o wiele uciążliwsze, aniżeli dla innego mieszkańca Europy. Najprzód język: „każdy pracodawca woli wziąć Portugalczyka, Hiszpana, Włocha, wreszcie Francuza, z którymi łatwiéj się porozumie, niż Polaka, któremu żądania swoje komunikuje najczęściéj na migi.“ Następnie klimat: „Nie zauważyłem — powiada autor — aby władze imigracyjne i kolonizacyjne w ja-

kikolwiek sposób uwzględniały klimatyczne nawyknienia przybyszów, pozostawiają one mu zupełną swobodę; rzucają na pastwę losu; co bowiem wiedziéć może przeciętny chłopek polski lub rzemieślnik o tém, jaki klimat zastanie w téj lub owéj prowincyi? Potrzecie, praca karczowania ziemi jest dla wieśniaka polskiego, świéżo przybyłego, poprostu niemożliwa; skazany na zupełną samotność, gdyż najbliższy sąsiad znajduje się częstokroć w oddaleniu kilku godzin uciążliwéj drogi, po długim zaledwie czasie i kosztem wielu zawodów nabywa pewnéj w karczunku biegłości i znów musi się przygotowywać do odmiennéj niż w kraju uprawy. Praca zaś w plantacyach kawy również prawie niemożliwa dla naszego chłopa zarówno z powodu zabójczego klimatu jak z powodu nieumiejętności zagospodarowania się. Okrzyczane zarobki bynajmniéj nie są tak wielkie, jeśli się zważy drożyznę wyżywienia się i tę okoliczność, że nie są zazwyczaj wypłacane gotówką, ale kredytem u kupców, wyzyskujących we wszelki możliwy sposób. Sam rodzaj potraw dla człowieka nieprzyzwyczajonego jest wstrętny, odrażający. Warunki zdrowotne są dla nieprzywykłych dokuczliwe a nawet zabójcze. „Pchły piaskowe“ są plagą obezwładniającą nieraz na całe miesiące biednego kolonistę. Choroba aklimatyzacyjna zabiéra nie tylko wszystkie młodsze dzieci, ale i znaczny procent dorosłych (II, 159). Pod względem moralnym i religijnym również znajdzie się wieśniak nasz w strasznéj sytuacyi. Tęsknota, obawa, brak pociech religijnych, doprowadzają czasami do obłędu. — Takie są w streszczeniu ogólne uwagi, do których doszedł ks. Chełmicki na podstawie własnéj obserwacyi i opowiadań wychodźców. Do szeregu spostrzeżeń dołączył autor dwa zarysy charakteru beletrystycznego: w „Karze ś. Beneditta“ odmalował dawniejszy stan niewolniczy murzynów, a w „Ben ti vi“ skréślił postać atawistycznego metysa, który znienawidzony od dzieciństwa najprzód w rodzinie, potém w szkole i w życiu, stał się samotnym panem kawałka puszczy, a zrobiwszy majątek na handlu bydłem i trzodą, przyjął do roboty murzynkę z dzieckiem, ażeby na nią złość swoją wywierać. Całość czyta się z zajęciem nieustającém aż do zamknięcia książki.

= **Histryoni**, tragedya w 5 aktach, napisał *Wincenty Rapacki* Warszawa, 1892, str. 113. Pierwotnie napisał autor powieść pod tym tytułem, potém przerobił na tragedyę, a przynajmniéj na dzieło dramatyczne. Wątku dostarczyło podanie kościelne o trefnisiu-aktorze Genezyuszu, który wedle słów Skargi w „Żywotach Świętych,“ nie znając prawego Boga „nawiętsze śmiechy i żarty czynił

z chrześcian i z obyczajów a nabożeństwa ich, a chcąc się z swego onego rzemięsła przymilić Dyoklecyanowi cesarzowi, wkradał się tajemnie na schadzki chrześciańskie i widzieć chciał sprawy ich, i dowiedziawszy się wszystkiego, szedł na miejsce igrzysk i błazeństw i rzekł do swych uczniów: wiecie, iż cesarzom naszym nadewszystko są najbrzydszy chrześcianie; chcemy-li u niego łaski dostać, oznajmijmy mu o tajemnicach chrześciańskich i uczynim z nich komedyą przed nim i śmiechy.“ Opowiedział im tedy, co i jak mówić mają, gdy on niby to chrzest przyjmować będzie. Ale gdy przyszło w rzeczywistości do téj sceny, stał się cud: Genezyusz uczuł się przekonanym i wobec cesarza wyznał wiarę chrześciańską, za co został umęczony. Mamy tu zatém starcie się dwu prądów cywilizacyjnych: dogorywającego pogaństwa i rosnącego w potęgę chrześciaństwa. P. Rapacki lubuje się w takich kontrastach; wiele z jego utworów dramatycznych na nich polegało. W „Histryonach“ potrafił dobrze przedstawić jedną tylko stronę t. j. ten stan chwiejny umysłów w Rzymie, kiedy już nie było silnego przekonania w staréj wierze, kiedy w każdym niemal domu znajdował się chrześcianin lub chrześcianka. Co do strony drugiéj, zwyciężającéj powoli, mniéj szczęśliwie mu się powiodło; nie udało mu się utrafić właściwéj, odpowiedniéj mowy w ustach świéżo nawróconéj Eponiny, aktorki, kochanki Genezyusza, lubo ta właśnie osobistość miała najważniejszą odegrać rolę w nawróceniu drwiącego histryona. W jéj słowach brak prawdziwego porywającego zapału, któryby zdołał podziałać na wyćwiczonego w sztuce krasomówskiéj Genezyusza. Musiał się tedy posłużyć autor jéj męczeńską śmiercią, po któréj wzrosła miłość ku niéj aktora, a nadto zjawianiem się jéj postaci naprzód synowi obojga, potém samemu Genezyuszowi, na scenie, kiedy miał przystąpić do szyderczego przedstawienia obrzędu chrztu. Lubo do wyznawców okkultyzmu nie należymy, nie chcemy bardzo ganić tego środka, używanego już przez tylu dramaturgów, a mogącego się wytłómaczyć nawet racyonalnie jako halucynacya. Sądzimy jednak, że należało głębiéj w samych przejściach duchowych bohatera uzasadnić przemianę wewnętrzną, trzeba było silniéj uwydatnić namiętny rozstrój Genezyusza po śmierci Eponiny i usprawiedliwić uprzednio jego podatność do wizyj, choćby poetyckich jeno. Wskutek dość powierzchownego traktowania téj przemiany, dokonywa się ona bądź co bądź cudownie i nie budzi w czytelniku takiego wzruszenia, jakieby wzniecić powinna. Stąd też i tragiczność losu bohatera trudno postawić wysoko; nie w nim bowiem samym źródło nieszczęścia spoczywa, lecz w okolicznościach zewnętrznych. Nie jestto tragedya, lecz szereg obrazów dramatycznych, w których nieje-

dnokrotnie zachodzą sceny śmiertelne. Z pobocznych figur wyróżnić należy Vopiscusa, znanego historyka cesarstwa, który tu występuje jako człowiek obojętny w gruncie rzeczy na wyznanie wiary, ale dbający o dobrobyt i zaszczyty, a więc i o zachowanie pozorów. Cesarz Dyoklecyan również dobrą jest postacią: jego dbałość o formy, stąd pobieranie nauki gestów od aktora Apolinarysa, ruchliwość jego umysłu w porównaniu z ciężkim trybem myślenia Maksyminiana, obojętność względem chrześcian, pewne lekceważenie téj władzy, jaką posiadał, i gotowość dzielenia jéj z innemi, składają się na wytworzenie wcale zajmującéj sylwetki, drgającéj życiem. Ze scen rozmowy wśród aktorów (podobnie jak w „Bogusławski i jego scena“) należy do najlepszych. Wogóle „Histryoni“ wielkiego wrażenia nie sprawiają, lecz dają się czytać z zajęciem, a niektóre ustępy są rzeczywiście piękne. Wiersz biały ma te same cechy, co zwykle u p. Rapackiego.

═ *Gabryela Zapolska.* **Szmat Życia**. Powieść w dwóch tomach. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. — Leży przed nami najświeższa powieść—jednéj z najzdolniejszych autorek polskich — rozdzielona przez nią na dwie części, o dwóch różnych tłach obyczajowych. Pierwsza tworzy rodzaj prologu do akcyi, rozgrywającéj się dopiéro w całéj pełni w tomie następnym w zupełnie nowéj i odmiennéj sferze towarzyskiéj. Podział ten jest wynikiem z góry obmyślanego planu, ułożonego konsekwentnie, wykonanego jednak nierówno. Na opracowaniu utworu łatwo każdy dostrzeże ślady gorączkowego pośpiechu, który w części drugiéj główne zarysy pierwotnego projektu skrócił, oszczędzając zarazem artystycznego nakładu na ornamentacyę, gdy zrąb pierwszéj, szeroko zakreślonemi liniami kompozycyjnemi i bogactwem szczegółów zapowiada gmach znacznie większy, domagający się harmonijnego rozwinięcia i dopełnienia, równie w ogólnych konturach, jak i w ozdobach. Chociaż powieść nigdy nie była tak niewolniczo spętaną formułkami estetycznemi, jak dramat i komedya, i ona jednak, ile razy pragnęła utrzymać się na wyżynie kreacyi literackiéj, naginać się musiała do kształtów, uważanych za piękne w pojęciu kunsztu pisarskiego. Wolno jéj było, jak wężowi, zmieniać skórę idealną na realistyczną, dziejową na fantastyczną, filozoficzną na symboliczną, beztezową na tendencyjną, byle pod nową skórą pozostał kształt starego węża, o głowie proporcyonalnie połączonéj zwojami i pierścieniami z ogonem. Rzućmy okiem wstecz na utwory doskonałe znakomitych nowatorów w różnych epokach (ma się rozumiéć, o ile należą do rozwoju piśmienniczego już w wyższém nowoczesném znaczeniu), a przekonamy się, że we wszystkich, słynni

powieściopisarze w pogoni za nowością zmieniali koloryt i cel romansu, żaden jednak nie targnął się na jego rysunek tradycyjny, na budowę architektonicznie prawidłową, obowiązującą jednako każdy styl i każdą szkołę. Nie powiemy, aby ją pani Zapolska przekształciła w swéj powieści, ale w pośpiechu wykonawczym — niestety! zbyt częstym w naszéj beletrystyce — rozminęła się z harmonią układu zdarzeń, tak, że premisy zabierają więcéj miejsc od rezultatów, a wypadki mniéj ważne lub epizodyczne dominują nad głównemi, często niedostatecznie rozwiniętemi. Dla tego i charaktery, jakkolwiek namalowane z siłą i talentem, ucierpiały na tém także i przedstawiły się jak wyborne szkice, ale szkice tylko. Sylwetki z drugich i trzecich planów—Leontyna, Bukowska, Bukowski, Kuliczkowa, Orchim, żydzi, koloniści Niemcy—występują w „Szmacie życia“ jaśniéj i wypukléj od bohaterów: Maryi, Stanisława, Antoniego i Trejny. Jednakże i te postaci, chociaż nie wykończone należycie, posiadają znamiona prawdopodobieństwa, pomimo, że sytuacye bardzo niepowszednie i jaskrawe zmuszają je do przeobrażeń duchowych i ewolucyi umysłowych, zbyt śmiało nieraz przez autorkę wyimaginowanych. Marya np. z prostéj wiejskiéj dziewczyny, wprawdzie szlacheckiego rodu, ale niełądnéj, źle odżywianéj od lat dwudziestu kilku, nie posiadającéj wykształcenia, używanéj w domu ciotki do najgrubszych posług (mycia podłóg, nalewania wódki chłopom w czasie żniw, dźwigania ciężarów), przetwarza się nagle w ciągu niespełna dwóch lat w ciepłéj atmosferze salonu warszawskiego w piękną, wytworną, błyszczącą damę wielkiego świata. A jednak przemiana ta nie razi zbytecznie, pani Zapolska bowiem z kobiecym sprytem tłómaczy metamorfozę, usprawiedliwiając ją zręcznie i subtelnie cieniowaną obserwacyą psychologiczną, niegłęboką, ale pozwalającą w ciągu lektury poddać się czarowi — jaki wyobraźnia powieściopisarska roztacza — i wierzyć w nią jako w f a k t w y j ą t k o w y. Wyjątkowość ta (zresztą dla tego, że piękna, bardzo dla nas sympatyczna) źle godzi się z typowością dwóch innych figur (Brunon i Elżbieta). Przez szerokie i jaskrawe uogólnienie uosobionego w nich skąpstwa odskakują one fakturą od stylu utworu, przypominając postaci Molièra, a przynajmniéj Lesage'a. Charakterystyka w nich tak wyrazista — jakby nie piórem, lecz rylcem sztychowana—że aż potrąca o tragi-komiczną karykaturę. A przecież i tu uważny czytelnik dostrzeże, że osoby te obserwowane są znatury i odtworzone według żywych modeli, ukrywających się gdzieś w zabitym deskami zakątku prowincyonalnym, nad Styrem. Pysznie narysowanym jest Leon, *petit-crevé* warszawski, chociaż nieco w końcu przemelodramatyzowany. Już to melodrama-

tyczność gra dużą rolę w „Szmacie życia“. W prologu wcale racyonalna i wyprowadzona z toku zdarzeń, oraz stosunków społecznych okolicy, w drugiéj części — zwłaszcza kiedy opowiadanie dobiega do epilogu—czerwieni się zbyt krwawo, według nieartystycznéj metody Montépinów, Gaboriau i Ponson du Terrailów. Stanisław w tym kolorycie, pomimo swéj nędzy moralnéj, staje się niemal sympatycznym, chociaż niekonsekwentnym. On i na przeciwległym biegunie stojący Antoni są najbardziéj szablonowemi postaciami utworu, pomimo że i oni posiadają cechy indywidualne, sprytnie podpatrzone, niedość jednak umotywowane i niejasno namalowane. Trejne, żydówka niekiedy nazywana Gołdą, jakkolwick ustawiona w powieści na równoległém stanowisku z Maryą i podniesiona do godności drugiéj bohaterki, jest zupełnie chybioną. Jak gorący wicher wschodni poruszać ma fale uczuć i namiętności, a czytelnik czuje tylko chłód, wiejący od téj pięknéj, ale trywialnéj dziewczyny, w któréj Zapolska nie chciała obudzić nawet zmysłów rasowych. Chciwość często idzie w parze z lubieżnością. Czy Elżbieta jedna nie wystarczała do upostaciowania anemicznéj chciwości?! To też Trejne stokroć słabiéj wychodzi w opowiadaniu od dwóch innych neofitek, Frani i Rózi, ledwie piórem dotkniętych, a przecież tak doskonale, tak pięknie uplastycznionych. Dwie te sylwetki, pełne realnéj prawdy, odczutéj poetycznie, są najwymowniejszém świadectwem znakomitego talentu autorki. Tchną one prostotą i szczerością artystyczną, o niewysłowionym wdzięku. Śliczne malowidło krajobrazów wołyńskich, oraz wnętrz salonów i świątyń warszawskich, umiejętne grupowanie osób w scenach z życia towarzyskiego stolicy i na uroczystościach ludowych, podnosi wysoce wartość technicznego opracowania zewnętrznéj formy opowiadania. Do ustępów najdoskonalszych zaliczymy opis dożynek w części pierwszéj i chrztu trzech żydówek w drugiéj. Barwy, jakich używa p. Zapolska są prawdziwe, bogate, stonowane po mistrzowsku. Zaciemnić ich blasku nie mogą nawet liczne błędy drukarskie, pozbawiające francuzczyznę ortografii, a zwroty polskie przejrzystości myśli i stylowego kunsztu. *Z. S.*

— *Ludwik Birkenmajer,* **Marcin Bylica z Olkusza,** oraz narzędzia astronomiczne, które zapisał uniwersytetowi Jagiellońskiemu w r. 1493 z 12 rycinami w tekście. Kraków, 1892. Nakładem Akademii Umiejętności, 8-ka więk., str. 163. — O Marcinie z Olkusza mało co dotąd wiedziano. Historycy literatury powtarzali jeden za drugim błędne najczęściéj wiadomości o nim. Pan Birkenmajer na podstawie bardzo sumiennych i rozległych badań źródłowych odsłonił

nam postacz tego uczonego. Oznaczył chwilę jego urodzenia (1433 lub 1434 r.), odkrył prawdziwe nazwisko, opisał studya jego w uniwersytecie krakowskim, pobyt we Włoszech, gdzie zasiadał w Bolonii na katedrze astrologii, gdzie w Rzymie przyjaźnił się z matematykiem Regiomontanem i humanistą Galeottim, z którymi został wspólnie powołany do nowo wówczas kreowanéj Akademii węgierskiéj w Preszburgu. Na Węgrzech spędził Bylica resztę żywota: jako astrolog i ulubieniec króla Macieja Korwina, jako proboszcz budeński, jako mąż wreszcie wpływowy i wysokie piastujący godności. Stosunków z ziemią ojczystą nie zrywał i umierając, zapisał uniwersytetowi krakowskiemu cenne rękopisy i zbiór narzędzi astronomicznych. Pan Birkenmajer podaje spis tych rękopisów i z nadzwyczajną ścisłością opisuje dotąd jeszcze w bibliotece Jagiellońskiéj i w obserwatoryum krakowskiém dochowane stare narzędzia, na które po części już poprzednio zwrócił uwagę Karliński. W bogatych do rozprawy przypisach podaje mnóstwo interesujących wiadomości historycznych i porusza wiele ważnych pytań z historyi ogólnéj nauk matematycznych, dotąd jeszcze rozwiązania oczekujących. Praca p. Birkenmajera stanowi znaczny przyczynek do historyi umysłowości polskiéj w wieku XV-ym i powinna zwrócić na się uwagę nietylko matematyków, ale i historyków. Jako dowód, wielkiéj pracowitości autora posłużyć może to, że dla napisania swego studyum musiał zbadać lub przejrzéć ośmdziesiąt kilka starych rękopisów, przeważnie w bibliotece Jagiellońskiéj się znajdujących. Obok pracowitości cechują tę pracę, wielka erudycya, znajomość historyi wiedzy ścisłéj w ogólności, oraz zręczność kombinowania i interpretacye różnorodnych faktów naukowych. Przedstawienie rzeczy jest jasne i obrazowe. Niektóre z ważnych pytań, jak np. o traktacie *Quadrupartitus*, przypisywanym Ptolemeuszowi, o znaczeniu naukowém Wojciecha Brudzewskiego, o ustępach Campanusa, których autorstwo p. Birkenmajer przypisuje Witelonowi, wymagają naturalnie nowych badań, zresztą pytania te zostały poruszone tylko przygodnie, bo z głównym tematem bezpośrednio się nie wiążą.

D.





POLEMIKA

W KWESTYI POLSKIEGO PIŚMIENNICTWA LEKARSKIEGO.

W sierpniowym zeszycie „Ateneum“ 1892 bezimienny sprawozdawca pomieścił artykuł p. t. „Stan spółczesny polskiego piśmiennictwa lekarskiego.“ Nie odmawiając autorowi pewnéj znajomości przedmiotu, pozwalam sobie jednak prosić cię, szanowny redaktorze o pomieszczenie kilku następnych uwag, a to w imię prawdy i w celu obrony niesłusznie pokrzywdzonych, którym nigdy nie odmawiałeś głosu.

Przedewszystkiém więc tytuł dany rozprawie wydaje nam się mało odpowiednim treści. Autor bowiem opisuje powstanie i rozwój spółek redaktorskich, kwestyę felczerów, pomocy lekarskiéj dla robotników fabrycznych, pracowni mikroskopowo-chemicznych, zjazdów lekarskich i tym podobnych kwestyi, nic wspólnego z piśmiennictwem nie mających. Nie przeczę, iż są to kwestye wielkiéj wagi, ale odnoszą się więcéj do etyki lub ścisłego dziejopisarstwa lekarskiego, i dlatego autor winien był raczéj zatytułować swą pracę godłem: „Ruch naukowy i literacki śród spółczesnych lekarzy polskich.“ W takim razie należało rozszerzyć ramy artykułu, przez co zyskałby on na wartości literackiéj i dokładniéj odzwierciadlił stan społeczeństwa lekarskiego.

Skoro jednak autor chciał się ograniczyć samém piśmiennictwem, to winien był wniknąć głębiéj w istotę i wartość prac polskich, zebranie bowiem luźnych wzmianek, złożonych z nazwisk i tytułów nie wyświetla prawdy ani nie odtwarza rzeczywistości.

Należało przedewszystkiém na gruncie przedmiotowo-naukowym rozebrać krytycznie potężne kierunki w nauce, fale i prądy spółczesnéj medycyny, oraz wskazać tych, co wśród fal tych i prądów wysoko trzymali sztandar nauki i etyki! co śród gromów i pocisków śmiertelnych dążyli *per aspera ad astra*, dla których nauka zawsze była

prawdą, a prawda moralnością? Opisując zaś główne pochody naukowe nie powinien był autor pomijać postępów w nauce anatomii, (Klebs, Birch-Hirschfeld, Löwit i nowa szkoła patologów), chirurgii i antyseptyki (Billroth, Pasteur, prace z berlińskiego Gesundheits'Amtu) oraz chemii (Bunge, Ludwig, Nencki), a wzniósłszy się do tak wysokiego poziomu, aby na nim zjednoczyły się rezultaty przez tych koryfeuszów zdobyte, autor powinien był wykazać udział lekarzy polskich w téj kolosalnéj ogólno-ludzkiéj pracy.

Uczyniwszy zadość téj pierwszéj i kardynalnéj zasadzie, trzeba było wykazać wpływ piśmiennictwa na społeczeństwo i samą korporacyę lekarzy, na korzyści jakie kraj otrzymał z pracy lekarzy, t. j. uzdrowotnienie miejscowości, szersze zastosowanie hygieny, kwestye szkolne, sprawy odżywiania mas, usunięcie pijaństwa i zbytniéj śmiertelności a nawet w wyniku umoralnienie mas, i tym podobne czynniki ogólno-ludzkie i wysoce humanitarne.

Wreszcie niezbędnym warunkiem każdéj pracy krytycznéj jest unikanie zbyt pospiesznego wnioskowania, wobec braku materyału dowodowego; inaczéj bowiem wkroczymy w dziedzinę ciemności i koteryi, zaczniemy błądzić po manowcach, potępiać jednych kosztem innych, bez żadnego, naukowego kryteryum.

Autor jednak mało uczynił zadość powyższym warunkom. Rozćwiartowawszy gazety i wydawnictwa na części, rozpatruje każdą z nich oddzielnie. W téj gazecie ten jest redaktorem, ów wydawcą lub współpracownikiem, format gazety taki, dochody i stan materyalny dobry. W 2-giem piśmie ten autor znakomity, ów jednak znakomitszy, ten stylista genialny, etc. Tysiące nazwisk, imion, tytułów, dat rzuconych w jedną masę, bez krytycznego sądu, a gdzieniegdzie błyskawica nagany i grom potępienia!

Na takie potępienie skazani zostali nieszczęśni lekarze galicyjscy. Autor bowiem twierdzi, iż nie czytają oni wcale gazet lekarskich, nie interesują się ruchem piśmienniczym i stoją niżéj w mniemaniu autora od lekarzy w Królestwie, gdyż... nie sprowadzają pism lekarskich z Warszawy!

Znam osobiście wielu lekarzy galicyjskich, mieszkających w głębokiéj prowincyi i twierdzę stanowczo, iż wyrok ten jest conajmniéj niesprawiedliwy, i możnaby go porównać jedynie z rozumowaniem takiém: mieszkańcy Wiednia i Lwowa chodzą nago, gdyż... nie sprowadzają ubrań z Warszawy. Czytają oni prócz Przeglądu liczne Blaty, Archiwy, Rundschauy, roczniki niemieckie, zaopatrzone licznemi artykułami, pracami, informacyami niezbędnemi dla lekarza-prakty-

ka, praktycznie i celowo ułożonemi, a wolnemi od balastu, obciążającego niektóre nasze czasopisma.

Lekarze galicyjscy nie stoją niżéj od lekarzy w Królestwie, wielu z nich kształciło się we wszechnicy wiedeńskiéj, opatrzonéj w doskonałe kliniki, pracownie kliniczne, biblioteki, zbiory i inne środki naukowe, z któremi iść w zapasy byłoby istną donkiszoteryą. Lekarze ci czytają dużo i sami pomieszczają liczne prace w gazetach niemieckich, można więc posądzić ich o wszystko, byle nie o nieuctwo; co się zaś tyczy erudycyi, to stanowczo stoją wyżéj od przeciętnego lekarza prowincyonalnego w Królestwie.

Przejdźmy teraz do innych wywodów autora. Niesłuszną wydaje mi się nagana, zrobiona „Medycynie," która od roku przeszła w ręce bardzo umiejętnego kierownika i redaktora, d-ra Dobrzyckiego. Pomieszcza ona prace bardzo ciekawe, obchodzące praktyków, pięknym stylem pisane i sumiennie opracowane, tak iż zyskuje coraz większe grono zwolenników. Prace małéj wartości oraz nudne sprawozdania ze zdrojowisk należą do przeszłości, za którą obecna redakcya odpowiedzialną być nie może; co więcéj, znajdziemy tak pierwsze jak i drugie i w innych pismach lekarskich wychodzących w Warszawie; dlaczegóż więc cios krytyki ma dosięgać jednych a pomijać innych?

Jeszcze mniéj słusznem jest posądzenie redakcyi „Medycyny" o brak przewodniéj myśli i jednolitości, oraz o pomieszczanie prac nadsyłanych po kolei, bez żadnego wyboru. Dowodzi to, iż autor nie czytał chyba „Medycyny" conajmniéj od roku! Autor zarzuca jéj niepodnoszenie kwestyi społecznych i ogólno-lekarskich, ale o ile wiemy, nie podnoszą ani rozstrzygają tych kwestyi pisma inne, warszawskie, ani „Przegląd," będący w lepszych nawet niż pierwsze warunkach.

Mało obiektywnym jest sąd autora co do „Kroniki Lekarskiéj," a szczególniéj insynuacya, jakoby niektórzy lekarze warszawscy, stanąwszy, ze względów czysto osobistych, po za obrębem „Gazety lekarskiéj" weszli do Redakcyi „Kroniki" niby do „obozu nieprzyjacielskiego." Autor przyznaje pracownikom „Kroniki," niby uczniom, pewne, obiecujące zdolności, ale zaraz dodaje, iż są ludźmi młodymi, jeszcze niewyrobionymi, i nie ma między nimi spójności, jaka istnieje między współpracownikami innych pism warszawskich. Mądréj głowie dość na słowie. Z téj oceny widocznem jest dla bezstronnego czytelnika, iż strony dodatnie „Kroniki" przytoczono jakby z łaski, strony ujemne jednak wytknięto i wychłostano z całą surowością.

Mówiąc o „Przeglądzie lekarskim,“ autor twierdzi, iż „nieporozumienia co do terminologii lekarskiéj, które istniały od lat 30, miały być usunięte przez wydanie słownika terminologii polskiéj, któryby ustalił nazwy.“ Słownik jednak, choć wydany przed kilku laty, niewielo wpłynął na załatwienie sporu. Tymczasem znacznie wcześniéj w Krakowie za inicyatywą Skobla, utworzyła się partya purystów językowych, uganiano się za czystością języka, tłómaczono przesadnie każde słowo łacińskie na język polski, i wykuwano dziwolągi językowe. W Warszawie przeciwnie; unikano zbytniego puryzmu, pozostawiono wiele nazw łacińskich, unikano nazw niesłychanych i z duchem języka niezgodnych.

Tak twierdzi autor, jednakże przyznać musimy, iż jeśli na polu naukowém zrobiono wiele w Warszawie, to stylistyka i wogóle czystość i poprawność języka cierpiała i cierpi wielce w naszych pismach, które unikają niby dziwolągów, a piszą w ten sposób: „o r o z p o z n a w a n i u k w a ś n o ś c i i i l o ś c i t r e ś c i w z a w a r t o ś c i ż o ł ą d k a !“

Mylném jest twierdzenie, jakoby spółka wydawnicza krakowska, jako późniejsza i mniéj energiczna, ustępowała wydawnictwu dzieł lekarskich przez „Gazetę lekarską.“ Ta ostatnia bowiem od śmierci Girsztowta (1877) wydała tylko 5 dzieł, i to bez wyraźnego planu wydawniczego. Spółka lekarska w Krakowie istnieje od lat 16, i jakkolwiek oparta na drobnych składkach i tylko dobréj woli swych członków, posiada już znaczny kapitalik zakładowy, wydała zaś niemal trzy razy więcéj dzieł niż „Gazeta lekarska,“ mianowicie 14 większych prac, j. t. Guttman'a, Dujardin Beaumetza, Steinera, Jordana, Smoleńskiego, Jurasza, Krówczyńskiego etc., z których dwa ostatnie otrzymały nagrodę Chałubińskiego, a „Hydroterapia“ Smoleńskiego doczekała się obecnie drugiego wydania. Spółka krakowska wydała też masę drobniejszych rozpraw wysokiéj wartości naukowéj, prześlicznym (mimo puryzmu krakowskiego) napisanych językiem.

Wobec powyższych danych, naturalném więc będzie pytanie, na jakiéj zasadzie autor owéj spółce odmawia pierwszeństwa?

W końcu, uważam sobie za obowiązek ująć się za niektórymi kolegami, których autor osądził zbyt bezwzględnie. Sprawiedliwość jest przymiotem silnych, według reguły: *force oblige*. Pewna względność, ostrożny i rzetelny sąd, a nawet pewne poparcie potrzebném jest dla instytucyi dopiéro narodzonych, a łatwo jednėm uderzeniem zgładzić je ze świata, gdyż „uderzenie ostrzem pióra jest więcéj zabójczém, niż cios zadany mieczem.“ Mówiąc o czasopiśmie lekarskiém,

wychodzącém we Lwowie, które nie wié, czy nazwać „Tygodnikiem lekarskim,“ czy „Wiadomościami lekarskiemi,“ autor z pogardą powiada, iż jest nędznie redagowane, że po kilkoletniem wegetowaniu zdaje się, wychodzić, nawet nie zna nazwiska redaktora, nie wié czy jeszcze istnieje, wreszcie nie radzi mu nadal ropoczynać próby, gdyż... lekarze galicyjscy nie mają zamiłowania do gazet, że przy obecnie panujących stosunkach w Galicyi, dwa pisma lekarskie utrzymać się nie mogą, bo wszyscy lepsi lekarze posyłają swe artykuły do „Przeglądu.“

A więc edykt zagłady wydany, dramat skończony, a przypomina mi humorystyczny epizod Saphira, p. t. „*Hundesdrama.*“ Szła dewotka z malutkim pinczerkiem na sznurku. Przyszedł duży pies i połknął małego pieska wraz ze sznurkiem, który ze strachu porzuciła dewotka, ku wielkiemu ździwieniu dużego psa.

Podobny los spotkał i „Przewodnika hygienicznego“ oraz „Krynicę,“ którym autor nietylko nie dodaje zachęty, ale jednym ciosem pozbawia życia, odmawiając im wszelkiéj wartości naukowéj.

To wszystko byłoby rzeczą do darowania, gdyby się miało moralne przekonanie, że autor czerpał swe słowa z serca, z moralnego przeświadczenia o prawdzie swego sądu, po głębokim namyśle. Trudno jednak o nim podobny sąd wydać, gdy się pomyśli, że nie zbyt starannie badać musiał potępione pisma, skoro nie wié nawet, kto redaguje „Przewodnika,“ „Wiadomości“ i „Krynicę.“ Są to drobne pisemka, odpowiadające swemu celowi, pożyteczne, i nie bez literackiéj wartości. Zasługą jest redaktorów, iż je nieraz kosztem własnéj ofiarności podtrzymują; nie mają celów spekulacyjnych, a tém samém zasługują na sympatyą. Podobnéj treści pisma zagraniczne, np. „Hygea,“ „*Cur-und Badezeitung*,“ etc., mimo lepszych warunków, nie wiele lepiéj się przedstawiają, niepodobna więc od naszych pism wymagać cudów.

Niezbyt taktownym jest sąd wydany o pewnych osobistościach. Pominąwszy milczeniem zasługi Lessera, Hoyera, Fingera, Pareńskiego, Janikowskiego i wielu innych autor mówi o Mikuliczu, iż nie bierze żadnego udziału w ruchu literackim, że stracił sławę jako chirurg od czasu wyjazdu z Krakowa, obecnie nie słychać o nowych jego pomysłach! Czy może i Mikulicz stał się nieukiem i nie czyta gazet i dzieł lekarskich?

Autor plącze się w nazwiskach redaktorów i autorów, kolegę Janowskiego, obecnego redaktora „Pamiętnika lekarskiego“ ze znanym chirurgiem Jawdyńskim (dawnym redaktorem), Misiewicza, autora rozpraw z dziedziny chorób moczopłciowych z Minkiewiczem,

przytacza dwóch Karlińskich, jednego w Bośnii, (str. 338) drugiego w Hercegowinie, (str. 343), najgorzéj jednak na tém błądzeniu omackiem wyszedł lekarz zdrojowy w Krynicy, dr. Leon Kopf. Szanowany jako lekarz i człowiek, kładzie wielkie zasługi i pracę niezmordowaną w zdrojowisko krynickie, które zawdzięczać mu kiedyś będzie wielce pożądane reformy i znakomite urządzenia. Otóż d-ra Kopfa, syna dawnéj rodziny polskiéj, znanego i w piśmiennictwie z sumiennych prac, przezwano złośliwie Knopfem. Gdy tę omyłkę znaleźliśmy w jedném miejscu (str. 325) nie przypisywaliśmy jéj zbytniéj wagi, uważając ją za błąd drukarski i nic więcéj. Gdy jednakże kilka kart daléj ta sama się powtarza (str. 339), trudno było nie uważać jéj albo za tendencyjną przewrotność, lub za grubą nieznajomość osób i przedmiotów. Lekceważenie cudzych nazwisk jest krzywdą, która nie przynosi zaszczytu krytykowi.

Dr. M. Misiewicz.

Na powyższe uwagi otrzymaliśmy następujące wyjaśnienia:

Nie myślę wcale polemizować z autorem powyższego elaboratu, sposób bowiem traktowania całéj sprawy, użyty przez niego, usuwa wszelką możność obiektywnéj dyskusyi. Stanowczo jednak muszę się zastrzedz przeciw przewrotnemu posądzeniu o stronność. Całe piśmiennictwo lekarskie polskie jednakowo mnie obchodzi, błędy i usterki, jakie się w niém znajdują, nie są przywiązane ani do pism po szczególe ani do osób; wytykając strony ujemne, nie miałem na myśli szkodzenia komukolwiek, chodziło mi tylko o jasne przedstawienie postępu naszego piśmiennictwa. Z nierównie większą radością wyszukiwałem strony dodatnie, podnoszę je i zalecam innym do naśladowania. Panegiryku jednak pisać nie mogłem, to darmo. Dziwném zaiste jest to wystąpienie d-ra Misiewicza w obronie pokrzywdzonych. Jestem najzupełniéj przekonany, że nawet sam dr. Kopf nie broniłby naukowéj wartości wydawanego przez siebie pisemka, przeznaczonego widocznie więcéj dla gości kąpielowych w Krynicy, aniżeli dla kół lekarskich. Autor kruszy kopię w obronie lekarzy galicyjskich, pokrzywdzonych niby przezemnie, tymczasem sprawozdawca z mojéj pracy w „Przeglądzie lekarskim“ (organie lekarzy galicyjskich) nadmienia, że napisana jest bezstronnie i z „mistrzowską niemal znajomością“ tamtejszych stosunków. Kto lepiéj zna krakowskie i galicyjskie stosunki dr. Misiewicz z Łodzi czy „Przegląd lekarski?“ Czyż to nie jest prawdziwą donkiszoteryą występować w obronie tych, którzy się za pokrzywdzonych wcale nie uważają. Lecz dość téj słownéj szermierki, niezaszczytna to zabawa.

Autor swojém wystąpieniem zmusza mnie do zrzucenia anonimu; nie chcę, żeby mnie posądzano, że miotam pociski z za płotu, że korzystając z anonimu szarpię cudzą sławę i krzywdzę niewinnych do takiego stopnia, że aż w obronie ich dr. M. występować musi. Odpowiedzialność za zdania przezemnie wygłoszone śmiało przyjmuję na siebie, nie wypowiedziałem nic takiego, czegobym każdemu w oczy nie mógł powtórzyć. Jeżeli użyłem anonimu, to zrobiłem to w celu uzyskania większéj swobody w wypowiadaniu swego zdania, nie krępując się żadnemi względami czysto osobistéj natury.

W końcu jedna uwaga. Rozprawka moja o piśmiennictwie lekarskiém była napisaną w grudniu 1891 r. i w tym miesiącu przesłaną została redakcyi „Ateneum.“ Z powodu nawału prac redakcya mogła ogłosić ją dopiéro w sierpniu 1892 r. Żałuję mocno, że nie nadmieniono zaraz o czasie jéj nadesłania, wytłómaczyłoby mnie to przed czytelnikami, dlaczego nie wspomniałem o zmianach zaszłych w wydawnictwie „Medycyny,“ a przed d-rem Misiewiczem dlaczego pomieszałem nazwisko Jawdyńskiego z nazwiskiem Janowskiego (zapewne Jakowskiego; to już nie omyłka drukarska, tak stoi w rękopiśmie, a „lekceważenie cudzych nazwisk jest krzywdą...“).

Władysław Biegański.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Pisma i czytelnicy. — Moralno-polityczne znaczenie skandalu panamskiego. — Henryk Ibsen i krytyka warszawska.—Dobroczynność prowincyonalna.—Tragedya w Borkowie.— Komitet obywatelski. — Odzież dla ubogich.—O M. Reju — od redakcyi.

Wstąpiliśmy w progi nowego roku. Czytelnicy każdego pisma otrzymali już od swoich redakcyi życzenia i zapewnienia. Czy ten roztargniony czytelnik dzisiejszy zadaje téż sobie kiedy pracę pomyślenia o stosunku swoim do pisma, którego jest prenumeratorem lub czytelnikiem? Zmiana starego roku na nowy, kiedy wszyscy przyrzekamy sobie i innym ulepszenia i usiłowania, czy to w pracy, czy w charakterach, czy w pismach, daje sposobność do pomówienia z czytelnikiem o wadach pism, ale i o jego własnych także, o reklamie lub płytkości tamtych, lecz i o lenistwie i roztargnieniu jego samego. Rozważmy więc kilka punktów tego wzajemnego stosunku.

Reklama stała się źródłem bogactwa, ale jednocześnie i zachwiania moralnéj powagi prasy. Są pisma żyjące z reklamy, które reklamują każdego, kto zapłaci, w dziale anonsowym, a nawet nie anonsowym, i siebie — w tekście redakcyjnym. Reklamująca i reklamowana prasa jest najwięcéj upowszechnioną, najbardziéj wpływową, bo najwięcéj czytaną. Przeciętny czytelnik, a musimy pamiętać o tém, że z przeciętnym czytelnikiem w prasie, tak jak z przeciętnym człowiekiem w życiu mamy do czynienia, albo ulega téj głośnéj, i natarczywéj reklamie, albo na nią i na samą prasę obojętnieje. Prasa nie z reklamy i nie dla reklamy żyjąca, z poważnemi zadania-

mi i z dobrą wolą, która przeznaczenie swoje widzi w obronie prawdy i cywilizacyjnych interesów, może liczyć tylko na grono ludzi wykształconych, w kulturze moralnéj i umysłowéj zamiłowanych, których w oświeconém nawet społeczeństwie nigdy nie jest za dużo. Do niego nie stosują się wcale rozprawy o nadprodukcyi inteligencyi. Prawdziwie ucywilizowanym i wykształconym człowiekiem jest taki tylko, który bezinteresownie kocha kulturę, którego inteligencya stała się tym żywotnym, czujnym i czułym organem, domagającym się zawsze zaspokajania swoich pragnień.

Na znacznéj tylko liczbie takich, krytycznie i kulturalnie wykształconych jednostek, literatura i prasa naukowa byt i rozwój swój opiérać mogą. Naturalnie, że te jednostki powinny w sumie składać tysiące.

Czytelnik dzisiejszy jest roztargniony, zbałamucony, o nieokreślonych pragnieniach, niezadowolony z tego co otrzymuje, ale i nie wiedzący dokładnie czego chce. Ale pomyślmy tylko, czy może być inaczéj? Przemawiamy do niego, jak do protektora, prosimy, żeby raczył czytać. Istotnie téż „łaskawy“ czytelnik, biorąc do ręki książkę lub dziennik, robi minę zniecierpliwionego, ulegającego natarczywości. Konkurencya dziennikarska, ze wszystkiemi swojemi handlowemi i spekulacyjnemi następstwami, wydała na tém polu najgorsze owoce. Kupiec cynamonu, pantofli, lub pigułek Guyota, reklamujący i zachwalający swój towar, stoi w oczach przeciętnego (a pamiętajmy zawsze, co znaczy „przeciętny“) czytelnika wyżéj od pisma, które posługuje się systemem kupieckiego zachwalania siebie. Bo cynamonu lub harbaty on musi nabyć; bez książki lub dziennika, jeżeli „sobie postanowi“, to się obejść potrafi. Wiemy przecież, że oszczędność zaczęto u nas od zmniejszenia albo od zupełnego wykreślenia z budżetu cyfry, wydawanéj na prenumeratę. Jeżeli zaś „łaskawy“ czytelnik prenumeratorem zostanie, to robi to z miną protektora i mecenasa. „Trudno — powié — popiérać trzeba piśmiennictwo swojskie. Nic się tam ciekawego od nich nie dowiem, bo i cóż mogą mi nowego powiedziéć? Ale cóż robić?“ Następuje dobrotliwe wzruszenie ramion. Ta płytka i niezdrowa ciekawość, która jest najwidoczniejszą cechą naszego czytelnika, podniecana przez płytkie i flirtujące dziennikarstwo, stała się plagą dla piszących i istotném niebezpieczeństwem dla czytelnictwa. Piszących wyczerpuje ten zalecany im obowiązek, ażeby byli sensacyjni, ażeby podniecali swoich czytelników. Przedstawmy sobie człowieka o płytkiej wrażliwości, o umyśle wcale nie lotnym, przeciwnie, poziomym i ociężałym, obdarzonego pewną dozą „sprytu“, od którego wydaw-

ca, redaktor, kolega i czytelnik, wymagają gwałtem sensacyjności. Ażeby odpowiedziéć temu wymaganiu, szarpie biédak samego siebie, robi dowcipy, które nie są dowcipami, zwroty słowa, które zaciemniają jego i czytelnika rozsądek. Lecz i ludzi zdolniejszych wyczerpują takie wymagania. Maniera zastępuje treściwość i logiczność i w powodzi bombastycznych, ciągnionych za włosy frazesów ginie sens. Kiedy się zechcesz poinformować o stanie danéj sprawy, spostrzeżesz, że autor stracił dar ciągłego i systematycznego wykładu. Jeżeli „lekka“, codzienna prasa może jakoś przy tém ciekawo-powierzchowném usposobieniu czytelników istniéć, a niekiedy i kwitnąć, to dla téj drugiéj, któréj charakter i przeznaczenie określiliśmy wyżéj, warunki są ciężkie i niewdzięczne. Ale i pierwsza zbiéra już złe owoce swego posiewu. Jakiż stąd płynie praktyczny wniosek?

Taki, że kwestya czytelnictwa jest kwestyą ważną i domagającą się reformy. Gdyby prasa mogła i chciała się stać korporacyą, dbającą o swoje i społeczeństwa interesa, toby niewątpliwie spostrzegła, że trzeba zacząć pracę wychowania i wykształcenia lepszych czytelników nad tych, jakich mamy dzisiaj. Jeżeli daléj podsycać w nich będziemy płytkość, próżność i sensacyjność, to przedewszystkiém doczekamy się od przeciętnego czytelnika lekceważenia. Za wiele mu w ostatnich czasach ulegamy. Stało się już przykazaniem dziennikarskiém szanować pojęcia „przeciętnego“ czytelnika. Krytykom literackim, sprawozdawcom teatralnym, referentom politycznym, nie mówiąc już o reporterach, zalecają przedewszystkiém liczyć się z nimi. Jest to wprost komiczne i fałszywe wyobrażenie. Boć chyba krytycy i literaci nie od tego są, ażeby odbierali wrażenia i ogłaszali drukiem sądy przeciętnego czytelnika lub widza, ale ażeby niemi kierowali i kształcili. W pierwszym razie byliby zupełnie zbyteczni. Chęć popularności i poczytności doprowadziła tutaj do zamiany ról i pomieszania pojęć.

Ale ty, szanowny czytelniku (któż się śmié zwrócić do ciebie, nie nazywając cię szanownym i łaskawym?) słyszysz ustawiczne narzekania na upadek czytelnictwa. Zechciéj jednak wierzyć, że jeżeli przy noworocznéj sposobności polecamy twéj szlachetnéj uwadze tę sprawę, to dlatego, że jest naszą wspólną sprawą i nie mniéj zapewne od innych obojętną. Poświęć jéj zamiast wintowi lub flirtowi chwilę rozwagi, a wyniknąć stąd może obustronna korzyść.

Dwiema sprawami zajmowano nas bardzo dużo na progu nowego roku: polityką i teatrem. Wprawdzie karmimy się niemi zawsze, ale wypadki sprzyjały niepospolicie w tym okresie czasu szczególnemu zainteresowaniu.

Widocznie los lubi ironię. Stuletnia rocznica pierwszéj rzeczypospolitéj francuskiéj, z urzędową uroczystością obchodzona przed trzema miesiącami, uczczona wielkiemi mowami w Panteonie i wspaniałemi pomnikami bohaterów wielkiéj rewolucyi, zeszła się z tak fatalną sromotą, jak sprawa panamska. Nawet w tém sceptycznèm i z ideałów politycznych odartém pokoleniu naszém, wywołała ona zgorszenie, niepokój i smutek.- I nic dziwnego. Chociaż, jak zapewnia głośny krytyk obyczajów europejskich, wiek nasz nie ma posiadać nawet pragnienia ideału, lecz sceptycyzm, któremu hołdujemy, jest w lepszéj części współczesnych bardzo wrażliwy, czuły i delikatny. Nie wierzyć w zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości, nie jest jeszcze równoznaczne z prawowitością fałszu, łupiestwa i przedajności. Wiemy i widzimy, że cnota i czystość mogą być i bywają pokonane, lecz nie chcemy wątpić o tém, że istnieją, że w upadku nawet są silne i imponujące. Prawdziwie źle dzieje się wtenczas dopiéro, kiedy ta sprawiedliwość lub cnota, tak maleje, że jéj prawie nie spostrzegamy, kiedy w walce z fałszem i przewrotnością staje się niedołężną. Kto wié, czy nie taki jest właśnie stosunek współczesnego sceptycyzmu do skandalu panamskiego w Paryżu. I małą pociechę przyniosą w tym razie ci, którzy nam będą tłómaczyć kapitalistycznemi i finansowemi warunkami i okolicznościami przedsiębiorstwa tę smutną, pełną błota, historyę. Zapewne, że istniéć muszą duże przyczyny, skoro tak duże sprowadzają skutki. Historyk lub krytyk odkryje je z czasem, wyświetli, postawi wnioski i wygłosi sądy. Lecz zanim się to stanie, moralność publiczna, która dla swego rozwoju i równowagi wymaga nietylko powolnych, *post factum* przychodzących, rozumowanych opinii, ale żywych i przykładnych ludzi, dobrego i przykładnego działania praw; te masy wielkie, które dziś, jak i zawsze, muszą miéć swoich bogów i bohaterów, zostały dotknięte boleśnie i gorsząco. Z tego punktu widzenia, który nazwalibyśmy moralno-politycznym, afera panamska jest istotną katastrofą. Ludzkość dzisiejsza żyje wprawdzie bardzo szybko, a gwałtowne tempo interesów pozwala jéj zapominać o dniu wczorajszym. Zapomnienie jest najtrwalszym rysem psychologii ludzkiéj i czeka wszystkich, zarówno zasłużonych, jak i winowajców. Lecz jeżeli na niepamięć tłumu liczyć można, to niewątpliwą jednak jest rzeczą, że każdorazowy stan, przeżyty przez ludzkość działa w niéj jeśli nie świadomie to bezwiednie.

Skandal panamski obchodzi tak szeroko nawet najdalszy ogół europejski, tak zajmuje wszystkich, nawet tych, którzy zwykle mało

się interesują polityką, że ze względu na zakres zajęcia, jaki wywołał, stał się sprawą nietylko francuską, lecz i europejską. Cóż właściwie wywołało to nadzwyczajne zajęcie i zgorszenie? Wysokość cyfr pieniężnych, które kompania panamska rozdawała dla poparcia swoich interesów i wysokie położenie ludzi, którzy je otrzymywali. Polityczny i dziennikarski świat, prawodawcy i publicyści, a więc ci, dla których dobro publiczne ma być najwyższém prawem, którzy dla strzeżenia go powołani zostali, sprzedawali to dobro publiczne, kumali się z aferzystami i kryminalnemi egzystencyami. Chociaż czas obfituje w zgorszenia i skandale, to jednak skandal panamski przewyższa inne swoją doniosłością.

O politycznėm znaczeniu téj sprawy pisać tu wiele nie można, bo każdy dzień zmienia położenie, zanurza w błocie czyste dotąd imiona. Dzienniki więc tylko, którym telegraf codziennie nowych dostarcza wiadomości, mogą układać kombinacye i przepowiadać następstwa, którym nowa wiadomość przeczy lub prostuje.

Przekupywanie członków, lub całych stronnictw sejmowych nie jest wprawdzie nowością. Rzeczy takie działy są i w wiekach, poprzednich. Sprzedawano nawet coś nierównie większego, niż obecni deputowani francuscy, bo sprzedawano interesa całego kraju, kiedy panamczycy sprzedawali tylko interesa akcyonaryuszów kanału. To prawda. Lecz taka porównawcza metoda sądzenia sprzedajności prawodawców, któréj używają ludzie, niezachwiani w swojéj obojętności i wyżsi nad wszelkie zgorszenia, do jakichże etycznych i praktycznych konsekwencyi prowadzić może? Każdy występek, w porównaniu z innym, w przeszłości dokonanym, może nam się wydawać mniejszym. Zwyczajny podpalacz stodoły ze słomą mniéj zawinił od podpalacza biblioteki aleksandryjskiéj; morderstwo Gerlachowéj w Warszawie nie jest ostatecznie tak wzruszające, jak zamordowanie przez słynnego Traupmana całéj rodziny z niemowlętami. Natura ludzka jest tak rozmaitą w upadku i w złych skłonnościach, że żaden badacz nie przewidzi zapewne wszystkich form i typów występku i zepsucia. To i cóż stąd? Korupcyę jednostki, korporacyi, stronnictwa politycznego lub całéj warstwy społecznéj, sądzić chyba należy nie z antropologiczno-kryminalnego, ani nawet historyczno-obyczajowego, lecz z praktycznego i moralnego stanowiska, z wpływu, jaki ona wywiéra na otoczenie społeczne, ze zgorszenia, jakie rozsiéwa, ze stanowiska, jakie zajmują gorszyciele, z odpowiedzialności, jaka na nich ciąży. Bo choćbyśmy wobec faktów gorszacych, przestali pocieszać się teoryą o moralnym postępie ludzkości, to i tak jest rzeczą pewną, że wobec rozwoju oświaty i jakiéj takiéj świado-

mości krytycznéj w masach narodów europejskich, wobec przejrzystości, jakiéj nabrało życie działaczów publicznych, te masy kontrolują ich śmieléj i ściśléj, niż niegdyś.

Zapewne w przyszłości tak nas zajmująca dzisiaj „afera panamska“, dostarczy badaczowi materyału do psychologii i wartości politycznego świata trzeciéj rzeczypospolitéj. Któryś zresztą z lepszych pisarzy francuskich wypowiedział już kilka lat temu zdanie, że według jego spostrzeżeń, lepsza, szlachetniejszemi dążeniami ożywiona część inteligencyi francuskiéj, usuwa się od życia politycznego, mając je w pewnéj pogardzie i lekceważeniu. Nie chcemy stawiać ryzykownych hypotez, lecz kto wié, czy i tutaj nie leży źródło téj sprawy, która jeśli nie będzie katastrofą polityczną, stała się już katastrofą moralną dla polityków i prawodawców francuskich?

Ta opinia autora francuskiego, o ile jest prawdziwą, rzuca pewne światło na obecne wypadki. Istotnie nicby dziwnego nie było, że tam, gdzie lepsza część myślącego społeczeństwa usuwa się od życia publicznego, aferzyści i kawalerya przemysłu rej wodzą; sprzedają swoje sumienia i głosy, stają się naczelnikami narodu. Taka kapitulacya wobec obowiązków publicznych nie może dla siebie znaleść usprawiedliwienia; dowodziłaby wielkiéj niemocy charakteru. Lecz i to pewna, że są okresy w dziejach ludzkich, kiedy obojętny na sprawy życia epikureizm bierze górę nad duchem obywatelskim.

Wspomnieliśmy, że oprócz politycznych, pracowały także zawzięcie i pióra naszych krytyków teatralnych w ostatnich tygodniach ubiegłego roku. Możnaby o tém zamilczéć, gdyby przedstawienie sztuki Ibsena w Warszawie, przyjęcie jéj i opinie, wygłoszone przez urzędowych przedstawicieli estetyki, nie dawały dobréj, a raczéj smutnéj miary estetycznego naszego poziomu.

W mieście, w którém najpopularniejszemi są farsy i wodewile, spodziéwać się nie można popularności, a nawet słusznego uznania dla Ibsena. Jeżeli Voltaire w swoim czasie nie rozumiał Szekspira, to tém więcéj wielu krytykom naszym wolno nie rozumiéć, czy téż udawać, że nie rozumieją Ibsena. Każdy pisarz, a tém więcéj poeta dramatyczny powinien wprawdzie być zrozumiałym. Ibsen, naszém zdaniem, jest doskonale jasnym i prostym; jeżeli jednak jego krytycy warszawscy wyznają, że go nie rozumieją, że jest zawiły, ciemny i niekonsekwentny, to niech przy swojém zdaniu zostaną. Ale gdyby sprawozdawców dziennikarskich obowiązywały reguły logiki, to nie rozumiejąc danego autora, powinni zrzec się prawa sądzenia go. Praktyka dziennikarska jest jednakże nieco podobną do praktyki sądowéj; sędziemu nie wolno uchylić się od wydania wyroku o sprawie

która podlega jego jurysdykcyi; dziennikarz musi pisać o sprawie, która należy do jego działu czy rubryki. Lecz przy dobréj woli mógłby znaleźć sposób pogodzenia względów sumienności z względami swego fachu: zamiast krytyczno-sędziowskiego zająć tylko sprawozdawcze stanowisko.

Rabin z Grodziska może nie uznawać lub nie znać teoryi Kopernika, i zostawimy mu zupełną wolność opinii. Źle czyni wtenczas dopiéro, kiedy uczniom i współwyznawcom swoim podaje fałszywą naukę o obrocie ciał niebieskich. Nikt nie myśli, naturalnie, czynić z Ibsena Kopernika dramatu; chodzi tylko o metodę.

Czém jest właściwie owa nieszczęsna na gruncie warszawskim „Hedda Gabler“ i co ważniejsza, kim jest Ibsen?

„Hedda Gabler“ jest dramatem psychologicznym, tak oryginanalnym, jakich współczesność mało zapewne widziała. Gdyby utwór literacki oceniać można tylko miarą otrzymanych wrażeń, dramat Ibsena postawićby należało bardzo wysoko we współczesnym repertuarze. Dziwnie silne i przenikające tchnienie wieje od tych kilku postaci, od tych scen tak prostych, a tak potężnych, od tego życia, na które wszyscy patrzymy, a które w oświetleniu Ibsena jest tak innem, że je uważamy za nowe i nieznane, za odkrycie prawie. My patrzymy na powierzchnię, a on sięga do podkładu; my spostrzegamy gotowe już gatunki temperamentów, a on zdaje się posiadać klucz do laboratoryum psychologicznego, w którém powstają i wytwarzają się dusze ludzkie. I stąd płynie ta dziwna pewność, dokładność i konsekwencya w wyborze pierwiastków duchowych jego postaci: każdy jest konieczny, każdy następujący objaśnia swego poprzednika, a kiedyśmy już odnaleźli i zobaczyli wszystkie, otrzymujemy z wielką łatwością rozwiązanie całości, posiadamy klucz do danéj postaci. Każdy widz lub czytelnik uważny i nieuprzedzony, staje w niekłamanym podziwie przed tą, że się tak wyrazimy, matematyką psychologiczną. Jaka prostota działania, a jaka świetność rezultatów. To działanie jest tak nieugięte i tak niepowstrzymane, że czyni z Ibsena posępnego fatalistę prawdy. Jego pochodnia rzuca dziwne światło, o którém to chyba powiedziéć trzeba, że jest zbyt prawdziwe, zbyt przenikliwie oświetla nie tajemnice, bo wyraz ten niczego nie mówi w tym razie, ale instynkta duszy ludzkiéj. Fatalizm jest najwidoczniejszą cechą twórczości Ibsena; wobec hegemonii instynktów nie spostrzegamy prawie czynnika, zwanego wolą. Lecz rozprawiać o stosunku pierwszych do drugiego jest rzeczą moralistów i filozofów; my mamy do czynienia tylko z poetą i psychologiem.

Niech na sztuki Ibsena ani nie chodzą, ani niech ich nie czytają ci, co się przyzwyczaili podziwiać fałszywe i błyszczące liczmany re-

pertuaru francuskiego. Prawda, prostota i głębokość jest jego treścią i siłą. Sama nawet forma dramatyczna zdaje się być tylko obojętnym środkiem wyrażania zawikłań natury ludzkiéj. Tém objaśnić sobie dostatecznie można niektóre techniczne usterki i w „Heddzie Gabler“, które przedewszystkiém dostrzedz pośpieszyli technicy teatralni, zajęci krojem, a nie treścią i doniosłością sztuki.

Ludzie Ibsena są oryginalni, krytyczni, z życiem wewnętrznem, przeważającém nad zewnętrznem; styl jego prosty, skupiony i silny jest stężałym ekstraktem głębokich, bogatych i rozmaitych wrażeń; trzeba podziwiać tę sztukę pisarza i psychologa, ten dar opanowywania i zużytkowania niezmiernie bogatego materyału wewnętrznego. Tak mało efektów, tak mało frazesów, tak mało wykrzykników, a raczéj zupełny ich brak, obok tak silnéj i imponującéj zawartości. Zdawaćby się mogło, że tym silnym ekstraktem Ibsena mogłoby się podzielić kilkunastu lub kilkudziesięciu innych autorów, którzyby go rozpuścili w swojéj frazeologii, luźnych i dowolnych spostrzeżeniach.

Wiemy, że złoto, przebijane na monetę obiegową, potrzebuje domieszki mniéj szlachetnych kruszców.

W utworach Ibsena jest właśnie za wiele tego złota, a za mało innych kruszców. Ten jego silny ekstrakt jest odurzający i niestrawny dla mdłych organizacyi umysłowych, nie przyzwyczajonych do takiéj strawy. To bardzo krótka, zaledwie zaczęta charakterystyka Ibsena. Rozbioru „Heddy Gabler“ podawać tu nie możemy; mieści się ona zupełnie w naczelnych rysach jego twórczości autorskiéj, któreśmy wskazali.

I jakże ją przyjęto? Jeden z krytyków widzi w postaciach Ibsena manekiny; drugi mówi, że go nie rozumie, lecz jednocześnie drwinkuje; trzeci obawia się uroku Ibsena na publiczność. I słusznie. Gdybyśmy bowiem mogli przypuścić, że ona zasmakuje w Ibsenie, cóżby się stało wówczas z tymi naszymi dramaturgami, których nazywamy „zręcznymi“ i „sympatycznymi“?

Jaki też jest stan i ruch naszych prowincyonalnych instytucyi dobroczynnych? Zakłady dobroczynne w Warszawie i na prowincyi ogłaszają wprawdzie w sprawozdaniach książkowych i w pismach, lub w raportach urzędowych o swoich czynnościach i funduszach; pragnąćby może należało, ażebyśmy posiadali ogólne, krytyczne sprawozdanie o ruchu i czynnościach wszystkich dobroczynnych instytucyi krajowych. Dowiedziéćbyśmy się z niego wówczas mogli, które miasta przodują w dobroczynności, jak są pourządzane szpitale, schronienia i ochrony, gdzie i z jakim skutkiem zastosowano, czyto administracyjne, czy

lecznicze, czy poprawcze, czy wychowawcze reformy? Bez takiego ogólnego sprawozdania, któreby mogło być poniekąd centralnym regulatorem dobroczynności, służyć za wzór i wskazówkę i dawać inicyatywę tym zakładom, które w pomysłach i pracy zostały w tyle za innemi, — jesteśmy pozbawieni jasnego i systematycznego poglądu na tak ważny czynnik społeczny, jakim się stała działalność filantropijna.

Napotkaliśmy w pismach sprawozdanie o szpitalach i zakładach dobroczynnych w gub. Kaliskiéj, i o szpitalach w gub. Radomskiéj za rok 1891-szy. Ponieważ ilość szpitali, znajdujących się w każdéj z gubernii kraju, jest prawie jednakowa, bo miasta gubernialne mają po 2 większe szpitale, a powiatowe prawie wszystkie po jednym, a i budżety szpitalne także niezbyt znacznie się różnią, więc przegląd kilkunastu cyfr, tych dwu gubernii dotyczących, da nam przybliżone wyobrażenie o stanie regularnéj, urzędownie sprawdzanéj dobroczynności prowincyonalnéj.

W gub. Kaliskiéj liczono 7 szpitali, 8 domów schronienia dla starców i kalek, oraz 4 przytułki dziecięce. Szpitale przyjmują wszystkich chorych, oprócz obłąkanych. W trzech z nich doglądają chorych siostry miłosierdzia. Dochody w szpitalach i schronieniach wynosiły w okrągłych cyfrach 60 tysięcy rubli, wydatki 65 tysięcy. Kapitał zasobowy tych instytucyi, na który składają się fundusze, będące ich własnością i depozyty osób prywatnych, przeznaczonych na budowę nowych zakładów dobroczynnych, wynosił 186 tysięcy rubli. Dochody od kapitałów i zasiłki, udzielane przez miasta, stanowią główne utrzymanie instytucyi dobroczynnych; opłaty od chorych za leczenie wpływają tak nieregularnie i niezupełnie, że zaległości wyniosły w roku sprawozdawczym 39 tysięcy rubli.

Towarzystwu dobroczynności w Kaliszu zamiast przybywać — ubywa członków. Członków zwyczajnych liczyło Towarzystwo 112, członków ofiarodawców 122 (mniéj o 17, niż przed dziesięciu laty). Na stałe zapomogi wydano 1,400 rs., a na jednorazowe wsparcia 500 rubli. Kapitał zasobowy wynosi 14 tysięcy rubli. Staraniem Towarzystwa otwarto także w Kaliszu kuchnię tanią.

Zapisać tu trzeba na zasługę prowincyonalnych Towarzystw dobroczynności, że dzięki ich staraniom, więcéj niż połowa miast gubernialnych posiada już kuchnie tanie. W Kaliszu, w kuchni takiéj, wydawano obiady 15-to, 5-cio i 3-kopiejkowe. Ogółem wydano 23 tysiące obiadów, a Towarzystwo z funduszów swoich dopłaciło cyfrę bardzo nieznaczną, bo zaledwie 350 rs. Jeżeli zważymy, jak wielką przysługę miejscowemu ubóstwu oddała kuchnia tania przez te dwa-

dziesięcia kilka tysięcy obiadów, i jak małą kwotą pieniężną tę przysługę dobroczynność opłaciła, to jest jasném, że nietylko fundusze, na których brak jest najwygodniéj narzekać, ale także inicyatywa i dobra wola rozstrzygają o pożytecznéj działalności społecznéj.

Towarzystwo dobroczynności w Kaliszu założyło także szkołę rzemiosł dla biednych dzieci, o któréj, jako świecącéj przykładem dla innych Towarzystw, pisaliśmy w swoim czasie.

Sprawozdania o szpitalach w gub. Radomskiéj streszczać nie będziemy. Ilość ich, pod zarządem rady gubernialnéj zostających, jest ta sama, co i w gub. Kaliskiéj. Podnosimy tylko wielką różnicę w procentach śmiertelności chorych: w jednym ze szpitali radomskich i w Staszowie śmiertelność ta wynosi 4% z ułamkiem; w Opatowie zaś 10% z ułamkiem. W wydatkach na chorego na dobę także wielką widzimy różnicę: w jednym szpitalu wynosi ono 74 kop., a w drugim — 37 kop. Pochodzić ta różnica może z materyalnych zasobów szpitala, bo liczba chorych nie bardzo się różni. Cyfry funduszu zasobowego szpitali radomskich w sprawozdaniu korespondenta nie znaleźliśmy.

Nie wiele natomiast, niestety, powiedziéć możemy o urządzeniach dobroczynności gminnéj i wiejskiéj. Gdyby one istniały, nie mielibyśmy może powodu pisać o takiém np. zdarzeniu, które przytaczamy:

Wzruszająca sprawa rozpatrywana była (korespondencya z Kalisza „Kurjera Warszawskiego“) w tych dniach przez kaliski sąd okręgowy. Sądzoną była 67-letnia Franciszka Cieślakowa za powieszenie rodzonego wnuka, 11-letniego chłopca. Cieślakowa była bez środków utrzymania, żyła z dzieckiem, z miłosierdzia wsi Borkowa, jakkolwiek nigdy nie brała pieniędzy i publicznie nie żebrała. Pewnego razu, po trzech dniach straszliwego głodu, nie mogłam dłużéj patrzéć na cierpienia dziecka—powiedziała Cieślakowa przed sądem—i wyprowadziłam go za wieś, aby go się pozbyć. Kiedy przechodziliśmy koło cmentarza, na którym leżą jego ojcowie, przyszła mi myśl, że lepiéj będzie dla dziecka i dla mnie, gdy im go odeślę i zapytałam: Kostuś, chcesz iść do nieba, do matusi, tam już ci się jeść nie będzie chciało.

— Dobrze, babusiu, tam mi będzie lepiéj.

Wtedy założyła mu chustkę na szyję, przygięła gałąź brzozy i po chwili mały męczennik zawisł bez życia ponad głowami zmarłych rodziców.

Cieślakową skazano na 8 lat ciężkich robót za rozmyślne zabójstwo.

Sale sądowe powtarzają często echa przygnębiajycych tragedyi.

Uczuwamy grozę, kiedy czytamy „Króla Edypa“ lub „Króla Leara“, choć to tylko tragedye estetyczne. Czyn Cieślakowéj, wieszającéj własnego wnuka dla ochronienia go od śmierci głodowéj, wysyłającéj go do nieba, gdzie czekają na niego „ojcowie“ i gdzie mu „będzie lepiéj“, jakże jest realistyczną i okropną tragedyą. Borków jest wsią, blizko Kalisza położoną, gdzie mieszka właściciel majątku, gdzie jest kościół i urząd gminny. Wskazywano już nieraz na konieczną potrzebę zorganizowania dobroczynności po wsiach. Ustawa gminna pozwala na otwieranie przytułków i ochron dla ubogich.

W zeszycie grudniowym wymieniliśmy skład członków nowego komitetu dobroczynnego, który nosi nazwę „Komitetu obywatelskiego przeciwko cholerze.“ Pisano niedawno o programie jego działalności co było potrzebne, bo niektóre pisma warszawskie zwracały się do komitetu z zapytaniem, dlaczego jéj nie rozpoczyna? Polegać ma ta działalność na przedsięwzięciu środków ochronnych, w czasie, poprzedzającym wybuch epidemii i następnie na przygotowaniu się do walki z samą cholerą.

Pierwszém zadaniem komitetu ma być zajęcie się dolą ludności, pozbawionéj środków do życia i możności zarobkowania. Według wiadomości policyjnych Warszawa liczy 1,800 osób téj kategoryi, jako stałych mieszkańców. Jestto żywioł niebezpieczny, bo skazany na włóczęgę, a tém samém i na roznoszenie choroby.

Dalszym zamiarem komitetu jest utworzenie stałego domu noclegowego, z kąpielami i pralnią, bo według informacyi, obecne domy noclegowe muszą odmawiać codziennie przyjęcia dla braku miejsca 600 kandydatom. Do zadań komitetu należéć także będzie ułatwienie odżywiania biednéj ludności. Uważając jednak, że system darmego żywienia, oprócz kosztów, przedstawia i pewne niebezpieczeństwo moralne, bo ma usposabiać do próżniactwa i nieliczenia na własne siły, komitet chce powiększyć liczbę tanich kuchen płatnych, umieszczając je po najuboższych dzielnicach miasta.

Tyle co do pierwszéj części programu komitetu.

Drugie zadanie tyczy się odpornego spotkania epidemii, jeżeli się ukaże. Obliczono, że Warszawa powinna miéć przynajmniéj 1,500 łóżek dla cholerycznych. Oddziały szpitalne, przeznaczone dla chorych téj kategoryi posiadają ich dotychczas 600. Komitet chce się zająć także urządzeniem racyonalnéj dezynfekcyi, a jeden z członków ofiarował się podobno wybudować zakład dezynfekcyjny i urządzić własnym kosztem. Z dezynfekcyą łączy się sprawa wynagrodzenia ubogich za straty przy niéj poniesione. Jednym z powodów tajenia choroby albowiem

jest obawa straty w ubraniu, pościeli, naczyniach i sprzętach. Utworzenie więc funduszu dla wynagrodzenia chorych jest kwestyą bezpieczeństwa publicznego. Dostarczenie ubogiéj ludności bezpłatnych lekarstw, środków dezynfekcyjnych i zorganizowanie służby obywatelskiéj dla współdziałania z władzami policyjno-sanitarnemi zamyka na teraz zamiary komitetu.

Widzimy, że program téj zdrowotno-dobroczynnéj akcyi, którą sobie nakreślił komitet obywatelski, odpowiada potrzebom miasta. Równoległe działanie władzy i komitetu obywatelskiego, który, wierzyć należy, zjedna sobie zaufanie i powagę u wszystkich sfer ludności warszawskiéj, daje dobrą rękojmię, że epidemia zostanie odpartą. Możeby jednak dobrze było, ażeby komitet starał się o większą, niż dotychczas, popularność. Są instytucye, których użyteczność stoi w prostym stosunku do osiągniętéj popularności. Są to te mianowicie, które działają, czy działać mają, wśród szerszych mas, które się odwoływać muszą do ich zrozumienia, sympatyi i ofiarności. Krótkie i suche komunikaty w kancelaryjnym stylu popularności jeszcze nie robią.

Dr. St. Markiewicz pisze w „Kuryerze Warszawskim“ o nowéj instytucyi dostarczania odzieży ubogim, na czele któréj ma stanąć, znana ubogim i dobroczynności warszawskiéj pani Zofia Harthingowa. Z artykułu hygienisty i kierownika kolonii letnich dowiadujemy się, że i dzieci, wysyłane przez komitet kolonii na wieś, będą także zaopatrywane w miarę możności w odzież, o ile naturalnie rodzice nie byliby w stanie własnemi środkami ich zaopatrzyć.

Nowa ta instytucya może i powinna rozwinąć szeroką działalność. Dr. Markiewicz słusznie pisze, że ci, którzy bezpośrednio stykają się z ubogiemi warstwami ludności, oceniają całą doniosłość klęski moralnéj i fizycznéj, wynikającéj z braku odpowiedniéj odzieży dla téj klasy ludności warszawskiéj. Przedewszystkiém zaś należy zwrócić uwagę na dzieci. Dostarczenie tym biedakom ubrania rozstrzyga o tém, czy będą się wychowywały nad rynsztokiem podwórzowym, czy w ochronie lub szkole.

Ubodzy dorośli, wychodzący ze szpitali, szukający schronienia w przytułkach noclegowych, skazani na zajęcie pod gołém niebem w porze chłodnéj, w interesie własnego zdrowia i w intersie zdrowia stykających się z niemi osób, potrzebują bardzo często bielizny i ubrania, bez których są odpychani od pracy zarobkowéj, lub stają się rozsadnikami chorób i szerzycielami niechlujstwa.

Nie stać nas na wielkie i wspaniałe instytucye dobroczynne. Zanim je posiądziemy, należy zakładać takie, które odpowiadają na-

szym środkom. Ta, którą zaleca dr. Markiewicz, wcale tych środków nie przechodzi. Sądzimy nawet, że oprócz Warszawy i miasta prowincyonalne mogłyby miéć zakłady dostarczania odzieży i bielizny ubogim. Dr. Markiewicz nie wspomina o tém, lecz się domyśléć wypada, że nowy zakład w Warszawie będzie przyjmował starą odzież od osób, które ją ofiarować zechcą. Systematyczna działalność takiego zakładu może oddać wielkie usługi ubogiéj ludności miasta.

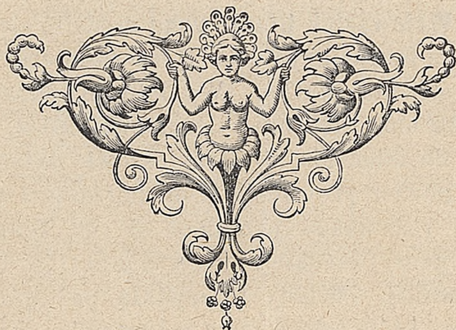
B. Lut.

Poczytujemy sobie w pewnéj mierze za obowiązek, zwrócić uwagę czytelników naszych na zakończenie artykułu p. Chlebowskiego o Reju. Poruszona tam została sprawa, któraby powinna zainteresować większe koła inteligencyi naszéj. Mówi mianowicie autor o potrzebie zajęcia się już obecnie, pomimo stosunkowo dość odległego terminu, kwestyą odpowiedniego uczczenia trzechsetnéj pamiątki urodzin Mikołaja Reja przez pomnikowe wydanie dzieł jego. Rej jest autorem pierwszorzędnego w dziejach literatury naszéj znaczenia i należy mu się ze wszechmiar podobne uczczenie, jakie się stało udziałem Jana Kochanowskiego. Jeżeli bowiem twórca „Trenów" przewyższa autora „Wizerunku" stopniem talentu, a przedewszystkiém artyzmem słowa i formy, to przecież nie należy o tém zapominać, iż przyszedł po Reju, iż korzystał z utorowanéj już drogi, z obrobionego choć zgrubsza materyału językowego, stylowego i wierszopisarskiego. Sprawiedliwość dziejowa nakazuje nam uznać w Reju te wielkie zasługi około piśmiennictwa i oświaty naszéj i uznać je w wyższym stopniu, aniżeli się to działo dotychczas. Dotąd przeważnie podnoszono wartość jego „Zwierciadła", a mianowicie prozaicznéj tegoż części, t. j. „Żywota człowieka poczciwego", ceniono w Reju prozaika, malarza obyczajów, a nie uwzględniano dostatecznie nader rozległego zakresu, w jakim tenże działalność swoją rozwijał, co więcéj lekceważono nawet, całkiem niesłusznie, utwory jego wierszowane, nie uznawano w nim poety, sądząc z pozorów, to jest z braku w nim wyższego artyzmu.

Wpływ Reja na spółczesnych był ogromny; późniéj zaćmiły go większe talenty, a jeszcze bardziéj jego wyznanie wiary. Wiek XIX dokonał już wiele w sprawie przywrócenia mu należnego stanowiska w literaturze, ale nie zrobił jeszcze wszystkiego. Dziś jest on dla nas osobistością historyczną, którą poznać, zbadać i ocenić należy jaknajsumienniéj i jaknajbezstronniéj — i do tego właśnie nastręcza się najlepsza sposobność, gdy się trzechsetna rocznica urodzin jego przybliża.

„Ateneum“ pragnęłoby ze swéj strony przyczynić się do popchnięcia naprzód tego zadania. Niebawem pomieści rozprawę, poświęconą szczegółowemu rozbiorowi jednego z wierszowanych utworów Reja: „Zwierzyńca“. Prócz tego, upraszamy wszystkich, którzy jakąkolwiek nieznaną wiadomość o Reju posiadają, żeby ją zakomunikowali redakcyi. W zakątkach archiwów i bibliotek mogą się znajdować zapomniane i przez bibliografów dotychczas nieuwzględnione broszury, rękopisma, któreby wzbogaciły skarbiec naszych informacyi o Reju, lub nawet faktyczną wiedzę o jego twórczości. Zwrócić uwagę na takie lekceważone czasami „szpargały“, wydobyć je z ukrycia, nadesłać redakcyi, lub też gdzieindziéj ogłosić drukiem, będzie istotną przysługą dla dziejów piśmiennictwa. Gorąco więc sprawę tę czytelnikom naszym polecamy.

Redakcya.



NEKROLOGIA.

† **Kazimierz Łapczyński**, urodzony 1821 r. w gub. inflanckiéj, ukończywszy nauki, miał sposobność do odbycia podróży po Kaukazie, a za powrotem do kraju zużytkowywał swoje spostrzeżenia w formie beletrystycznéj. Rozpoczął jednak od spisania wrażeń nabytych w Tatrach. Artykuł jego pomieszczony w „Tygodniku ilustrowanym" r. 1862 p. t. „Lato pod Pieninami i w Tatrach" czytany był z wielkiém zajęciem. Nastąpiło potém w r. 1866 opowiadanie „Z Tyflisu pod Ararat", a w r. 1868 „Przejazd przez szczyty Kaukazu." Równocześnie w r. 1865 wydał książeczkę dla dzieci p. t. „Wiązania Józia". Potém oddał się badaniom flory krajowéj i wyniki ich pomieszczał przez szereg lat w „Pamiętniku fizyograficznym". Z pomiędzy nich zwróciła na siebie szczególniéj uwagę rzecz o zasiągach, czyli geograficzném rozmieszczeniu roślin, z dodatkiem objaśniających map i tablic. Jako urzędnik drogi żelaznéj zmarł w połowie grudnia r. z.

† **Celina z Wołowskich Gładkowska** urodziła się r. 1859 w majątku rodzicielskim Szwajcarya pod Hrubieszowem, mając zaledwie kilka miesięcy, straciła matkę. Wychowanie otrzymała w domu, kształciła się sama obfitą lekturą. Panienką będąc, skłoniła kilka sąsiadek swoich do założenia w Hrubieszowie sklepu spożywczego, który przez czas pewien prowadziła z niemałém powodzeniem. Zmuszona interesami rodzinnemi przenieść się do Warszawy, została nauczycielką na pensyi żeńskiéj, niegdyś przez jéj kuzynkę, panią Guerin, utrzymywanéj. Wtedy to wydała pod pseudonymem J u l i a n a M o r o s z a, który odtąd stale zatrzymała, pierwszą swą powieść p. t. „Złota niteczka" (1878 r.). Po kilkoletnim zawodzie pedagogicznym otrzymała stałą posadę w redakcyi „Nowin", zostających wówczas pod kierunkiem Bolesława Prusa; równocześnie zaś drukowała większe powieści w „Gazecie Polskiéj", mianowicie: „Za późno", oraz w „Ateneum": „Na scenie i za kulisami" (ta ostatnia świeżo w końcu r. 1892 została przedrukowaną w „Bibliotece romansów i powieści"), oraz „Jesienny wieczór". Kiedy „Nowiny" przestały wychodzić, weszła ś. p. Celina do redakcyi „Gazety Świątecz-

néj“, gdzie pracowała do ostatnich chwil życia. W „Wieku“ pomieściła powieść: „Mykita Lewczuk“, na konkursie „Ziarna“ r. 1890 nowela jéj: „*Noblesse oblige*“ otrzymała pierwszą nagrodę; ostatnią jéj drukowaną pracą jest wydane nakładem „Głosu“ studyum z natury: „A kiedy ono nie takie!“ Zmarła w Warszawie 23-go grudnia 1892 roku.

† **Ludwik Niemojowski**, urodzony 1823 r. w Warszawie; odebrawszy średnie wykształcenie, gospodarował i oddawał się literaturze. Pierwsza jego praca drukowana sięga r. 1851, kiedy ogłosił 4-aktową komedyę: „Dwa towarzystwa“. W r. 1856-ym wyszły jego „Komedye“, oraz poemat religijny p. t. „Obrazy z Pisma św.“ Po kilkunastoletniéj przerwie, powróciwszy znów do Warszawy, zaczął ogłaszać różnorodne zbiory wierszy, opowiadań, zarysów etnograficznych i t. p., jako to: „Ziarenka“—wierszyki dla dzieci (1875, 2 wyd. 1881), „Obrazy Syberyi“, ilustrowane przez Andriollego (Warsz., 1875), „Powieści i szkice obyczajowe“ (3 tomy, Warsz., 1881), „Trójlistek, wierszyki dla młodych czytelników“ (t. r.), „Marysia Ochocianka“, obrazek ludowy (t. r.). Był gorliwym spółpracownikiem „Przyjaciela dzieci“ i wiele w nim pomieszczał bajek i opowiadań. Ostatniém jego drukowaném dziełkiem jest „Dworka“ (1892). Zmarł w Warszawie w połowie grudnia r. z.

† **Józef Konstanty Rosé**, urodzony w Poznaniu 1826 r., otrzymawszy stopień doktora medycyny w uniwersytecie berlińskim po napisaniu i obronie rozprawy: „*De leucaemia*“, powołany został niebawem na profesora Akademii medyko-chirurgicznéj, a potém Szkoły głównéj w Warszawie, i wtedy drukował: „Dyagnostyka fizyczna chorób płuc i serca, z szczególnym względem na auskultacyą i perkusyą“ (Warsz., 1860); „Wykład patologii i terapii narzędzi oddechowych“ (1868). Zmarł w Warszawie 2 stycznia r. b.

† **Leonard Niedźwiecki**, przyjaciel Słowackiego, wydawca dzieła Bukatego, zwolennika Hoene-Wrońskiego, zmarł w Paryżu w połowie grudnia r. z.

SPROSTOWANIE.

Przed samém wyjściem z druku zeszytu niniejszego otrzymaliśmy od dr. Misiewicza, autora artykułu polemicznego „W kwestyi polskiego piśmiennictwa lekarskiego“, list z prośbą o sprostowanie wypadkowéj omyłki w pomienionym artykule, mianowicie, iż obecnym redaktorem „Pamiętnika Tow. Lekarskiego“ jest dr. Jakowski, nie Janowski. Ze względu na ukończony druk, zaznaczamy to w tém miejscu.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Января 1893 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale IV-ym 1892 r.

1. **Kalendarz Powszechny** na rok **1893.** Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki.
2. Kw. Horacego Flakkusa **Poezye Wybrane** do użytku szkolnego wydał *Marcin Sas.* Nakł. autora, 1892, 8-vo, str. 183.
3. Jakóba Górskiego **Rada Pańska,** 1597. Wydał D-r *Wiktor Czermak*, 1892, 8-vo, str. XV i 137.
4. **Socyalizm współczesny** przez *Maurycego Block.* Tłomaczył z francuskiego *Stanisław Piotrowski.* Warsz. skład główny w księg. E. Wende et Com. 1890, 8-vo, str. 127.
5. **Księgarnia Stanisława Giejsztora.** Dział antykwarski. 8 Katalog dział dawnych i wyczerpanych. Warsz. 1892, 8-vo, str. 66.
6. **Cechy rzemieślnicze.** Naszkicował *G. L.* Warsz., 8-vo, str. 58.
7. **Sprawozdania** komisyi do badania historyi sztuki Tom V, zeszyt 2, str. 51 — 128 i XXXII oraz 11 tablic litog. folio.
8. **Pamiętnik** Akademii umiejętności. Wydział matematyczno-przyrodniczy. Tom XVIII zeszyt 2-gi, 1892, folio, str. 93 — 142.
9. **Budownictwo ludowe** na Podhalu. Przez *Władysława Matlakowskiego.* 1892, 4-to str. 93; z 23 tablicami i 25 rysunkami w tekście.
10. **Tablice** do analizy jakościowej opracowane przez D-ra *Treadwell'a* i D-ra *V. Meyer'a* Przekład D-ra *L. Kossakowskiego.* Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1892, 17 tablic (kartonowane).
11. D-r. *E. Haufe.* **Dziecko i rodzina.** Wskazówki kształcenia domowego dla matek Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-vo, str. IV i 243.
12. *E. Boutmy.* **Rozwój ustroju** i stosunków politycznych Anglii. Przełożył z francuskiego *J. L. Popławski.* Warsz., nakł. redakcyi tygodnika „Głos" 1893, 8-vo, str. 160.
13. **Vaniczech.** Powieść *J. H. Rosny.* Przełożył z francuskiego. Warsz nakł. redakcyi „Głosu"; skład główn. w księg. T. Paprockiego i S-ki. 1893, 8-vo.
14. **Sztuka** prowadzenia sporów. Przez *A. Schopenhauera.* Tłómaczył *Jan Lorentowicz.* Warsz. nakł. w księg. T. Paprockiego i S-ki, 1893, 8-vo.
15. **Ks. Stanisława Grochowskiego. Żywot i pisma.** *Adam Bełcikowski.* Warsz. T. Paprocki i S-ka, 1892, 8-vo, str. 251.
16. *Stanisław Krzyżanowski.* **Początki** dyplomatyki polskiej. Lwów, nakł. autora, 1892 8-vo, str. 40.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Oboźna, 5.

